MANEL LOUREIRO

OSTATNI PASAŻER

Witamy na pokładzie! Ale pamiętaj, nie będziesz mógł go opuścić... nawet, jeśli będziesz chciał.

MANEL LOUREIRO

OSTATNI PASAŻER

Tytuł oryginału: ***El último pasajero***
Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*
Redakcja techniczna: *Karolina Bendykowska*
Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*
Korekta: *Katarzyna Szajowska*

Projekt okładki: Departamento de Arte y Diseño.
Área Editorial Grupo Planeta
Zdjęcie na okładce © David Argemí

© 2013, Virtual Publishers S.L.
All rights reserved
© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2014
© for the Polish translation by Joanna Ostrowska and Grzegorz Ostrowski

ISBN 978-83-7758-839-0

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
Warszawa 2014
Wydanie I

Mojemu synowi Manelowi,
wokół którego kręci się mój świat

MGŁA
(prolog)

rozdział I

Piana, noc i mgła. Wilgoć przenikająca kości
z siłą zapuszczającego korzenie chwastu.
Mętna, ciemna woda. Tysiące metrów otchłani
pod statkiem, a gdzieś tam, na dole – potwory.

I. Freskor

Statek „Pass of Ballaster”

Gdzieś na północnym Atlantyku

28 sierpnia 1939 roku

Godzina 4.57

Sześćset mil od wybrzeży Irlandii noc była czarna jak dno kopalni, zlewała się ze spokojnym, ciemnym jak zwykle o tej porze roku morzem. Nagle jednak spłynęła mgła i wtedy wszystko się zaczęło.

Tom McBride poczuł ucisk w gardle, kiedy próbował przebić wzrokiem gęste opary. Splunął za burtę i otulił się szczelniej swoją kurtą z dystynkcjami kapitana. Od prawie dwudziestu czterech godzin tkwili w tej gąbczastej masie i wilgoć wciskała się w każdy kąt „Pass of Ballaster”.

– Nie rozumiem – mruknął do siebie. – Mgła w sierpniu, na tej przeklętej szerokości…

Gderając i nie odrywając wzroku od horyzontu, który znajdował się w odległości zaledwie trzech, czterech metrów, wyciągnął rękę w lewo. Podniósł filiżankę stojącą na chropowatym blacie stołu nawigacyjnego i upił łyk kawy. Natychmiast pożałował, że to zrobił.

Była zimna, jak wszystko na pokładzie. Od kiedy otoczyła ich ta gęsta, żółtawa mgła, nic nie utrzymywało ciepła dłużej niż dziesięć, piętnaście minut.

Przynajmniej fala nie jest zbyt wysoka, pomyślał, ze wstrętem wypluwając kawę do filiżanki. Brakuje nam teraz tylko burzy.

McBride wiedział, co by to oznaczało. „Pass of Ballaster” najlepsze lata miał już za sobą. Całą nadbudowę zwodowanego na początku dwudziestego wieku węglowca o wyporności nieco ponad pięciu tysięcy ton pokrywała rdza. Nie było jej jednak widać pod warstwą czarnego kleistego pyłu z węgla, którego stosy zawsze wypełniały ładownie.

Na burcie statku widniała olbrzymia szrama, pamiątka po niedoświadczonym pilocie za sterami holownika, który źle wyliczył odległość w Halifaksie. „Pass of Ballaster” nadawał się na złom, ale jakimś cudem jeszcze pływał.

Tak, pomyślał McBride, odpinając górny guzik kurty. Nie sądzę, żebyśmy odbyli jeszcze

wiele podróży na twoim pokładzie, stara przyjaciółko. Może już tylko jedną albo dwie. Nigdy nie wiadomo…

McBride zawsze myślał o swoim statku jak o starej damie, która pozbawiona dawnej urody i świecących ozdób, stara się zachować do końca resztki godności. Ostatnie lata życia spędzała na przewożeniu węgla między Bostonem i Bristolem.

Wszyscy na pokładzie wiedzieli, że „Pass of Ballaster" ma przed sobą już niewiele rejsów. Był zbyt stary, naprawy coraz bardziej kosztowne, a co najważniejsze, rynek węgla praktycznie przestał istnieć. Podjęcie przez właścicieli decyzji o wycofaniu jednostki z eksploatacji pozostawało jedynie kwestią czasu.

Podróż w tamtą stronę, pod balastem, poszła jak po maśle. Letnia pogoda zachęcała marynarzy do wałęsania się po pokładzie z obnażonymi torsami. Załadunek w Bostonie przebiegł bez problemów, nie licząc pogłosek o nadchodzącej wojnie. Cztery dni temu rozpoczęli podróż powrotną. To miał być rejs jak każdy inny.

Do czasu, kiedy natknęli się na tę przeklętą ścianę mgły.

Najpierw zamilkło radio. Po prostu przestało działać, choć oficer łącznościowy, który obejrzał je bardzo dokładnie, przysięgał, że wszystko jest w porządku. Słychać było tylko głuche trzaski w tle, suche *tak-tak-tak*, które powtarzało się w nieregularnych, niekiedy nawet kilkuminutowych odstępach.

Czasami radio cichło na parę godzin, po to by niespodziewanie wyrzucić z siebie kolejną rytmiczną serię, jakby jakiś obłąkany rzeźnik uderzał tasakiem w pieniek do rąbania mięsa. Potem znów zapadała cisza.

W dodatku było zimno. Oczywiście, w oparach mgły zawsze jest trochę chłodniej, ale tym razem mieli do czynienia z zupełnie inną sytuacją. Przeraźliwy ziąb sprawiał, że wydychane powietrze zamieniało się na zewnątrz w zamarzające kłęby pary, a każdy oddech jakby wyrywał kawałek płuca.

Na domiar złego od sześciu godzin mieli problemy z kompasem.

Psuł się stopniowo, powoli, nie tak jak radio, które po prostu nagle przestało działać. Na początku igła lekko drgała, tak delikatnie, że wszyscy myśleli, że to dwa silniki tłokowe, równie stare i zużyte jak reszta statku, powodują drganie mostka. Jednak w miarę upływu godzin ruchy igły stawały się coraz bardziej chaotyczne i nieoczekiwane.

McBride znowu pochylił się nad kompasem, choć wiedział, że zrobił to niespełna dziesięć minut wcześniej. Igła przeskakiwała między wschodem i zachodem, niezdolna do zatrzymania się na dłużej niż sekundę.

Kapitan przełknął ślinę. Żeglowanie we mgle bez kompasu i przy zerowej widoczności było prowokowaniem nieszczęścia. Mogli godzinami zataczać kręgi i, co gorsza, całkowicie stracić orientację. Dla „Pass of Ballaster", z jego astmatycznymi silnikami, oznaczało to zbyt wielkie ryzyko.

Słysząc skrzypnięcie fotela, sternik, niespełna dwudziestoletni, odwrócił się i odezwał, jakby czytał w myślach przełożonego.

– Kapitanie… – powiedział drżącym głosem. Busola po jego prawej stronie tańczyła

w tym samym niespokojnym rytmie co kompas McBride'a. – Co powinienem teraz robić?

– Trzymać kurs i nie zbaczać – rozkazał McBride. A przy okazji zachować spokój, dodał w myślach. – Jeśli nie zmieniliśmy kierunku w stosunku do ostatniego pomiaru, jesteśmy na właściwej drodze. Jak tylko wypłyniemy z mgły, wszystko pójdzie gładko, synu.

– Tak jest, kapitanie – odparł sternik.

Nigdy nie okazuj zdenerwowania przy członkach załogi. McBride niemal słyszał w głowie zasadę, której wszyscy kapitanowie marynarki handlowej uczyli się na pamięć w akademii. Jakże prosta wydawała się na lądzie, w jasnym świetle słonecznym. Pierwszy raz w całej swojej karierze znalazł się w tak niezwykłej sytuacji; uznał, że tej nocy nie może go już spotkać nic gorszego.

Podmuch zimnego powietrza przesyconego wilgocią poruszył brzegami mapy nawigacyjnej. Kiedy kapitan McBride uniósł wzrok, zobaczył Toma O'Leary'ego, bosmana, który wszedł tyłem na mostek i walcząc z rozwianymi połami płaszcza, zamknął za sobą drzwi.

O'Leary, czterdziestoletni, rudy, szczupły Irlandczyk, otrzepał nasiąknięty wilgocią materiał, mrucząc coś pod nosem. McBride pozdrowił go zmęczonym gestem. Jego podoficer odznaczał się skutecznością w pracy, ale bywał również nerwowy i irytujący.

– Zmieniono wachtowych?

– Oczywiście, kapitanie – powiedział bosman, podchodząc do stołu nawigacyjnego. – Ta przeklęta mgła działa mi na nerwy.

– To tylko mgła – odparł lakonicznie kapitan i przesunął językiem po wargach.

– Tak, oczywiście – rzucił O'Leary. Wymienili z kapitanem nerwowe spojrzenia, o wiele bardziej wymowne niż wszystko, co mogliby wyrazić słowami. – To tylko mgła.

Obaj kłamali. I obaj o tym wiedzieli. Ale za nic w świecie by się do tego nie przyznali.

Gdyby zsumować lata, które każdy z nich spędził na pływaniu po tych wodach, wyszłoby ponad czterdzieści. Nieskończoną ilość razy wchodzili w pasma mgły, często nawet gęstszej i niebezpieczniejszej niż ta. Poza tym w sierpniu spotkanie z górą lodową było prawie niemożliwe, jeśli nie nierealne. Oddalili się znacznie od Ławicy Nowofundlandzkiej, nie groziło im więc zderzenie z jakimś zabłąkanym portugalskim kutrem rybackim. Teoretycznie natknęli się tylko na pasmo mgły.

Ale ta mgła była jakaś inna.

– Jest coraz gorzej – powiedział kapitan McBride.

Fantazjował przez chwilę, że idzie spać i zostawia bosmana na nocnej wachcie. Kładzie się z nadzieją, że rano znowu wyjdzie słońce, radio będzie działać, busola przestanie wariować i wszystko wróci do normy. W tym momencie jego wzrok padł na róg okna sterburty.

Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli to, co zbiera się na szybie, to nie lód, pomyślał.

Lód w sierpniu. Po plecach przebiegło mu dziwne łaskotanie.

– Panie O’Leary, niech pan każe włączać syrenę okrętową co trzy minuty zamiast co pięć. I niech pan wyśle na dziób dwóch dodatkowych ludzi z lornetkami. Nie chcę, żebyśmy się zderzyli z dryfującą bryłą lodu albo z jakimś przeklętym tureckim statkiem handlowym ze śpiącą załogą. – Odchrząknął i wstał. – Pod tę szerokość musiał trafić prąd spod bieguna, może przyciągnąć ze sobą jakąś niespodziankę.

– Proszę się nie martwić, kapitanie – odparł O’Leary, spoglądając na szron na szybie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Bosman zasalutował, bez słowa opuścił mostek i skierował się w stronę schodków prowadzących do kajut marynarzy.

„Pass of Ballaster” był niewielkim statkiem, nie wymagał licznej załogi. W tym rejsie płynął na nim jedynie kapitan, O’Leary i siedmiu marynarzy z różnych krajów.

Kiedy bosman otworzył drzwi mesy, w twarz uderzył go strumień światła. We wnętrzu statku temperatura musiała być o kilka stopni wyższa niż na mostku, ale i tak było zimno. Mimo że ogrzewanie funkcjonowało na pełnych obrotach, nawet rozpalone do czerwoności piecyki nie zdołały złagodzić wrażenia lodowatego chłodu.

O’Leary wszedł do jadalni, gdzie schronili się przed zimnem dwaj marynarze pełniący wachtę. Siedzieli przy stole i rozgrywali partyjkę cribbage’a, w której, jak się wydawało, nie było wyraźnego zwycięzcy.

– Chłopaki, stary chce widzieć dwóch z was w punkcie obserwacyjnym na dziobie – wymamrotał, przyjaźnie poklepując marynarzy po plecach. – Są ochotnicy?

– Tylko nie to, panie O’Leary! – zaprotestował jeden z nich. Był to piegowaty, niezgrabny chłopak w wieku około osiemnastu lat, mający na twarzy więcej pryszczy niż włosów na brodzie. – Pieska noc! I nic nie widać na zewnątrz!

– Właśnie dlatego, Duff, właśnie dlatego – odparł cierpliwie bosman. Nalał sobie szklaneczkę brandy i zwrócił się do drugiego marynarza, mężczyzny w średnim wieku, niskiego, korpulentnego jak cyrkowy siłacz, o twarzy zwieńczonej gęstymi czarnymi brwiami, które zdawały się żyć własnym życiem. – Stepanek, zabierz chłopaka i idźcie na bocianie gniazdo na dziobie, weźcie lornetki i miejcie oczy szeroko otwarte. W razie jakiegoś problemu zawiadomcie mostek.

– Zrozumiano, szefie – powiedział Stepanek z wyraźnym słowiańskim akcentem. Zebrał z rezygnacją karty i schował je do tekturowego pudełeczka.

Był prawdziwym wilkiem morskim, służył już na wielu statkach i wiedział, że czasami nie pozostaje nic innego, jak wykonać rozkaz bez szemrania, niezależnie od tego, jak bardzo byłoby to niemiłe. Faktycznie, w tej wilgotnej, lepkiej mgle bocianie gniazdo nie należało do najprzyjemniejszych miejsc.

– Każę was zmienić za trzy godziny, ale do tego czasu macie być czujni. Jeśli zaśniecie i w coś uderzymy, przysięgam przed Bogiem, że uduszę was własnymi rękami, zanim statek pójdzie na dno i wszyscy się potopimy. Jasne?

– Jak słońce – odparł Stepanek, zapinając ciężki sztormiak. Powiesił sobie na szyi lornetkę, odwrócił się w stronę młodszego marynarza i zwichrzył mu dłonią włosy. –

Dalej, chłopcze, musimy policzyć mewy.

– Mewy? Jakie mewy, Step?

– Czasami zadaję sobie pytanie, jakim cudem zdołałeś wejść na pokład o własnych siłach – westchnął Stepanek, kręcąc głową, i pociągnął młodego marynarza na zewnątrz.

Zaraz po wyjściu na pokład obaj mężczyźni zaczęli dygotać z zimna. Wszędzie rozpościerała się mgła w postaci wilgotnych, lepkich kłębów, które sprawiały, że światła rzucały przygaszony, matowy blask.

– Nic nie widać – mruknął Duff. – W bocianim gnieździe nie będzie inaczej.

– Bardzo jestem rad, że mogłem poznać wasze zdanie, ekscelencjo – odparł sarkastycznie Stepanek. – A teraz, jeśli już skończyłeś narzekać, musimy wleźć na maszt, zanim szef znowu wyjdzie. Jeśli o coś uderzymy, obedrą nas ze skóry. Rusz tyłek! Idziemy!

Bocianie gniazdo na dziobie było czymś w rodzaju kosza zawieszonego na dwudziestometrowym maszcie, który służył również jako podstawa anteny radiowej. Ponieważ rzadko kiedy trzeba było wspinać się aż tak wysoko, prowadziła tam tylko przymocowana do stalowego słupa drabina. Składała się z mnóstwa żelaznych pierścieni, które błyszczały złowrogo, pokryte cienką warstwą lodu.

– Uważaj, gdzie stawiasz stopy – powiedział gderliwym tonem Stepanek. – Jeśli spadniesz, twój mózg dopłynie do Bristolu wcześniej niż statek.

Lubił czasem podokuczać nowicjuszowi. W odpowiedzi Duff wydał z siebie stłumiony jęk.

Przez długą chwilę wspinali się po drabinie, mrucząc pod nosem i ostukując nogą każdy pierścień, zanim postawili na nim stopę. W końcu dotarli do gniazda i stanęli ściśnięci na niewielkiej przestrzeni. W rogu na słupie wisiał aparat telefoniczny pokaźnych rozmiarów połączony z takim samym telefonem na mostku kapitańskim.

– No i co? Mówiłem ci – burknął Duff. – Z góry niczego nie widać.

– A co byś chciał? Żeby świeciło słońce? Trzymaj to, bałwanie, i zajmij się swoją stroną. – Stepanek podał mu lornetkę.

W duchu musiał przyznać, że nowicjusz ma rację. Na wysokości dwudziestu metrów widoczność ani trochę się nie poprawiła. Nie ulegało wątpliwości, że mgła gęstnieje coraz bardziej.

Z gniazda nie było widać dziobu ani pokładu, musiał wysilić wzrok, żeby dostrzec przyćmione światła na mostku kapitańskim. Przez chwilę miał wrażenie, że są z Duffem sami w całym wszechświecie, zawieszeni w wilgotnej, gąbczastej masie koloru kości umarlaka.

Zafrasowany potrząsnął głową. Coś mu w tym wszystkim nie pasowało.

Odwrócił głowę w stronę Duffa i upewnił się, że nowicjusz jest przywiązany liną do barierki gniazda. Potem podniósł słuchawkę telefonu i sprawdził, czy mają połączenie.

Mieli. Sygnał był słaby, ale ciągły.

Wolną ręką potrząsnął podstawą anteny, żeby zobaczyć, czy jest dobrze umocowana.

Wszystko wydawało się w porządku.

Jednak coś było nie tak. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę co.

Cisza.

Całkowity brak jakichkolwiek dźwięków. Nie było słychać hałasu silników, ani nawet uderzeń fal o kadłub „Pass of Ballaster”.

Jakby siedzieli w trumnie.

– Zimno mi – powiedział cicho Duff, drżąc na całym ciele. Sekundę później dodał, jakby zawstydzony: – I boję się.

– Przestań gadać – odparł Stepanek. Powoli ogarniało go poczucie, że musi pilnie coś zrobić. Jego ciało pokryła gęsia skóra, nie tylko z powodu zimna. Tam na zewnątrz *coś* było. Czuł to.

– Tak musi wyglądać czyściec – wymamrotał Duff, kręcąc się niespokojnie. Lornetka zwisała mu w dłoniach, nie patrzył w żadnym konkretnym kierunku. Pocił się, choć twierdził, że jest mu zimno.

Stepanek znów na niego spojrzał. Już chciał mu odpowiedzieć, kiedy dostrzegł coś kątem oka. Odwrócił głowę w prawo, potem w lewo. Tam…

– Widziałeś coś? – zapytał Duffa.

– Co? Mówię ci, że…

Wtedy go zobaczyli. A raczej odgadli, że tam jest. Wyłonił się nagle przed dziobem „Pass of Ballaster”, jakby czekał na to, aż węglowiec przepłynie obok. Był to czarny, olbrzymi, podłużny cień, który błyskawicznie zmierzał na spotkanie statku.

– Cholera! – krzyknął Stepanek.

Rzucił się do telefonu, gwałtownie odepchnąwszy Duffa, który patrzył osłupiały na olbrzymią ciemną plamę.

– Zderzenie! Zderzenie! Zderzenie! – zawył do mikrofonu. – Góra lodowa przed dziobem, dokładnie na wprost nas! Zmieńcie szybko kurs! Zmieńcie szybko kurs, do cholery!

Przez kilka trwających wieczność sekund nic się nie działo. „Pass of Ballaster” szedł dalej tym samym torem na spotkanie z cieniem, który przeciął mu drogę. Potem powoli nastąpiły zmiany. Obaj marynarze poczuli, że słup wibruje z powodu intensywnej pracy silników, które wyły teraz na pełnych obrotach, choć do nich dochodził tylko słaby odgłos. Dziób statku zaczął stopień po stopniu odchylać się od ciemnej plamy, która coraz bardziej rosła w oczach.

Zbyt wolno, pomyślał Stepanek. Rozbijemy się.

– Obróćcie go bardziej! – krzyknął do telefonu. Jego głos przeszedł w zduszony skrzek. – Obróćcie go całego, na Boga, bo inaczej zginiemy!

Gdyby „Pass of Ballaster” był trochę większy albo gdyby płynął trochę szybciej, nie udałoby się zmienić kursu na tak krótkim odcinku. Ale niewielki statek zareagował i centymetr po centymetrze, metr po metrze, zaczął wymijać coraz bliższą przeszkodę.

Uda się nam. Może się uda, Stepanek myślał z zawrotną intensywnością, a tymczasem nieznany obiekt rósł coraz bardziej. To była największa góra lodowa, jaką kiedykolwiek widział, co najmniej dwukrotnie wyższa niż najwyżej położony punkt węglowca i o wiele dłuższa. Otaczała ją mgła, gęsta niczym biały całun, ale w świetle reflektorów „Pass of Ballaster” można było się domyślić rozmiarów przeszkody.

Z powolnością przeciągającego się kota dziób statku wycelował w głęboką czerń nocy. Od katastrofy dzieliło ich niespełna dziesięć metrów.

– Niewiele brakowało! – krzyknął Stepanek, klepiąc Duffa po plecach. – O mało nie rozwaliliśmy się o tę przeklętą górę lodową! Była bardzo blisko, na krew…!

– Powiedz, żeby zatrzymali maszyny – odparł Duff, spoglądając szklanym wzrokiem. Miał dziwnie cichy głos. Nie patrzył na Stepanka, tylko gdzieś za jego plecy.

– Co? O czym ty, do cholery, mówisz? – spytał marynarz.

– Powiedz, żeby zatrzymali maszyny – powtórzył bełkotliwie Duff. Jego głos brzmiał tak, jakby połknął kilogram waty.

– Dlaczego chcesz, żebyśmy zatrzymali maszyny? – Stepanek czuł, że cały jego entuzjazm opada i zamienia w coś na kształt paniki. Wiedział, że musi się odwrócić. Spojrzeć tam, gdzie patrzył Duff. Ale nie chciał tego robić. Bał się odpowiedzi.

– To nie jest góra lodowa. – Duff nie odrywał wzroku od horyzontu.

Stepanek odwrócił się, nie wypuszczając telefonu ze zgrabiałej dłoni. Miał wrażenie, że wszystko następuje w zwolnionym tempie. Otworzył szeroko oczy i zaczął się cicho modlić po chorwacku, czego nie robił od czasu, gdy był dzieckiem.

Na wodzie, niecałe dwadzieścia metrów od burty „Pass of Ballaster”, wznosił się w ciszy ciemny dziób ogromnego, kilkakrotnie większego od węglowca statku, który stał nieruchomy ze zgaszonymi światłami.

Parę metrów nad kluzą kotwiczną można było dostrzec jego nazwę.

„Valkirie”.

rozdział II

W ciągu następnych dziesięciu minut na pokładzie węglowca rozpętało się szaleństwo. Kapitan McBride i jego bosman wykrzykiwali rozkazy w trzech różnych językach, a marynarze biegali w tę i z powrotem. Całkowite zatrzymanie statku zajęło im prawie dwadzieścia minut – sternik mozolnie prowadził go zygzakiem, żeby nie odpłynąć zbyt daleko od „Valkirie", a jednocześnie nie zbliżyć się za bardzo do cienia, którego obecności mógł się jedynie domyślać z powodu mgły. W końcu sam McBride przejął stery i zdołał przybliżyć „Pass of Ballaster" do olbrzymiej, cichej bryły unoszącej się na wodzie.

– Panie O'Leary – powiedział kapitan, zwracając się do bosmana. – Udało się panu nawiązać przez radio kontakt ze statkiem?

– Nie, kapitanie – odparł wystraszony O'Leary. – Radio nadal nie działa. Bernie… to znaczy pan Cornwell mówi, że mogła się przepalić lampa próżniowa. Wciąż nad tym pracuje.

McBride skinął głową, starając się przebić wzrokiem mgłę. W ciągu ostatnich dwunastu godzin trzykrotnie rozłożyli radio na części i z powrotem je zmontowali – nie szwankowała żadna przeklęta lampa. Wiedział, że to nie w tym tkwi problem, ale, tak czy inaczej, musiał spróbować.

Sytuacja była niepokojąca. Statek stał nieruchomo z wygaszonymi światłami, na pokładzie nie było znaków życia. To nie miało sensu. McBride zastanawiał się przez kilka sekund.

– Panie O'Leary – powiedział w końcu – skontaktujcie się z „Valkirie" przy użyciu reflektora sygnalizacyjnego. Przedstawcie nas i zapytajcie, czy mają jakiś problem i czy potrzebują pomocy.

O'Leary przytaknął i wyszedł na pokład z marynarzem, który miał pełnić rolę sygnalisty. Ustawili się za reflektorem, jednak światło nie rozbłysło. Do uszu kapitana dobiegły gorączkowe szepty.

– Co się dzieje, panie O'Leary? Czeka pan na oficjalne zaproszenie, żeby włączyć ten cholerny reflektor? – McBride usłyszał w swoim głosie napięcie większe niż zazwyczaj. Nawet on czuł zdenerwowanie z powodu tej sytuacji.

– Nie, kapitanie – odpowiedział bosman, wyraźnie zatroskany. – Przewód szwankuje. Powinni byli go naprawić w porcie, ale elektrycy twierdzili, że potrzebują alternatora, który…

Nagle O'Leary zdał sobie sprawę, że bełkocze, i zamilkł. McBride rzucił mu surowe spojrzenie, ale ograniczył się do kolejnego pytania.

– Może go pan naprawić, zanim zniesie nas prąd i rozbijemy się o ten statek?

– Oczywiście, proszę pana. To zajmie jakieś trzy minuty.

– Proszę więc, do diabła, wreszcie to zrobić! – warknął kapitan, wyciągając chustkę, którą otarł sobie krople potu.

Gdyby nie martwiła go tak bardzo stale zmniejszająca się odległość między dwoma statkami, zdałby sobie sprawę, że zaledwie pięć minut wcześniej trzęśli się z zimna, a teraz niektórzy marynarze pozdejmowali sztormiaki i zostali w samych koszulach. Szron na bulajach błyskawicznie topniał, tworząc małe strumyczki wody, które spływały na pokład.

Jednak nikt nie zwrócił na to uwagi. Wszystkie spojrzenia przyciągał olbrzymi kadłub „Valkirie", który rósł w oczach z minuty na minutę i zajmował coraz większą przestrzeń, uzmysławiając im, jak mały w porównaniu z nim jest „Pass of Ballaster".

To duży statek. Bardzo duży. Dwadzieścia tysięcy ton, co najmniej. Ale nie rozumiem, co tu robi i dlaczego nikt nie odpowiada, pomyślał kapitan.

Skierował wzrok w stronę masztu rufowego, żeby sprawdzić, czy powiewa na nim jakaś bandera. Jeśli odkryłby żółtą chorągiewkę oznaczającą kwarantannę na pokładzie, „Pass of Ballaster" odpłynąłby tak szybko, jak pozwoliłyby mu na to silniki. Ale nie było żadnej flagi.

„Valkirie" unosiła się leniwie na wodzie, niczym uśpiony wieloryb, a tymczasem odległość między statkami coraz bardziej malała. W końcu potężny reflektor zaświecił i marynarze wycelowali go w kadłub wycieczkowca.

– Nareszcie – burknął poirytowany kapitan.

Białe błyski rozświetlały mgłę, tworząc niesamowite wrażenie. Za każdym razem, kiedy zapalał się reflektor, tysiące kropelek tańczyły w snopie światła, wirując jak szalone, jakby nie wiedziały, w którą stronę polecieć. „Valkirie" błyszczała tuż obok, mokra i ciemna niczym skóra morskiego potwora, który na nich czekał.

Czak-czak, *czak-czak*, *czak-czak*. Reflektor migał bez przerwy. Przy tak bliskiej odległości po każdym błysku miało się wrażenie, że kadłub „Valkirie" oświetlają wyładowania niewidzialnej burzy.

Po pięciu długich minutach McBride pokręcił głową.

– Proszę przerwać, panie O'Leary. Nie odpowiedzą nam.

– Użyjemy megafonu? – zapytał bosman, nie odrywając wzroku od transatlantyku. – Jesteśmy wystarczająco blisko.

– Żeby potem nikt nie mówił, że nie próbowaliśmy – warknął kapitan i otarł pot.

Kawałek szronu oderwał się od krawędzi jednego ze świetlików i spadł na podłogę z wodnistym plaśnięciem. Zewsząd kapała woda, w miarę jak topniał pokrywający nadbudówkę lód.

Bosman wziął do ręki mosiężny megafon. Chciał przełknąć ślinę, ale zaschło mu w gardle. Odchrząknął i podniósł go do ust.

Najpierw spróbował po angielsku. Nikt nie odpowiedział. Zdenerwowany, spojrzał na kapitana, ale ten nie wykonał żadnego gestu. W zamyśleniu obserwował „Valkirie". Po

kilku minutach O’Leary odezwał się ponownie, tym razem swoją kulawą niemczyzną. Również bez efektu.

To jak rozmowa z grobem, pomyślał McBride i poczuł, że przeszywa go dreszcz. Bo właśnie tak wyglądał transatlantyk: niczym ogromy, cichy i wilgotny grób.

– Wyślemy łódź – postanowił z westchnieniem i wstał. – Pan i dwóch ludzi. Wydaje mi się, że w ładowni numer trzy mamy długą linę, a gdzieś na dolnym pokładzie z kotwicami powinien być lekki hak. Niech pan wejdzie na ten statek i sprawdzi, co się tam, do diabła, dzieje.

– Tak jest, kapitanie.

O’Leary odwrócił się i jego spojrzenie spoczęło na Duffie i Stepanku, którzy właśnie zeszli z bocianiego gniazda. Obaj mieli rozpięte sztormiaki i ociekali potem, jakby właśnie ukończyli bieg maratoński.

– Proszę pana, tam na górze jest piekielnie gorąco – poskarżył się Stepanek. – Nawet w środku sierpnia…

– Wiem – przerwał mu podoficer. – Tej nocy nic nie jest normalne. Pójdziecie ze mną. Zrobimy sobie małą wycieczkę.

Duff otworzył usta, ale zamilkł, kiedy Chorwat dyskretnie nadepnął mu na stopę.

Gdy szybkim krokiem szli za bosmanem, dźwigając olbrzymi zwój liny, Duff rzucał Stepankowi spojrzenia, w których można było wyczytać pytanie: „Dlaczego znowu my?”.

Stepanek wzruszył ramionami. Czasami rzeczy po prostu się dzieją i tyle. Jak teraz.

rozdział III

Za pomocą żurawika na rufie spuścili na wodę jedyną na „Pass of Ballaster” szalupę. Trzej mężczyźni zeszli do niej ostrożnie, choć morze było w tamtym momencie gładkie niczym lustro. Żadna najmniejsza skaza nie mąciła powierzchni czarnej jak noc wody, która przypominała toń uśpionego jeziora.

Stepanek chwycił za wiosło, Duff za drugie, a O’Leary zasiadł przy sterze.

Po kilku mocnych odepchnięciach łódka odsunęła się od „Pass of Ballaster” i powoli zaczęła podpływać do wielkiego statku. Za każdym razem, kiedy wiosła zanurzały się w wodzie, tworzyły fale, które drgały na powierzchni. Drogę oświetlały im jedynie lampy sodowe węglowca. Echo pluskającej wody odbijającej się od obu kadłubów rozbrzmiewało złowieszczo.

– Może na pokładzie wybuchł pożar albo coś w tym rodzaju – powiedział Duff, posapując między kolejnymi machnięciami wiosłem. – Załoga i pasażerowie opuścili statek i do tej pory dryfuje.

– To nie to – szepnął bosman. – Wszystkie szalupy ratunkowe wiszą na żurawikach, przynajmniej po tej stronie. Jeśli opuszczono statek, to nie w nich.

– Nie czuć też dymu – zauważył Stepanek. – Ani nie widać przechyłu. Założę się, o co chcecie, że ten przeklęty statek nie ma ani jednej rysy na kadłubie.

– Cisza! – O’Leary przerwał rozmowę. – Jesteśmy już blisko.

Łódka znajdowała się zaledwie kilka metrów od „Valkirie”. Marynarze byli w stanie dostrzec spawy na stalowym kadłubie o powierzchni przypominającej czarny agat. O’Leary zadarł głowę i przyjrzał się burcie wycieczkowca, która niknęła w mroku, wiele metrów nad nimi. Ocenił w myślach wysokość i ogarnęło go przygnębienie, zdał sobie bowiem sprawę, że nie ma wystarczającej siły w rękach, by zarzucić hak na burtę.

– Opłyńmy go – powiedział. – Może od drugiej strony będzie łatwiej wejść na pokład.

Łódka ruszyła powoli wzdłuż kadłuba „Valkirie”, aż dotarła do dziobu. Tam ponownie skręcili.

– Gówno widać – warknął Stepanek. – Zapalamy reflektor?

O’Leary przytaknął. Nagle poczuł się całkowicie bezbronny. Z jednej strony bryła prawdopodobnie opuszczonego statku, a za jego plecami czarny bezkres oceanu spowity gęstą mgłą. Uświadomił sobie, jak bezradni są on i jego ludzie w tej małej drewnianej łupinie.

Strumień światła z reflektora omiatał bok „Valkirie”, podczas gdy łódź powoli sunęła naprzód. Nadzieje O’Leary’ego rozwiewały się, w miarę jak podpływali do rufy. Nadburcie statku znajdowało się na wysokości ponad piętnastu metrów i było poza ich

zasięgiem.

– Nie sądzę, żebyśmy dali radę tędy wejść. – Odwrócił się w stronę towarzyszy, wypowiadając na głos swoje myśli. – Może jeśli wrócimy na „Pass of Ballaster” i przysuniemy go wystarczająco blisko, będziemy w stanie zarzucić hak z dziobu, a wtedy…

Nagle nad ich głowami rozległ się trzask. Zabrzmiał jak odgłos rozrywanego papieru i dudnienie, jakby ktoś pędził co sił. Następnie coś uderzyło z przeraźliwym hukiem o kadłub „Valkirie”, dokładnie nad nimi. Spadł na nich deszcz połamanych desek i kawałków płótna.

– Cholera, zmiażdży nas! – krzyknął Duff, ogarnięty paniką.

– Zamknij się i przytrzymaj reflektor, idioto! – wrzasnął O’Leary, próbując zachować równowagę na chyboczącej się łódce.

Coś dużego spadło po jego prawej stronie, obok łodzi, i wzniosło fontannę lodowatej wody, która zmoczyła ich do suchej nitki.

Reflektor chwiał się, jakby żył własnym życiem, a jego światło rysowało dziwne arabeski na metalowej skórze „Valkirie”. Stepanek wypuścił wiosło, żeby go przytrzymać. Grad przedmiotów stopniowo ustawał, a łódka przestawała się ruszać.

– Wszystko w porządku? – zapytał O’Leary marynarzy ukrytych w ciemnościach. – Odezwijcie się, do wszystkich diabłów!

Dwa wystraszone głosy odpowiedziały niepewnie. Nie było się czemu dziwić. Sam O’Leary czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

– Co to było, u licha? – mruknął i wycelował reflektor ponad głowami swoich ludzi. Wtedy zaklął.

Zaledwie kilka metrów nad nimi wisiała zniszczona szalupa ratunkowa. Odczepiła się z jednej strony i roztrzaskała, uderzywszy w kadłub „Valkirie”. Dyndała na linie przymocowanej do żurawika na dziobie i to jej szczątki spadły na nich niczym deszcz.

– Cholera! Widocznie puścił blok – stwierdził z ulgą Duff za plecami bosmana. – Niewiele brakowało! Mogła nas zmiażdżyć jak mrówki!

– Zapamiętasz ten moment na zawsze, jako dzień, kiedy niemal zostałeś zmiażdżony szalupą ratunkową – powiedział cicho O’Leary, nie odrywając wzroku od łódki huśtającej się powoli na linie.

Owszem, puścił. Albo ktoś go poluzował. A może coś, pomyślał.

Nie miał pojęcia, dlaczego tak pomyślał. Poczuł, że pali go zgaga. Nie mógłby przysiąc, ale jednak był niemal pewien, że usłyszał coś dokładnie sekundę przed tym, jak urwała się łódź.

Wykręcili tak, żeby zaczepić hak o dolny kraniec zniszczonej szalupy. Kiedy lina była już mocno przywiązana, O’Leary odwrócił się w stronę marynarzy.

– Dobra. Który ze mną wchodzi?

Wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– A gdybyśmy tak weszli wszyscy, proszę pana? – ton Duffa brzmiał niemal błagalnie. – To bardzo duży statek.

– Poza tym – dodał Stepanek – nie chcę zostać sam w tej przeklętej łódce, kiedy wy będziecie tam na górze.

– W porządku – zgodził się O'Leary. – Przed wejściem zabezpieczcie dobrze łódź. Jeśli zniesie ją prąd, stary nas zamorduje. Mnie pierwszego.

W niespełna minutę bosman i dwaj marynarze przywiązali łódź, po czym zaczęli się wspinać po resztkach szalupy zwisających z boku statku. Podczas wspinaczki O'Leary próbował kontrolować rytm swojego oddechu. Wyciągnął rękę i chwycił się barierki nadburcia „Valkirie", żeby wreszcie wejść na pokład.

Wtedy wydarzyło się równocześnie kilka rzeczy.

Po pierwsze, O'Leary znów poczuł zimno, przeraźliwe zimno, które przenikało go do szpiku kości i zapierało dech. Metal burty był tak lodowaty, że bosman z trudem powstrzymał okrzyk bólu.

Drugą rzeczą, która go uderzyła, była cisza. Z pokładu statku nie dochodził żaden dźwięk.

Po trzecie, ogarnęło go nieprzyjemne wrażenie, że jest obserwowany.

Trzej marynarze skupili się niepewnie przy burcie, nie wiedząc, co mają dalej robić.

– Pójdziemy na dziób, a potem na mostek – powiedział O'Leary, próbując zapanować nad swoim głosem. – A jeśli nikogo nie ma na pokładzie, rzucimy linę na „Pass of Ballaster", żeby odholować „Valkirie" do portu. Za uratowanie takiego statku będzie nam się należeć fortuna!

Idąc po pokładzie i oświetlając latarką podłogę, po której stąpał, O'Leary poczuł nagle przypływ podniecenia. Dopiero teraz dotarło do niego, że jeśli statek jest opuszczony, to zgodnie z międzynarodowym prawem morskim staje się dobrem porzuconym, w którego posiadanie może wejść osoba trzecia. A odstępne, jakie przyjdzie zapłacić armatorowi, będzie bardzo wysokie.

– Słyszycie to? – zapytał nagle Stepanek, wyrywając bosmana z rozmyślań.

O'Leary wytężył słuch, ale nie wyłowił żadnego szczególnego dźwięku.

– Co niby mamy słyszeć? Ja nic nie słyszę.

– No właśnie, proszę pana – odparł Stepanek posępnym głosem. – Niczego nie słychać.

O'Leary'emu zajęło chwilę zrozumienie, co próbuje mu powiedzieć marynarz. Nie chodziło tylko o to, że nie rozlegały się żadne głosy czy hałas maszyn. Nie było słychać absolutnie nic, oprócz ich kroków. Żadnego skrzypnięcia metalu, żadnego uderzenia zamykającego się świetlika, nawet żadnego podmuchu wiatru gwiżdżącego między fałami.

Nic.

Tak jakby cały statek wstrzymywał oddech. Ta myśl, oślizgła niczym wąż, wpełzła do umysłu O'Leary'ego. Obserwuje nas.

– Nie gadajcie głupot – szepnął, nie zdając sobie sprawy, że ściszył głos. – Chodźmy na

mostek i miejmy to jak najszybciej z głowy.

Boczna galeria „Valkirie” była pogrążona w ciemnościach. Snopy światła z latarek marynarzy sięgały jedynie na kilka metrów, a wilgoć kreśliła w powietrzu dziwne rysunki. O’Leary obserwował okiem eksperta żurawiki od łodzi, obok których przechodzili. Od katastrofy „Titanica”, zaledwie dwadzieścia siedem lat wcześniej, wszystkie wycieczkowce na świecie miały obowiązek zabierania tylu szalup ratunkowych, żeby wystarczyło ich dla wszystkich pasażerów i członków załogi. „Valkirie” była znacznie mniejsza od „Titanica”, ale mimo to liczba szalup wydawała się przytłaczająca. I nie brakowało ani jednej.

Wszystkie wyglądały na mocno przymocowane, osłaniały je pokrowce na wypadek złej pogody, jakby nikt ich nigdy nie ruszał. O’Leary dałby sobie uciąć rękę, że jedyną odczepioną łodzią na całym statku była ta, która wisiała roztrzaskana pięćdziesiąt metrów dalej i po której wspięli się na pokład.

Kilka metrów przed nimi rozległo się metaliczne stukanie. Brzmiało jak nierytmiczne klik-klak, głośne na początku i słabsze na końcu. Trzej marynarze zastygli w bezruchu.

– Halo! – krzyknął O’Leary głosem mniej pewnym, niżby tego chciał. – Jest tam kto? Halo! Kto idzie?

Usłyszeli wyraźny szmer oraz inny odgłos, jakby ktoś przesuwał coś szorstkiego, ale to było wszystko. Nic nie poruszało się w ciemności.

– *Zdravo, Marijo, milosti puna, Gospodin s Tobom, blagoslovljena Ti među ženama*… – Stepanek modlił się przez zaciśnięte zęby, próbując jednocześnie przeszyć wzrokiem ciemność. Robił to już drugi raz tej nocy, ale teraz nikomu nie wydało się to nie na miejscu.

– No dobra, dosyć tego.

Nagle O’Leary poczuł się mocno zirytowany. Drżał z zimna, był zmęczony, znajdował się na pokładzie nie swojego statku, a do tego jakiś kretyn z wypaczonym poczuciem humoru chciał się z nimi bawić w duchy. Za dużo jak na jedną noc.

– Tu bosman O’Leary, z brytyjskiego statku „Pass of Ballaster”! – krzyknął. – Nie macie się czego bać, kimkolwiek jesteście! To my!

Nic się nie wydarzyło. Nikt nie odpowiedział.

Dlatego kiedy za ich plecami rozległ się szmer, krew podoficera zamieniła się w coś gęstego i zimnego jak lód.

Jesteeeeeśmyyy tuuuutaaaaj!

Stepanek odwrócił się tak gwałtownie, że popchnął oniemiałego Duffa i obaj wpadli na O’Leary’ego. Zanim się zorientowali, wszyscy trzej leżeli na ziemi.

– Kto tu jest? Kto idzie, do jasnej cholery? KTO? – Latarka Stepanka tańczyła na wszystkie strony, kiedy marynarz usiłował się podnieść.

– Chodźmy stąd! Chodźmy stąd wreszcie, proszę! – w głosie Duffa można było wyczuć histerię.

– Zamknijcie się, idioci – ryknął O’Leary, zakładając czapkę. Był tak zdenerwowany, że

pluł śliną, kiedy mówił. – Nigdzie nie pójdziemy! Zrozumiano?

Spojrzał nabiegłymi krwią oczami na obu marynarzy, którzy kręcili się niczym niespokojne dzieci.

– Co zamierzacie? Wrócić na węglowiec i opowiedzieć staremu, że uciekliśmy przed zgrają duchów? Wykopie nas z powrotem! Zachowujcie się jak mężczyźni! Musimy tylko wejść na mostek kapitański, sprawdzić, czy statek jest pusty, i rzucić linę, żebyśmy mogli go odholować! – Zmienił ton głosu, starając się, by brzmiał przekonująco. – Jak tylko skończymy, wrócimy na „Pass of Ballaster", wydostaniemy się z tej przeklętej mgły i po dotarciu do Bristolu zapomnimy o całej sprawie. Zgoda?

Przyzwyczajeni do panującej na morzu dyscypliny marynarze przytaknęli, lecz ich oczy wyrażały raczej powątpiewanie niż wiarę.

– Ale ten głos… – nieprzekonany Duff podjął ostatnią próbę.

– Ten głos to było echo, kretynie – odparł O'Leary. – A rozległo się za naszymi plecami z powodu jakiegoś dziwnego efektu akustycznego. To przez układ galerii albo z winy mgły. Może być tysiąc przyczyn. Uczyłem się o tym w szkole oficerskiej, wiele lat temu.

Duff i Stepanek ponownie przytaknęli, nieco uspokojeni. Ale kiedy ruszyli dalej, O'Leary nadal odczuwał niepokój. Wiedział bowiem, że wyjaśnienie, którego przed chwilą im udzielił, było monstrualnym kłamstwem, i że nie ma żadnego takiego zjawiska akustycznego, przynajmniej z tego, co wiedział. Poza tym należało dodać jeszcze jeden mały szczegół.

O'Leary był całkowicie pewien, że głos, który odbił się echem, nie należał do niego.

rozdział IV

Bosman zachował swoje przemyślenia dla siebie, bo akurat w tym momencie natknęli się na otwarte na oścież drzwi.

– Myślisz, że to one narobiły tego hałasu? – zapytał zdenerwowany Duff.

– Możliwe – odparł Stepanek i lekko poruszył drzwiami. Zawiasy zaskrzypiały. – Mógł je otworzyć wiatr.

– Zapewne tak właśnie było – powiedział bez przekonania O'Leary.

Trzej mężczyźni przeszli przez próg i zapuścili się w głąb „Valkirie", rzuciwszy uprzednio ostatnie, pełne wątpliwości spojrzenie w stronę skrywającej horyzont mgły.

We wnętrzu panowała całkowita ciemność, ale poza tym nie stwierdzili niczego niezwykłego. Znajdowali się w długim korytarzu o ścianach wyłożonych słojowatym drewnem i podłodze przykrytej grubym czerwonym chodnikiem, który tłumił ich kroki. Szli bardzo blisko siebie, oświetleni latarkami, których blask odbijał się od miedzianych wykończeń drzwi i wmontowanych w sufit lamp.

Korytarz przechodził w kolejny, jeszcze dłuższy, z szeregiem drzwi po obu stronach. Co kilka metrów zatrzymywali się i krzyczeli głośno „Halo!", jednak wyglądało na to, że wewnątrz statku zamarło wszelkie życie.

Nagle wpadli na duże podwójne drzwi z drewna dębowego zamykające korytarz. Po chwili wahania O'Leary położył dłoń na okrągłej klamce. Był przekonany, że *coś* poczuje. Ale była to tylko zwykła, normalna gałka, zimna i niewyróżniająca się niczym szczególnym.

Pociągnął za oba skrzydła, weszli i na krótką chwilę zaparło im dech w piersiach. Znajdowali się w ogromnej owalnej sali wykończonej ze znacznie większym przepychem niż korytarze, którymi do niej dotarli. Była duża, bardzo duża, obszerniejsza niż jakiekolwiek pomieszczenie na „Pass of Ballaster".

Na środku wyrastały ogromne schody z drewna i marmuru rozgałęziające się na dwie odnogi i prowadzące do przestronnej sali na wyższym piętrze, której nie mogli dostrzec z miejsca, gdzie stali. Balustrady składały się z grubych, spiralnie skręconych słupków z intarsjowanej dębiny, połączonych poręczą z ciemniejszego drewna. Stopnie z białego marmuru błyszczały w świetle latarek; były na nich wyryte na przemian słowa „Valkirie" i „KdF". Tego skrótu bosman nie znał.

O'Leary zauważył, że na końcach obu poręczy znajdują się dwa orły z rozłożonymi skrzydłami trzymające w szponach wieńce laurowe, między którymi pyszniła się sięgająca do podłogi swastyka.

Ten sam motyw powtarzał się w niemal obsesyjny sposób w wielu miejscach sali, łącznie z fryzem otaczającym cały sufit, złożonym z orłów przedstawionych z profilu,

z których każdy trzymał symbol Trzeciej Rzeszy. Scenerii dopełniały dwie flagi wiszące na środkowym podeście, w miejscu gdzie na każdym angielskim czy amerykańskim transatlantyku powinien znajdować się zegar albo klasyczny posąg otoczony pulchnymi cherubinkami. Jedna była czerwona, ze swastyką Rzeszy. Druga wyglądała bardzo podobnie, tyle że była niebieska, a swastykę umieszczono w kole zębatym otoczonym półkolistymi wiązkami promieni; na dole widniał skrót KdF.

– Gdzie jesteśmy, proszę pana?

– Myślę, że to główny hol statku. – O'Leary skierował latarkę w górę. Światło odbiło się milionem refleksów od kryształowego żyrandola wiszącego nad ich głowami. – O ile się nie mylę, tędy dojdziemy do głównej sali. A tędy – dodał i przesunął latarkę – powinniśmy się dostać na mostek.

– A te flagi? – zapytał naiwnie Duff.

– To niemiecki statek, idioto. – Stepanek szturchnął towarzysza. – Nie czytasz gazet? To flaga szkopów. Wymachują nią ciągle od kilku lat. Czasami człowiek ma wrażenie, że nie robią niczego innego – dodał ze złością. – Nic tylko paradują i wymachują tą przeklętą flagą.

– Nie traćmy czasu – westchnął O'Leary. – Mamy dużo do zrobienia.

Szybkim krokiem weszli po schodach, nie przystając, by podziwiać wiszące na ścianach obrazy. Kiedy dotarli na górny podest, skierowali się w stronę szklanych drzwi prowadzących do głównej jadalni. W środku w nozdrza uderzył ich wyraźny zapach.

– Do kurwy…! – wymknęło się O'Leary'emu. – Czy to, co czuję, to… baranina?

– Myślę, że tak – mruknął Stepanek. – I kiełbaski, o ile się nie mylę.

– Niech pan spojrzy na to – głos Duffa był niemal niesłyszalnym szeptem.

Światło latarki marynarza omiatało jeden z okrągłych stołów przy drzwiach.

Był elegancko nakryty dla dwunastu osób. Szklanki z rżniętego szkła miały z jednej strony wyrytego orła, a z drugiej skrót KdF, podobnie jak talerze. Serwetki, czerwone i niebieskie, leżały starannie złożone, a na środku stała olbrzymia patera wypełniona artystycznie poukładanymi jabłkami i pomarańczami. Światło latarek odbijało się srebrzystymi błyśnięciami od sztućców czekających obok każdego talerza na biesiadników, których nie było.

Obok szklanek stały małe porcelanowe talerzyki, na każdym leżała bułeczka. O'Leary podszedł do stołu i sięgnął po jedną z nich. Kiedy ją ścisnął, bułka delikatnie chrupnęła, a powietrze wypełnił smakowity zapach niedawno upieczonego chleba.

– Jest jeszcze świeża – szepnął zdumiony. – Została wyjęta z pieca niecałą godzinę temu.

Nie mógł oderwać wzroku od stołu. Talerze były nieskazitelnie czyste, a na środku stał olbrzymi półmisek z mięsem, które jakby czekało, aż ktoś zechce je zjeść. Jeden z kieliszków był do połowy napełniony czerwonym winem. O'Leary założyłby się o swoje galony, że na krawędzi widzi ślad szminki.

Obszedł salę, nieświadom, że wciąż ściska w dłoni bułkę. W olbrzymiej jadalni stało dwadzieścia, może trzydzieści innych stołów, nakrytych w taki sam sposób. Czekały przygotowane, aż zasiądą do nich nieistniejący pasażerowie. Na jednym O'Leary zobaczył talerze z resztkami jedzenia, a obok krzesła odsunięte w pośpiechu, jakby ktoś lubiący wcześnie wstawać przyszedł do jadalni przed innymi pasażerami i nagle musiał szybko wyjść.

– Powinniśmy byli zabrać ze sobą jakąś broń – wymamrotał Duff.

– Zamknij dziób – odparł wściekły Stepanek.

Panowała cisza i fantasmagoryczna atmosfera. Pieczone prosiaki umieszczone na tacach uśmiechały się sardonicznie, jakby znały sekret, którym mogły dzielić się tylko ze sobą. Bryła lodu topniała powoli w kubełku, w którym swobodnie pływały trzy butelki rieslinga, wciąż zimne.

O'Leary włożył rękę do naczynia i wyciągnął jedną z nich.

– Nie minęły nawet dwie godziny od momentu, kiedy ją tu włożono – powiedział, spoglądając na to, co zostało z lodu. Odłożył butelkę na miejsce i zmęczony potarł oczy. – Nic z tego nie rozumiem.

– Gdzie są wszyscy, panie bosmanie? – Duff zadał głośno pytanie, które wszyscy trzej od początku sobie stawiali.

– Nie mam pojęcia – szepnął O'Leary. – Tutaj najwyraźniej ich nie ma.

– Statek jest bardzo duży. Może wszyscy są w swoich kajutach – zauważył Duff.

– Albo ukryci w ładowni – dodał z nieodgadnionym wyrazem twarzy Stepanek, przesuwając dłonią po jeszcze ciepłej bułce.

– Po co, u diabła, mieliby się chować w ładowni? – O'Leary oświetlił estradę. Instrumenty zespołu stały równo ustawione, jakby czekały, że lada moment ktoś zagra na nich ragtime'a. – To zupełnie bez sensu.

Bosman intensywnie myślał. Minęło już ponad dwadzieścia minut, odkąd opuścili „Pass of Ballaster", i zdał sobie sprawę, że nikt na pokładzie węglowca nie wie, gdzie oni się w tej chwili znajdują. Kapitan popełnił błąd. „Valkirie" była zbyt duża, żeby przeszukały ją zaledwie trzy osoby, a mieli mało czasu.

Spojrzał na swoich ludzi. Wydawało się, że zaraz narobią w portki ze strachu, ale nie miał wyboru.

– Musimy się rozdzielić. Wiem, że wam się to nie uśmiecha i że to zły pomysł, ale nie ma innego wyjścia. – Odwrócił się do młodszego marynarza i spróbował nadać swojemu głosowi bardziej przekonujący ton. – Duff, wróć korytarzem i pójdź na dziób „Valkirie". Daj znak naszym, niech rzucą ci linę do odholowania wycieczkowca. Rusz tyłek, no dalej!

Chłopak wybiegł; na jego twarzy malowała się wyraźna ulga. Wszystko było lepsze, niż tkwić tam w środku. Nawet jeśli miałby powyrywać sobie ręce, ciągnąc ciężką linę holowniczą. Poza tym na dziobie będzie widoczny z „Pass of Ballaster".

– Stepanek, ty znajdź maszynownię. Kiedy zabezpieczymy statek, będziemy potrzebować

prądu.

– Fakt – burknął Chorwat. – Bez silnika to jakbyśmy holowali jakąś przeklętą górę lodową.

– Sprawdź, jak dotrzeć do maszynowni, i zapamiętaj drogę. Nie chcę, żeby nasz maszynista pozostał na pokładzie tego statku dłużej, niż to będzie konieczne. I obiecuję ci, że kiedy dopłyniemy do portu, postawię ci kufel najlepszego piwa, jakiego nigdy nie próbowałeś.

Stepanek zamrugał kilka razy oczami i głośno wypuścił powietrze. Stary wilk morski przyjął do wiadomości, że musi zagłębić się w ciemne wnętrzności opuszczonego statku, z zimną rezygnacją, której nauczyły go lata spędzone na morzu.

– A pan gdzie pójdzie?

– Wejdę na mostek. Trzeba sprawdzić, czy ster nie jest zablokowany, w przeciwnym razie cała nasza praca pójdzie na marne. Dalej, czas nagli.

O'Leary pożegnał marynarza klepnięciem w plecy. Kiedy Stepanek zmierzał w stronę czarnej dziury schodów, bosman zwrócił się do niego pod wpływem nagłego impulsu.

– Uważaj na siebie – mruknął, nie wiedząc dokładnie, dlaczego to mówi.

Nigdy się nie dowiedział, czy marynarz usłyszał jego słowa.

Wziąwszy głęboki oddech, O'Leary zawrócił i skierował kroki do sali ozdobionej orłami. Zanim w 1925 roku został bosmanem na „Pass of Ballaster", służył na różnych statkach, w tym przez rok na „Highland Chieftain", transatlantyku należącym do Nelson Line, który odbywał rejsy do Ameryki Południowej. Jeśli „Valkirie" miała taki sam rozkład jak inne luksusowe wycieczkowce, gdzieś na tym piętrze musiały być schodki prowadzące bezpośrednio na mostek.

Po pięciu długich minutach poszukiwań znalazł metalowe drzwi zamaskowane płytą z drewna dębowego, która pokrywała ścianę za parkietem do tańca. Nie zauważyłby ich i przeszedł obok, gdyby nie wytarty w tym miejscu dywan.

Drzwi wychodziły na służbowe schody, pozbawione dekoracji ozdabiających pomieszczenia dostępne dla pasażerów. Była to szybka droga łącząca mostek z salą balową i jadalnią. Kiedy kapitan „Valkirie" czuł się znudzony nadskakiwaniem spoconym damom, które gościł przy swoim stole podczas uroczystych kolacji, mógł tamtędy uciec pod pretekstem, że jest potrzebny na mostku. A w naprawdę pilnych przypadkach był to najszybszy sposób, żeby tam dotrzeć.

Stopnie wydawały metaliczne dźwięki, w miarę jak O'Leary pokonywał kolejne odcinki schodów. W końcu doszedł do podestu, na którym znajdowały się dwie pary drzwi. Na jednych wisiała tabliczka z napisem *Funkraum*. Znajomość podstaw niemieckiego pozwoliła mu się domyślić, że chodzi o kabinę radiooperatora.

Jakiś dowcipny oficer przykleił na drzwiach kartkę z wykonanym ołówkiem rysunkiem przedstawiającym technika naprawiającego radio. Trzymał rękę w środku aparatu, a wszystkie włosy na głowie stały mu dęba, jakby poraził go prąd.

Nie zastanawiając się, O'Leary chwycił klamkę drugich drzwi i wszedł na mostek

kapitański. W przeciwieństwie do schodów docierało tu słabe światło. Przez sekundę myślał, że może Stepankowi udało się jakimś cudem przywrócić dopływ prądu. Po chwili jednak zdał sobie sprawę, że światło pochodzi z dwóch reflektorów zamontowanych na „Pass of Ballaster”.

Podszedł do wielkiego okna przy sterze i spojrzał w stronę dziobu. Zobaczył w oddali małą sylwetkę Duffa. Stojący przy kluzie marynarz z całych sił ciągnął linę przywiązaną do znacznie grubszego holu. Zazwyczaj tę pracę wykonywało trzech, czterech mężczyzn, a ten nieborak mordował się sam, nie wyglądał jednak na szczególnie niezadowolonego. Kapitan McBride przez cały czas udzielał mu wskazówek z „Pass of Ballaster”, który ustawił się w odległości zaledwie kilku metrów od „Valkirie”.

O’Leary poczuł się nagle bardzo samotny, tu na górze, na mostku kapitańskim, niewidoczny dla innych. Ogarnął go irracjonalny strach, że jego statek odpłynie, a on zostanie na środku oceanu w tym dryfującym nawiedzonym domu.

Zamknął oczy i próbował odzyskać spokój. Ulegał panice. Rozejrzał się dookoła i stwierdził, że na mostku panuje nienaganny porządek, choć nie ma tu żywego ducha. Podszedł do stołu nawigacyjnego. Na mapie zaznaczono kurs statku. Wyglądało na to, że „Valkirie” wypłynęła z portu w Hamburgu zaledwie pięć dni wcześniej. Na mapie leżała kredka świecowa używana do nanoszenia trasy. O’Leary wziął ją w dwa palce i obejrzał w zamyśleniu. Była świeżo zatemperowana. Ktoś naostrzył ją *po* dokonaniu ostatniego zapisu, który, jak się wydawało, pochodził z…

Krzyk był tak głośny, że bosman poczuł, jak krew krzepnie mu w żyłach. Był to dziwny wrzask, wycie, którego natężenie rosło i malało, jakby wydawało je torturowane zwierzę. Krzyk na moment ustał i O’Leary pomyślał, że może wszystko sobie wyobraził, ale zaraz potem znowu wyraźnie go usłyszał. Nieludzki skowyt, w którym rozbrzmiewało mnóstwo odcieni bólu, jakby komuś wbijano w dłoń kawałki szkła. To był znajomy głos.

Stepanek.

O’Leary biegiem opuścił mostek. Snop światła jego latarki budził w kątach cienie o dziwacznych kształtach. Zanim minął drzwi, obok stanowiska dowodzenia dostrzegł dziennik okrętowy. Chwycił go w locie i zaczął zbiegać po metalowych stopniach. Przeskakiwał co drugi, wywołując pogłos w szybie klatki schodowej. Gdzieś w zakamarku jego umysłu kołatała myśl, że dziennik powinien był leżeć nie w tamtym miejscu, tylko w kajucie kapitana.

Krzyk Stepanka rozlegał się to głośniej, to ciszej, jakby chodziło o sygnał źle nastawionego radia, który w każdej chwili może zaniknąć. Kiedy O’Leary przystawał, by nabrać tchu, wytężał słuch i próbował ustalić, skąd dobiega wycie. Po ciemku przeciął salę bankietową, wykrzykując imię marynarza, ale tamten dalej skamlał niestrudzenie, jakby nie słyszał bosmana… albo nie był w stanie odpowiedzieć.

O’Leary dotarł do miejsca, gdzie zaczynały się schody do maszynowni, i zatrzymał się niezdecydowany. Ciemności wypełniające tę część statku miały dziwną konsystencję i gęstość, niczym kleisty żel spiralnie skręcony w powietrzu. Bosmanowi przez głowę przemknęła myśl, że powinien się cofnąć, wrócić na pokład „Pass of Ballaster” i poprosić

o pomoc. Jęk Stepanka, który zabrzmiał o dwie oktawy wyżej, sprawił, że O'Leary ruszył dalej. Trzymając w jednej dłoni dziennik okrętowy, jakby to była prowizoryczna tarcza, a w drugiej latarkę, pokonywał kolejne odcinki schodów. Na każdym podeście przełykał ślinę.

W końcu stracił rachubę przebytych stopni. Na którymś z pięter zobaczył potrójne rozwidlenie. W głębi jednego z korytarzy widać było drżące promienie żółtego światła latarki. O'Leary ruszył zdecydowanym krokiem w tamtą stronę, czując, że otaczające go powietrze robi się coraz gęstsze i cieplejsze. To miejsce było naelektryzowane. Stepanek leżał na ziemi zwinięty w kłębek, odwrócony plecami. Kiedy bosman stanął obok niego, poczuł w nozdrzach charakterystyczny kwaśny zapach moczu.

O'Leary położył dłoń na ramieniu marynarza, by odwrócić go w stronę światła latarki, i krzyknął z przerażenia. Stepankiem wstrząsały drgawki, nad którymi nie był w stanie zapanować, oszalałe oczy wychodziły mu z orbit, a z ust i nozdrzy ciekła krew. Przejęty lękiem O'Leary pomyślał, że marynarz najprawdopodobniej przegryzł sobie język.

– Stepanek! Stepanek, obudź się!

Potrząsnął Chorwatem, trzymając go za klapy, ale umysł Stepanka zdawał się znajdować tysiące kilometrów stąd, w jakimś szczególnie ponurym i strasznym miejscu. Nagle O'Leary uznał, że ma już dość. Nie zostanie ani minuty dłużej na tym przeklętym statku.

Wcisnął dziennik okrętowy za pasek spodni i przerzucił sobie marynarza przez ramię jak worek. Wolną ręką chwycił latarkę i ruszył z powrotem w stronę schodów. Miał nieodparte wrażenie, że ktoś (albo *coś*) za nim podąża, ale nie odważył się spojrzeć za siebie, by sprawdzić, co to takiego.

Nie patrz. Idź. Wyjdź stąd.

Nie patrz.

Powietrze było tak naelektryzowane, że kiedy wchodził po schodach, zjeżyły mu się włoski na rękach; serce waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Monotonne buczenie przypominające zamierający dźwięk wibrującego kamertonu zalewało cały statek. Czuł falowanie wędrujące od stóp i rozbrzmiewające w głowie. Otarł pot z czoła.

Znowu znalazł się w sali bankietowej. Drzwi w głębi prowadziły na parkiet taneczny i na schody z flagami. Był już prawie na zewnątrz.

Wtedy to usłyszał. Początkowo z powodu jęków Stepanka i własnej zadyszki nie mógł rozpoznać, co to takiego. Z prawej strony dochodziło coś w rodzaju zawodzenia. Skierował latarkę w tamtym kierunku, bojąc się tego, co mógłby odkryć.

Nie dostrzegł niczego poza tobołkiem leżącym na środku parkietu. Przełknął ślinę i poczuł strumyczek moczący jego bieliznę. Szmacianego tobołka nie było, kiedy przechodził tamtędy dziesięć minut wcześniej. Nie miał co do tego wątpliwości.

Odgłos się powtórzył i O'Leary stwierdził z przerażeniem, że zawiniątko drgnęło. Podchodził do niego jak zahipnotyzowany, a tymczasem wokół narastały różne odgłosy. Jedno z krzeseł się przewróciło, wstrząśnięte nagłą wibracją. Ze stołu w głębi spadło kilka talerzy i rozbiło się o podłogę. Buczenie rozbrzmiewało coraz głośniej.

Stanął obok zawiniątka i skierował na nie snop światła.

To było dziecko. Kilkumiesięczne niemowlę, które poruszało się niespokojnie i od czasu do czasu wydawało z siebie przytłumiony jęk, jakby było zbyt słabe lub wyczerpane, żeby zapłakać głośniej.

O'Leary nie tracił czasu na rozmyślania. Chociaż jakiś głosik w jego głowie krzyczał z przerażenia, domagając się, by zostawił niemowlaka na podłodze i opuścił statek, bosman schylił się i chwycił dziecko, jakby to była zwykła paczka. Uginając się pod ciężarem Stepanka i zawiniątka, przeciął salę najszybciej, jak potrafił, i dotarł do schodów z flagami. Nie rozglądał się na boki, skoncentrowany jedynie na tym, by zrobić następny krok. Czuł jak ostre krawędzie dziennika, który miał za pasem, wbijają mu się w pachwinę. Tak doszedł do drzwi.

Był już w ostatnim korytarzyku. Został jeszcze krótki odcinek. Nagle w zasięgu jego wzroku pojawił się jakiś ciemny kształt. O'Leary poczuł, że z gardła wydobywa mu się stłumiony jęk. Brakowało tak niewiele… Postać uniosła latarkę i oświetliła swoją twarz. To był Duff.

– Proszę pana! Co się dzieje? Ten przeklęty statek cały wibruje! A co się stało Stepankowi?

O'Leary poczuł tak wielką ulgę, że przez chwilę myślał, iż zemdleje.

– Pomóż mi. – Oddał bezwładne ciało Stepanka Duffowi. – Musimy stąd wyjść. NATYCHMIAST!

– Nie trzeba mi tego powtarzać dwa razy – odparł Duff w panice, podtrzymując swojego towarzysza.

Z widoczną ulgą O'Leary wyciągnął dziennik z kalesonów, włożył go pod pachę i chwycił dziecko w bardziej odpowiedni sposób. Idąc za światłem Duffa, wyszedł na zewnątrz i wtedy po raz trzeci tej nocy powstrzymał okrzyk zdumienia.

Mgła, która do tej pory spowijała „Valkirie", wyglądała, jakby znajdowała się przy wlocie olbrzymiego odkurzacza. Strzępy pary kręciły się i krążyły wokół statku wciągane przez jakieś tornado. „Pass of Ballaster" zatoczył łuk i podpłynął bliżej, połączony z wycieczkowcem przywiązaną przez Duffa liną. O'Leary widział postać kapitana, który zaniepokojony dawał mu znaki.

Bez chwili wahania wskoczyli do swojej łódki i zaczęli wiosłować w stronę węglowca, jakby zamierzali pobić rekord prędkości. Woda wyrzucana przez wiosła pryskała im w oczy, ale nawet na chwilę nie oderwali wzroku od transatlantyku, który pulsował kilkanaście metrów od nich.

Kiedy przywiązywali szalupę do „Pass of Ballaster" i wchodzili na pokład, O'Leary zastanawiał się, kim jest wierzgające dziecko, które niósł przy piersi.

A przede wszystkim, co takiego, do diabła, wydarzyło się na tym statku.

KATE

rozdział V

Londyn, dziś

6.30

Przenikliwe terkotanie budzika wcisnęło się do uszu Cataliny Soto. Dziewczyna podskoczyła w łóżku, próbując zrzucić resztki pęt snu, które ją jeszcze krępowały, i wyłączyła budzik brutalnym pacnięciem. Odwróciła się z powrotem, nie otwierając oczu, i przejechała lewą ręką po drugiej połowie łóżka. Od kilku tygodni pustej i zimnej.

Musiała zdobyć się na heroiczny wysiłek, żeby znów nie zmienić pozycji i nie zasnąć na nowo. Spanie pozwalało jej być daleko, pozwalało nie myśleć. Nie pamiętać o nim. Kiedy spała, nie bolało tak bardzo.

Przez pierwszy tydzień żyła w stanie permanentnej drzemki, najpierw pod wpływem szoku, później świadomie ogłupiała się garścią kolorowych tabletek, które ktoś włożył jej w dłoń, może w obawie, że jeśli tego nie zrobi, ona niechybnie się załamie. Pomyślała, że z upływem czasu będzie to wszystko lepiej znosić, ale drugi i trzeci tydzień nie przyniosły większej poprawy.

Roberta już nie było. Musiała to wreszcie zaakceptować. Nie umiała się z tym pogodzić. Odkąd dziesięć lat wcześniej odeszła z domu rodziców, zatrzaskując drzwi za całą swoją przeszłością, postać Roberta zawsze stała przy niej. Czasami blisko, czasami dalej, ale nigdy zbyt daleko. Najpierw był wakacyjnym flirtem, później mężczyzną, w którym się zakochała, a potem po prostu centralnym punktem jej życia, osią, wokół której wszystko się kręciło: Słońce, Księżyc, planety i ona sama. A któregoś dnia nagle go zabrakło. Zniknął. Puf! Żegnaj, Kate.

Pamiętała dokładnie dzień, w którym przestała być Cataliną Soto i została Cataliną Kilroy. Kate Kilroy. Robert nigdy nie rozumiał, dlaczego śmieje się jak mała dziewczynka za każdym razem, kiedy widzi swoje inicjały[1]. Pobrali się zaraz po wyjeździe z Barcelony, jakby w obawie, że jeśli tego nie zrobią, pryśnie cały czar. Był to chyba dobry pomysł, bo magia trwała pięć długich lat. Aż do ostatniego dnia.

Kate – już nikt nie nazywał jej Cataliną, poza matką – wyszła z łóżka odrętwiała i nastawiła ekspres do kawy, obijając się o krzesła w kuchni. Kiedy kawa bulgotała, wzięła długi zimny prysznic, który wypłukał jej z głowy resztki snu. Dwadzieścia minut później, gdy wychodziła ze swojego mieszkania przy ulicy Cheyne Walk, w samym sercu Chelsea, nikt by nie uwierzył, że ta nienagannie ubrana bizneswoman, która wsiada do taksówki, chwilę wcześniej była potarganą dziewczyną z zapuchniętymi oczami.

Biura „London New Herald” znajdowały się zaledwie piętnaście minut drogi od jej domu, jeśli nie było dużego ruchu. Kiedy dotarła na miejsce, przeciągnęła swoją kartę przez elektroniczny czytnik przy wejściu, po czym wsiadła do windy, żeby wjechać na

dwudzieste piąte piętro budynku. Widziała, że mężczyźni, z którymi jechała, zerkają na nią kątem oka. To było normalne. Zaledwie dwudziestosiedmioletnia Kate, wysoka, szczupła, z gęstą falą rudych włosów opadających jej lokami na plecy, należała do tych kobiet, które jeśliby zechciały, mogły wstrzymać ruch uliczny. Jedynie wyraz jej szarych oczu, przeraźliwie zmęczony i pusty, zdradzał smutek.

Kiedy dotarła na swoje piętro, gwar panujący w redakcji gazety spowił ją delikatnym, przyjemnym szumem. Stukanie klawiszy, dzwonki telefonów, szmer rozmów, wszystko to wydawało się boleśnie znajome, a jednocześnie inne. Kate po raz enty tego ranka zadała sobie pytanie, czy pójście do pracy było dobrym pomysłem.

Zatrzymała się zdenerwowana przy biurku w holu. Jedna z sekretarek podniosła głowę i na jej widok otworzyła szeroko oczy. Kiedy Kate na nią spojrzała, kobieta odwróciła wzrok, ale przysunęła się do swojej koleżanki i powiedziała jej coś na ucho. Kolejne ukradkowe spojrzenie, kolejne szepty.

Niektóre osoby przerwały pracę i przyglądały się Kate. Z wyrazów ich twarzy i ruchów ramion wywnioskowała, że wiele z nich rozmawia ze sobą. Rozmawia o niej, i oczywiście o Robercie.

Nie mogła tego dłużej znieść. Myślała, że będzie silna, ale nie. Popełniła błąd, przychodząc do pracy. Odwróciła się, żeby wyjść, ale wpadła na pięćdziesięcioletnią Murzynkę ubraną w elegancką garsonkę w perłowym kolorze, z teczką w ręku.

– Kate! Co ty tu robisz? – zapytała Rhonda Grimes, naczelna „London New Herald”. Jej legendarny głos, na którego dźwięk od lat drżały setki redaktorów i stażystów, w tym momencie wyrażał niepokój. – Co się dzieje, kochanie?

– Cześć, Rhondo – odpowiedziała Kate, próbując zapanować nad drżeniem. – Nic się nie dzieje. Po prostu… Myślałam, że będę mogła, ale… – Poczuła, że do oczu napływają jej łzy.

– Och, skarbie. – Rhonda położyła jej dłoń na ramieniu, pochyliła się i powiedziała szeptem: – Nie pozwól, żeby widzieli, jak płaczesz. Chodźmy do mojego gabinetu. Tam będzie nam lepiej.

Kate przytaknęła, dyskretnie powstrzymując łzę, która miała zamiar ukradkiem wymknąć jej się z oka. Sekretarka i dwóch zabieganych asystentów podbiegło do Rhondy, każde z nich przekonane, że wiadomości i telefony, które mają zapisane w swoich notesach, są niezwykle pilne. Rhonda Grimes, której nie brakowało charakteru i nie przez przypadek została szefową gazety, odprawiła ich szybkim ruchem ręki i asystenci rozpierzchli się jak wystraszone gołębie.

Przeszły przez całą redakcję aż do gabinetu Rhondy. Naczelna zamknęła drzwi i spojrzała na Kate, która opadła na kanapę z głową odwróconą w stronę okna i patrzyła zagubionym wzrokiem na fantastyczny widok roztaczający się przed nią z tej wysokości. U jej stóp leżała połowa Londynu, wibrującego, tętniącego życiem.

Jest taka młoda, pomyślała Rhonda, a te nieliczne lata, jakie przeżyła, ułożyły się tak tragicznie. Nie zasługuje na to.

– Myślałam, że dasz sobie jeszcze ze dwa tygodnie, zanim wrócisz – powiedziała, podsuwając Kate pudełko chusteczek. Ta odmówiła ruchem dłoni. Jeśli miała moment słabości, to już minął. Znów sprawiała wrażenie nienagannej bizneswoman, którą była, kiedy wychodziła do pracy.

– Nie wytrzymuję dłużej w domu, Rhondo.

– Rozumiem cię. Dużo wolnego czasu na myślenie.

– Za dużo – odpowiedziała Kate. – Nie znoszę bezczynności. Czuję się wtedy bezużyteczna. A za każdym razem, kiedy odwracam głowę, widzę coś, co mi o nim przypomina. To za wiele, nawet jak dla mnie.

– Myślałaś, żeby poszukać gdzieś pomocy? – napomknęła ostrożnie Rhonda.

– To nie pomocy potrzebuję, tylko czasu, żeby na nowo uporządkować swój świat – odparła Kate, z bólem przeżuwając słowa. – A nie chcę brać valium i innych podobnych leków, to nie popcorn. Wiesz, co dzieje się z ludźmi, którzy nadużywają tego gówna. Kończysz jako zombi, wzdęta jak balon i nie masz na nic ochoty. To nie w moim stylu.

– Wiem, moja droga.

Przez chwilę obie milczały.

– Jest nam wszystkim bardzo przykro z powodu tego, co stało się z Robertem – szepnęła Rhonda. – Wszyscy za nim tęsknimy.

Kate przełknęła ślinę i nie odpowiedziała. Jakiekolwiek słowa zabrzmiałyby teraz pusto.

– Wiesz już, co będziesz robić?

– Muszę lecieć do Stanów. Rodzice będą chcieli mieć jego prochy.

Kiedy wymówiła słowo „prochy”, jej twarz jeszcze bardziej sposępniała.

– Po co? – zapytała Rhonda.

– Bo tak wypada. Bo on by tego chciał. I dlatego, że nie wiem, co innego mogłabym zrobić. – Nagle w oczach Kate mignął psotny błysk, szybki jak iskra. – Poza tym nie sądzę, żeby tkwienie w puszce na kominku w salonie, między swoimi dwoma Pulitzerami, jak figurka pieprzonego kota szczęścia machającego łapą, stanowiło część planów Roberta na wieczność. Wiesz dobrze, jaki był zarozumiały.

Obie kobiety zaśmiały się cicho, na moment wyzwolone.

Wróciła dawna Kate, nonszalancka i wesoła, ale tylko na chwilę. Spokojnie, proszę państwa. Dalej jestem totalnie zdołowana. Myśl, która przemknęła jej przez głowę, była tak sugestywna, że dziewczyna prawie podskoczyła.

Rhonda spojrzała na nią zamyślona, jakby wpadła na jakiś pomysł.

– Kate, może będę miała coś, co cię zainteresuje. Coś, co cię zajmie i pozwoli ci z tego wyjść. Poza tym wyświadczyłabyś mi dużą przysługę.

Naczelna dziennika zaczęła grzebać w teczkach na stole, odsuwając stosy papierów, które czekały na przejrzenie.

– Dziękuję, Rhondo, ale nie mam nastroju na pisanie relacji z pokazu mody, a gdybym musiała przeprowadzić wywiad z jakąś głupią i zarozumiałą celebrytką, to pewnie bym ją zamordowała.

– Wcale nie o to mi chodzi – mruknęła Rhonda, odsuwając na bok olbrzymi segregator. – Gdzie, u licha, to położyłam? Przysięgłabym, że miałam kopię gdzieś… Aha, tu jesteś!

Korale Rhondy zagrzechotały, kiedy triumfalnym gestem podniosła fioletową teczkę. W spojrzeniu Kate zamigotała iskierka zainteresowania. Fioletowy był kolorem używanym w redakcji „London New Herald" dla tak zwanych wnikliwych reportaży, którym gazeta zawdzięczała swoją renomę. Szefostwo zlecało je najlepszym dziennikarzom. W korytarzach redakcji najznakomitsi toczyli zaciekłe boje, żeby zabrać któryś z tych tematów na swoje biurko. A Rhonda Grimes proponowała jeden z nich właśnie jej, z przebiegłym uśmiechem dealera sprzedającego narkotyki przed bramą szkoły.

– Mówisz poważnie? – zapytała Kate, jak zahipnotyzowana nie odrywając wzroku od teczki. Pierwszy raz od kilku tygodni Robert nie zajmował wszystkich jej myśli. – Do tej pory pisałam tylko o wydarzeniach towarzysko-kulturalnych…

– „Do tej pory" to właściwe określenie, moja droga – odparła Rhonda, otwierając teczkę. Z miejsca, w którym siedziała, Kate mogła zobaczyć jedynie zdjęcie czegoś, co przypominało olbrzymie rusztowanie. – Uważam, że jesteś gotowa na coś takiego. I nie tylko ja. Robert sądzi… sądził, że możesz robić coś więcej, niż przeprowadzać wywiady z Justinem Bieberem czy Madonną. Tak naprawdę ten reportaż miał być dla niego, ale chciał zrobić go razem z tobą.

Oczy Kate zaszły mgłą. Tę samą teczkę trzymał Robert, przeglądał kartki, które były w środku. Może przez ostatnie godziny swojego życia zastanawiał się, jak ugryźć historię, której ona jeszcze nie znała. Nagle przeczytanie zawartości tego dossier wydało jej się ważniejsze niż cokolwiek innego.

– O czym to jest?

– Mówi ci coś nazwisko Isaac Feldman?

– Nie wiem. Chyba nie. – Nagle dziennikarka, która w niej siedziała, poczuła się zawstydzona, że nie wie nic na temat tego mężczyzny. – A powinno?

– Nie, jeśli nie grasz w kasynach online – odparła naczelna.

Rhonda wyjęła z teczki zdjęcie i podała je Kate. Widniał na nim starszy, mniej więcej siedemdziesięcioletni mężczyzna o gęstych białych włosach, zadziwiająco dobrze zbudowany jak na swój wiek, z dwudniowym zarostem i zdziwionym wyrazem twarzy. Nie wyglądał na zachwyconego tym, że robią mu zdjęcie.

– Chcesz, żebym sprawdziła kasyna online? – Kate od razu poczuła się zniechęcona.

– Nic z tych rzeczy, moja droga. Na to jest już za późno. Feldman to Izraelczyk z brytyjskim paszportem albo Anglik z paszportem żydowskim, zależy od tego, kogo spytasz. Właściciel co najmniej pięciu największych na świecie agencji bukmacherskich online. Rzecz jasna zarobił na tym mnóstwo pieniędzy. Ale wygląda na to, że zapomniał zapłacić podatki za ostatnie trzy lata i ściga go urząd skarbowy. – Rhonda się uśmiechnęła.

– Jak widzisz, to nie jest śledztwo, do którego mogłabyś się przyłączyć.

– Co w takim razie mam zrobić?

– Widzisz, Feldman opróżnia swoje konta w Wielkiej Brytanii, przynajmniej tak się uważa. W ciągu ostatnich pięciu miesięcy zainwestował olbrzymie sumy w bardzo dziwny projekt, który niedługo zostanie ujawniony. Mówią, że ma na jego punkcie obsesję i nie przejmuje się, że może wszystko stracić, byle tylko udało się go zrealizować.

– I co to takiego? Zakłada Kościół? Buduje kopię Las Vegas w Dover? Poluje na UFO?

– Sprawa jest dużo bardziej tajemnicza. Robert sądził, że to będzie sensacja roku. Sama zobacz.

Rhonda odwróciła teczkę i podała ją otwartą na jednej ze stron. Widniało na niej kolorowe zdjęcie statku w bardzo złym stanie, ustawionego na stoczniowej pochylni i obudowanego rusztowaniami. Dziesiątki robotników uwijały się niczym mrówki wokół kadłuba, zrywając warstwy rdzy i zastępując dziurawe płyty nowymi. Fragment dziobu wystawał na zewnątrz i wytężając wzrok, z wypłowiałych, pokrytych wieloletnim brudem liter można było odcyfrować nazwę statku.

Nazywał się „Valkirie”.

rozdział VI

Godzinę później Kate jechała taksówką w stronę dworca Victoria, ściskając w dłoniach fioletową teczkę. Początkowo zdziwiło ją, że dokumentacja, którą zawiera, jest tak skąpa, choć z drugiej strony brak materiałów oznaczał wyzwanie dla jej nienasyconego umysłu.

Zgodziła się bez zastanowienia. Reportaż zajmie ją wystarczająco, żeby nie myśleć o niczym innym co najmniej przez kilka tygodni, a ten czas pomoże jej podjąć decyzję, co ma zrobić ze swoim rozbitym życiem. Na razie musiała stworzyć newsa praktycznie z niczego, miała tylko początek nitki, a musiała rozplątać to, co – jak przeczuwała – będzie pasjonującą historią.

Wyciągnęła zdjęcie Isaaca Feldmana i przyjrzała mu się po raz trzeci, odkąd wyszła z redakcji. Twarde rysy, wyraz twarzy wyrażający determinację. Było coś magnetycznego w tym mężczyźnie, ale nie potrafiła odszyfrować zagadki, jaką w sobie krył. Przerzuciła notatki dołączone do zdjęcia.

Isaac Feldman, syn Abrahama i Lisy Feldmanów, urodził się i wychowywał pod Liverpoolem, w hrabstwie Merseyside. Jego ojciec był kuśnierzem, Żydem pochodzącym z Krakowa, matka zajmowała się domem. Młody Feldman dorastał w niespokojnej dzielnicy i zanim skończył szesnaście lat, dwukrotnie trafił do aresztu. Po odbyciu krótkiej, dwutygodniowej kary otworzył ze wspólnikiem mały interes polegający na regenerowaniu akumulatorów, a dwa lata później biuro przyjmujące zakłady, które z czasem przekształciło się w obejmującą pół świata sieć agencji bukmacherskich i kasyn online. Nie miał jeszcze pięćdziesięciu lat, kiedy został milionerem. W bardzo niejasny sposób uzyskał drugie obywatelstwo – Izraela. Poza tym podejrzewano, że przenosi pieniądze z krajów Europy Wschodniej do rajów podatkowych na Karaibach. To były wszystkie dostępne informacje.

Jaki interes mógł mieć powiązany z hazardem mafioso, którego finansowe imperium znalazło się na celowniku prawa, by poświęcić niemal całą energię na zwodowanie w rekordowym czasie ponadsiedemdziesięcioletniego statku? To nie miało żadnego sensu. Choć Kate łamała sobie nad tym głowę, nie potrafiła znaleźć przyczyny. Fragmenty układanki po prostu do siebie nie pasowały.

Dziewczyna westchnęła, zniechęcona. Było tego nie za wiele jak na początek. Przeprowadzenie wywiadu z Feldmanem w ogóle nie wchodziło w rachubę. Podobno nienawidził wszystkich, którzy choćby przypominali dziennikarza. Jedyną rzeczą, od której mogła zacząć, był sam statek.

Przed śmiercią Robert wytropił „Valkirie” w porcie marynarki wojennej w Denborough, niedaleko Liverpoolu. Kate musiała powstrzymywać łzy, kiedy patrzyła na ściśnięte gryzmoły swojego męża. Jego zapiski, robione zawsze w pośpiechu,

z nieodłączną małą gwiazdką narysowaną w lewym dolnym rogu każdej strony („Moja szczęśliwa gwiazda”, mówił zawsze Robert), znaczyły całe dossier. Kate niemal widziała oczami wyobraźni jego dłoń ślizgającą się po kartce i słyszała grający w tle jakiś nieznany zespół jazzowy. Robert, zawsze Robert.

Kate jechała do Denborough. Jeszcze z redakcji gazety umówiła się na wywiad z oficerem odpowiedzialnym za public relations bazy wojskowej, do której trafiła „Valkirie”. Potrzebowała informacji o tym statku. Spojrzała na zegarek. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, za kilka godzin będzie w Liverpoolu.

Wykorzystała podróż pociągiem, żeby trochę się zdrzemnąć. Jednak zapadła w sen tak głęboki, że obudziła się dopiero w momencie, kiedy dotarła na miejsce. Po wyjściu odkryła, że niebo jest ciemnoszare i że leje – strugi deszczu siekły wściekle popychane przez wiatr.

Kolejna taksówka zawiozła ją pod bramę bazy. Kiedy czekała, aż wartownik sprawdzi jej tożsamość, rzuciła okiem za szybę. Nad nią, oświetlony dwiema lampami magnezowymi, które barwiły wszystko na żółto, wisiał olbrzymi szyld informujący, że jest to skład wojskowy numer 19 należący do Royal Navy.

Kate zdziwiło, że to miejsce przypomina bardziej magazyn niż czynną bazę wojskową. Wartownik przy bramie miał znudzony wyraz twarzy, a otaczające teren ogrodzenie nie powstrzymałoby kogoś rzeczywiście zdeterminowanego, by wejść do środka. Gdy wreszcie taksówka wjechała do bazy, dziewczyna zrozumiała, dlaczego prawie nie ma tam ochrony.

Miejsce przypominało ogromne cmentarzysko sprzętu wojskowego.

Zaparkowane jedne przy drugich w długich rzędach ciężarówki z lat sześćdziesiątych rdzewiały powoli na deszczu na sflaczałych oponach. Kontenery jak te przewożone na statkach transportowych piętrzyły się ułożone w nieregularne piramidy, niczym klocki, które dziecko olbrzym postanowiło rozrzucić po całej bazie. Bóg jeden wiedział, co mogło znajdować się w środku. Wszędzie widać było skrzynie, od lat nieużywane pojazdy i ogromne szpule kabli pochłaniane powoli przez bluszcz, który wspinał się po ich bokach. Baza sprawiała wrażenie całkowicie opuszczonej.

Kiedy taksówka toczyła się powoli drogą wysypaną tłuczniem w stronę budynków stojących przy wjeździe do doku, Kate dostrzegła w mroku zarys kilkunastu okrętów wojskowych zacumowanych przy pomoście. Gdy przejeżdżali obok jednego z nich, zauważyła bruzdy rdzy wychodzące z iluminatora. Było raczej mało prawdopodobne, żeby którykolwiek z tych statków podniósł kotwicę w najbliższej przyszłości.

Taksówka zatrzymała się przy drzwiach głównego budynku. Na schodach czekał umundurowany mężczyzna z dużym parasolem.

– Witamy w składzie marynarki w Denborough! – Głos wojskowego był wystarczająco donośny, żeby przebić się przez nawałnicę. – Komandor Collins. To chyba z panią rozmawiałem dziś rano przez telefon.

– Kate Kilroy. – Kate podała oficerowi rękę, którą ten chwycił z zaskakującą delikatnością jak na mężczyznę jego postury.

– Nie ma pani irlandzkiego akcentu… – zauważył, uważnie ją obserwując.

– Kilroy to jest… to było nazwisko męża. Moje panieńskie nazwisko brzmi Soto. Jestem Hiszpanką, z Barcelony.

– Aha – mruknął Collins, jakby na razie wystarczyło mu takie wyjaśnienie. – Zapraszam, wejdźmy do środka. Mamy okropny wieczór.

Wnętrze biura zaskakująco kontrastowało z panującym na zewnątrz chaosem. Wszystko było uporządkowane i czyste, jakby w każdej chwili miała tu przyjechać sama królowa, żeby dokonać przeglądu wojska. W rogu bulgotał elektryczny ekspres do kawy, wypełniając pomieszczenie przyjemnym aromatem. Wyposażenie składało się z czterech biurek i kilku szaf na dokumenty. Ekrany komputerów świeciły delikatnym niebieskawym blaskiem, który zlewał się z białym światłem wiszących lamp. Jednym słowem, bardzo przytulne miejsce.

– Proszę, niech pani usiądzie. – Collins szarmancko odsunął Kate krzesło. – Nie przyjmujemy na Złomowisku zbyt wielu gości, musi więc pani wybaczyć brak wygód.

– Złomowisku? – Kate uniosła brew.

– Tak nazywamy między sobą bazę – odparł Collins. – Pewnie domyśla się już pani dlaczego.

– Faktycznie, to bardzo… malownicze miejsce. – Kate ostrożnie dobierała słowa, zdejmując płaszcz.

– To odrażające miejsce – wyznał Collins z promiennym uśmiechem. – Ściek Royal Navy, gdzie trafia cały złom, którego nikt nie chce, ze mną włącznie. Zawsze porównuję je do szuflady, gdzie trzymamy rzeczy, których już nie używamy… ale nie mamy odwagi ich wyrzucić, bo a nuż nam się jeszcze kiedyś przydadzą.

Kate uśmiechnęła się, ujęta szczerością marynarza i tryskającą z niego radością życia.

– Wiem, o co chodzi. Ja też mam u siebie taką szufladę.

– Och, ale to jest największa szuflada w całej Anglii! – Wskazał ręką za okno. – Teraz przy tym pomoście stoi osiem niszczycieli z okresu wojny o Falklandy, niemal tuzin okrętów patrolowych z lat siedemdziesiątych, trzy trałowce i, o ile się nie mylę, powinniśmy mieć jeszcze jakieś dwadzieścia okrętów innego rodzaju porozrzucanych po całej bazie. Nie licząc ton walającego się wszędzie przestarzałego sprzętu.

– Jest pan właścicielem niewielkiej armii, komandorze – powiedziała Kate ze śmiechem.

– Mam wystarczającą ilość sprzętu, żeby wypowiedzieć wojnę jakiemuś małemu państwu. – Collins komicznie wzruszył ramionami. – Oczywiście pod warunkiem, że coś z tego zadziała. Napije się pani kawy?

Kate uświadomiła sobie, że od południa nic nie jadła i że jest głodna. Obok ekspresu stało pudełko z pączkami, na których widok zaburczało jej w brzuchu. Speszona poczuła, jak krew napływa jej do policzków.

– Lubię, kiedy ludzie są tak bezpośredni – parsknął śmiechem Collins, przysuwając

pączki i dzbanek z kawą. – Ale do rzeczy. Przyjechała pani, żebym opowiedział jej o Starej Suce, prawda?

– Starej Suce? – powtórzyła Kate z połówką pączka w ustach.

– Wielka V, Stara Suka, Niszczarka, Dziwka Hitlera… Różnie ją nazywano przez wszystkie te lata.

Wyciągnął z szuflady biurka pożółkłe akta i otworzył je na pierwszej stronie. Widniało na niej stare czarno-białe zdjęcie „Valkirie". Na pierwszym planie fotografowi pozowało dwóch umundurowanych mężczyzn w odmiennych nastrojach. Starszy, który nosił kapitańskie galony, wydawał się zadowolony, podczas gdy młodszy, stojący obok niego, miał na twarzy wypisane zmęczenie i niepokój.

– Oficjalna nazwa statku to „Valkirie". Został zbudowany w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku w hamburskiej stoczni Blohm und Voss dla organizacji o nazwie KdF. – Podniósł głowę i spojrzał na Kate. – Wie pani, co to takiego?

Kate pokręciła głową, wypijając łyk kawy.

– W raporcie jest napisane, że ruszył w swój pierwszy rejs dwudziestego trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, z załogą stu pięćdziesięciu marynarzy i personelu na pokładzie oraz z dwustu siedemnastoma pasażerami. Pięć dni później węglowiec „Pass of Ballaster" natknął się na niego osiemset mil od Nowej Fundlandii, kiedy dryfował bez prądu i z wyłączonymi silnikami.

– Dryfował? – zapytała Kate. – Jakiś wypadek?

– To jest właśnie najdziwniejsze – odpowiedział Collins. – Nie wiadomo. Podobno nie znaleźli nikogo na pokładzie.

– Nikogo? – zdumiała się Kate. – To niemożliwe. Załoga i pasażerowie to prawie czterysta osób. Tylu ludzi nie rozpływa się w powietrzu bez śladu!

– Zgadzam się – Collins zmarszczył czoło – ale prawda jest taka, że zanim „Pass of Ballaster" odholował statek do Bristolu, przez dwanaście godzin przeszukiwano okolice miejsca, gdzie odkryto „Valkirie", i nie znaleziono nikogo w morzu. A na statku nie brakowało ani jednego koła ratunkowego. Tajemnicza sprawa.

– W takim razie, jeśli dobrze zrozumiałam… – Kate odstawiła filiżankę z kawą i złączyła opuszki palców – transportowiec natyka się na pusty transatlantyk dryfujący na pełnym morzu, bez śladu załogi ani pasażerów, odholowuje go do portu i nikt nie wszczyna śledztwa? Jak to możliwe, że sprawa nie trafiła na pierwsze strony wszystkich gazet? Taka historia musiała być powszechnie znana!

– Kilka dni później Niemcy napadły na Polskę i wybuchła druga wojna światowa – odparł komandor, odchylając się na krześle. – Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom i gazety miały nagle dużo ważniejsze tematy na pierwsze strony. Ludzi interesowało, czy ich synowie zostaną wysłani na śmierć na pola bitwy do Flandrii. Nie było miejsca na dziwną historię o dryfującym statku. Na dodatek niemieckim.

– Rozumiem. – Kiedy komandor mówił, Kate robiła notatki. – Zakładam, że w takim razie nie było żadnych poszukiwań ani śledztwa…

– Żartuje pani? – Collins uśmiechnął się ze smutkiem. – Po dwunastu miesiącach okręty podwodne Hitlera niemal wykończyły Anglię. W ciągu piętnastu tygodni zatonęły setki transportowców, które dowoziły surowce na Wyspy. Tysiące alianckich marynarzy zginęły na morzu. Nikomu nawet nie przyszło do głowy wszczęcie dochodzenia w sprawie, która przestała być ważna, jeszcze zanim się zaczęła.

– A co działo się w tym czasie ze statkiem? – zapytała Kate.

– „Valkirie” została internowana – to wojskowy termin oznaczający przejęcie cywilnych statków wrogiego kraju. – Collins szybko przerzucał strony raportu. – Istniał jednak problem prawny, bo znaleziono ją cztery dni przed wypowiedzeniem wojny, przez co formalnie nie mogła uchodzić za statek internowany, ale zgodnie z prawem nie mogła też zostać uznana za statek ocalony, bo pływała pod wrogą banderą. Biurokratyczny galimatias.

– Przypuszczam, że było to nie na rękę armatorowi statku, który odholował ją do portu… – Kate zajrzała do notatek – „Pass of Ballaster”. Pewnie nie dostał nagrody.

– Ach, oczywiście, że nie. – Collins podniósł plik, który stanowił niemal połowę akt dotyczących „Valkirie”, i pokazał go Kate. – Przez prawie cztery lata procesował się z Royal Navy o rekompensatę, ale na próżno. Dopóki trwała wojna, były inne priorytety. Ponieważ brakowało statków, admiralicja postanowiła wykorzystać „Valkirie” do transportu wojska i… tutaj zaczynają się dziać dziwne rzeczy.

Kate pochyliła się do przodu. Była zafascynowana niesamowitą historią, którą opowiadał jej komandor. Błyskawice z zewnątrz rozświetlały od czasu do czasu pokój niczym gigantyczne wybuchy.

– Co się stało?

– Po pierwsze, nikt nie zdołał uruchomić silników statku. Przyjechali technicy z Londynu, rozmontowali na części maszyny i z powrotem je złożyli, lecz niczego nie osiągnęli. Silniki po prostu nie działały. Próbowali zastąpić je angielskimi, ale uniemożliwił to układ krzywek, które Niemcy wstawili w Hamburgu. Tak więc, koniec końców, statek nie ruszył się z portu w Liverpoolu i zamieniono go w pływającą baterię przeciwlotniczą.

– Pływającą baterię?

– Tak, żeby bronić portu przed bombardowaniami niemieckiej Luftwaffe. Umieszczono na pokładach osiem dział przeciwlotniczych wraz z załogą i zacumowano „Valkirie” w pobliżu portowej rafinerii. Dzięki temu znajdowała się możliwie blisko składów, które miała chronić, a w razie gdyby niemieckie lotnictwo trafiło je i wysadziło w powietrze, można by przeciąć cumy i statek oddaliłby się z odpływem.

– I co było dalej?

– A to, że zaczęła się rodzić czarna legenda „Valkirie”. – Collins trzymał stary raport, spisany na papierze tak kruchym, że wyglądał, jakby miał mu się rozpaść w dłoniach. – W sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku niemiecka bomba spadła na jedną z baterii i zabiła na miejscu wszystkich, którzy ją obsługiwali. Jednak, choć wydaje się to nieprawdopodobne, statek został ledwie uszkodzony. W następnym miesiącu przez

przypadek wybuchł zbiornik z prochem czwartej baterii i zginęło szesnastu żołnierzy, którzy ładowali pociski. Na „Valkirie” pękły tylko dwie grodzie. Przyczyny eksplozji nigdy nie zostały wyjaśnione.

– To chyba pechowy statek – stwierdziła Kate, nie przestając notować. – Zakładam, że nikt nie chciał dostać na niego przydziału.

– Nie słyszała pani jeszcze najlepszej części. – Collins spojrzał na Kate, nagle poważny. – Noc dwudziestego pierwszego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego roku była najgorsza w czasie niemieckiego *Blitz* na Liverpool. Zginęły setki osób tylko w trakcie tego jednego nalotu. W raportach jest napisane, że o drugiej czterdzieści cztery w nocy, podczas najcięższego bombardowania, baterie zainstalowane na „Valkirie” wstrzymały ogień. Na początku myślano, że statek został trafiony i zatonął, ale z rafinerii potwierdzono, że nadal unosi się w ciemności na wodzie i że po prostu przestano z niego strzelać. Proszę zgadnąć…

Kate poczuła, że nagle robi jej się sucho w ustach. To było zbyt zakręcone, żeby mogło być prawdą.

– Nie chce pan chyba powiedzieć, że… – Nie dokończyła zdania.

– To właśnie chcę powiedzieć. Po wejściu na pokład „Valkirie” okazało się, że zniknęła cała załoga obsługująca osiem dział. Jakby nigdy nie istniała.

rozdział VII

– Ludzie nie znikają ot tak, po prostu – szepnęła Kate. – Przypuszczam, że później ich odnaleziono.

– Otóż nie, przynajmniej nie ma o tym mowy w raporcie – odparł Collins.

– Sugeruje pan, że statek ich pochłonął, tak jak wcześniej pochłonął pasażerów? – W głosie Kate brzmiało powątpiewanie.

– Nic z tych rzeczy – powiedział Collins. – Zna pani zasadę brzytwy Ockhama?

– Znam – przytaknęła Kate. – Jeśli dobrze pamiętam, chodzi o to, że kiedy dla wyjaśnienia tego samego faktu istnieją dwie możliwe teorie…

– Jest większe prawdopodobieństwo, że prostsza teoria będzie tą właściwą – dokończył zdanie Collins.

– W takim razie jaka jest pańska teoria? – zapytała Kate.

– Po pierwsze, artylerzyści obsługujący te działa należeli do Home Guard, czyli nie byli nawet zawodowymi wojskowymi. – Collins położył teczkę na stole i wyliczał na palcach: – Sklepikarze, adwokaci i mleczarze ubrani w mundury, przy kilku działkach pod ostrzałem Luftwaffe. Proszę się postawić na ich miejscu. Jest noc, wszędzie panuje ciemność, są w samym środku strasznego bombardowania, na pokładzie statku, który ma złą sławę, zacumowanego w pobliżu milionów galonów łatwopalnego paliwa. Moja teoria jest taka, że po prostu narobili w portki i zwiali ze strachu, że spłoną żywcem.

– Uważa pan, że zdezerterowali?

– To bardzo prawdopodobne. – Collins wzruszył ramionami. – W tamtych dniach wszędzie panował chaos i praktycznie nie było kontroli, zwłaszcza nad ochotnikami z Home Guard. Pewnie wrócili do swoich domów, a następnego dnia ponownie przyłączyli się do walk albo jakiś czas później zostali wcieleni do armii. Nigdy się tego nie dowiemy. W każdym razie zgodzi się pani ze mną, że to bardziej sensowne niż twierdzenie, że pochłonął ich statek.

Kate przytaknęła zamyślona. Ta wersja nie była pozbawiona logiki.

– A co się wydarzyło po tym wszystkim?

– Niewiele. – Collins przerzucił papiery, jakby szukał odpowiedzi w dossier. – Po zakończeniu wojny armator „Pass of Ballaster” już nie istniał, podobnie jak niemiecki rząd narodowosocjalistyczny, który był pierwotnym właścicielem „Valkirie”. Po statek nikt się nie zgłosił. Do czasu wyjaśnienia sprawy i podjęcia decyzji, co z nim zrobić, postanowiono odholować go do składu morskiego w Denborough i zostawić w suchym doku. Ze względu na charakter i pochodzenie „Valkirie” uznano, że lepiej nie ujawniać jego lokalizacji ani istnienia na wypadek, gdyby komunistyczne Niemcy zażądały zwrotu. Proszę

zrozumieć, to były czasy zimnej wojny. I tak „Valkirie” spędziła tutaj kolejnych sześćdziesiąt osiem lat.

– Nikt nie wiedział o niej przez prawie siedemdziesiąt lat? – Kate podniosła głowę znad notatnika, a na jej twarzy malowało się niedowierzanie. – Jak to możliwe?

– To był cywilny statek na terenie bazy wojskowej w kraju, który dopiero co otrząsnął się z wojny. Poza tym w latach pięćdziesiątych uruchomiono loty pasażerskie między Ameryką a Europą i transatlantyki takie jak „Valkirie” przestały być rentowne. Wszystkie te lata spędzone pod gołym niebem zniszczyły go od zewnątrz, a naprawa była zbyt kosztowna. W latach sześćdziesiątych zastanawiano się, czy nie użyć go jako pływającego celu, ale w końcu z nieznanych mi powodów zarzucono ten pomysł. Prościej było zostawić go tam, gdzie stał, i zająć się innymi sprawami.

– I przez sześćdziesiąt lat nikt nie wszedł na pokład? Jakim cudem?

– Szczelnie zamknięto prawie wszystkie otwory, żeby do środka nie dostali się złodzieje i nie ukradli okablowania czy innych cennych materiałów. Poza tym w ten sposób zabezpieczono wnętrze przed wilgocią, która mogłaby zniszczyć wyposażenie, jakie jeszcze pozostało. Początkowo raz w miesiącu robiono obchód, ale szybko tego zaprzestano.

– Jak to? – zapytała Kate. – Kolejne zniknięcia?

– Nie, nic niezwykłego. – Collins zaśmiał się głośno. – Po prostu strażnicy dostawali mdłości i wymiotowali zaraz po wejściu na pokład. Niektórzy nawet się pochorowali. Komisja techniczna uznała, że prawdopodobnie z powodu stężenia toksycznych gazów wydobywających się z zęzy, dlatego postanowiono ostatecznie zamknąć dostęp do statku.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do środka wszedł otyły mężczyzna ubrany w wojskowy sztormiak. Mrucząc coś pod nosem, otrząsnął się z wody i ściągnął kurtkę przez głowę.

– Przeklęta pogoda! Zasrany klimat, cholerny deszcz – mamrotał pod gęstym posiwiałym wąsem, nie zauważywszy Kate. – Za dwa lata przejdę na emeryturę i następnego dnia wyjadę dokądkolwiek, gdzieś, gdzie przez kilka tygodni nie ujrzę ani jednej pieprzonej chmury, przysięgam ci. Mam tego wszystkiego… Och, przepraszam!

– Pani Kilroy, przedstawiam pani starszego bosmana Lamberta. – Collins wstał, a tymczasem brzuchaty wojskowy czerwieniał na twarzy aż po cebulki przerzedzonych włosów. – Zazwyczaj zachowuje się bardziej obyczajnie w obecności pań, ale wygląda na to, że ma zły dzień.

– Proszę mi wybaczyć, nie wiedziałem, że mamy gościa – wymamrotał zawstydzony sierżant. – Tutaj na Złomo… w składowisku nie przyjmujemy zbyt wielu wizyt, przynajmniej tak było do niedawna.

– Proszę się mną nie przejmować. – Kate obdarzyła go olśniewającym uśmiechem i wojskowy trochę się odprężył. – Myślę, że to normalne, kiedy ktoś spędza tyle czasu w takim miejscu. Dużo was jest w tej bazie?

– Pięciu strażników, dwóch pomocników bosmana Lamberta i my – odparł Collins. –

Wystarczy, żeby zarządzać tym zapomnianym przez Boga miejscem.

Podczas gdy bosman nalewał sobie kawy do filiżanki, Collins wyjaśnił:

– Pani Kilroy jest dziennikarką z Londynu. Właśnie opowiadałem jej historię Wielkiej V.

– Starej Suki – stwierdził Lambert. – Ucieszyłem się, kiedy sześć miesięcy temu wyciągnęli ją z suchego doku i zabrali. Przez piętnaście lat marzyłem o tym, żeby zeszła nam z oczu.

– Kto ją zabrał? – zapytała Kate, czując, że zbliża się do istoty sprawy. – Dlaczego? Jak?

– Zabrali ją jej nowi właściciele. Widzi pani, w przyszłym roku Royal Navy pozbędzie się połowy floty okrętów podwodnych klasy Trafalgar – odparł komandor Collins. – To bestie zbudowane w latach osiemdziesiątych, naszpikowane azbestem i taką masą innych toksycznych materiałów, że zniszczenie ich będzie prawdziwym koszmarem. Ktoś w admiralicji uświadomił sobie, że przydałby się jakiś cichy i spokojny kąt, żeby odwalić tę brudną robotę, i pomyśleli o naszej bazie.

– I wtedy pierwszy raz od sześćdziesięciu lat kazali nam zrobić tu trochę miejsca – dorzucił bosman Lambert. – W Londynie postanowiono, że suchy dok zajmowany przez „Valkirie” i trzy inne stare statki musi być dostępny, dlatego wystawiono je na licytację jako złom.

– Czyli po sześćdziesięciu latach niebytu „Valkirie” nagle znowu się pojawiła. – Kate zaczęła rozumieć, dlaczego Robert uważał, że ze statkiem wiąże się jakaś niezwykła historia.

– Właśnie. – Collins wyjął z akt najnowszy dokument i podał go Kate. Błyszcząca biel papieru kontrastowała z pożółkłym odcieniem pozostałych kartek. Było oczywiste, że nie leżał w tej teczce zbyt długo. – Sześć miesięcy temu ogłoszono przetarg na stronie internetowej ministerstwa, w prasie i za pośrednictwem zwykłych kanałów. Myślę, że ogłoszenie ukazało się nawet w pani gazecie.

– Widzę, że było trzech licytantów. – Wzrok Kate zatrzymał się na pierwszym nazwisku. – Garrison & Sons…

– To firma zajmująca się złomowaniem statków, istniejąca od ponad trzydziestu lat – wyjaśnił Collins. – Zazwyczaj są jedynymi licytującymi, kiedy wystawiamy jakiś stary statek, bo mają blisko i tanio wychodzi im transport, ale tym razem nie wygrali. Inni uczestnicy zaproponowali za „Valkirie” absurdalnie wysokie sumy.

– Właśnie widzę. – Kate przeczytała pozostałe dwa nazwiska. – Feldman Inc. to oczywiście firma Feldmana, ale kim jest ten trzeci? – wskazała ostatniego licytującego. – Czym jest Wolf und Klee?

– To chyba jakaś niemiecka spółka. Byli zdecydowani zdobyć „Valkirie” za każdą cenę. Przed licytacją przysłali grupę techników, która dokonała oględzin statku i zrobiła mnóstwo zdjęć. Sami Niemcy, wyglądali na zachwyconych.

– Owszem – wtrącił sierżant. – Biegali wokół Starej Suki jak opętani, jakby to był jakiś

cud, a nie kupa pechowego złomu z lat trzydziestych.

– Ale w końcu dostał ją Feldman – dokończyła Kate. – Jak mu się to udało?

– Po prostu wyłożył więcej pieniędzy na licytacji. – Oczy Collinsa zabłysły figlarnie. – Widocznie pragnął zdobyć ten statek bez względu na cenę, bo zapłacił za niego astronomiczną sumę. Niemcy odpuścili dopiero, kiedy zaproponował za „Valkirie" sto pięćdziesiąt milionów funtów.

– Sto pięćdziesiąt milionów? – Kate otworzyła szeroko oczy. – To ogromna suma za statek w tak złym stanie!

– To ogromna suma nawet za nowy statek – powiedział Collins. – A jednak mister Feldman zapłacił bez szemrania. Musi mieć masę forsy.

– Nie da się ukryć – mruknęła Kate. Nic dziwnego, że Feldman jest na skraju bankructwa, skoro w taki sposób wydaje pieniądze, pomyślała.

– Przyjechali po statek pięć miesięcy temu. – Collins zamknął akta i odsunął pustą filiżankę po kawie. – Sam Feldman i licząca około pięćdziesięciu osób ekipa z bardzo drogimi holenderskimi dźwigami pływającymi. Głowę bym dał, że wszyscy byli dawnymi wojskowymi albo specjalistami od spraw morskich. Wyglądali na wyjątkowo skutecznych twardzieli.

– Udało im się wyciągnąć „Valkirie" z doku zaledwie w trzydzieści sześć godzin – dodał sierżant. – Zważywszy, że nie ruszano jej z pochylni przez siedemdziesiąt lat, to prawdziwy wyczyn.

– A wiecie panowie, dokąd ją zabrano? – zapytała Kate z nadzieją w głosie.

– Nie, nie mam zielonego pojęcia – odparł Collins. – Od kiedy zniknęła z tego doku, przestała być moim problemem. I przysięgam pani, że do końca życia nie chcę już widzieć tego statku.

– Ja też nie – potwierdził Lambert. – Swoją drogą, ludzie Feldmana byli dość brutalni. Tak bardzo spieszyli się z zabraniem „Valkirie" z doku, że praktycznie wyrzucili stamtąd mnie i moich chłopaków. W naszej własnej bazie!

– Skąd taki pośpiech?

– Wyglądali na zdenerwowanych, jakby bali się, że w każdej chwili ktoś może im ją sprzątnąć. To bardzo dziwne. – Lambert strzepnął z klapy munduru nieistniejącą nitkę. – Kto miałby ochotę walczyć o stary statek owiany złą sławą?

– Może pozostali licytujący? – zapytała Kate. – Ludzie z Wolf und Klee?

– Możliwe. – Collins wzruszył ramionami. – Ale to już bez znaczenia. Nikt tu nie będzie tęsknił za „Valkirie".

– Z wyjątkiem starego Carrolla – dodał Lambert zamyślony.

– Kim jest Carroll?

– To lekko pomylony staruszek, który często zakradał się do bazy – odparł Collins, spoglądając z lekkim wyrzutem na bosmana. – W ciągu ostatnich dwudziestu lat stanowił największe zagrożenie dla bezpieczeństwa składu, co, nawiasem mówiąc, nie świadczy

najlepiej o naszym systemie ochrony.

– On jest stuknięty! – zaprotestował Lambert, unosząc ręce. – Wślizguje się na teren jak mysz i zawsze wchodzi… a raczej wchodził na „Valkirie”. Spędzał całe godziny na mostku kapitańskim, łaził w kółko i mruczał pod nosem dziwne rzeczy.

– Wiedzą panowie, gdzie mogłabym go znaleźć? – zapytała Kate wiedziona nagłym instynktem.

– Mieszka niedaleko, dziesięć minut drogi stąd – odparł Collins z błyskiem zainteresowania w oku. – Skąd pani wiedziała, że zamierzałem pani doradzić rozmowę z tym człowiekiem?

– Nie wiedziałam. – Kate wzruszyła ramionami i wstała. – Myślę, że może udzielić ciekawej wypowiedzi do artykułu, który piszę, to wszystko.

Obaj mężczyźni przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– W porządku – powiedziała Kate z uśmiechem. – Dlaczego chciał mi pan doradzić rozmowę z tym człowiekiem?

– Bo historia starego Carrolla może panią zaciekawić – odparł tajemniczo Collins. – Twierdzi, że to on znalazł „Valkirie” na Atlantyku.

rozdział VIII

Pół godziny później Kate wysiadła z taksówki u wylotu ulicy, przy której stały małe domki, w robotniczej dzielnicy Denborough. Była ciemna noc i lał deszcz. Nie wiadomo który raz zadała sobie pytanie, czy to dobry pomysł. Czuła się zmęczona, miała ochotę pojechać w końcu do hotelu, a jednak stała tam, przed domem staruszka, któremu najprawdopodobniej brakowało piątej klepki.

Wyjątkowo zimny podmuch wiatru przejął ją dreszczem. Jej pociąg powrotny odchodził wcześnie rano, jeśli nie wykorzysta tej okazji, być może już nigdy nie porozmawia z Carrollem. Na pewno chodzi o dotkniętego sklerozą starca, któremu „Valkirie" myliła się z jakimś statkiem handlowym, gdzie pięćdziesiąt lat wcześniej służył jako majtek. Musiała jednak spróbować. Coś w żołądku (Robert nazywał to trzepotaniem skrzydeł nietoperza) mówiło jej, że może być na dobrym tropie.

– Proszę tu na mnie zaczekać – powiedziała taksówkarzowi, facetowi o oliwkowej cerze i gęstej brodzie, który rzucał nerwowe spojrzenia na ulicę.

– To bardzo zła dzielnica, proszę pani. Bardzo zła! – odparł mężczyzna z naciskiem. – Narkotyki, dziwki, źli ludzie! Pani nie powinna tu przyjeżdżać. Ja też nie!

– Tylko dziesięć minut, może mniej – powiedziała Kate, udając pewność siebie, i podała kierowcy przez okno dwa banknoty pięćdziesięciofuntowe.

Taksówkarz wziął je, już trochę spokojniejszy, choć nadal mruczał coś pod nosem. Kate nie mogła nie zauważyć, że pod deską rozdzielczą, w zasięgu ręki trzyma pałkę. Wyglądał na autentycznie zdenerwowanego tym, że musi tu na nią czekać.

Podeszła do drzwi domu, w którym, jak jej powiedziano, mieszka Carroll. Widać było, że to miejsce ma już za sobą czasy świetności. Farba na fasadzie odchodziła, zniknęła część okapu, boczną ścianę pokrywało graffiti, a szyby w jednym z okien na parterze zastąpiono płytą ze sklejki. Schodki wejściowe były pełne niedopałków i pustych puszek po piwie.

Z wahaniem nacisnęła dzwonek. Nic się nie wydarzyło. Po chwili znowu spróbowała. W końcu nieśmiało zastukała do drzwi, nie robiąc sobie wielkich nadziei. Rozczarowana, odwróciła się w stronę taksówki. W tym momencie usłyszała, że za jej plecami ktoś otwiera zasuwy. Przez uchylone drzwi wyjrzał przygarbiony mężczyzna o nieufnej, pomarszczonej twarzy, który przyglądał się jej badawczo oczami krótkowidza.

– Tu pracować nie możesz! – powiedział gderliwie. – Pokazuj cycki na innym rogu, nie pod moimi drzwiami! Wynoś się albo zawiadomię policję!

Przez moment Kate stała jak słup soli, aż w końcu dotarło do niej, że mężczyzna bierze ją za jedną z ulicznych prostytutek.

– To nie jest tak, jak pan myśli – powiedziała, przeszukując torbę, z której wyjęła

legitymację prasową. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że przerażony staruszek zamyka drzwi.

– Pistolet! – ryknął. – Ona ma pistolet!

– To tylko legitymacja! – powiedziała szybko Kate, próbując pokazać mu dokument przez coraz węższą szczelinę. – Jestem dziennikarką! Chciałam z panem porozmawiać!

– Dziennikarka? – wycedził rozjuszony starzec. – Nie chcę z wami rozmawiać! Od lat donoszę na tych ćpunów z ulicy Compton, dziesiątki razy dzwoniłem do dziennikarzy. I co? Nigdy się tym nie zainteresowali. Nigdy!

– Nie przyszłam, żeby rozmawiać o ulicy Compton. – Kate wypowiedziała te słowa niemal szeptem. Zdawała sobie sprawę, że starzec maniakalnie wylewa swoje żale. – Chciałam z panem porozmawiać o „Valkirie".

Staruszek przeszedł błyskawicznie taką przemianę, że zdumiona Kate wstrzymała oddech. Przestał na nią patrzeć obłąkanym wzrokiem i nawet się wyprostował, przez co zyskał kilka centymetrów. Przez moment dziennikarka widziała marynarza, którym był lata temu.

– Proszę chwilę zaczekać. – Carroll zamknął drzwi i Kate usłyszała odgłosy zdejmowanych łańcuchów. Po chwili drzwi znów się otworzyły. – Niech pani wejdzie. O tej porze ta ulica nie jest miejscem godnym polecenia.

Kate przekroczyła próg i znalazła się w sieni skromnego, ale niezwykle czystego domu. Drewniana podłoga była zniszczona, a tapety na ścianach wyblakłe, ale wszędzie panował pedantyczny porządek i unosił się przyjemny zapach. Kontrast z zewnętrznym wyglądem domu tak rzucał się w oczy, że dziewczyna nie zdołała ukryć zdziwienia.

– Kiedyś ta dzielnica była dobrym miejscem do mieszkania – wymamrotał starzec, który zauważył wyraz jej twarzy. – Jednak dwadzieścia lat temu, po reformach wprowadzonych przez Thatcher, okolica zaczęła się zamieniać w to, czym jest dzisiaj. Ale to mój dom, a dziewięćdziesiąt trzy lata to nie jest odpowiedni wiek, żeby zaczynać od nowa gdzie indziej. Mogę panią czymś poczęstować?

Kate grzecznie zaprzeczyła ruchem głowy, ale starzec już na nią nie patrzył. Poszedł do kuchni, skąd dobiegł ją odgłos stawianego na kuchence czajnika. Czekała, rozglądając się po saloniku. Na ekranie stojącego w rogu małego, prawie do końca ściszonego telewizora jakaś prezenterka o obfitych kształtach, w zbyt obcisłej sukience, witała publiczność i zachęcała do zrobienia czegoś głupiego. Na stole leżały złożona na pół gazeta otwarta na stronie z krzyżówką, do połowy rozwiązaną, a obok starannie zaostrzony ołówek.

Obrzuciła wzrokiem ściany. Były dosłownie zawieszone fotografiami, niemal wyłącznie czarno-białymi. Na niektórych występowała młodsza wersja staruszka z jakąś kobietą i dwójką małych dzieci, ale większość przedstawiała Carrolla na różnych statkach. Kate obchodziła powoli pokój i oglądała zdjęcia. Powieszono je w porządku chronologicznym – była to fascynująca podróż w czasie. Na pierwszych fotografiach widziała dojrzałego Carrolla, w mundurze kapitana, a w miarę jak się przesuwała, ze zdjęć w kolorze sepii spoglądała na nią z powagą lub zaczepnie coraz młodsza wersja marynarza.

Wreszcie zatrzymała się przy ostatniej fotografii. Była tak stara, że nabrała żółtawego odcienia, miała pognieciony i oddarty brzeg, jakby przechowywano ją w wielu różnych miejscach, zanim została powieszona w tej ramce.

Zdjęcie przedstawiało grupę marynarzy na pokładzie zdezelowanego statku. W środku stał kapitan o imponującym wyglądzie i białej brodzie, który poważnie patrzył na fotografa. Otaczała go grupa podoficerów, a po bokach stali marynarze. Kate nie od razu rozpoznała wśród nich Carrolla. Na zdjęciu był zaledwie dwudziestoletnim chłopakiem o twarzy łobuziaka, który zamiast patrzeć w aparat, interesował się siedzącymi na burcie mewami, zastygłymi na fotografii na wieczność razem z grupą mężczyzn. Na dole zdjęcia ktoś napisał chwiejnymi literami *„Pass of Ballaster”, 1938*.

– To był mój pierwszy statek. – Kate podskoczyła wystraszona na dźwięk głosu Carrolla, który rozległ się za jej plecami. Staruszek wrócił z kuchni z kubkiem herbaty cicho niczym lis. – „Pass of Ballaster”. W tamtych czasach byłem młodszym majtkiem i wszyscy wołali na mnie Duff. Głupi przydomek, ale ja sam byłem wtedy dość głupim szczeniakiem, przypuszczam więc, że do mnie pasował.

– Ten jest chyba wzięty z poradnika, jak powinien wyglądać wzorowy kapitan – powiedziała Kate, wskazując na mężczyznę w mundurze na środku zdjęcia.

Starzec pokiwał głową.

– Kapitan McBride był dobrym człowiekiem i dużo się od niego nauczyłem. Zginął w czterdziestym pierwszym, może w czterdziestym drugim, kiedy Niemcy storpedowali jego statek w pobliżu Nowej Fundlandii. Prawda jest taka, że niemal wszyscy z tego zdjęcia polegli podczas wojny. – Wypił łyk herbaty; drżały mu ręce. – „Valkirie” nie chciała ocalałych i jestem pewien, że to ona załatwiła każdego z nich. Zostałem tylko ja.

– Byłam dziś w bazie marynarki, gdzie powiedziano mi, że pana i „Valkirie” łączy wspólna historia…

– Oczywiście – przerwał jej Carroll z goryczą. – To ja znalazłem na pełnym morzu ten cholerny statek. Dużo bym dał, żeby to się nigdy nie wydarzyło.

– Dlaczego pan tak mówi?

– Bo ten statek jest przeklęty – odparł chłodno Carroll, patrząc dziennikarce w oczy. – Pożera ludziom dusze, a potem je wypluwa, zamienione w coś mrocznego. I robi to coraz bardziej zdecydowanie.

W pokoju zapadła krępująca cisza. Słychać było jedynie szum spływającej rynnami wody.

Ruchem dłoni Carroll wskazał Kate, żeby usiadła, i dziewczyna posłuchała go, niemal zahipnotyzowana. Chociaż wszystko, co mówił ten starzec, było kompletnie szalone, jego głos brzmiał stanowczo i pewnie. Kate poczuła przebiegający po plecach dreszcz. Carroll był przekonany, że mówi prawdę.

– To, co pani opowiem, wydarzyło się pod koniec sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego, tuż przed wybuchem wojny… – zaczął recytować monotonnym głosem, który wydawał się dobiegać z bardzo daleka, jakby mężczyzna w jakiś sposób

wrócił do tamtego dnia.

Kate robiła gorączkowo notatki, przeklinając samą siebie, że nie była na tyle przewidująca, żeby zabrać ze sobą dyktafon, podczas gdy Carroll – który w tej opowieści był jeszcze majtkiem Duffem – opowiadał o znalezieniu „Valkirie" i wejściu na jej pokład.

– …wtedy bosman O'Leary niemal zderzył się ze mną w drzwiach, kiedy pędem wybiegał ze środka. Niósł biednego Stepanka przewieszonego przez ramię jak worek kartofli. Stepanek wyglądał, jakby postarzał się o tysiąc lat, był nieobecny duchem. O'Leary trzymał jeszcze w ręku to dziecko…

– Dziecko? – Kate gwałtownie podniosła głowę, przestając notować. – Co za dziecko?

– Ma się rozumieć to, które znaleźliśmy na parkiecie do tańca. – Duff (pan Carroll, poprawiła się w myślach Kate) spoglądał na nią uważnym wzrokiem. Nagle jego głos stał się o dwa tony niższy. – Nie wiedziała pani nic o dziecku?

Kate zaprzeczyła ruchem głowy. Przejrzała akta, które zostawił Robert, ale nie było tam wzmianki o żadnym dziecku. Wszystkie dokumenty mówiły o porzuconym statku, ale nic poza tym. To było coś nowego.

– Jest pan pewien? – zapytała ostrożnie. – Nie myli się panu z czymś innym?

– Niech pani posłucha… – Carroll podniósł rękę i zaczął wyliczać: – Zostałem dwukrotnie storpedowany, zderzyłem się z rafą, przeżyłem kilka tajfunów, a nawet parę razy na mój statek napadli malajscy piraci… Ale gwarantuję pani, że tylko raz w życiu spotkałem dryfujący transatlantyk z niemowlęciem na pokładzie. Tak, jestem pewien.

– I co się stało z tym dzieckiem? – zapytała Kate.

– Nie mam pojęcia. – Carroll wzruszył ramionami. – Przypuszczam, że oddano je do sierocińca albo do jakiejś innej instytucji. W dniu, kiedy przypłynęliśmy do portu, wybuchła wojna, i w ciągu kilku tygodni Europa zapełniła się tysiącami sierot. To było dziecko porzucone na niemieckim statku, proszę pomyśleć, co za kłopotliwa sytuacja…

– Wyobrażam sobie – powiedziała Kate cichym głosem. – A dwaj pozostali mężczyźni, którzy weszli z panem na „Valkirie", O'Leary i Stepanek? Co się z nimi stało?

– O'Leary był dobrym człowiekiem, zbyt dobrym – głos staruszka brzmiał słabo. Mówił za długo i wyglądał na zmęczonego. – Powołali go do Royal Navy, ale przeklęta „Valkirie" pomieszała mu zmysły. Mówił, że coś słyszy i że widzi… – Wstrząsnął nim dreszcz i nie dokończył zdania. – Nie wiem, co działo się w jego głowie, ale jakaś jego część została na statku, a jakaś część „Valkirie" odeszła razem z nim. Zastrzelił się na Gibraltarze sześć tygodni po tym, jak przybiliśmy do portu z wycieczkowcem na holu. Mówią, że jego kajuta była cała pokryta napisami.

– Mój Boże – szepnęła Kate. – To straszne.

– Stepanek spędził kolejnych siedem lat w szpitalu dla umysłowo chorych w Croydon, zamieniony w bezwolne warzywo. – Carroll w pośpiechu wyrzucał z siebie informacje coraz słabszym głosem. Jego oddech był teraz bardziej urywany niż na początku opowieści. Kate poczuła ciarki, kiedy zdała sobie sprawę, że starzec jest na skraju załamania i że cały drży.

– Jeśli pan chce, zostawimy ten temat – powiedziała i usłużnie podtrzymała kubek z herbatą, która prawie się wylewała. – Możemy wrócić do niego innego dnia.

Carroll pokręcił głową. W jego oczach błyszczała dzika determinacja.

– Ktoś musi to wszystko wiedzieć – wydyszał. – Proszę mnie posłuchać, to jeszcze nie koniec. W szpitalu psychiatrycznym było ciało Stepanka, ale nie jego umysł. Jadł, pił i spał, ale nie robił nic więcej, poza ślinieniem się i gapieniem w pustkę. Kilka razy pojechałem go odwiedzić i nawet mnie nie rozpoznał. Któregoś dnia zadzwonili do mnie i powiedzieli, że wyskoczył przez okno.

– Wyskoczył? Mówił pan przecież, że był jak roślina. Jak to możliwe? – Kate zadrżała, domyślając się odpowiedzi.

– To było piętnastego maja, tego samego dnia, kiedy przewieziono „Valkirie" z portu w Liverpoolu do suchego doku, gdzie stała przez ostatnie sześćdziesiąt osiem lat. – Spojrzenie Carrolla wyrażało niemal desperację. Kostki jego palców zbielały, kiedy kurczowo ściskał krawędź stołu. – Czy pani tego nie rozumie?

– Nie rozumiem czego? – zapytała Kate słabym głosem.

– Przenosiny zmyliły to *coś*. Stepanek skorzystał z okazji, że „Valkirie" nie poświęca mu uwagi, i uciekł. Jakimś sposobem zdołał opuścić statek na wystarczająco długo, żeby jego ciało mogło wyskoczyć przez okno psychiatryka.

Carroll położył na ramieniu Kate kościstą dłoń. Ciepło, które wydzielał ten mężczyzna, nie było normalne. On płonął.

– To szaleństwo, panie Carroll – powiedziała Kate, ale wyczuła w swoim głosie cień wątpliwości. – „Valkirie" nikogo nie więziła.

– Och, myli się pani, pani Kilroy, myli się pani! – Carroll zgiął się wpół wskutek ataku kaszlu.

Wystraszona dziennikarka zobaczyła w kąciku jego ust trochę krwi. Starzec otarł wargi i mówił dalej, choć dyszał jak miech kowalski. – Proszę się przybliżyć… – poprosił i Kate jak zahipnotyzowana pochyliła się do przodu.

Oddech Carrolla był gorący i suchy, kiedy przysunął usta do jej ucha. – Nadal są uwięzieni w środku. Dziesiątki osób – szepnął. – Mnie to ominęło, nie byłem tam wystarczająco długo, żeby ten przeklęty statek mnie dorwał, ale coś mi zrobił, bo mogę ich widzieć.

Dziewczyna jęknęła i spróbowała uwolnić się od dłoni Carrolla. Ten starzec był kompletnie pomylony.

– Ależ tak, mogę ich widzieć i z nimi rozmawiać. – Jego oczy płonęły od gorączki; jeszcze mocniej ścisnął ramię Kate. – Są tam w środku. Dziesiątki osób. To miejsce jest gorsze niż piekło. Niech pani nie zbliża się do tego statku!

Dziennikarka odsunęła się gwałtownie i starzec puścił jej ramię. Wtedy runął na oparcie fotela, nie przestając dyszeć, na granicy zapaści. Dziewczyna skorzystała z okazji i wstała. Cofnęła się dwa kroki w stronę drzwi.

Czuła, że drżą jej nogi, kiedy w pośpiechu zbierała swoje notatki i bąkała coś niezręcznie na pożegnanie. Chciała jak najszybciej stąd wyjść. Kiedy już miała chwycić za klamkę, usłyszała za plecami słaby głos staruszka.

– Dziecko – sapnął. – Ważne było dziecko… Ważne było żydowskie dziecko.

Kate zatrzymała się jak sparaliżowana, przez moment pewna, że źle usłyszała. Zawróciła i zrobiła kilka kroków w stronę salonu.

– Dziecko było żydowskie?… Żydowskie? Dlaczego pan tak twierdzi?

– Chłopiec… Był obrz… obrzezany i… – słowom starca towarzyszył świszczący oddech, szorstki niczym zrogowaciały naskórek. – Miał gwiazdę… Dawida… zawieszoną na szyi. I był owinięty w to coś żydowskie, czym… czym… przykrywa się…

– Tałes – szepnęła Kate. Żydowskie dziecko na pokładzie nazistowskiego statku. To nie miało żadnego sensu. Chyba że podróżowało na gapę.

Staruszek wykonał słaby ruch dłonią. Powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia, i wyczerpany zamknął oczy. Kate podeszła i włożyła mu poduszkę pod głowę, żeby mógł łatwiej oddychać. Carroll z wdzięcznością podniósł twarz i ścisnął dziewczynę za rękę.

– Niech pani uważa – powiedział niemal niesłyszalnym głosem. – Jest coś na tym statku… Jakaś… coś… Niech pani uważa. Proszę!

Kate przytaknęła, żeby go uspokoić, i po cichu wyszła z salonu. Zaczęła kojarzyć fakty. Informacja o żydowskim chłopcu nadawała nowy sens udziałowi Isaaca Feldmana w całej tej sprawie. Feldman był Żydem, miał nawet izraelskie obywatelstwo. A jeśli Isaac Feldman był w jakiś sposób związany z tym dzieckiem? On sam mógłby nim być! Dlaczego nie? Wiek się zgadzał. Ale w takim razie…

Pogrążona w myślach zeszła ze schodów. Nie zauważyła, że światła samochodu, który nadjeżdżał z prawej strony, coraz bardziej się rozjaśniają. Z wyciem silnika pędził w jej kierunku.

– Uwaga! – Krzyk taksówkarza wyrwał ją z zamyślenia dokładnie sekundę przed tym, kiedy byłoby już za późno.

Kate podniosła głowę i zobaczyła przód samochodu, terenówki z przyciemnionymi szybami, nacierający na drzwi domku Carrolla. Instynktownie odskoczyła w prawo, na stertę kartonów, które jakiś bezdomny zostawił, żeby spędzić w nich noc.

Boczne lusterko samochodu uderzyło ją w lewe ramię, zanim rozbiło się o fasadę domu, powodując deszcz kawałków aluminium i szkła. Terenówka rąbnęła bokiem w drzwi, wyrwała skrzynkę na listy i zmiotła puszki i wiadra ustawione przy ścianie domu. Odgłos metalu szorującego o cement zjeżył Kate włosy na głowie, kiedy jak szalona uciekała na czworakach w obawie przed zmiażdżeniem przez tylne koła pojazdu.

Kierowca terenówki zatrzymał się na chwilę, jakby rozważał, czy nie zawrócić. Czerwone światła hamowania oświetliły twarz Kate, która z potarganymi włosami i podrapanymi kolanami dyszała na ziemi, uwięziona między samochodem a ścianą. Jeśli wrzuci wsteczny bieg, rozgniecie ją na miazgę. W tym momencie pojawił się taksówkarz, który krzyczał i biegł w ich stronę z pałką w ręce. W drugiej trzymał telefon.

To wystarczyło, żeby tajemniczy kierowca podjął decyzję – gwałtownie wyrwał ciężki samochód do przodu i uciekł na pełnym gazie. Zanim taksówkarz znalazł się przy Kate, terenówka zdążyła już zniknąć za rogiem.

– Nic się pani nie stało? – zawołał zdenerwowany. – Mówiłem pani, że to zła dzielnica! Zła dzielnica!

Kate wstała. Jej ciałem wstrząsały dreszcze, ale głowa pracowała na pełnych obrotach.

Ktoś próbował ją zabić. I nie wiedziała dlaczego.

rozdział IX

Pół godziny później Kate była już w hotelu. Stała pod strumieniem gorącej wody z prysznica, spowita parą. Olbrzymi siniak na lewym ramieniu, który powoli nabierał nieprzyjemnego granatowego koloru, przypominał, że zaledwie chwilę wcześniej ktoś próbował się jej pozbyć.

Kto mógł chcieć ją zabić? Wycierając się grubym bawełnianym ręcznikiem i wkładając piżamę, odrzucała kolejne możliwości.

Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to to, że powód musiał mieć związek z „Valkirie". A tylko jedna osoba była zainteresowana tą sprawą: Isaac Feldman.

W tych okolicznościach każdy by się wycofał. Taka myśl przyszła Kate do głowy, kiedy myła zęby i szykowała się do spania. Ale wizja powrotu do redakcji z podkulonym ogonem i niedokończonym reportażem sprawiła, że kategorycznie odrzuciła ten pomysł.

Poza tym to była historia Roberta. Na samą myśl o nim poczuła na sercu kilkusetkilogramowy ciężar. Robert nigdy nie wymiękał, kiedy znalazł jakiś dobry temat. Ona nie będzie gorsza. Nie tylko przez wzgląd na niego, ale dla siebie samej. Jeśli naprawdę chce być kimś w tym zawodzie, nie może dać się zastraszyć.

A jednak ktoś tej nocy próbował ją zabić.

Nagle zdała sobie sprawę, jak niewiele brakowało, by zginęła potrącona przez samochód.

Potrącona przez samochód.

Jak on.

To uderzyło w nią mocniej, niż mogła to zrobić terenówka. Nogi zaczęły jej drżeć, musiała usiąść na brzegu łóżka, żeby spróbować powstrzymać falę histerii, która podchodziła jej do gardła. W końcu puściły psychiczne blokady i wybuchnęła niepohamowanym, nieutulonym płaczem. We łzach było napięcie, jakiego doświadczyła tego wieczoru, i głuchy ból, od tygodni gnieżdżący się w jej sercu, na którego uwolnienie nie mogła sobie pozwolić.

Łzy spływały strumieniem po twarzy Kate, a w głowie mieszały się obrazy – światła pędzącego na nią samochodu i lampy jarzeniowe kostnicy, dokąd w szoku zabrano ją zaledwie miesiąc wcześniej, żeby rozpoznała zmiażdżone zwłoki swojego męża.

Ona mogła skończyć tak samo tej nocy. Zimna, martwa. Bez życia, w urnie obok urny z prochami Roberta.

Cały strach w jej wnętrzu stopniowo zamieniał się w zimny i nieubłagany gniew. Nie ustąpi. Jeśli ktoś chciał ją przestraszyć, nie uda mu się. Jeśli Feldman z jakiegoś dziwnego powodu zamierzał odsunąć ją od „Valkirie", nie pozwoli mu na to. Chwilę później czuła

się już dużo lepiej.

Tej nocy spała zadziwiająco dobrze. Kiedy wstała, ubrała się w niebieską sukienkę z dzianiny z długimi rękawami zasłaniającymi siniak na ramieniu i zaczekała cierpliwie w recepcji na taksówkę, która miała zawieźć ją do kolejnego celu.

Dzięki materiałom, które zostawił Robert, wiedziała, że Feldman mieszka w rezydencji czterdzieści minut drogi od hotelu. Wprawdzie król hazardu nigdy nie udzielał wywiadów, ale Kate zamierzała zrobić wszystko, żeby z nim porozmawiać, choć nie umówiła się wcześniej na spotkanie ani nie obmyśliła żadnego planu. Najgorsze, co mogło jej się przytrafić, to powrót do redakcji z pustymi rękami. Poza tym, nawet jeśli nie zdoła porozmawiać z Feldmanem, może ktoś z jego otoczenia naprowadzi ją na jakiś trop dotyczący obecnego miejsca postoju „Valkirie".

Odkąd statek opuścił skład marynarki, nie było żadnej informacji o jego losach. Jakby zapadł się pod ziemię.

Kate była pewna, że nie stoi w żadnej stoczni złomowej. Nikt nie płacił takiej fortuny, żeby przerobić statek na stalowe płyty i kuchenne druciaki. Zdjęcie całej armii robotników naprawiających jeszcze w składzie największe uszkodzenia na wycieczkowcu spowodowane upływem czasu wskazywało, że Feldman chce, by statek znowu wyruszył w rejs, choć nie wiadomo po co.

Ale było także oczywiste, że najpilniejsze naprawy, które tam wykonano, nie wystarczą, żeby „Valkirie" mogła pływać. Transatlantyk musiał więc stać w jakimś porcie albo w stoczni i czekać, aż Feldman postanowi wypuścić go w morze. Kate miała zamiar sprawdzić, gdzie dokładnie znajduje się „Valkirie".

Kiedy taksówka podjechała pod hotel, wsiadła do niej, czując adrenalinę w żyłach. Choćby musiała udusić Feldmana własnymi rękami, będzie miała całą historię jeszcze tego popołudnia.

Jej plany jednak bardzo szybko zaczęły ulegać zmianie.

Posesja Feldmana, Usher Manor, znajdowała się na otwartej przestrzeni, ale na długo przed dotarciem do rezydencji taksówka natknęła się na żelazną bramę zagradzającą drogę i ogromny mur z czerwonej cegły, ciągnący się w nieskończoność w obie strony.

– Nie możemy jechać dalej – mruknął Hussein, ten sam taksówkarz, który poprzedniego dnia zawiózł ją do domu Duffa Carrolla. Kate zapałała do niego sympatią, odkąd ocalił jej życie, ratując przed rozjechaniem. – Albo otworzą nam bramę, albo będziemy musieli zawrócić. Chce pani, żebym zadzwonił?

Kate pokręciła głową. Wiedziała, że dzwonienie do głównej bramy na nic się nie zda. Musiała znaleźć inne rozwiązanie.

– To jest główny wjazd do Usher Manor – szepnęła, spoglądając w zamyśleniu na kratę. – Ale założę się, o co zechcesz, że tak duża posiadłość musi mieć więcej niż jedno wejście. Na pewno jest gdzieś jeszcze jakaś droga dojazdowa. Poszukajmy jej!

Hussein jęknął, zadając sobie pytanie, czemu, u licha, Allah postawił na jego drodze tę nieszczęsną wariatkę. Przesądnie dotknął ręki Fatimy wiszącej na wstecznym lusterku

i z błagalnym wyrazem twarzy spojrzał na piękną dziewczynę, którą wiózł na tylnym siedzeniu swojej taksówki.

– No dalej, Hussein. – Kate poklepała go życzliwie po plecach, prezentując swój najbardziej uwodzicielski uśmiech. – To nie będzie takie trudne. Zobaczysz, że będziemy się dobrze bawić.

W odpowiedzi Pakistańczyk burknął coś w swoim języku, potrząsając głową.

Przez dziesięć minut jechali wąską lokalną szosą, wzdłuż której ciągnął się płot, aż dotarli do rozjazdu. W kierunku posiadłości prowadziła gruntowa błotnista droga.

Kate przez dłuższą chwilę musiała zawzięcie przekonywać Husseina, że nie utkną. Pięć minut i sto funtów później podskakiwali na wybojach, a amortyzatory stękały złowieszczo co kilka metrów.

W połowie wzniesienia taksówka odmówiła posłuszeństwa. Samochód, stworzony raczej do jazdy po asfalcie niż na przełaj, ślizgał się na błotnistej drodze biegnącej zboczem wzgórza. Hussein dodawał gazu, ale auto tylko zarzucało tyłem, a spod kół pryskały w stronę nieba grudy błota w kolorze ochry.

– Przestań. – Kate pokręciła głową. – Pójdę pieszo. Dom nie może być daleko.

– Pieszo? – Oczy Pakistańczyka zrobiły się jak talerze. – Nie wiem, czy te buty są najlepsze…

Kate spojrzała na swoje stopy i zaklęła. Taksówkarz miał rację. Włożyła buty na dziesięciocentymetrowych obcasach. Jej wzrok padł na obuwie Husseina. Mężczyzna był niski, jego stopy wydawały się dość małe. Na twarzy dziewczyny pojawił się przebiegły uśmiech.

– Nie – wymamrotał taksówkarz zduszonym głosem. – Nie ma mowy!

Chwilę później Kate szła ostrożnie ścieżką w za dużych adidasach niepasujących do reszty jej stroju, a wściekły Hussein czekał bosy w taksówce, bogatszy o pięćdziesiąt funtów, ale za to bardzo zagniewany.

Po dotarciu na szczyt wzgórza Kate sapnęła, nie z powodu wysiłku, lecz z wrażenia. Usher Manor okazała się imponującą, lekko przerobioną wiktoriańską rezydencją, która przypominała Kate posiadłość z filmu *Powrót do Howards End*.

Część ogrodowa i fontanny, które miały zdobić budynek od przodu, wyglądały na zaniedbane. Na klombach rosły chwasty, wodospady były wyschnięte, stawy wypełnione gnijącą wodą, a ścieżki zarośnięte krzakami jeżyn. Miało się wrażenie, że od dawna nikt nimi nie chodził.

Od frontu, tam gdzie kiedyś prawdopodobnie znajdowały się rabatki, wyrastał las anten satelitarnych różnych rozmiarów, skierowanych we wszystkie strony świata. Z boku domu wznosiła się olbrzymia wieża telekomunikacyjna, rzucająca cień na jedno ze skrzydeł rezydencji. Grupka osób krzątała się wokół czegoś, co wyglądało na ciężarówkę z generatorami prądu zasilającymi dom.

Kate przypominało to bardziej kwaterę główną niż letnią rezydencję milionera, którym Feldman nadal był, niezależnie od wszystkich problemów z urzędem skarbowym.

Jej uwagę zwrócił hałas po prawej stronie. Dwóch mężczyzn o niezbyt przyjaznych wyrazach twarzy nadjeżdżało z dużą prędkością na quadach. Nagle zdała sobie sprawę, że znajduje się na terenie prywatnym i że nie ma żadnego prawa tu być. Włożyła rękę do torebki, szukając po omacku legitymacji prasowej. Pojazdy były coraz bliżej. Wreszcie zahamowały przy Kate, pryskając błotem, które obryzgało jej sukienkę.

– Cześć – powiedziała i uśmiechnęła się nerwowo. – Jestem dziennikarką…

W tym momencie zobaczyła wymierzoną w swoją stronę czarną lufę karabinu, a za nią czyjeś zimne oczy. Po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy nie posunęła się zbyt daleko w swojej bezczelności.

Skrępowali jej dłonie na plecach grubą taśmą i posadzili z tyłu jednego z quadów. Z rykiem silników ruszyli na pełnym gazie z powrotem w stronę Usher Manor. Kate musiała bardzo uważać, żeby nie spaść, kiedy podskakiwali na koleinach. Czuła, jak brzegi taśmy wrzynają jej się w skórę na nadgarstkach, a dłonie zaczynają drętwieć z powodu braku krążenia – związali ją bardzo mocno. Wyglądali na byłych wojskowych. Ignorowali wszelkie próby nawiązania rozmowy i Kate podejrzewała, że jeden z nich nawet nie mówi po angielsku.

Kiedy dojechali do Usher Manor, przecięli zamieniony w obozowisko dziedziniec, ściągając na siebie zaciekawione spojrzenia robotników, którzy przenosili z miejsca na miejsce jakieś rzeczy. Było oczywiste, że wizyty nie są tu zbyt częste.

Kate przeszedł dreszcz na myśl, że tylko taksówkarz Hussein wie, gdzie się znajduje. Może jemu także związywali w tej chwili ręce. Nie byłaby tym zdziwiona, zważywszy na zaostrzone środki bezpieczeństwa.

Quady zatrzymały się przy bocznych drzwiach rezydencji. Jeden z ochroniarzy zeskoczył z siodełka i wbiegł do budynku, drugi czekał na zewnątrz, paląc papierosa i od czasu do czasu zerkając z ukosa na Kate.

Dopiero wtedy dziennikarka zdała sobie sprawę, że podczas jazdy po wybojach jej sukienka podniosła się wyżej, niż powinna, i że raczy teraz cały personel miłym dla oka widokiem swojej koronkowej czarnej bielizny. Ochroniarz z papierosem niemal dostał zeza.

Speszona, doprowadziła się do porządku najlepiej jak mogła, świadoma, że jest w żałosnym stanie. Adidasy taksówkarza przypominały dwa kawałki filcu przywiązane do stóp, włosy miała ubłocone, a sukienka wyglądała jak z darów dla ubogich. Mimo to Kate spróbowała się wyprostować i spokojnie rozejrzeć wokół siebie, jakby chodziło o zwykłą formalność.

W tym momencie drzwi się otworzyły. Stanął w nich ochroniarz i trzej mężczyźni. Dwóch z nich należało z pewnością do ekipy ochroniarskiej. Trzecim był siedemdziesięcioletni starzec o stanowczym spojrzeniu i władczym wyglądzie. Isaac Feldman.

Jeden z mężczyzn podał Feldmanowi legitymację prasową Kate. Milioner przeglądał dokumenty, a w tym czasie ochroniarz metodycznie opróżniał torebkę i sprawdzał

wszystkie przedmioty osobiste dziennikarki. Gdy znalazł jej iPhone'a, rzucił go na ziemię i trzema, czterema uderzeniami kolby karabinu roztrzaskał na kawałki.

Kate już miała zaprotestować, ale krzyk uwiązł jej w gardle. To był tylko telefon, miała dużo poważniejsze problemy. Feldman przyglądał jej się z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Przerażona przypomniała sobie wszystkie straszliwe historie na temat jego reputacji mafiosa i zrozumiała, że jej los jest w rękach tego osobnika.

– Była na wzgórzu, patrzyła w stronę domu. – Ochroniarz po raz pierwszy otworzył usta. – Nie miała przy sobie aparatów fotograficznych ani niczego w tym rodzaju, przynajmniej nic takiego nie znaleźliśmy. Ma wspólnika, muzułmanina, czekał w taksówce, trochę dalej od domu. Już go tu wiozą.

– Muzułmanina? – Usta Feldmana, który był Żydem, wykrzywiły się lekko w gorzkim uśmiechu. Do Kate dotarło, że człowiek mający taką obsesję na punkcie bezpieczeństwa nie zrozumie, że Hussein znalazł się tu zupełnie przypadkowo. Mogła sobie wyobrazić, co chodzi mu po głowie.

– To nie tak, jak pan myśli… – usłyszała swój bełkot. Cała jej pewność siebie wyparowała pod sokolim spojrzeniem Feldmana. – Jestem dziennikarką z „London New Herald". Chciałam porozmawiać z panem o „Valkirie". Myślę, że moglibyśmy…

– Zabierzcie ją do miasteczka – burknął Feldman. – Ją i jej wspólnika. Przekażcie ich policji i złóżcie doniesienie o wtargnięciu na cudzą posesję i nękaniu. Wzmocnijcie ochronę i sprawdźcie, którędy się dostali. To nie do przyjęcia, Moore.

Mężczyzna o nazwisku Moore zbladł, słysząc słowa swojego szefa, i zacisnął szczęki. Spojrzał na Kate z taką nienawiścią, że dziewczyna pomyślała, iż zabije ją wzrokiem.

– Niech się pan nie martwi, proszę pana – mruknął przez zęby ochroniarz. – To się nie powtórzy.

Kate poczuła, jak czyjeś łapska chwytają ją i ciągną w stronę zaparkowanej w pobliżu furgonetki. Feldman odwrócił się i nie obdarzywszy jej nawet jednym spojrzeniem, ruszył z powrotem do domu.

– Niech pan zaczeka! – krzyknęła. – Niech pan zaczeka! Muszę z panem porozmawiać!

Starzec nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Był już na progu. Miała ostatnią szansę.

– Wiem o dziecku! – krzyknęła w przypływie nagłego natchnienia. – O żydowskim chłopcu z „Valkirie"!

Feldman nagle się zatrzymał. Ochroniarze wpychali Kate do furgonetki, nie bacząc na kopniaki, jakie usiłowała im wymierzać. Starzec przez kilka sekund przyglądał się całej scenie, po czym spojrzał na legitymację prasową, którą nadal trzymał w dłoni.

– Puśćcie ją – powiedział.

Ochroniarze natychmiast go posłuchali. Kate odeszła od nich, rozwścieczona, i stanęła przed Feldmanem, wytrzymując jego spojrzenie.

– Wiem o dziecku – powtórzyła. – Wiem wszystko. I chcę z panem porozmawiać.

Feldman wzruszył ramionami i po raz pierwszy szeroko się uśmiechnął.

– W porządku, pani Kilroy, skoro chce pani o mnie rozmawiać, to porozmawiamy – powiedział tajemniczo, jednak w jego głosie krył się cień groźby. – I lepiej, żeby zainteresowała mnie ta rozmowa. Dla pani własnego dobra.

rozdział X

Wnętrze Usher Manor tak bardzo kontrastowało z obozowiskiem na zewnątrz, że po wejściu do środka zaskoczona Kate kilkakrotnie zamrugała oczami. Podłogę pokrywały grube perskie dywany, a na ścianach wisiały olejne portrety i pejzaże, niewątpliwie bardzo cenne. Dziewczyna niemal mogłaby przysiąc, że obraz nad kominkiem jest oryginalnym Constable'em. Z przeciwległej ściany wypchana głowa słonia rozwścieczonymi oczkami obserwowała, jak Feldman i Kate siadają na krzesłach.

– Ten dom należał przez czterysta lat do jednej rodziny – powiedział Feldman, zauważywszy zdziwienie dziennikarki. – Po drugiej wojnie światowej popadli w ruinę finansową i niewiele brakowało, by go zburzyli. Kupiłem tę rezydencję piętnaście lat temu ze wszystkim, co było w środku. Jest przepiękna, prawda?

Kate zdała sobie sprawę, że Feldman mówi z dumą zadowolonego właściciela. Uważnie przyjrzała się starcowi. Jak na mężczyznę dobiegającego siedemdziesiątki miał zaskakująco gładką skórę. Jego intensywnie niebieskie oczy wpatrywały się w Kate bez jednego mrugnięcia. To magnetyczne spojrzenie uczyniło go sławnym w świecie hazardu. Jeśli wierzyć pogłoskom, pewnego razu Feldman bez drgnienia powieki patrzył, jak cięto na kawałki jego rywala. Był wysoki, miał orli nos i wyglądał na pewnego siebie. Zachował gęstą czuprynę siwych włosów, miękko opadających mu na uszy. Wszystko w nim świadczyło o władzy. Był mężczyzną, który sam siebie stworzył, wyszedł z nędzy dzięki wysiłkowi i uporowi. „I kilku trupom zostawionym na poboczu", Kate zmusiła się, by o tym pamiętać. Isaac Feldman był niebezpiecznym człowiekiem.

Kasynowy magnat obracał legitymację prasową dziewczyny w swoich długich palcach zakończonych dziwnie zaokrąglonymi paznokciami. Wreszcie podał ją właścicielce, nie przestając jej obserwować, i rozparł się na krześle.

– Skąd wie pani o dziecku? – Jego ton stał się nagle groźny.

Taki był Feldman. Bezpośredni, oschły i stanowczy.

– Gdzie jest „Valkirie"? – spytała Kate, nie dając się zastraszyć. – Co chce pan z nią zrobić?

– „Valkirie" jest teraz moja – odpowiedział Feldman kategorycznie. – Zlokalizowanie jej zajęło mi lata. Jakiś głupiec z Ministerstwa Obrony wpisał statek do rejestru pod kryptonimem, dlatego szukałem go bezskutecznie przez kilkadziesiąt lat. Przez jakiś czas bałem się nawet, że został rozebrany na złom. Ale teraz już jest mój.

Feldman wypowiedział ostatnie zdanie z takim naciskiem, że Kate aż podskoczyła na krześle.

– Dlaczego ten stary statek jest dla pana taki ważny, panie Feldman? – zapytała łagodnie. Czuła się tak, jakby szturchała kijem śpiącego lwa.

– Nie pamiętam niczego z sierocińca – odpowiedział Feldman. – Spędziłem tam zaledwie trzy miesiące. *Blitz* na Anglię jeszcze się nie zaczął, a wojna w Europie była tylko dalekim echem, liczba sierot nie odbiegała więc od tej z czasów pokoju. – Na jego twarzy zagościł gorzki uśmiech. – W przeciwieństwie do tego, co nastąpiło kilka lat później.

– To pan jest dzieckiem, które znaleziono na parkiecie „Valkirie” – wyszeptała Kate. Jej podejrzenia się potwierdziły.

– Moi rodzice, Feldmanowie, byli dobrymi ludźmi. On trochę za dużo pił, ale harował jak wół w zakładzie kuśnierskim, a ona nie mogła mieć dzieci, co niemal doprowadziło ją do załamania. Szansa adopcji okazała się dla nich błogosławieństwem. Nie byli pierwsi na liście, ale tylko oni w rubryce wniosku, w której pytano o wyznanie, wpisali „wyznanie mojżeszowe”. W ten sposób trafiłem do ich domu. Tam dorastałem i stałem się tym, kim jestem.

– Jak się pan dowiedział o swoim pochodzeniu?

– Kiedy rodzice wzięli mnie do siebie, oddano im wszystkie moje rzeczy. – Feldman włożył rękę za kołnierzyk koszuli i wyciągnął łańcuszek z malutką złotą gwiazdą Dawida. – Ten wisiorek, dobrej jakości tałes i koc, w który zawinął mnie jakiś litościwy człowiek, żeby tam, na parkiecie, nie zmarzła mi pupa. Na kocu było logo KdF i wyhaftowana nazwa „Valkirie”. Poszedłem tym tropem, ale na próżno.

– KdF? – przerwała mu Kate. – Co to takiego?

– Skrót od Kraft durch Freude. Wie pani, co znaczą te słowa?

Kate, która dość dobrze znała niemiecki, przytaknęła ruchem głowy.

– Siła przez radość. Nie wiem tylko, do czego się odnoszą.

– To była nazistowska instytucja organizująca wakacje i wolny czas pracownikom lojalnym wobec Rzeszy. Może pani nie wierzyć, ale w latach trzydziestych stała się największym i najpotężniejszym biurem podróży na świecie. – Feldman wysunął szufladę, wyjął jakąś starą książkę i położył ją na stole otwartą na stronie, na której widniała swastyka otoczona kołem zębatym i promieniami słonecznymi. – To jej znak. Organizowała podróże, prywatne uroczystości i…

– Rejsy morskie – dokończyła Kate. – Jak ten na pokładzie „Valkirie”.

– To jeden z pierwszych statków, których ta instytucja była bezpośrednim właścicielem. Zbudowano go w Hamburgu, ale prawie wszystkie papiery związane z „Valkirie” i z KdF zaginęły w czasie alianckich nalotów na Niemcy. Praktycznie nic nie wiadomo o tym transatlantyku, z wyjątkiem tego, że znaleziono go, jak dryfował na oceanie, bez śladu załogi i pasażerów. Zagadka.

– Pusty statek. A więc to prawda – powiedziała cicho Kate.

– Nie pusty – poprawił ją Feldman, pochylając się do przodu z drapieżnym błyskiem w oczach. – Nazistowski statek z żydowskim dzieckiem jako jedynym ocalałym. A tym dzieckiem byłem ja. Rozumie pani teraz, dlaczego ten statek jest dla mnie taki ważny?

Kate przytaknęła. Inaczej patrzyła teraz na Feldmana. Starszy pan wyglądał jak ogarnięty

gorączką. Zrozumiała, że przez całe życie zżerały go wątpliwości i obawy co do jego prawdziwego pochodzenia. Do przerażającego połączenia judaizmu z organizacją nazistowską dochodził jeszcze fakt, że był jedynym ocalałym z największego w dziejach statku widma… statku widma, którego losy znała zaledwie garstka osób na świecie.

– No dobrze, ja już opowiedziałem moją historię, teraz nadszedł moment, żeby pani opowiedziała swoją. – Magnat spojrzał na nią surowo. – Kim pani jest i co pani wie?

Kate nabrała powietrza. Przez głowę przemknęło jej jak błyskawica pytanie, czy powinna ufać temu człowiekowi. Zdała sobie sprawę, że nie ma innego wyjścia. Otworzyła torbę, wyciągnęła fioletową teczkę z dokumentami dotyczącymi „Valkirie" i podała ją Feldmanowi. Podczas gdy staruszek przeglądał papiery, Kate relacjonowała mu rozmowę przeprowadzoną z wojskowymi ze składu Royal Navy. Kiedy zaczęła opowiadać o spotkaniu z Duffem Carrollem, Feldman podniósł wzrok z wyrazem zdumienia na twarzy.

– Żyjący marynarz z „Pass of Ballaster"? – Ton jego głosu zdradzał niepokój. Wstał jak poruszony sprężyną i wszystkie dokumenty z teczki, którą trzymał na kolanach, rozsypały się po podłodze. – Gdzie? Kiedy?

– Nie wiedział pan o tym?

Teraz to Kate była zdumiona. Nagle przypomniała sobie uwagi wojskowych o arogancji i złych manierach pracowników Feldmana, którzy odbierali „Valkirie" ze składowiska. Może dlatego nic im nie powiedzieli o starym Carrollu i jego obsesji na punkcie statku.

Zaczęła streszczać przebieg swojej rozmowy z Duffem. W miarę jak mówiła, rosło zdenerwowanie Feldmana. Chodził po salonie długimi krokami, pośród głów wypchanych zwierząt, z grymasem wyrażającym napięcie.

– Muszę porozmawiać z tym człowiekiem! – zawołał. – Gdzie on mieszka?

– Powiem, jeśli będę mogła panu towarzyszyć – odparła Kate, wykorzystując okazję. – I zrobić notatki do mojego reportażu.

Feldman przyglądał się jej przez kilka sekund z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Potem przytaknął ledwo widocznym ruchem głowy.

– Zgoda, pani Kilroy… Kate. Siedzi w tym pani po uszy. – Ruszył w stronę drzwi. – Jedziemy do tego człowieka.

Dziesięć minut później kolumna złożona z pięciu pojazdów opuściła Usher Manor. Kate i Feldman zajmowali tylne siedzenie terenowego audi z przyciemnionymi szybami, a przed nimi i za nimi jechały po dwa auta z ochroniarzami przypominającymi tych, którzy wcześniej zatrzymali ją i taksówkarza. Moore, szef ochrony Feldmana, siedział na przednim fotelu i kiedy pędzili po autostradzie, rozmawiał przez telefon ze swoimi ludźmi w innych samochodach.

Kate i Feldman milczeli, pogrążeni każde we własnych myślach. Kate zadawała sobie pytanie, co dzieje się w głowie siedzącego obok niej mężczyzny. Feldman, skupiony, machinalnie bawił się złotym wisiorkiem; sprawiał wrażenie, jakby pochłonęło go jakieś bardzo dalekie wspomnienie.

Kate spróbowała sobie wyobrazić, co w tej sytuacji zrobiłby Robert. Na pewno rozmawiałby z Feldmanem, odprężony i spokojny, dzięki czemu napięcie ulotniłoby się w magiczny sposób. Robert i ta jego wrodzona umiejętność sprawiania, że wszyscy wokół czuli się dobrze i na luzie. Kate żałowała, że nie ma tego daru. Mogła tylko wyglądać przez okno i patrzeć, jak błyskawicznie pokonują kilometr za kilometrem.

Kiedy dotarli do Denborough, poczuła, że atmosfera w samochodzie robi się jeszcze bardziej napięta. Narkomani i miejscowe prostytutki wałęsali się pośród zniszczonych budynków i gór śmieci i pustym wzrokiem patrzyli na przejeżdżającą kolumnę samochodów, a potem wracali do swojego beznadziejnego życia. W świetle dnia dzielnica wyglądała na jeszcze bardziej brudną i zaniedbaną niż po ciemku. Kate poczuła dreszcz na myśl o minionej nocy, kiedy ktoś o mało jej nie zabił.

Spojrzała ponownie na Feldmana. Wyraz zdumienia na jego twarzy, kiedy powiedziała mu o Carrollu, był szczery, nie miała co do tego wątpliwości. Nigdy nie słyszał o marynarzu ani o jego domku na przedmieściach.

W takim razie… Jeśli nie on wysłał kierowcę, który miał ją rozjechać, to kto? Myśli jej się mąciły, kiedy łamała sobie nad tym głowę.

Kolumna zatrzymała się przed domem Carrolla. Na ścianie widać było jeszcze paskudną rysę zostawioną poprzedniego wieczoru przez boczne lusterko terenówki. Kate i Feldman wysiedli z audi. Zdążyli pokonać dwa schodki prowadzące do drzwi, kiedy wyprzedził ich szef ochrony. Na jego twarzy malowało się napięcie.

– Chwileczkę – powiedział cicho. – Coś tu nie gra.

Kate zrozumiała, co się dzieje, dopiero kiedy zauważyła, że drzwi domu Carrolla są uchylone. Na ich brzegu widniały ślady uderzeń, a róg drewnianej framugi wyglądał na pęknięty.

W ciągu sekundy kilku ochroniarzy otoczyło Feldmana i Kate, całkowicie ich zasłaniając. Byli uzbrojeni, celowali pistoletami we wszystkie strony. Dwóch ćpunów i parę prostytutek z najbliższego skrzyżowania poczuło nagłą ochotę, by znaleźć się jak najdalej od tego miejsca. W mgnieniu oka, jak za sprawą czarów, ulica opustoszała.

– Zostańcie tu chwilę – rozkazał Moore poważnym tonem.

Trzech ludzi Feldmana weszło ostrożnie do domu, z bronią gotową do strzału; pozostali niecierpliwie czekali na zewnątrz. Po dwóch minutach jeden z mężczyzn wychylił się przez drzwi, pobladły i z dziwnym wyrazem twarzy. Oparł się o ścianę i chlusnął strumieniem wymiocin.

– Czysto – wymamrotał, wycierając usta grzbietem dłoni. – W środku nikogo nie ma. Ale uprzedzam, że to prawdziwa jatka.

Kate poczuła, że drżą jej nogi. Feldman stał zimny i niewzruszony, powieka mu nawet nie drgnęła, najwyraźniej zasługiwał na sławę, jaka go otaczała.

– Nie musi pani wchodzić, jeśli pani nie chce – zwrócił się do Kate i z zadziwiającą delikatnością dotknął jej ramienia.

Dziennikarka pokręciła przecząco głową i nabrała głęboko powietrza.

– Wejdę – powiedziała, żałując, że jej głos nie brzmi bardziej stanowczo.

Sień wyglądała tak, jak ją zapamiętała, ale już korytarz sprawiał wrażenie, jakby przeszło przez niego tornado.

Pierwszą rzeczą, która uderzyła ją jeszcze przed wejściem do saloniku, był zapach. Słodkawy i lepki, z wyczuwalnymi nutkami farby. Czuła również swąd palonych włosów. Wstrząsnął nią dreszcz.

Po wejściu do pokoju mocno chwyciła Feldmana za ramię, żeby nie upaść. Wyglądało to tak, jakby jakiś rzeźnik psychopata postanowił ozdobić ściany ludzkimi szczątkami. Na stole leżały zwłoki Carrolla, przynajmniej to, co kiedyś nimi było. Ręce miał przywiązane drutem do nóg stołu, jego palce zostały oderwane albo odcięte i rozrzucone po podłodze. Kate zauważyła z przerażeniem, że prawie wszystkim brakuje paznokci. Ciało rozcięto wzdłuż całej długości; ktoś wyciągnął wnętrzności i starannie poukładał je w kupki, niczym skrupulatny lekarz sądowy. Krew z tętnic Carrolla utworzyła na ścianach dziwne czerwonawe arabeski. Najbardziej przerażało to, że nigdzie nie było widać głowy.

– Ale… Kto? Jak? – wybełkotała Kate.

– Kto mógł to zrobić? – powtórzył Feldman ponuro. – Ktoś gotowy na wszystko, byle tylko uzyskać odpowiedź.

Jeden z ludzi Feldmana podniósł spod stołu lancet i tani palnik, jaki można kupić w każdym sklepie sieci Leroy Merlin. Najprawdopodobniej należał do samego Carrolla. Unoszący się w powietrzu zapach świadczył o tym, że wykorzystano go w innym celu niż ten, w jakim nabył go właściciel.

Kate z obrzydzeniem odwróciła wzrok w stronę ściany. Nagle zdała sobie sprawę, że coś tu nie pasuje. Nadal wisiały tam zdjęcia z marynarskiego życia Carrolla, niektóre zbryzgane krwią, ale jedno miejsce było puste.

Tam, gdzie powinna się znajdować fotografia z „Pass of Ballaster”, został tylko pożółkły kawałek tapety. Ktoś wziął zdjęcie. Prawdopodobnie ta sama osoba, która zabrała głowę Duffa Carrolla.

– To potworne – wyszeptała Kate. – On był uroczym człowiekiem, nieszkodliwym.

– Wybrał sobie złą dzielnicę – odparł Moore, który poza Feldmanem jako jedyny nie wyglądał na poruszonego widokiem rzezi.

– To nie jest sprawka ćpuna, który przesadził z crackiem – stwierdziła Kate bez wahania.

Wskazała ręką kąt, gdzie stał włączony telewizor. Zamiast piersiastej prezenterki w tym momencie pokazywano jakiś film. Obok leżał otwarty portfel Carrolla, z którego wystawało kilka banknotów dziesięciofuntowych.

– Zgadzam się z panią Kilroy – wyszeptał Feldman. Jego spojrzenie było lodowate. Nie ulegało wątpliwości, że się nad czymś zastanawia, Kate nie potrafiła jednak odgadnąć nad czym. – To robota zawodowca. I to takiego, który miał dość odwagi, żeby odciąć głowę.

– Brakuje też jednego zdjęcia. – Kate podeszła do ściany, omijając kałużę krwi. Miała ochotę zwymiotować, ale nie chciała sprawiać przyjemności Feldmanowi i jego ludziom,

pokazując im, że się łamie. – Zdjęcia Carrolla na „Pass of Ballaster”, statku, którego załoga znalazła „Valkirie”.

– Brakuje jeszcze czegoś – powiedział Moore głosem, w którym zabrzmiało coś dziwnego.

Wszyscy odwrócili głowy zaintrygowani i popatrzyli na szefa ochrony, który stał przy zwłokach.

– Nie ma serca – powiedział, wskazując wnętrzności. – Ktoś je zabrał.

rozdział XI

Moore niemal wypchnął ich na zewnątrz. Chciał uniknąć spotkania z policją. Kate próbowała protestować, ale jedno spojrzenie Feldmana wystarczyło, by natychmiast zamilkła.

– Na stole w salonie leżą poćwiartowane zwłoki, brakuje kilku części ciała, a dom dokładnie przetrząśnięto – wyliczał Feldman, kiedy wsiadali do audi. – Nie chcę przez całe popołudnie tłumaczyć na komisariacie, co tutaj robiliśmy.

Kate otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale zdała sobie sprawę, że była w tym domu poprzedniej nocy i że najprawdopodobniej wszędzie są jej odciski palców. Zrozumiała nagle, że wpakowała się w niezłą kabałę.

– Byłam tu wczoraj. – Pokręciła głową, wyciągając rękę w stronę klamki drzwiczek. – Policja będzie chciała ze mną porozmawiać. Powinniśmy zostać.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – mruknął Feldman z ironią, kiedy audi ruszało z miejsca. – Za chwilę zrobi się tu bardzo gorąco.

Kate popatrzyła na niego, nic nie rozumiejąc, ale kiedy zobaczyła, że starzec wykonuje lekki ruch głową, odwróciła się i spojrzała przez tylną szybę samochodu. Z jej gardła mimowolnie wydobył się okrzyk przerażenia. Z okien i drzwi domu wychodziły języki ognia, a ulica na tym odcinku zaczęła się wypełniać gęstym dymem.

– Podpaliliście dom! – krzyknęła z niedowierzaniem.

Feldman skinął głową. Kolumna samochodów mknęła w stronę autostrady. Z oddali dobiegało wycie syreny, ale nie przybliżało się do pożaru. Były ważniejsze miejsca niż Denborough. Kiedy dotrą tam służby ratunkowe, dom na pewno będzie spalony aż po fundamenty.

– Dlaczego pan to zrobił? – zapytała Kate, która wciąż nie bardzo rozumiała, co się stało.

– Żeby uniknąć ewentualnych kłopotów – odparł Isaac Feldman. – Zostawiliśmy tam odciski palców, włosy, Bóg jeden wie co jeszcze. Kilku ćpunów widziało, jak wchodziliśmy, i choć ich słowo gówno znaczy, mogliby naprowadzić policję na nasz ślad, gdyby znaleziono jakieś fizyczne dowody. Tablice rejestracyjne samochodów są podmienione, więc to nie będzie problemem, ale nie chcę, żeby ktokolwiek wiązał nas ze śledztwem w sprawie kryminalnej. Nie teraz, kiedy jesteśmy tak blisko…

Magnat przerwał, jakby powiedział za dużo.

– Tak blisko czego? – zapytała Kate, czując ucisk w żołądku. Nagle zła sława otaczająca Feldmana nabrała nowego, intensywnego wymiaru. Zdała sobie sprawę, że grozi jej niebezpieczeństwo.

– Niczego, co mogłoby panią obchodzić, pani Kilroy – warknął Feldman, nagle znowu wrogi. – Niczego, co mogłoby panią obchodzić.

– To znaczy, że tamten dom i tamto ciało to nieprzewidziana okoliczność, z którą należało coś zrobić.

Feldman ograniczył się do potaknięcia ruchem głowy.

Oboje zamilkli na długą chwilę, a tymczasem kolumna samochodów wjechała na autostradę. Kiedy Kate ponownie otworzyła usta, wiedziała, że Feldman już się domyślił, co mu powie. Czuła w żołądku lodową kulę.

– Ja jestem kolejną nieprzewidzianą okolicznością – szepnęła.

Była przerażona, ale starała się nie dać tego po sobie poznać i spojrzała prosto w lodowate, sokole oczy mężczyzny.

Feldman patrzył na nią, początkowo z nieodgadnionym wyrazem twarzy, na której stopniowo pojawiał się szacunek. Wreszcie przytaknął.

– To prawda, Kate – powiedział krótko. – Jesteś nieprzewidzianą okolicznością.

Kate. Nie pani Kilroy, tylko Kate. Poczuła jakby smagnięcie lodowatym batem.

– I co w związku z tym?

– To sytuacja trudna dla nas obojga – mruknął Feldman. – Jesteś niepotrzebnym elementem w moim równaniu. Nie wiem, co z tobą zrobić.

Kate skurczyła się na siedzeniu. Wyjrzała przez szybę i natychmiast odrzuciła możliwość wyskoczenia z jadącego samochodu. Pędzili, wymijając zygzakiem inne pojazdy posuwające się wolno w normalnym o tej porze dnia korku. Człowiek taki jak Feldman nie bał się mandatów za przekroczenie prędkości.

Spojrzał na nią i przez jego twarz przemknął cień zrozumienia. Nagle wybuchnął głośnym śmiechem.

– Myślisz, że cię zabiję, czy coś w tym stylu? Za kogo ty mnie bierzesz?

– Jesteś Isaakiem Feldmanem – odpowiedziała Kate zduszonym głosem, czując, jak lód w jej żołądku trochę się rozpuszcza, akurat na tyle, żeby mogła oddychać. – Mafiosem hazardu. Mówią, że z lubością patrzysz, jak tną na kawałki twoich wrogów. Jesteś facetem dysponującym prywatną armią. Człowiekiem, który przed chwilą bez zmrużenia oka podpalił miejsce zbrodni.

Feldman roześmiał się jeszcze głośniej.

– Niektóre z tych rzeczy są prawdziwe, inne nie do końca. – Uśmiechnął się, nie precyzując, które konkretnie ma na myśli. – Mogę cię jednak zapewnić, że nie zrobię ci krzywdy.

Kate pomyślała, że kiedy Feldman zdobywa się w końcu na uśmiech, jego twarz tchnie harmonią i spokojem. Lód w jej żołądku stopniał jeszcze bardziej – była już mniej zdenerwowana.

– Czyli…

– Czyli znajdujemy się w trudnej sytuacji. Za dużo wiesz o „Valkirie”, co w obecnej chwili nie jest zbyt dobre. – Wskazał gdzieś za okno, mając na myśli dom Duffa Carrolla. – I za dużo wiesz o mnie. Poza tym jesteś współwinna zniszczenia miejsca zbrodni.

Kate otworzyła usta, chcąc zaprotestować przeciwko temu, że mógłby wmieszać ją w przestępstwo, ale Feldman podniósł dłoń na znak, by milczała, po czym ciągnął dalej:

– Z drugiej strony jesteś inteligentną kobietą, która potrafi zadawać właściwe pytania i wydaje się dość przytomna. Chcesz napisać o tajemniczym statku widmie, który wraca do życia po siedemdziesięciu latach. – Feldman starał się wypowiedzieć słowa „statek widmo” beztroskim tonem, ale jego oczy wyrażały co innego. Zaintrygowało to Kate, jednak mu nie przerwała. – Poza tym jako ostatnia rozmawiałaś z jedynym ocalałym z „Pass of Ballaster”. Wszystko to sprawia, że jesteś bardzo cenna.

– I do tego chcę wejść na pański statek, panie Feldman. Chcę opowiedzieć tę historię.

– Nie będzie pani mogła tego zrobić, dopóki podróż nie dobiegnie końca. I da mi pani do przejrzenia tekst, zanim zostanie opublikowany.

Kate prędzej dałaby się zabić, niż pozwoliłaby, żeby Feldman cenzurował jej reportaż, ale przytaknęła. Jakoś sobie poradzi, kiedy nadejdzie właściwy moment.

– Zatem, panie Feldman. – Kate wyciągnęła rękę i pierwszy raz w ciągu tego strasznego dnia poczuła, że coś układa się po jej myśli. – Umowa stoi?

Feldman spojrzał na nią i uścisnął jej dłoń.

– Umowa stoi – powiedział. – Witam panią wśród załogi „Valkirie”.

rozdział XII

Hamburg, Niemcy

Nabrzeże 74B, strefa załadunku

Woda w Łabie miała tego ranka ciemnoszary kolor i zdawała się skrywać nieskończenie wiele sekretów, kiedy pluskała lekko o pale nabrzeża numer 74B. Zimne powietrze poranka przeszywał wściekły jazgot pary mew walczących o śmieci, które prąd niósł niespiesznie w dół rzeki, ku ujściu do Morza Północnego, oddalonego o ponad sto kilometrów.

Stojąca na nabrzeżu Kate zasunęła suwak kurtki i wyciągnęła szyję, żeby słabe o tej porze słońce ogrzało jej policzki. Wokół powoli budził się hamburski port, gotowy rozpocząć nowy dzień.

Nabrzeże 74B znajdowało się blisko miasta, w samym środku kompleksu portowego, w jego najstarszej części, niedaleko rzędu niskich, wyglądających na opuszczone magazynów. Żaden z nich nie miał więcej niż pięćdziesiąt lat, jako że podczas drugiej wojny światowej naloty aliantów zrównały cały port z ziemią. Mimo to sprawiały wrażenie, że stały tu, jeszcze zanim rzeka zaczęła płynąć swoim korytem. Ich ciemne okna wydawały się patrzeć groźnie, ale też ze znudzeniem, na Kate i dwa tuziny innych osób kręcących się po nabrzeżu.

Jakieś sto metrów dalej cumowało kilka olbrzymich kontenerowców o pospolitym wyglądzie, przybyłych z najbardziej zaskakujących zakątków świata. Dźwigi towarowe podnosiły i opuszczały ogromne kolorowe skrzynie z metalu, jakby dzieci bawiły się najdroższymi i najcięższymi klockami świata. Hałas silników i metalicznych uderzeń był ogłuszający, nawet z takiej odległości. Na nabrzeżu 74B stali tylko oni. Na tle rosnącego ożywienia w porcie byli niczym ciemna, niepasująca do reszty kałuża.

Ponad kilometr dalej, pośród porannej mgły można było dostrzec górną część „Oasis of the Seas”, olbrzymiego transatlantyku mogącego pomieścić ponad sześć tysięcy pasażerów. Jego biała sylwetka zlewała się z trzema innymi, niemal równie dużymi wycieczkowcami, które stały zacumowane w nowoczesnym, eleganckim terminalu pasażerskim.

A my nie jesteśmy w tym terminalu, pomyślała Kate, chuchając w dłonie, żeby je trochę ogrzać. Czekamy na Feldmana na tym przeklętym, zapomnianym nabrzeżu.

Chociaż był sierpień, panował ziąb. Kate widziała w oddali kawiarnie i restauracje. Pewnie teraz serwują tam śniadanie. Jej żołądek zaburczał na znak protestu.

Zupełnie się tym nie przejęła. Całą jej uwagę pochłaniał statek zacumowany po prawej stronie. Cicho unosił się na wodzie, jakby wypłynął prosto z jakiegoś snu. Albo z koszmaru.

„Valkirie”.

Kate przyleciała do Hamburga zaledwie kilka godzin wcześniej prywatnym samolotem Feldmana, jako jedyna pasażerka. Pożegnanie ze starym Żydem przebiegło w niezwykle dziwny sposób. Zamiast wrócić do Usher Manor, Feldman uparł się, żeby odwieźć ją prosto do hotelu w Liverpoolu. Kiedy dotarli na miejsce, zaczekał cierpliwie, aż Kate wejdzie do swojego pokoju, weźmie prysznic i się przebierze, po czym odstawił ją na dworzec kolejowy. Dziewczyna niemal umarła ze wstydu, kiedy kolumna pojazdów z piskiem opon zahamowała przed samym wejściem, a samochody otoczyli mężczyźni w garniturach.

– Jutro przyjedzie po panią mój zaufany człowiek – powiedział Feldman przez okno audi. – Zabierze panią do Hamburga. „Valkirie” i reszta ekipy już tam są.

– Do Hamburga? W Niemczech?

Feldman przytaknął.

– A pan? Pan też tam będzie?

Feldman uśmiechnął się chytrze. Kate przypomniała sobie, że mężczyzna jest ścigany przez urząd skarbowy i że sędzia odebrał mu paszport. Teoretycznie nie mógł opuścić kraju. Nie wyglądało jednak na to, żeby się tym przejmował.

– Będę, pani Kilroy, jestem jednak zmuszony dotrzeć tam na własną rękę. Proszę się nie martwić. Widzimy się w Hamburgu. – Na jego znak kolumna samochodów ruszyła, a Kate została sama na środku chodnika, zmieszana i trochę wystraszona.

I tyle. W świecie Feldmana tak załatwiało się sprawy.

Kilka godzin później Kate była w swoim mieszkaniu. W jednym ręku trzymała telefon, przez który rozmawiała z naczelną gazety, drugą pospiesznie pakowała walizkę. Pierwszy raz od kilku tygodni nie czuła się w tych czterech ścianach jak zamknięta w grobie. W głębi duszy wiedziała, że historia „Valkirie” ekscytuje ją tak dlatego, że pozwala jej uciec z czarnej dziury, w którą sama wpadła. Ale było coś jeszcze. Był w tej sprawie jakiś niepokojący element, który przyciągał ją w niewytłumaczalny sposób. Chciała sprawdzić, co to takiego.

Kiedy wybierała ubrania, które zamierzała włożyć do walizki, jej wzrok zatrzymał się na gzymsie kominka. Stała tam czarna ceramiczna urna z prochami Roberta. Przez wiele dni unikała przechodzenia przed kominkiem, by nie musieć patrzeć na bolesny dowód nieobecności męża. Odruchowo sięgnęła po urnę.

Pierwszy raz od długiego czasu nie wybuchnęła płaczem na jej widok, jednak nie uniknęła rozdzierającego bólu serca. Zamknęła oczy. Wyobraziła sobie ciepły zapach jego ciała, dotyk jego dłoni na plecach i pulsującą siłę ramion, kiedy ją obejmował. Potrząsnęła głową, odpędzając wspomnienia. Robert odszedł na zawsze. Oddalił się ciemnym brzegiem Styksu, potrącony przez pijanego kierowcę, który uciekł z miejsca wypadku.

Pod wpływem impulsu włożyła urnę z prochami do walizki. Nie była pewna, dlaczego to robi, ale myśl, że miałaby go tu zostawić, wydała jej się nagle nie do zniesienia. Jeśli wejdzie na pokład „Valkirie”, ta nieszczęsna urna popłynie razem z nią.

Tej nocy śnił jej się Robert. Był na pustym statku i trzymał w rękach zawiniątko, które

płakało i z którego wystawały dwie pulchne rączki. Szła za nimi, wykrzykując imię męża, ale Robert nie zwracał na nią uwagi. Biegł korytarzami, jakby przynaglany jakąś palącą, ogromną potrzebą. Kiedy wreszcie dotarł na parkiet taneczny, niezwykle ostrożnie położył dziecko na środku sali. Odwrócił się w stronę Kate i wtedy zdała sobie sprawę, że to nie Robert, tylko coś bardzo do niego podobnego. Coś złego, mrocznego i wygłodniałego, co zastawiło na nią pułapkę. Obudziła się z krzykiem, zlana potem.

Nazajutrz bladym świtem, kiedy siedziała już ubrana na brzegu łóżka, przyjechał po nią czarny samochód z przyciemnianymi szybami. Zaparkował przed drzwiami jej domu i zawiózł ją prosto na lotnisko Heathrow. Stamtąd prywatnym samolotem Feldmana odleciała do Hamburga, gdzie wylądowali dokładnie o wschodzie słońca.

Podobny czarny samochód (Kate zastanawiała się, czy Feldman ma do dyspozycji flotę kilkudziesięciu identycznych pojazdów rozproszonych po całym świecie, czy to zwykły zbieg okoliczności) zawiózł ją do portu. Zdziwienie, jakiego doznała, kiedy minęli terminal wycieczkowy, ustąpiło miejsca niepokojowi, gdy zagłębili się w dżunglę dźwigów, ciągników i ogromnych statków w najbardziej przemysłowej części portu. Wreszcie dotarli do oddalonej strefy z ochroną przy wjeździe. Było to nabrzeże numer 74B.

Strażnicy przy bramie nie przepuścili kierowcy. Od tego miejsca kontrola była jeszcze ostrzejsza niż w posiadłości Feldmana. Ochroniarze pozwolili przejść tylko Kate, uprzednio dokładnie sprawdziwszy jej tożsamość. Musiała przebyć ostatni odcinek pieszo, ciągnąc walizkę po brukowanym nabrzeżu. Przeklinała paranoję Feldmana i jego przesadne upodobanie do tajemnic i środków bezpieczeństwa. Niechcący uderzyła kostką o krawędź żeliwnej cumownicy i zaklęła pod nosem. Pochyliła się wściekła, by rozetrzeć obolałe miejsce, a kiedy podniosła głowę, zobaczyła go po raz pierwszy.

Z ust wyrwał jej się okrzyk zdziwienia. Otworzyła szeroko oczy i z niedowierzaniem kontemplowała widok przed sobą.

„Valkirie” znów wyglądała imponująco. Ekipa spawaczy, blacharzy, mechaników, stolarzy i malarzy, która pracowała na wycieczkowcu przez ostatnie tygodnie, wykonała wspaniałą robotę. Chociaż miał ponad siedemdziesiąt lat, wydawało się, że jego budowę ukończono zaledwie kilka dni wcześniej.

Był pięknym, długim statkiem. Kate szybko obliczyła, że musi mieć ponad sto pięćdziesiąt metrów długości. Dolną połowę kadłuba pomalowano na czarno, w stylu lat trzydziestych, nadbudowa z kolei pozostała całkowicie biała. Dwa wysokie czerwone kominy miały pośrodku białe koła. Kate dziwiła ta nietypowa kombinacja, ale uświadomiła sobie, że pierwotnie wewnątrz białych kół musiały królować dwie olbrzymie swastyki, których teraz nie było.

Po obu stronach wisiały szalupy – Kate widziała taki model jedynie na starych zdjęciach i filmach. Drewniane, z dwiema długimi ławkami i górną częścią zakrytą nieprzemakalnym brezentem. Z nabrzeża nie mogła dostrzec bocznego pasażu, ale gotowa była się założyć, że podłoga jest z drewna, a leżaki z wikliny. Gdyby nie brak swastyk na kominach, statek wyglądałby jak przeniesiony wehikułem czasu.

Na „Valkirie” prowadził trap pilnowany na dole przez dwóch uzbrojonych mężczyzn. Ekipa pracowników Feldmana wnosiła na statek drewniane skrzynie, kanistry i mnóstwo bagaży. Nad kominami wyrósł słup pary, która mieszała się ze smogiem. Transatlantyk zdawał się czekać w napięciu, gotów zerwać liny i ruszyć na otwarte morze.

Wygląda jak żywa, pomyślała Kate. Natychmiast zadała sobie pytanie, dlaczego przyszło jej to do głowy.

I dlaczego określiła statek słowem „ona”.

Poczuła dreszcz, który nie miał nic wspólnego z temperaturą, i pomyślała, że może lepiej byłoby to wszystko zostawić. Wrócić do domu, dalej pisać do rubryki towarzyskiej „London New Herald” i o wszystkim zapomnieć. Wyjść wieczorem, upić się, poznać nowych ludzi. Poflirtować z jakimś facetem albo z kilkoma. Żyć.

Ale „Valkirie” ją wzywała. Kate pragnęła wreszcie wejść na ten statek i zacząć rozplątywać tajemnicę, która go otaczała. Skończyć historię zaczętą przez Roberta. A kiedy tego dokona, znaleźć wreszcie spokój, którego brakowało w jej życiu, i móc zacząć nowy etap.

– Robi wrażenie, prawda? – Głos, który rozległ się za jej plecami, sprawił, że podskoczyła wystraszona.

Odwróciła się. Młoda kobieta, niewiele po trzydziestce, spoglądała na nią z uwagą. Była wysoka, szczupła, atletycznie zbudowana i miała niezaprzeczalnie słowiański wygląd. Jasne włosy zebrała w kucyk, spodnie z mnóstwem kieszeni ciasno opinały jej biodra. Obok niej stał marynarski worek.

– Senka Simović. – Bez cienia uśmiechu na twarzy wyciągnęła do Kate rękę i przyjrzała się jej uważnie intensywnie zielonymi oczami. Miała śpiewny akcent, trudny do zidentyfikowania. Pochodziła zapewne z jednego z krajów, które wyłoniły się z jugosłowiańskiego chaosu.

– Kate Kilroy – odparła, podając rękę. Zdziwiła ją siła, z jaką kobieta uścisnęła jej dłoń.

– Pani musi być tą dziennikarką – powiedziała Senka i zamilkła. Kate czekała, aż dziewczyna zdecyduje się dodać coś jeszcze, ale widząc, że nic nie mówi, także zachowała milczenie.

W tym momencie na pomost wjechała furgonetka z rzeźni. Zaterkotała na kostce brukowej i zatrzymała się kilka metrów od miejsca, gdzie stały obie kobiety. Kate nie zdążyła się zastanowić, jak kierowca zdołał pokonać ostrą kontrolę przy wjeździe, bo zaraz otworzyły się boczne drzwi części furgonowej i z samochodu wyskoczył Isaac Feldman.

– Dzień dobry, drogie panie – przywitał się serdecznie, jakby podróżowanie z tyłu furgonetki dostawczej było dla niego czymś normalnym. – Widzę, że już się panie poznały. Cześć, Senko. Miło cię tu widzieć.

Na twarzy blondynki zarysował się uśmiech. Wyglądało na to, że zwykłe wygięcie ust do góry kosztuje ją wiele wysiłku, niemniej jej stosunek do Feldmana był wyraźnie życzliwy.

– Wszystko gotowe, panie Feldman – powiedziała. – Zespół naukowców jest już na pokładzie, załoga także. Brakuje tylko nas i ochroniarzy.

– Doskonale – odparł Feldman zadowolony. Widząc malujące się na twarzy Kate zmieszanie, przyjaźnie wziął ją pod ramię i poprowadził w stronę trapu. – Jak pani widzi, musiałem dostać się tu nieco okrężną drogą. Spokojnie, Kate. Kiedy już rozgości się pani na pokładzie, obiecuję wyjaśnić szczegółowo, o co chodzi z zespołem naukowców… i całą resztę.

Kiedy szli w stronę statku, Kate czuła spojrzenie Senki wbite w swoje plecy. Nie podobało jej się to wrażenie.

Dotarli do pomostu. Feldman zatrzymał się i odwrócił do Kate z poważnym wyrazem twarzy.

– No dobrze, to pani ostatnia szansa – powiedział. Jego głos drżał ze wzruszenia. Zaskoczona Kate zamrugała oczami. Stary Feldman był wzruszony. I zdenerwowany. – Jeśli wejdzie pani po tych schodkach, nie będzie odwrotu. Ale jeśli mam rację, opisze pani najbardziej zadziwiającą historię w dziejach. Nie jestem w stanie jednak niczego zagwarantować, nawet pani bezpieczeństwa. Nie wiem, czy to sprawiedliwy układ, ale tylko tyle mogę zaoferować. Zatem… co pani na to?

W odpowiedzi Kate uśmiechnęła się i energicznie podniosła walizkę. Nie oglądając się za siebie ani razu, zrobiła krok w przód i weszła na trap.

Na „Valkirie”.

„VALKIRIE”

rozdział XIII

Jeśli zewnętrzny wygląd statku zaskoczył Kate, widok wnętrz dosłownie odebrał jej mowę. Przypominały dekoracje z filmu, tyle że były prawdziwe.

Nie pierwszy raz wsiadała na transatlantyk. W podróż poślubną popłynęli z Robertem w rejs po Morzu Śródziemnym, z Wenecji do Stambułu. Tak mu się to spodobało, że został miłośnikiem rejsów, przejawiając ów zaraźliwy, niemal dziecięcy entuzjazm, który okazują Amerykanie, kiedy coś ich zafascynuje. Kate zastanawiała się, czy jego zainteresowanie historią „Valkirie” nie wynikało właśnie z tego.

Odbyli tamten rejs na bliźniaku pechowej „Costa Concordii”, jednym z tych ogromnych nowoczesnych transatlantyków wyglądających jak skrzyżowanie hotelu, parku wodnego i kasyna z Las Vegas. Kate bardzo podobał się sam rejs i wszelkie luksusy będące do dyspozycji pasażerów. Robert wydał majątek na apartament. Zachowała w pamięci tamte magiczne, szczęśliwe dni, choć musiała przyznać, że przepych współczesnych wycieczkowców miał w sobie coś sztucznego i nierealnego. Jak scenografia sztuki teatralnej. Papier mâché i fałszywe błyskotki prujące fale.

Jednak wnętrze „Valkirie” nie przypominało w niczym żadnego ze statków, które widziała. Wszystko, absolutnie wszystko było wiernym odtworzeniem wystroju transatlantyku zwodowanego w latach trzydziestych. Wszędzie królował styl art déco, a meble wyglądały jak wierne kopie tych z epoki. Tak myślała Kate do czasu, aż przechodząc obok jednego ze stolików na tarasie bocznego pasażu, przekonała się ze zdziwieniem, że to nie są repliki.

Feldman zauważył, na co patrzy, i odgadł jej myśli.

– Wyposażenie i dekoracje na pokładzie składają się w osiemdziesięciu procentach z oryginalnych elementów – powiedział. – Wiele z nich pochodzi z samej „Valkirie”. Kiedy statek został internowany i zamieniony na transportowiec wojenny, wyniesiono je i przewieziono do magazynu w Szkocji. Odnalazłem wszystko i odkupiłem niemal w całości ponad dwadzieścia lat temu. Moi eksperci przywracają dawny wygląd, korzystając z nielicznych oryginalnych zdjęć, które przetrwały wojnę.

Kate pokręciła głową. Była pod wrażeniem. Projekt „Valkirie” musiał kosztować prawdziwą fortunę, biorąc pod uwagę jego rozmiary i liczbę pracujących przy nim osób. Zwróciła uwagę na lampę przykręconą do stolika na tarasie. Nie była specjalistką od antyków, ale miała pewność, że tylko ta jedna mała rzecz musi być warta kilka tysięcy euro. A na całej „Valkirie” znajdowały się setki takich przedmiotów. To robiło wrażenie.

– Kiedy zagospodaruje się pani w kajucie, chciałbym, żeby o ustalonej godzinie zeszła pani do głównej sali i poznała resztę ekipy – powiedział Feldman. – W czasie tego rejsu załoga będzie nieliczna, jako że prawie nie ma pasażerów. Zresztą niedługo sama pani

odkryje, że mamy bardzo niewielu towarzyszy podróży… ale za to bardzo interesujących – dokończył z półuśmiechem.

Kate zauważyła, że Moore, szef ochrony Feldmana, i tuzin jego ludzi wnoszą na „Valkirie” ciężkie drewniane skrzynie. Nawet z tej odległości Kate mogła się domyślić, że zawierają amunicję i karabiny automatyczne. Przystanęła i wskazała na mężczyzn.

– To konieczne? – zapytała.

– Nigdy za dużo środków bezpieczeństwa – odparł Feldman, zachęcając, by szła dalej. – Nie spodziewam się problemów, ale byłoby nierozważne nie być przygotowanym.

Problemów? Przygotowanym… na co? Pytania cisnęły się do głowy Kate, ale na razie wolała zachować powściągliwość.

Dotarli do jednego z włazów i weszli do szerokiego, łagodnie oświetlonego korytarza. Podłogę pokrywał dywan w kolorze krwistej czerwieni, a w tle rozbrzmiewała muzyka. Musieli parokrotnie usunąć się na bok, żeby przepuścić ludzi Feldmana, którzy kończyli wnosić bagaże i dokonywali ostatnich przygotowań, zanim wycieczkowiec ruszy w drogę. W niektórych miejscach czuć było jeszcze zapach świeżej farby i wiórów. Podłoga delikatnie zawibrowała. Gdzieś we wnętrznościach „Valkirie” ożyły olbrzymie dieslowskie silniki. Statek się budził gotów do drogi.

– To wejście do pierwszej klasy – wyjaśnił Feldman, odsuwając się na bok, żeby zrobić przejście dwóm marynarzom dźwigającym skrzynki z winem. – Druga i trzecia klasa nie są jeszcze wyremontowane, trzeba więc wnosić wszystko tędy, zamiast oryginalnymi włazami towarowymi, które opieczętowaliśmy. To niedogodność, której nie było w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym, ale potrwa niedługo.

– Myślałam, że wyremontował pan cały statek – powiedziała Kate, próbując zrobić kilka zdjęć palarni, obok której przechodzili.

– Wyremontuję – odparł Feldman zdecydowanie. – Ale nie było czasu, żeby przygotować wszystko przed wypłynięciem. Nie, jeśli chcieliśmy zmieścić się w założonych terminach.

Kate kiwnęła głową, choć nie rozumiała, o czym mówi Feldman. Zakładała, że na spotkaniu, które zwołał, wszystko szczegółowo jej wyjaśnią. Na razie dalej robiła zdjęcia.

Przeszli do dużej owalnej sali, której widok zaparł jej dech. Nad ich głowami wisiał gigantyczny kryształowy żyrandol, jaśniejący milionem oślepiających błysków. Przed nimi zaczynały się schody z drewna i marmuru, które Kate znała z opisu Duffa Carrolla. Stopnie miały wyryty skrót KdF i nazwę statku. Orły z rozpostartymi skrzydłami wieńczące poręcze trzymały w szponach wieniec laurowy, ale wewnętrzny otwór był pusty, bez swastyki. Brakowało także nazistowskich flag, które swego czasu zajmowały główny podest schodów. Zamiast nich ktoś ustawił olbrzymią donicę z palmami stanowiącymi dziwny kontrast z resztą wystroju.

– Schody zniszczono, kiedy statek został internowany. Marmur i drewno były bardzo dobrej jakości, ale całość wyglądała za bardzo nazistowsko. – Feldman roześmiał się wesoło. – Zrobiliśmy idealną rekonstrukcję dzięki zdjęciom, które przetrwały w archiwum

stoczni, ale wyeliminowaliśmy swastyki. Na całym statku nie ma ani jednej.

– Myślałam, że to wierna rekonstrukcja.

– Bo tak jest – odpowiedział Feldman z dużą pewnością siebie. – Niemal cały statek wygląda tak samo jak wtedy, kiedy znaleziono go na pełnym morzu, siedemdziesiąt lat temu. W zasadzie praktycznie wszystko jest tu oryginalne. Musieliśmy jedynie zrekonstruować części, które uległy największym uszkodzeniom, takie jak schody. A przy okazji wyeliminowaliśmy swastyki.

– Rozumiem – szepnęła Kate.

– Nie zrobiliśmy tak wyłącznie dlatego, że cała nazistowska symbolika jest dziś zakazana w Niemczech, a znajdujemy się w Hamburgu – odparł Feldman z powagą. – Jestem Żydem i na moim statku nie będzie ani jednej swastyki, bez względu na to… – Urwał nagle, jakby powiedział za dużo.

Kate chciała zapytać, co ma na myśli, kiedy podeszła do nich jakaś dojrzała, mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta w klasycznym uniformie guwernantki. Miała włosy zebrane w kok i oczy osadzone głęboko nad orlim nosem.

– Myślałam, że nigdy nie przyjedziecie – zbeształa ich. – Wszyscy ci naukowcy nic tylko się skarżą, odkąd weszli na pokład. A to kajuta jest za ciemna, a to wpada za dużo światła, a to za gorąco, a to za zimno… Jakby urodzili się po to, żeby narzekać, Isaacu!

Isaacu? Na ustach Kate pojawił się uśmiech. Ta kobieta była pierwszą osobą, która wydawała się nie bać wszechmocnego Isaaca Feldmana. Co więcej, magnat wyglądał w jej obecności na lekko onieśmielonego.

– Pani Miller jest gospodynią w domu pana Feldmana od trzydziestu lat – szepnęła stojąca z tyłu Senka. Jej usta były bardzo blisko ucha dziennikarki. Ciepły oddech spłynął po szyi Kate, tuż przy skórze, i nagle poczuła się skrępowana. – To jedyna osoba, która ma odwagę mówić mu po imieniu. Kiedyś nawet doszło między nimi do głośnej awantury.

– Są kochankami? – zapytała zaciekawiona Kate.

– Krążą plotki, że nimi byli, wiele lat temu – mruknęła Senka. – Ale nie sądzę, żeby to trwało. W każdym razie on ją szanuje.

– Kate. – Feldman odwrócił się w ich stronę z wyrazem twarzy mężczyzny, który ucieka przed stadem lwów i nagle widzi drzewo, na które może się wspiąć. – Pani Miller zaprowadzi panią do kajuty. Senka przyjdzie po panią punktualnie o dwunastej i zejdziecie do sali imienia Augusta Gneisenaua. Tam odbędzie się spotkanie informacyjne. I gorąco proszę, żeby do tego czasu nie opuszczała pani swojej kajuty. Niektóre części statku są nieodbudowane i mogą być niebezpieczne. To dla pani dobra.

– Powinnam poprosić Moore’a, żeby dał mi karabin? – zapytała Kate z błyskiem niezadowolenia w oczach. – No wie pan, dla mojego dobra.

– Proszę się nie denerwować, Kate. Kiedy wypłyniemy na pełne morze, jeśli pani zechce, będzie mogła do woli wałęsać się po „Valkirie”. Ale na razie zamykamy niebezpieczne miejsca, a nie chciałbym, żeby miała pani jakiś wypadek, zanim wyruszymy.

Kate znów doznała dziwnego wrażenia, że Feldman kłamie, ale nic nie powiedziała. To

nie był dobry moment, żeby z nim dyskutować, na środku korytarza, w obecności gospodyni i tej dziwnej Senki, które uważnie im się przyglądały.

– W porządku, panie Feldman. W takim razie do dwunastej.

Poszła za panią Miller kolejnym korytarzem, aż do windy przypominającej muzealny eksponat. Żeby wejść do kabiny, należało ręcznie otworzyć zewnętrzną kratę. Wnętrze było obite aksamitem, a przy ścianie w głębi stała ławka, na której bardzo zmęczony pasażer mógł usadowić podczas jazdy swoje cztery litery.

– To prawdziwe cudo – powiedziała przyjaźnie pani Miller – ale porusza się w żółwim tempie. W tej windzie można się zestarzeć przed dotarciem do celu, a proszę pamiętać, że obsługuje tylko trzy piętra pierwszej klasy.

– W drugiej i trzeciej też są windy? – zapytała Kate.

– Nie jestem pewna. – Pani Miller wzruszyła ramionami. – Nie schodziłam na dół. Tylko kilka osób tam było, robotnicy zabili wejścia na czas robót. Ale z tego, co słyszałam, na dolnym pokładzie trzeciej klasy nie ma windy. A ta w drugiej klasie chyba nie działa. Od ponad siedemdziesięciu lat nikt jej nie używał.

Wreszcie dźwig stanął z lekkim szarpnięciem. Po otwarciu drzwi oczom Kate ukazał się korytarz, podobny do tego na górze, ale z wykładziną w kolorze niebieskim ozdobioną wytłoczonymi literami KdF. Naliczyła w sumie dwadzieścia par drzwi.

– Pierwsza klasa zajmowała niewiele miejsca na tym statku – tłumaczyła pani Miller, kiedy szły korytarzem. – Łącznie trzy piętra z czterdziestoma pięcioma kajutami i ośmioma apartamentami. Za to pokoje są dość duże. – Zatrzymała się przed jakimiś drzwiami; na tabliczce z błyszczącej miedzi widniał numer 23. – To jest pani kajuta.

Otworzyła drzwi. Kate z trudem powstrzymała okrzyk zdumienia. Pokój wyglądał jak przeniesiony z przedwojennego filmu. Stało tam obszerne łoże małżeńskie nakryte kapą w staromodne wzory, ściany wyłożone były inkrustowanym drewnem tekowym, stoliki ozdabiały lampy w stylu art déco, a podłogę pokrywał perski dywan w dobrym gatunku. Dwa iluminatory wpuszczały dużo światła z zewnątrz. Umeblowanie uzupełniała kanapa o potężnych bokach, stoliczek z papierem i przyborami do pisania oraz szafa z drewna mahoniowego, która musiała być warta fortunę.

– Piękny pokój – stwierdziła Kate, odnotowując jednocześnie, że nie ma tu telewizora ani telefonów. Niczego, co przypominałoby XXI wiek. Na widok gniazdka o przedpotopowym wyglądzie zadała sobie pytanie, czy napięcie będzie odpowiednie, żeby nie spalić laptopa.

– Nie widziała pani jeszcze najlepszego – powiedziała pani Miller z uśmiechem.

Otworzyła boczne przesuwane drzwi, za którymi ukazała się łazienka. Kate zasłoniła usta dłonią. Nie wierzyła własnym oczom. Przy ścianie najbliższej wejścia, pod lustrem, zobaczyła olbrzymią umywalkę z mosiężnymi, przesadnie wymyślnymi kranami. W głębi znajdowało się coś w rodzaju niszy, w którą wbudowano gigantyczną kwadratową wannę wyłożoną – podobnie jak ściany – mozaikami z tysięcy maleńkich kolorowych płytek. Całość przypominała rzymskie termy.

– Miłego pobytu, pani Kilroy – pożegnała ją uśmiechem pani Miller i wyszła z kajuty.

Kate została sama. Padła na łóżko, dwoma kopnięciami uwolniła stopy z butów i rozejrzała się wokół siebie. „Valkirie” była cudowna. Kawał historii pływający po morzu. Teraz, kiedy świeciło słońce, a z nabrzeża dobiegały głosy robotników, wszystkie przerażające historie o tajemniczych zniknięciach wydały się Kate całkowicie pozbawione sensu. Brzytwa Okhama, powtórzyła w myślach. Przez jeden z bulajów wpadały promienie słońca, w ich świetle tańczyły drobinki kurzu. Zmęczona przymknęła oczy i po chwili zapadła w drzemkę.

Lekkie drganie sprawiło, że usiadła na łóżku. Jej aparat fotograficzny brzęczał, uderzając o marmurowy blat stolika. Wstała, zaintrygowana. Podłoga kajuty drżała. Na chwilę ogarnęła ją panika, ale szybko przypomniała sobie, że jest na pokładzie statku. Podeszła do bulaja i zobaczyła, że molo powoli się oddala, a kilku robotników zwija grube liny, którymi „Valkirie” była przywiązana do cumownic.

Statek odpływał. Podniesiono kładkę i sekundę później nic już nie łączyło wycieczkowca z lądem.

„Valkirie” znowu wypływała w rejs.

rozdział XIV

Kate starczyło cierpliwości na dwadzieścia minut. Przez chwilę chodziła po kajucie niczym uwięziona w klatce lwica, w końcu postanowiła wyjść i pospacerować na zewnątrz. Oznaczało to złamanie wyraźnego zakazu Feldmana, pomyślała jednak, że warto zaryzykować. Jeśli kogoś spotka, powie, że musiała sfotografować do reportażu wypłynięcie „Valkirie” z portu, co zresztą nie odbiegało od prawdy. Ale poza tym chciała pochodzić trochę sama po statku, żeby sprawdzić, gdzie tak naprawdę się znajduje.

Bardzo ostrożnie otworzyła drzwi i wychyliła głowę na korytarz. Nikogo nie dostrzegła. Przez chwilę bała się, że Feldman postawił strażnika, „dla jej dobra”, ale potem pomyślała, że na pewno wszyscy są zajęci wyprowadzaniem transatlantyku z portu. Zamknęła drzwi, starając się nie narobić hałasu, i poszła w stronę, gdzie, jak sądziła, powinien się znajdować dziób.

Korytarz był pusty, ale za rogiem wpadła na dwóch ochroniarzy Moore’a. Na chwilę ogarnęła ją panika, zwłaszcza że przypomniała sobie, jak przyłapali ją ludzie Feldmana, kiedy kręciła się koło jego domu. Mężczyźni jednak obrzucili ją zaledwie przelotnym spojrzeniem i minęli, pochłonięci rozmową. Jeden z nich pozdrowił ją nawet lekkim ruchem głowy, jakby byli starymi znajomymi.

Kiedy się oddalili, Kate zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Wtedy zobaczyła, skąd przyszli.

Szeroki otwór prowadził na schody ginące we wnętrzu „Valkirie”. W porównaniu z resztą statku wyglądały na stare i przegniłe. Lakier całkowicie się złuszczył, niektóre stopnie miały wyszczerbione brzegi. Robotnicy jeszcze tu nie zaglądali.

Cztery czy pięć stopni niżej ktoś przyspawał ciężkie stalowe płyty, które zagradzały przejście niczym drzwi. Brzydkie czarne szwy spawów wystawały ze ściany jak grudkowate guzy, kontrastując z ciepłem wyłożonego drewnem korytarza. Ochroniarze zostawili tu czerwoną naklejkę z wielkimi czarnymi literami.

NIEBEZPIECZEŃSTWO
STREFA REMONTOWANA
PRZEJŚCIE ZABRONIONE
GROZI ŚMIERTELNYM UPADKIEM

Kate uznała, że schody muszą prowadzić do nieodnowionej części, gdzie znajdowały się kabiny drugiej i trzeciej klasy. Z wahaniem zeszła do stalowych drzwi. Stopnie trzeszczały lekko pod jej ciężarem. Była świadoma, że drewniane schody mają ponad pół wieku… I że przez wszystkie te lata nikt nie troszczył się o ich konserwację. Oparła rękę na jednej

z metalowych płyt.

Zimny podmuch wydostał się przez nieszczelne spojenie. Kate przeszedł dreszcz. Prąd powietrza dochodził gdzieś z dołu i niósł ze sobą brzydki zapach. To był dziwny fetor, połączenie kurzu, stojącej wody i zgnilizny. W tym smrodzie wyczuwało się również ciężką metaliczną nutkę czegoś, czego Kate nie potrafiła rozpoznać. Pchnęła delikatnie skrzydła i zauważyła, że nieco się przesunęły. Spawacz wykonywał swoją pracę w pośpiechu i obie części były sczepione ze sobą tylko w czterech miejscach. Zafascynowana ponownie naparła na drzwi, zastanawiając się, co jest po drugiej stronie otworu, który powstał po odgięciu płyty.

Kate…

Kobiecy głos, który rozległ się za jej plecami, napędził Kate strachu. Podskoczyła, jak mała dziewczynka złapana na gorącym uczynku, i odwróciła się, bełkocząc wymyślone naprędce usprawiedliwienie.

Nikogo nie zobaczyła.

Wyjrzała na korytarz. Był pusty. Pobiegła do rogu, za którym zniknęli dwaj ochroniarze, ale tam również nikogo nie spotkała. Zdezorientowana, wróciła na schody. Obejrzała sufit, żeby sprawdzić, czy jest tam jakiś system monitoringu z głośnikami albo coś w tym rodzaju, ale z gładkiej powierzchni zwisały tylko lampy w oprawie z brązu, na której wygrawerowano nazwę „Valkirie”.

Nadstawiła uszu. Słychać było wyłącznie jej przyspieszony oddech, lekkie bzyczenie żarówek w korytarzu, a w tle głuchy, daleki turkot silników.

Mimo to była pewna, że ktoś wypowiedział jej imię. I nie spodobał jej się ton, jakim to zrobił.

Głos zabrzmiał brutalnie. Plugawo.

Uznała, że musi jak najszybciej zaczerpnąć świeżego powietrza. Rozejrzała się po raz ostatni i oddaliła od schodów, skostniała z zimna.

Po czterech minutach krążenia po korytarzach trafiła na drzwi, które wychodziły na część spacerową dziobu. Pachniało morzem, dymem i algami. Podmuch chłodnego wiatru, który uderzył ją w twarz, kiedy wyszła na zewnątrz, wydał jej się najcudowniejszym, jaki kiedykolwiek czuła.

W odległości około pięćdziesięciu metrów zobaczyła holownik, który powoli ciągnął „Valkirie” w stronę otwartego morza. Z miejsca, gdzie stała, mogła odczytać nazwę statku, „Vintumperio”, a nawet rozróżnić postacie marynarzy w czerwonych kombinezonach, wałęsających się bezczynnie po pokładzie. Kapitan holownika, korpulentny mężczyzna z hiszpańską bródką, wraz z wysokim, siwowłosym policjantem portowym pili w rufówce kawę. Spoglądali na „Valkirie” i o czymś rozmawiali. Nagle Kate poczuła przemożną chęć, by znaleźć się tam, między tymi budzącymi zaufanie mężczyznami, a nie na pokładzie „Valkirie”, z jej dziwnymi głosami i zagadkową historią.

Ale było już za późno. Przed nimi rozciągało się Morze Północne. Holownik pożegnał

„Valkirie” dwoma potężnymi gwizdnięciami, po czym zaczął się oddalać, aż w końcu zostali sami.

Kate oparła łokcie o balustradę i wciągnęła głęboko powietrze. Ranek był słoneczny, tu na zewnątrz nic nie wskazywało na to, że może wydarzyć się coś złego.

Do diabła z tym, pomyślała. Jesteś na luksusowym statku z lat trzydziestych, napiszesz zajebisty reportaż, możesz opijać się szampanem i opalać. Mogłabyś nawet spróbować przestać myśleć cały czas o Robercie i wreszcie zacząć żyć…

– Kate. – Kobiecy głos rozległ się za jej plecami. Poczuła, że blednie. Odwróciła się błyskawicznie, przekonana, że znowu nikogo nie będzie, ale tym razem zobaczyła Senkę, która spojrzała na nią zdziwiona.

– Nie chciałam pani przestraszyć – powiedziała.

– To nie to. Rzecz w tym… – Zaczerwieniła się i zamilkła. Nie mogła wyjść na wariatkę zaraz po wypłynięciu z portu.

– Nie należy ignorować wyraźnych poleceń pana Feldmana. – Senka patrzyła na nią uważnie z niepokojącym błyskiem w oczach. – Prosił, żeby nie wychodziła pani z kajuty.

– Nie wyglądało mi to na polecenie – stwierdziła Kate, unosząc aparat fotograficzny. – Raczej na sugestię. Musiałam zrobić zdjęcia do reportażu.

– Proszę brać dosłownie wszystkie sugestie pana Feldmana – odpowiedziała Senka bardzo poważnie. – Ten statek może zmylić. Jest podstępny.

– Co pani ma na myśli? – Kate poczuła dreszcz na plecach.

– Nic konkretnego. – Senka wzruszyła ramionami. – Wszystko. W ciągu tych tygodni, kiedy remontowaliśmy „Valkirie”, byłam na pokładzie i działy się tu różne rzeczy. Trudne do wytłumaczenia. I zdarzały się wypadki. Czy wierzy pani w duchy, Kate?

Uwadze dziennikarki nie uszła zmiana tonu głosu kobiety, ale nie dała tego po sobie poznać.

– Nie. Prawdę mówiąc, nie – odpowiedziała z sercem ściśniętym z bólu, znów myśląc o Robercie. – Wiem, że kiedy ktoś umiera, odchodzi na zawsze.

– To dobrze – stwierdziła Senka z dziwnym uśmiechem. – To, w co się nie wierzy, nie może zrobić krzywdy, prawda? – Popatrzyła na horyzont i głęboko odetchnęła, jakby porządkowała myśli. – Ale powinna pani wrócić do kajuty. Odprowadzę panią. I tym razem proszę postarać się nie wychodzić przed wyznaczoną godziną.

– Mam nadzieję, że będzie warto – odparła Kate uszczypliwie.

– O, na pewno będzie warto. – Senka przymknęła oczy. – To, co usłyszy pani na spotkaniu, wyda się pani niewiarygodne.

rozdział XV

Była punkt dwunasta, kiedy Kate w towarzystwie Senki wkroczyła do salonu imienia Gneisenaua. Po raz kolejny oniemiała z podziwu. Sala wyglądała jak odtworzone wnętrze włoskiego renesansowego *palazzo*. Wysokie na pięć metrów kolumny obłożone trawertynem wznosiły się aż do sufitu, na którym widniał olbrzymi fresk przedstawiający bitwę z czasów starożytności z udziałem Teutonów. Dwie gigantyczne walkirie podtrzymywały umierającego wojownika, a kilka metrów dalej, na innym fresku, dwóch rycerzy walczyło zaciekle na miecze.

Pomiędzy wielkimi oknami wychodzącymi na zewnątrz, które udawały okna weneckie, stały klasyczne rzeźby na starannie obrobionych postumentach. Wykonanej z drewna i kamienia podłogi niemal nie było widać spod kilku ogromnych, przesadnie grubych dywanów. Stąpając po nich, Kate pomyślała, że gdyby upuściła tu monetę, nie potrafiłaby jej odnaleźć.

Umeblowanie składało się z mnóstwa zbytkownych kanap i kilku foteli ustawionych to tu, to tam, jakby przypadkowo. Środek sali zajmował wielki drewniany stół na potężnych nogach. Na ścianie w głębi olbrzymi zegar wiszący nad czarnym fortepianem obojętnie odmierzał czas.

Wokół stołu siedzieli pozostali pasażerowie. Kate zdziwiło, że jest ich tak mało, zaledwie piętnaście, może dwadzieścia osób, niemal sami mężczyźni. Na widok kobiet niektórzy wstali. Reszta nawet nie zwróciła na nie uwagi, zbyt pochłonięta dyskusją, która wyglądała na bardzo ożywioną.

Kate rozejrzała się dookoła. Zauważyła, że Feldman zajmuje krzesło u szczytu stołu; Moore siedział po jego lewej stronie, po prawej zostało wolne miejsce. Senka odsunęła krzesło dla Kate i przytrzymała dłonie na jej ramionach sekundę dłużej, niż nakazywała polityczna poprawność. Potem zakołysała biodrami i poszła zająć wolne krzesło obok Feldmana, przyciągając spojrzenia większości mężczyzn.

Byli w komplecie. Feldman odchrząknął i w sali zapadła cisza. Kate nadstawiła uszu i dyskretnie włączyła dyktafon.

– Panie i panowie – zaczął uprzejmie gospodarz drżącym ze wzruszenia głosem. – Pozwólcie, że powitam was na „Valkirie”. Zanim wszystkich przedstawię i przejdę do interesującego nas tematu, chciałbym z całego serca podziękować, że zgodzili się państwo uczestniczyć w tym rejsie.

Wokół stołu kilka głów przytaknęło na znak uznania.

– Najpierw opowiem o naszym statku. „Valkirie” została zbudowana w hamburskiej stoczni Blohm und Voss w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku. Jak się państwo domyślają, po świecie pływa niewiele statków z tamtego okresu. Tak naprawdę ten jest

ostatnim ze zbudowanych w latach trzydziestych, w złotej epoce transatlantyków, ostatnim, który ocalał. Wszystkie inne zatonęły, trafiły na złom albo zostały zniszczone podczas wojny. Tylko „Valkirie” dotarła aż tutaj, z powodów, które już państwo znają. – Skinął głową w stronę jednego z mężczyzn siedzących przy stole. – Panie Corbett…

Wywołany odchrząknął i lekko się wyprostował.

– Nazywam się William Corbett. Jestem głównym inżynierem i… hm… osobą odpowiedzialną za naprawę „Valkirie” oraz za przegląd statku. – Nerwowo przełożył jakieś papiery. – Prawdę mówiąc, nie było to zbyt trudne zadanie. Spodziewaliśmy się, że statek będzie w dużo gorszym stanie, ale wygląda na to, że długi postój w suchym doku nadspodziewanie dobrze go zakonserwował. W żadnym miejscu kadłuba nie widać śladów zniszczeń ani rdzy. Nie odkryliśmy także żadnych pęknięć ani rys, które należałoby naprawić.

– To niesamowite – szepnął mężczyzna o azjatyckiej urodzie siedzący przy końcu stołu.

– Wystarczyło jedynie pokryć go nową warstwą farby. – Corbett podniósł okulary, które ześlizgnęły mu się z nosa. Przywodził Kate na myśl mechanika wyjaśniającego właścicielowi samochodu, dlaczego rachunek jest tak wysoki, skoro praktycznie nic nie zrobił. – Do tego przez sześćdziesiąt lat stał przykryty brezentem i nie miał kontaktu z wodą, jest więc w doskonałym stanie. Sprawia wrażenie, jakby do tej pory nigdy nie wypływał w morze.

– Były problemy z naprawą silnika? – zapytała Kate.

Wszystkie głowy odwróciły się nagle w jej stronę. Dziewczyna poczuła, że się rumieni.

– Cześć… To znaczy… Jestem Kate Kilroy – wyjąkała. – Dokumentuję całą podróż… no i…

Widząc uśmiech na twarzy Feldmana, trochę się uspokoiła. Do diabła, Kate, rób swoje, powiedziała sobie.

– Raporty z tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku mówią, że nie udało się uruchomić silników statku. – Wyciągnęła ze swojej fioletowej teczki kopię dokumentów, którą dostała w składzie marynarki, i przeczytała: – „W obu silnikach stwierdzono niemożliwe do zidentyfikowania usterki, zarówno w układzie rozruchowym, jak i paliwowym. Oba są całkowicie niezdatne do użycia i tutejszy dział techniczny nie jest w stanie wskazać, czy istnieje jakiekolwiek rozwiązanie bądź możliwość naprawy. Zalecamy bezzwłoczne zezłomowanie”. – Podniosła wzrok i spojrzała na inżyniera. – Czy miał pan problemy z naprawą silników?

Corbett rozejrzał się na boki, nieco zbity z tropu, po czym odpowiedział:

– Nie trzeba było naprawiać silników, proszę pani – oznajmił, wyraźnie zdumiony. – Oba zaskoczyły za pierwszym razem, kiedy tylko zatankowaliśmy całe paliwo. Nie miały żadnej usterki. Prawdę mówiąc, były w idealnym stanie.

Przy stole dały się słyszeć podniecone szepty. Dwie osoby ochoczo przytaknęły, podczas gdy inne przecząco kręciły głowami.

– Zważywszy na wiek „Valkirie”, jej stan ogólny jest bardzo dobry – ciągnął Corbett. –

Po wojnie wejścia zostały zaplombowane i w ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat praktycznie nikt nie schodził do wnętrza statku. Niemal nie było znaczących przecieków ani śladów wilgoci, zwłaszcza w pierwszej klasie. Wygląda na to, że w środku utrzymywała się stała temperatura, mniej więcej siedemnaście stopni. Ten statek jest jak ogromna kapsuła czasu. Jedynie dolne poziomy są nieco bardziej zniszczone.

– Wspaniale – ucieszył się Feldman. – Jak postępuje remont?

– Cały sektor pierwszej klasy, maszynownia, mostek i najważniejsze pomieszczenia użytkowe, jak kuchnia, pralnia i ambulatorium są już wykończone. Została jeszcze druga i trzecia klasa, a także sporo sal. – Potrząsnął głową. – Reasumując, myślę, że wyremontowaliśmy mniej więcej jedną trzecią „Valkirie". Kiedy dotrzemy do Nowego Jorku, będziemy mogli dokończyć resztę.

Przy stole znów podniósł się gwar.

– Nikt nie mówił o podróży do Nowego Jorku, panie Feldman! – wrzasnął jakiś gruby mężczyzna o rzadkiej brodzie i wschodnim akcencie, który siedział dwa krzesła na prawo od Kate. – Nie mam nawet wizy!

– Proszę się nie martwić, panie Czerenkow – odparł Feldman stanowczym tonem, który uciszył wszystkich siedzących przy stole. Jego głos był niczym zatruta strzała. – Tym zajmę się ja.

Feldman wstał. Wszyscy zgromadzeni patrzyli na niego wyczekująco.

– Dziś jest dwudziesty trzeci sierpnia – zaczął. – Dwudziestego trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, ponad siedemdziesiąt lat temu, ten statek, „Valkirie", wypłynął w swój inauguracyjny rejs z załogą stu pięćdziesięciu marynarzy i personelu oraz dwustu siedemnastoma pasażerami na pokładzie. Wyruszył z Hamburga, z tego samego nabrzeża, od którego odbiliśmy jakiś czas temu, dokładnie o tej samej godzinie co my. Wpłynął na Morze Północne także o tej samej godzinie, o której my teraz wpływamy, i w tym samym miejscu.

Wyciągnął z teczki stary dziennik okrętowy i z namaszczeniem pokazał go reszcie zgromadzonych.

– Znamy wszystkie te informacje, ponieważ jesteśmy w posiadaniu dziennika okrętowego, wyniesionego przez załogę „Pass of Ballaster", która znalazła dryfującą „Valkirie". – Otworzył zeszyt na założonej stronie i pokazał ją obecnym. Kartka była biała. – Dwudziestego ósmego sierpnia, pięć dni po wypłynięciu z portu, „Pass of Ballaster" natknął się na wycieczkowiec. Na pokładzie nie było żadnego członka załogi ani żadnego pasażera. Poza jednym, który nie figurował na liście: poza mną.

Kate poczuła przypływ podniecenia. Domyślała się, co zaraz nastąpi.

– Ponad siedemdziesiąt lat później odbywamy dokładnie taką samą podróż, jaką odbyła „Valkirie" – zawołał Feldman z powagą, po czym jeszcze bardziej podniósł głos: – I za pięć dni, płynąc trasą zaznaczoną w tym dzienniku, dowiemy się wreszcie, co zaszło tamtej nocy trzydziestego dziewiątego roku!

rozdział XVI

Wokół stołu wybuchła piekielna wrzawa. Nagle wszyscy chcieli mówić równocześnie. Jedynymi osobami, które siedziały w milczeniu, byli Feldman, Moore i Senka, obserwująca lodowatym spojrzeniem jarmark, w jaki zamieniło się zebranie.

– Co za bzdura – wymamrotał młody, mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna siedzący naprzeciwko Kate. Miał długie włosy i nosił okulary w grubych oprawkach, które nadawały mu wygląd roztargnionego. Dziennikarka zauważyła, że w jego kwiaciastą koszulę wpięty jest znaczek w kształcie kreskówkowego szopa. Uśmiechał się, jakby słuchał dyskusji w zakładzie psychiatrycznym.

– To niemożliwe! – krzyczała kobieta w podeszłym wieku o surowym wyglądzie.

– Powinniśmy przeprowadzić najpierw eksperyment bez załogi! – wrzeszczał mężczyzna siedzący obok Kate, który wyglądał tak, jakby wyjadł całe zapasy restauracji.

– Narażamy się na ogromne ryzyko, panie Feldman! – zagrzmiał człowiek o rzadkiej brodzie, którego nazywali Czerenkow, zagłuszając pozostałych swoim donośnym głosem. – Możliwość odtworzenia tego zjawiska bez wsparcia…

– Będziemy mieli wsparcie, profesorze Czerenkow, proszę się nie martwić. – Feldman podniósł ręce w pojednawczym geście. Kate obserwowała zafascynowana, jak stary Żyd kolejny raz wykorzystuje swoją niepokojącą siłę przyciągania. Głosy stopniowo cichły. – A teraz bardzo proszę, pozwólcie mi państwo kontynuować.

Wszyscy ponownie zajęli swoje miejsca, zaintrygowani.

– Poświęciłem ponad połowę życia na odnalezienie elementów, które składają się na moją przeszłość. Nie wiem, kim jestem ani skąd pochodzę. Moja historia zaczyna się na parkiecie tanecznym dwa piętra niżej, siedemdziesiąt cztery lata temu. Żydowski chłopiec porzucony na pustym statku. Na tym statku.

Wstał z krzesła i oparł dłonie na stole. Przywodził Kate na myśl rozgorączkowanego mesjasza zwracającego się do swoich wiernych.

– Przez wiele lat spychałem te sprawy na dno mojego umysłu. Wiecie państwo, jaką mam opinię. Wytrwale pracowałem na moją fortunę i walczyłem z podobnymi do mnie rekinami. Niektórzy mówią, że jestem mafiosem. – Zaśmiał się wesoło. – To wymysł. Faktycznie, wzbogaciłem się dzięki kasynom, które mam w Europie, Azji i Stanach Zjednoczonych. Ale nie jestem żadnym mafiosem, chociaż nie mam nic przeciwko takiej reputacji… – Westchnął i niespodziewanie spoważniał. – Powinienem być szczęśliwym człowiekiem. Ale zawsze brakowało mi jednego elementu: dowiedzenia się, kim, u diabła, jestem i jak się tutaj znalazłem.

– Wspaniale, panie Feldman – powiedział łagodnym głosem z amerykańskim akcentem mężczyzna w kwiaciastej koszuli ze znaczkiem w kształcie szopa. – Ale może powinien był

pan zatrudnić kilku prywatnych detektywów do zbadania pańskiej historii, zamiast wydawać majątek na odtworzenie scenerii zbrodni, jeśli pozwoli mi pan użyć takiego określenia.

Wokół stołu rozległy się śmieszki kilku osób, ale zgasły jak ognisko w strugach deszczu, kiedy Feldman ponownie zabrał głos.

– Tak też zrobiłem, doktorze Carter, tak też zrobiłem. Ale pokolenie pańskich dziadków i ich przeklęte B17 zadbały o to, by z Hamburga nie pozostał kamień na kamieniu. W tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku wszystkie dokumenty KdF dotyczące „Valkirie" zamieniły się w popiół razem z połową miasta. Nie zdołano niczego znaleźć – stwierdził. – Tak więc została tylko „Valkirie". I to nie jest odtworzenie scenerii zbrodni. To sceneria oryginalna, co do ostatniego zakamarka. Cokolwiek się stało, miało miejsce tutaj, między tymi grodziami. A my sprawdzimy, co to takiego było.

– Panie Feldman, ja jestem fizykiem – odpowiedział Carter, jakby rozmawiał z kimś, kto nie rozumie dobrze jego języka. – Naukowcem, jak chyba prawie wszyscy siedzący przy tym stole. Nie wierzę w magię ani w nic, czego nie da się zmierzyć albo wyjaśnić metodą naukową. A podróże w czasie są niemożliwe, przynajmniej na razie, więc jeśli chce pan, żeby ten stary statek zabrał nas z powrotem w tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty rok…

– Nie jestem głupi, doktorze Carter. – Kolejna zatruta strzała. Nawet niepokorny doktor Carter spuścił trochę z tonu na dźwięk głosu Feldmana. – Nie chcę podróżować w czasie. To niemożliwe.

– W takim razie, co pan zamierza? Co tu robimy?

– To doświadczenie naukowe. Chcę powtórzyć krok po kroku cały rejs. Zobaczyć, co mogło się stać. Zmierzyć, a jeśli to będzie możliwe, zrozumieć. I trafić na jakiś ślad.

– A jeśli nam się nie uda? – wtrąciła nagle Kate. – Jeśli po prostu dotrzemy do konkretnego punktu i popłyniemy dalej bez przeszkód?

Feldman wzruszył ramionami.

– Spróbuję tyle razy, ile razy okaże się to konieczne – powiedział. – Tymczasem pani będzie miała fantastyczną historię dla swojej gazety, a ja będę właścicielem luksusowego statku z lat trzydziestych, w dodatku owianego tajemnicą.

Kate od razu zrozumiała, co ma na myśli. W czasach, kiedy wszystkie wycieczkowce wyglądają jak sklonowane i pływają po morzu niczym gigantyczne białe góry, wypchane turystami, którzy zapełniają pokładowe teatry, kasyna i restauracje, „Valkirie" wyróżniała się jak mak na ściernisku. Była delikatna, elegancka, przywodziła na myśl czasy luksusu i splendoru. Poza tym cień dziwnej klątwy dodatkowo zwiększał jej atrakcyjność.

Dziennikarka gwizdnęła pod nosem. Ludzie biliby się, żeby wejść na ten statek. Byliby gotowi zapłacić fortunę, by odbyć podróż w stylu lat trzydziestych oryginalnym transatlantykiem z tamtej epoki. A jej reportaż w „London New Herald" stałby się kampanią reklamową, doskonałą w swej prostocie. Feldman, wielki manipulator. Pewnie od początku miał to zaplanowane…

Młody fizyk o nazwisku Carter nie dawał tak łatwo za wygraną.

– Nic się nie wydarzy – obstawał przy swoim. – Nawet jeśli powtórzymy podróż w tych samych warunkach, jest cała masa zmiennych, które mogą przyjąć różne wartości. Nie wiemy, co sprawiło, że wszyscy pasażerowie zniknęli z pokładu „Valkirie", nie wiemy, jakie były warunki pogodowe. To wszystko na nic, panie Feldman, naprawdę.

– Kontrolujemy główną zmienną, panie Carter – odparł Feldman, bardzo pewny siebie. – I sądzimy, że to ta zmienna była przyczyną wszystkiego.

– „Valkirie" – mruknął Carter w zamyśleniu.

– Niezupełnie – odpowiedział Feldman. – Tak naprawdę…

W tym momencie odezwało się walkie-talkie przyczepione do paska Senki Simović. Serbka odchyliła się, żeby odebrać, po czym szepnęła coś na ucho Feldmanowi.

– Wygląda na to, że wreszcie dotarło nasze wsparcie – oznajmił ożywionym głosem. – Mają państwo ochotę na chwilę wyjść, żeby je zobaczyć? Przy okazji zrobimy sobie małą przerwę.

Wyszli całą grupą na jeden z zewnętrznych tarasów, na którym stały skrzynki z kwiatami i kilka wygodnych leżaków. Kate zauważyła, że znajdują się w górnej części statku. Nie powinni być daleko od mostka kapitańskiego.

Zostawili za sobą wybrzeże i wokół było widać tylko ocean. Do „Valkirie" zbliżał się mały statek w żywym czerwonym kolorze, z dwoma białymi pasami po bokach. Kiedy wyszli na pokład, dwukrotnie głośno zabuczał, na co „Valkirie" natychmiast odpowiedziała, niemal ich ogłuszając.

– „Mauna Loa"! Nasz statek pomocniczy! – zawołał Feldman, przekrzykując syreny.

– Wygląda bardzo znajomo – powiedział Czerenkow z półuśmiechem.

– Powinien! – odparła Senka, włączając się do rozmowy. – To jeden ze starych szpiegowskich statków rybackich, których Związek Radziecki używał w latach siedemdziesiątych. Z zewnątrz wygląda jak niewinny kuter, ale w środku jest nafaszerowany radarami i sprzętem elektronicznym. Kupiliśmy go pod koniec lat dziewięćdziesiątych za cenę złomu.

– Byłem członkiem zespołu pracującego nad niektórymi urządzeniami do zakłócania pola elektromagnetycznego, które ten maluch ma w środku – dodał Czerenkow z nutą nostalgii w głosie.

Kate nie spuszczała oka ze stateczku. Wydawał się niczym w porównaniu z „Valkirie". Jako wsparcie nie wzbudzał dużego zaufania.

Nagle rufa „Mauna Loa" rozbłysła oślepiającym blaskiem. Zaledwie sekundę później usłyszeli wybuch i dotarła do nich fala uderzeniowa. Słup dymu pojawił się równocześnie z okrzykami zdziwienia wszystkich obecnych.

„Mauna Loa" trząsł się niczym królik wleczony przez psa i zboczył z kursu o dziewięćdziesiąt stopni. Marynarze biegli po pokładzie w kierunku rufy, gdzie pojawiły się pierwsze płomienie.

– Co się, do diabła, dzieje, Moore? – zapytał śmiertelnie blady Feldman. – Chcę wiedzieć, co jest grane. Natychmiast!

– Już się robi, panie Feldman. – Moore wyciągnął swoje walkie-talkie i zaczął wyszczekiwać szybkie rozkazy. Trzy minuty później po boku „Valkirie” spuszczono ponton z dwoma uzbrojonymi mężczyznami. Kiedy tylko łódka dotknęła powierzchni wody, wystrzeliła jak z procy w kierunku małego statku rybackiego, który już prawie się zatrzymał, lekko przechylony na sterburtę. Ogień wydawał się praktycznie ugaszony, ale musiało dojść do jakiegoś przecieku. Kilku mężczyzn uwijało się, by zapobiec rozprzestrzenieniu płomieni na rufie; wylewali strumienie wody, które zatapiały pokład stateczku.

– Zatonie? – zapytała zaniepokojona Kate.

Z luku wyciągnięto rannego, niemal nagiego mężczyznę, który obficie krwawił. Nie ruszał się, więc Kate sądziła, że nie żyje.

– Nie sądzę – odparła Senka ponuro. – Gdyby miał zatonąć, już by się to stało. Ale wątpię, żeby mógł z nami popłynąć.

W tym momencie zobaczyły, że wyciągają z luku kolejnego poparzonego marynarza. Nawet z tej odległości było oczywiste, że jest ciężko ranny.

– Klątwa „Valkirie” – szepnął mężczyzna stojący obok Kate. Kiedy zdał sobie sprawę, że dziennikarka usłyszała, co powiedział, podał jej rękę. Był niski, krępy, miał około czterdziestu lat, a nad górną wargą ogromne wąsiska. Mówił z akcentem, którego Kate nie potrafiła rozpoznać. – Will Paxton. Geolog, specjalista od formacji podwodnych. Chociaż nie sądzę, żeby to mogło pomóc biedakom z „Mauna Loa”.

– Nie ma żadnej klątwy – warknęła Senka, wskazując na walkie-talkie, przez które wcześniej rozmawiała. – To był sabotaż. Ktoś podłożył na „Mauna Loa” bombę.

Wszyscy spojrzeli po sobie oniemiali. A Kate zdała sobie sprawę, że ta podróż staje się dużo bardziej niebezpieczna i skomplikowana, niż myślała na początku. Dużo bardziej.

rozdział XVII

Kiedy padło słowo „bomba”, Moore, szef obstawy, zaczął wykrzykiwać rozkazy. Zanim pasażerowie zdążyli się zorientować, zostali otoczeni przez pół tuzina uzbrojonych ochroniarzy, którzy wypadli nie wiadomo skąd, i zaprowadzeni z powrotem do wnętrza „Valkirie”. Niektórzy protestowali, zirytowani jak przechodzień, któremu nie pozwalają oglądać miejsca krwawego wypadku samochodowego i każą przechodzić dalej, ale większość od razu się podporządkowała. Kate zrobiła pospiesznie kilka zdjęć swoim canonem, zanim zmuszono ją, by weszła do środka.

Moore był bliski napadu szału. Jego źrenice tak się zmniejszyły, że wyglądały jak dwa małe błyszczące czarne punkciki. Nie przestawał wykrzykiwać rozkazów przez krótkofalówkę. Podszedł do Feldmana i powiedział mu coś, czemu stary Żyd z powagą przytaknął ruchem głowy.

– Uwaga. – Moore podniósł głos. – To sytuacja alarmowa. Proszę wrócić do swoich kajut, a my w tym czasie sprawdzimy stan bezpieczeństwa na pokładzie statku. Pozostaną tam państwo do czasu ogłoszenia kolejnego komunikatu. Surowo zabrania się wychodzić do momentu, aż zostanie wydany nowy rozkaz. Kto nie wypełni polecenia, natychmiast opuści pokład, ale wcześniej będzie musiał zamienić kilka słów ze mną… sam na sam.

– Niech pan posłucha, przyjacielu – odezwał się ze swoim ospałym południowym akcentem Carter, Amerykanin w kwiaciastej koszuli, bezczelnie przyglądając się ochroniarzowi. – Po co takie zachowanie? Z tego, co wiem, nie jesteśmy w wojsku.

Moore spiorunował go wzrokiem. Carter, niewzruszony, starannie wycierał okulary brzegiem koszuli. Porządnie je wyczyścił, przyjrzał im się pod światło niezadowolony, po czym wrócił do polerowania szkieł. Wreszcie usatysfakcjonowany założył je na nos.

– Odkąd wszedłem na ten statek, spędziłem więcej czasu zamknięty w kajucie niż poza nią. Mam wrażenie, że ostatnio, kiedy oglądałem mój paszport, byłem jeszcze wolnym obywatelem. Myślę, że zasługujemy przynajmniej na jakieś wyjaśnienie.

Moore podszedł do Cartera tak blisko, że czubki ich nosów niemal się zetknęły. Brytyjczyk był górą mięśni i przewyższał Amerykanina o głowę, ale ten patrzył na niego niewzruszenie, jakby to nie o niego chodziło.

– Niech pan posłucha – głos Moore’a zabrzmiał szorstko i groźnie. – To nie jest zaproszenie ani rada. To rozkaz. Ten, kto nie wypełni go dobrowolnie, zrobi to w towarzystwie dwóch moich ludzi. Mają państwo dziesięć minut. Wybór należy do pana.

Nie oglądając się za siebie, podszedł do Senki i opuścił salę Gneisenaua razem z trzema ochroniarzami, pośród odgłosów skrzypiących butów i szczęku karabinów.

Piętnastka pasażerów spojrzała po sobie, bezradna i zdezorientowana. Wypłynęli z Hamburga zaledwie pięć godzin temu, a podróż, mimo luksusowych dekoracji, coraz

mniej przypominała pocztówkowy rejs. Feldman podszedł do nich w milczeniu.

Pierwszy raz Kate widziała na jego twarzy zatroskanie. Lekki ślad, niemal cień, ale była to pierwsza rysa na granitowej fasadzie, za którą ten mężczyzna ukrywał swoje uczucia. Dopiero to naprawdę ją wystraszyło. Skoro Feldman się martwił, sytuacja musiała być poważna.

– Błagam państwa, żebyście posłuchali pana Moore'a – powiedział pojednawczym tonem. – Czasami bywa dość szorstki, jak teraz, ale jest bardzo skuteczny.

– Co się stało, panie Feldman? – zapytała Kate. Za milczącym przyzwoleniem stała się rzeczniczką całej grupy. Wszyscy zdawali się myśleć: „Niech mówi dziennikarka".

– W maszynowni „Mauna Loa" eksplodował jakiś ładunek wybuchowy, wśród załogi jest co najmniej dwóch zabitych i jeden ciężko ranny. Poza tym statek został poważnie uszkodzony i teraz dryfuje – wyjaśnił. – Nie może płynąć z nami. Podejrzewamy, że podczas załadunku w porcie albo w trakcie przygotowań przed podróżą ktoś podłożył bombę i zaprogramował ją tak, że wybuchła na pełnym morzu. Co gorsza, pomimo wszystkich środków bezpieczeństwa, istnieje możliwość, że bomba znajduje się także tutaj, na pokładzie „Valkirie"…

Informacja ta wywołała pomruk niedowierzania. Pasażerowie odruchowo zbili się w zwartą grupkę.

Kate popatrzyła uważnie na Feldmana, który wytrzymał jej spojrzenie. Próba przejechania, śmierć Duffa Carrolla, a teraz eksplozja… Zdecydowanie ktoś nie chciał, żeby projekt „Valkirie" został zrealizowany.

– Musimy porozmawiać – powiedziała niemal szeptem, ale wystarczająco głośno, żeby usłyszał ją Feldman.

– Zrobimy to – przytaknął. – A teraz proszę…

Kate odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi. Mijając Cartera, dała mu znak ręką. Amerykanin, który wyglądał na buntowniczego ducha, niechętnie poszedł za dziennikarką. Pozostali, jak zdezorientowane owce, zwartą grupą podążyli ich śladem, szepcząc między sobą.

– Dlaczego go pani posłuchała? – mruknął fizyk, kiedy szli razem korytarzem. – Jeśli jest tu rzeczywiście jakaś bomba, może być gdziekolwiek.

Kate nie odpowiedziała. Wreszcie z uśmiechem spojrzała na Cartera.

– Śmiało sobie poczynałeś z Moore'em. Niemal bezczelnie – zwróciła się do niego, przechodząc na ty.

Carter wzruszył ramionami, lekko się czerwieniąc.

– Nie znoszę takich nadętych pyszałków.

Kate uśmiechnęła się na wspomnienie tej sceny. Moore mógł potrząsnąć nim jak workiem kartofli, ale Carter się nie przestraszył. A przynajmniej tego nie okazał.

– Feldman ma rację. I Moore też, na swój sposób – powiedziała wreszcie. – Jeśli ktoś podłożył bombę, mógł to zrobić tylko w wyremontowanej części. Reszta statku została

zaplombowana jeszcze przed wypłynięciem z portu, a na pokład wchodzili tylko zaufani ludzie Feldmana. Jeżeli nie będziemy się im plątać pod nogami, Moore i jego chłopaki szybciej przeszukają statek.

Carter mruknął coś pod nosem, zastanawiając się nad słowami Kate. Wreszcie przyznał jej rację.

– Co ten Feldman knuje? – zapytał. – Wiesz coś, czego nie powiedział pozostałym?

– Nie – odparła Kate, myśląc o Duffie Carrollu. Zastanawiała się, czy powinna opowiedzieć o wszystkim Carterowi, ale na razie odrzuciła ten pomysł.

– W porządku – odpowiedział Carter z beztroskim uśmiechem. – Polubiłem cię, Kate Kilroy. Pewnie dlatego, że jako jedyna nie patrzysz na Feldmana, jakby był Zeusem… A może powinienem powiedzieć Jahwe? – stwierdził i wybuchnął śmiechem.

– Przyznam, że zachowuje się trochę jak mesjasz – odparła wesoło. – Czy możesz opowiedzieć mi coś o sobie i o wszystkich tych ludziach?

– Nie wiem za bardzo, co się tutaj dzieje. Jeszcze dwa tygodnie temu byłem u siebie, na wydziale fizyki uniwersytetu w Atlancie. Zadzwonił telefon. Ktoś zaproponował mi udział w naukowej ekspedycji. Oczywiście się zgodziłem, dają mi prawdziwą fortunę za tę piętnastodniową podróż. Niestety, niewiele mi powiedziano. Tak samo jak im wszystkim – wskazał kciukiem na pozostałych. – Są wśród nich astrofizycy, matematycy, geolog, dwóch meteorologów, a nawet facet, którego widziałem chyba kiedyś w telewizji, ale nie pamiętam gdzie. Wszyscy zgodziliśmy się w ciemno. Nikt nic nie wie, poza Czerenkowem. On jest szefem.

– Czerenkow? – Kate odwróciła się zaskoczona w stronę Rosjanina, który rozmawiał z kimś, żywo gestykulując. – Dlaczego on?

– Jako jedyny zna cały plan Feldmana. To on zaproponował nasze nazwiska. On zwerbował członków tego dziwacznego zespołu. A mogę ci zagwarantować, że niełatwo zebrać taką ekipę. Znam ze słyszenia niektóre z tych osób i wiem, jaką mają reputację. Założę się, że jeśli wyszli ze swoich laboratoriów, to dlatego, że dostaną w zamian wielkie, naprawdę wielkie pieniądze.

– A na czym polega projekt? – zapytała szybko Kate. Dotarli do korytarzy, przy których mieściły się ich kajuty. Zdenerwowani ochroniarze popędzali ich, by jak najszybciej weszli do środka.

– Nie wiem – odpowiedział Carter, zanim zniknął w swoim pokoju. – Ale założę się, o co chcesz, że ma coś wspólnego z „osobliwością Czerenkowa”.

– Jaką osobliwością? – zapytała Kate, ale Carter już zamknął drzwi. Będzie musiała zapytać go o to później.

rozdział XVIII

Kiedy Kate wchodziła do swojej kajuty, miała w głowie dużo więcej pytań niż odpowiedzi. Zdjęła buty i rozpuściła włosy, próbując uporządkować wszystkie informacje, jakimi dysponowała. „Valkirie”, zespół naukowców, zagrożenie ze strony kogoś, kto próbował wyeliminować wszystkie osoby związane z projektem.

Głos, który słyszała w korytarzu.

Wspomnienie pojawiło się w jej głowie niczym trujący bluszcz, ale szybko je od siebie odsunęła. To się nie wydarzyło. Napięcie, sugestia, że jest na statku mającym sławę nawiedzonego, nerwy. Można to było wyjaśnić na tysiąc sposobów. Ockham.

Usiadła na brzegu łóżka. Przez dziesięć minut trwała nieruchomo, ze spojrzeniem zatopionym w jakimś odległym punkcie, błądząc myślami wokół wszystkiego, co przeżyła tego dnia.

Postanowiła wziąć kąpiel. To ją zrelaksuje. Podeszła do ogromnej wanny pokrytej mozaiką i odkręciła kurki z brązu. Po kilku sekundach łazienkę wypełniła para, nadając jej dekadencki wygląd starożytnej termy.

Weszła do gorącej wody i głęboko odetchnęła. Para rysowała w powietrzu dziwne wzory. Kate zamknęła oczy, odprężona. Czuła, jak małe ceramiczne płytki uwierają ją w pośladki, ale nie do tego stopnia, żeby było jej niewygodnie. Po prawej stronie stał pojemnik z solami kąpielowymi. Wrzuciła garść do wody; natychmiast wszystko przesiąkło cudownym zapachem. Zamknęła oczy i pozwoliła się ukołysać atmosferze, którą stworzyła. Westchnęła zadowolona.

To było coś niemal nieuchwytnego. Prawie to przeoczyła. Drzemała od kilku minut, kiedy jej nozdrza poczuły, że przez zapach soli kąpielowych przebija inny, delikatniejszy, jednocześnie metaliczny i oleisty.

Łup!

W kajucie rozległ się odgłos uderzenia. Kate usiadła w wannie, stawiając w stan gotowości wszystkie zmysły. Drzwi oddzielające łazienkę od pokoju były uchylone, tak jak je zostawiła. Para uciekała przez szparę, kreśląc w powietrzu senne zawijasy. Ktoś poruszył się po drugiej stronie drzwi, ciągnąc coś ciężkiego. Potem usłyszała głuchy dźwięk, jakby trzepano największą poduszkę świata. I dziwny, ciężki oddech. Jak przedśmiertne rzężenie. Wdech, dyszenie, znowu dyszenie, chrapliwy odgłos i jeszcze raz to samo. Kate zjeżyły się włosy na głowie.

Siedziała naga w wannie i słyszała łomot własnego serca pompującego adrenalinę. Ktoś był w jej kajucie.

„Albo coś, Kate. Albo coś”.

Odwróciła się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć jej za broń. Chwyciła ciężki pojemnik z solami i wyszła z wanny. Starała się nie robić hałasu, jednak kiedy wstała, spłynął z niej istny wodospad wody, zdradzając jej obecność. Hałas po drugiej stronie drzwi ucichł. Kate zaklęła w duchu. Nie tracąc czasu, by zakryć czymś nagie ciało, podeszła do drzwi. Drżała, jakby rażono ją prądem.

Jednym ruchem otworzyła drzwi, unosząc porcelanowe naczynie nad głową.

Nie było nikogo. Mimo to czuła, jak w jej brzuchu powstaje lodowa kula.

Pokój przypominał pobojowisko. Przeniesiono z kanapy jej walizkę, która teraz stała obok biurka. Łóżko było rozgrzebane, jakby jakiś furiat zerwał pościel, a potem uderzał nożem w materac i wypruł całą jego zawartość. Poszewka poduszki leżała u stóp Kate. Podniosła ją i z przerażeniem odkryła, że jest zmoczona jakimś płynem o bardzo intensywnym zapachu. Na oparciu kanapy, także wybebeszonej, widniała ciemna ziemista plama.

Kate poczuła się całkowicie bezbronna, kiedy stała tam zupełnie naga. Nie odwracając się, krok po kroku wróciła do łazienki, serce waliło jej, jakby chciało wyskoczyć przez usta. Jedną ręką zakręciła kran, drugą chwyciła ręcznik, którym się owinęła.

„Spokojnie, Kate. Wyjdź na korytarz. Zawołaj ochronę. Bądź szybka”.

Ponownie otworzyła drzwi i rzuciła się do przodu, gotowa pędem przebiec przez kajutę, ale stanęła jak wryta. Jej kolana zadrżały, czuła, jak z twarzy odpływa jej cała krew.

– To niemożliwe. To nie może być prawda – jęknęła.

Pokój był w nienagannym stanie. Łóżko pościelone, bez jednej zmarszczki. Obicie kanapy wyglądało nieskazitelnie, a walizka leżała dokładnie tam, gdzie zostawiła ją kilka godzin wcześniej. Czując się jak uwięziona w jakimś koszmarze, Kate podeszła do łóżka i zdjęła poduszki.

Wszystkie były suche. Całkowicie suche.

Zakręciło jej się w głowie. To nie miało najmniejszego sensu.

„Wiem, co widziałam. Nie jestem wariatką”.

Otępiała obeszła kajutę; czuła się, jakby miała w głowie kilogram waty. Jej niespokojny wzrok przeskakiwał z miejsca na miejsce. Nagle zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma w dłoni pojemnik z solami kąpielowymi. Po plecach przeszedł jej dreszcz – zrozumiała, że to nie był sen.

To się wydarzyło naprawdę.

Zaczęła dyszeć, niezdolna kontrolować własnego oddechu. Coś było z nią w kajucie. Odwróciła się jeszcze bardziej przerażona.

Usłyszała dwa mocne uderzenia. Wystraszona krzyknęła i upuściła pojemnik, który potoczył się po dywanie. Znów coś stuknęło, tym razem niecierpliwie.

Dopiero wtedy dotarło do niej, że ktoś puka do drzwi. W korytarzu słychać było głosy.

Czuła, że kolana trzęsą się jej jak galareta. Usiłując zapanować nad oddechem, szybko owinęła się ręcznikiem i otworzyła. Zobaczyła Senkę i jednego z żołnierzy

Moore’a czekających pod drzwiami.

– Cześć, Kate. – Senka potrząsnęła długimi jasnymi włosami i uśmiechnęła się szelmowsko, kiedy zauważyła, że Kate jest naga. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Musimy przeszukać również kajuty pasażerów. To potrwa dosłownie minutę.

Weszli, nie prosząc o pozwolenie. Podczas gdy człowiek Moore’a przetrząsał metodycznie łazienkę i pokój, Kate siedziała na kanapie z nogą założoną na nogę, przyciskając ręcznik do ciała i próbując zapanować nad drżeniem, które nią wstrząsało.

– Dobrze się czujesz, Kate? – zapytała Senka. – Jesteś bardzo blada.

Kate pokiwała głową i wymamrotała ciche „tak”. Nie chciała, żeby wzięli ją za wariatkę. Nawet ona sama nie była pewna, czy ma po kolei w głowie.

– To twój bagaż, jak sądzę. – Senka wskazała walizkę Kate leżącą na kanapie, jeszcze nierozpakowaną. – Muszę go przejrzeć. Nie masz nic przeciwko temu?

Kate skinęła przyzwalająco głową. Pragnęła jedynie, żeby jak najszybciej sobie poszli.

Serbka otworzyła walizkę (tę, która chwilę wcześniej sama się przeniosła albo ktoś ją przeniósł) i zaczęła wyjmować jej zawartość. Kiedy doszła do bielizny Kate, przerwała na moment, a w kącikach jej ust zagościł figlarny uśmiech.

– To jest naprawdę ponętne – powiedziała, trzymając w dłoniach malutkie czarne stringi z czerwonym wykończeniem na górze. – Cała twoja bielizna tak wygląda?

Kate potrząsnęła głową zdenerwowana, ale nie odpowiedziała. Nie zamierzała dać się wciągnąć w tę grę.

Nagle Serbka zesztywniała i nieufnie spojrzała na dziennikarkę.

– Co to jest? – zapytała, pokazując urnę z prochami Roberta.

– To mój mąż – odparła Kate. Ton jej głosu stał się lodowaty. – A raczej to, co z niego zostało.

– Zawsze podróżujesz z prochami męża? – Senka patrzyła na nią z niedowierzaniem. Odkręciła wieczko i zajrzała do środka. Odrobina popiołu wysypała się na dywan, pozostawiając szary ślad na perskim wzorze.

– Zostaw urnę. Natychmiast – głos Kate był lodowaty, przebijała spod niego tak wielka złość, że rozbawiona twarz Senki zamarła w grymasie zażenowania.

Kate patrzyła na nią rozognionym wzrokiem. Jej skronie pulsowały. Panika, którą odczuwała jeszcze kilka minut wcześniej, zamieniała się we wściekłość i chęć, żeby ukręcić komuś głowę. Bez namysłu wstała, podeszła do Serbki i wyrwała jej urnę z rąk. Mało brakowało, a zgubiłaby ręcznik, ale była tak zła, że nawet nie zwróciła na to uwagi.

– Nie rób sobie z tego żartów – szepnęła jej do ucha. – Bo pożałujesz, że mnie poznałaś. To ostatnie ostrzeżenie.

Senka cofnęła się o krok z dziwnym błyskiem w oczach. Były w nich obawa, szacunek i… podniecenie.

– Kotka pokazuje pazurki – mruknęła. – Trzeba będzie o tym pamiętać.

W tej samej chwili ochroniarz, który przyszedł z Senką, wychylił się przez drzwi łazienki i pokręcił głową. Przeszukanie dobiegło końca.

– Miło było cię zobaczyć, jak zwykle – pożegnała się Senka, unosząc brew. – Na razie.

Kiedy wyszli, Kate zamknęła drzwi; nadal dygotała ze złości. Łzy cisnęły jej się do oczu, ale postanowiła nie płakać. Drżącymi rękami postawiła urnę z prochami Roberta na stole i uklękła na dywanie, próbując zebrać rozsypane drobinki popiołu.

Było ich tak niewiele, że zaledwie pobrudziła sobie koniuszki palców. Kiedy ponownie przeciągnęła dłonią po powierzchni dywanu, większość zniknęła pomiędzy włóknami, pozostawiając szary ślad na powierzchni.

Kap, *kap*. Dwie pierwsze łzy spadły niczym krople deszczu, ale Kate jeszcze nie zdała sobie sprawy z tego, że płacze. Po chwili deszcz przekształcił się w ulewę. Wyrzuciła z siebie cały ból i strach, jakie nosiła w środku. Kolejny raz poczuła się straszliwie samotna.

rozdział XIX

Przeszukanie statku zajęło więcej czasu, niż zakładała Kate. W porze obiadu pani Miller, z mocno ściśniętym kokiem i zakrzywionym nosem, zajrzała do jej pokoju w towarzystwie kelnera, żeby podać posiłek. Kate próbowała nawiązać z nią rozmowę, ale kobieta odpowiedziała jedynie ciepłym uśmiechem i obietnicą, że „to małe zamieszanie" szybko się skończy. Kate nie uwierzyła w ani jedno jej słowo. Głównie dlatego, że kelner pchający wózek ze srebrnymi tacami miał pistolet w kaburze ukrytej pod białą marynarką uniformu i był spięty niczym struna.

Nadal czuła się zdenerwowana i skołowana z powodu wydarzenia sprzed kilku godzin. Przetrząsnęła całą kajutę (mimo że wcześniej zrobili to Senka i człowiek Moore'a), ale nie znalazła żadnego wyjaśnienia tego, co widziała.

Tego, co się wydarzyło.

Kate nie miała wątpliwości. Pojemnik z solami, jej mokre ślady na dywanie… to wszystko istniało naprawdę. Nie przyśniło się jej. Nie wiedziała jedynie, które elementy były prawdziwe, a które nie. Sama tego nie rozumiała.

Zapadł zmrok. Przez iluminatory kabiny, w świetle rzucanym przez statek, dało się dostrzec jedynie wzburzone białe fale otaczające „Valkirie", dalej była już tylko czerń.

Ktoś zastukał do drzwi. Kelner w uniformie czekał, żeby wręczyć jej kopertę. Kate zauważyła, że jej kajuta nie jest jedyną otwartą w korytarzu – z pozostałych wyglądały głowy reszty pasażerów. Niektórzy byli zaspani, inni mieli znudzone albo zmęczone twarze. Wszyscy trzymali w dłoniach koperty, sprawnie rozdzielane przez kelnera.

Kate otworzyła swoją. Było to oficjalne zaproszenie na kolację tego wieczoru. Kartka miała w rogu symbol KdF, ale bez swastyki, ozdabiał ją śliczny sztych przedstawiający „Valkirie". W środku znajdowało się menu zredagowane piękną niemczyzną. Czytając je, Kate pomyślała, że na pewno identyczne dania zaserwowano pierwszego wieczoru w czasie inauguracyjnego rejsu. Feldman bardzo dbał o takie szczegóły.

Znowu popatrzyła na pozostałych pasażerów, którzy stali jeszcze w korytarzu. Zadała sobie nagle pytanie, czy któryś z nich doświadczył… tego co ona. A jeśli tak, czy zamierzał o tym powiedzieć. Jej wzrok wędrował od twarzy do twarzy. Wydawało się, że większość pasażerów odczuwa ulgę z powodu końca izolacji, a kilku z nich jeszcze się do końca nie obudziło. Nie wyglądało na to, by ktoś z nich przeżył cokolwiek niezwykłego w ciągu ostatnich godzin.

Porozmawia z Carterem. Gadatliwy fizyk z pewnością by jej o wszystkim opowiedział.

Spojrzała na zegarek i zaklęła. Do kolacji brakowało pół godziny. Miała mało czasu. Wróciła do kajuty i ubrała się, elegancko, ale bez przesady. Zrobiła sobie dyskretny makijaż, za to zdecydowała się na staranną fryzurę. Nie chciała wyglądać niechlujnie, ale

nie zamierzała też wystroić się jak na bal. Nie miała pojęcia, co przewidziano na ten wieczór. Upinając rude włosy, pomyślała w przystępie wisielczego humoru o wytwornych przyjęciach, z których relacje pisała zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Jak bardzo się różniły od tego wszystkiego!

Dziesięć minut później szła żwawo korytarzem w towarzystwie dwóch chemików w średnim wieku. Obaj wyglądali na bardzo zadowolonych z tego, że mogą towarzyszyć młodej, ładnej dziewczynie, i prześcigali się, który będzie bardziej dowcipny. Z lekkimi wyrzutami sumienia pomyślała, że prawdopodobnie nie podziwiają na co dzień zbyt wielu damskich nóg, i zdecydowała, że raz może wykorzystać swoją kobiecość. W końcu ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnęła, była samotność.

Przed pójściem do jadalni przespacerowali się po statku. Każde kolejne pomieszczenie wywoływało pełne zdumienia okrzyki. Na „Valkirie" luksus szedł w parze z dobrym gustem. W zamyśle pierwszych projektantów statek, a przynajmniej część przeznaczona na pierwszą klasę, miał być wielką neoklasyczną rezydencją, gdzie pasażerowie mogli się przechadzać i spędzać czas w wykwintnej scenerii. Kasyno z ruletkami i stołami karcianymi, palarnie, bogato zaopatrzona biblioteka… Wyglądało to niesamowicie. Kate przystanęła, żeby obejrzeć półki z książkami, i odkryła, że oryginalny zbiór zastąpiono niedawno wydanymi powieściami i biografiami. Były tam całe tony bestselerów oraz dział bieżących czasopism i gazet.

Nie zdziwił jej widok kilku numerów „London New Herald" w stosie różnojęzycznych dzienników. Ale choć długo szukała, nie znalazła nawet jednego egzemplarza *Mein Kampf* ani żadnej z książek, które kiedyś musiały stać na tych półkach. Troska Feldmana o historyczną wierność nie sięgała aż tak daleko.

Po przecięciu wielkiego holu z marmurowymi schodami i gigantycznymi orłami w końcu dotarli do jadalni. Dla Kate była to emocjonująca chwila. Wiedziała, że wchodzi do tej samej sali, do której kilkadziesiąt lat wcześniej zapuścili się po ciemku Duff i jego towarzysze i w której zobaczyli wielką pustą przestrzeń z niemowlakiem na środku parkietu.

Przyszli jako ostatni. Pozostali zaproszeni zebrali się już wokół bufetu z koktajlami stojącego w głębi sali, obok podium dla orkiestry, i coś popijali. W drugim rogu Kate zobaczyła stół przygotowany dla dwudziestu paru osób; nakrycia błyszczały w świetle lamp. Poczuła rozkoszny zapach pieczonej ryby i jej żołądek lekko zaburczał. Była głodna.

Feldman przywitał się z nią uprzejmie, ale pochłaniała go ożywiona dyskusja z Czerenkowem. Rosjanin gestykulował, a od czasu do czasu wyrzucał małe pociski ze śliny, które rozbijały się o klapę marynarki Feldmana. Żyd nie zdawał sobie z tego sprawy – a może tylko udawał, że nie widzi – bo jego twarz wyrażała całkowite skupienie.

– Kate! – Usłyszała, że ktoś ją woła. Odwróciła się i zobaczyła Cartera, który dawał jej znaki, stojąc w grupce kilku osób. Znała jedną z nich – Paxtona, geologa o oszałamiających wąsach. Przeprosiła swoich towarzyszy i poszła w tamtym kierunku.

– Pozwolę sobie zauważyć, że jest pani najpiękniejszą kobietą na pokładzie – powiedział Paxton z lekkim ukłonem.

Kate spodobał się staroświecki styl świadomie przyjęty przez tego człowieka. Uśmiechnęła się i wskazała na Senkę, która stała samotnie w kącie, wodząc zielonkawymi oczami po całej grupie, niczym jastrząb pilnujący kurnika.

– Uważam, że ona jest o wiele ładniejsza ode mnie – stwierdziła. – Mogłaby być modelką.

– Senka Simović? – Paxton pokręcił smętnie głową. – Też jest śliczna, bez wątpienia, ale obawiam się, że nie wiedziałbym, co mam z nią robić. Niestety, każde z nas gra w co innego.

– Co pan ma na myśli? – zapytała zdziwiona Kate.

– Sądzę, że pan Paxton chce powiedzieć, że Senka jest lesbijką – zauważył Carter ze śmiechem. – Myślałem, że już się zorientowałaś.

– Och! – mruknęła Kate, oblewając się rumieńcem. Czasami brakowało jej obycia towarzyskiego, które pozwoliłoby uniknąć tak kłopotliwych sytuacji jak ta. – W każdym razie dziękuję, jest pan bardzo miły, panie Paxton.

– Tak czy inaczej, powiedział prawdę – dodał Carter, którego bawił widok zmieszanej Kate.

– Jak spędzili panowie popołudnie? – zapytała Kate, próbując przenieść rozmowę na bardziej dla niej wygodny grunt. – Zauważyliście coś dziwnego u siebie w kajutach?

Carter i Paxton popatrzyli na siebie i wzruszyli ramionami.

– Nie – odparli niemal jednocześnie.

– Prawdę mówiąc, prawie cały ten czas przespałem – wymamrotał geolog.

– A ja siedziałem przy laptopie nad projektem z termodynamiki jednego z moich studentów, który muszę poprawić. – Nagle Carter zmarszczył czoło. – Nie pamiętam, czy skończyłem go sprawdzać, czy nie. Chyba też usnąłem. Kajuta bez radia i telewizji jest mało inspirującym miejscem.

Kate już miała im opowiedzieć, co przeżyła, ale właśnie ogłoszono, że kolacja została podana.

„Cholera! Obudź się, Kate. Musisz zwierzyć się komuś ze wszystkiego, co tu przeżywasz, inaczej zwariujesz. Może już zwariowałaś”.

Usiedli za stołem bez żadnego ustalonego wcześniej porządku, kierując się raczej wzajemnymi sympatiami. Kate już miała zająć miejsce obok Cartera i Paxtona, kiedy Feldman wskazał jej krzesło po swojej lewej stronie. Dziennikarka rzuciła rozbawione spojrzenie towarzyszom, którzy wyglądali na bardzo rozczarowanych, i usiadła obok gospodarza.

– Jak się pani podoba „Valkirie”? – zapytał Feldman.

– Miałam mało czasu, żeby ją obejrzeć – odparła Kate uszczypliwie – ale muszę przyznać, że to niesamowity statek. Chyba nie ma takiego drugiego.

– Co do tego nie mam żadnych wątpliwości – wysapał zadowolony Feldman i upił łyk wina ze swojego kieliszka.

– Jest mi pan winien wyjaśnienie, panie Feldman. Chodzi o bomby. O Duffa. Pan wie, kto za tym wszystkim stoi.

Feldman przytaknął zamyślony.

– To prawda, Kate – odparł, zabierając się do tuńczyka przybranego warzywami. – Opowiem o tym całej grupie, wszyscy zasługują, żeby wiedzieć. Ale dopiero po kolacji.

Kate, zrezygnowana, chwyciła sztućce i przystąpiła do jedzenia. Zdała sobie sprawę, że jest głodna jak wilk. Z rozbawieniem stwierdziła, że prawie jedna trzecia gości, w tym także Carter, to wegetarianie, którzy zamówili specjalne dania.

W czasie kolacji przy stole toczyła się luźna, miła rozmowa, która jednak miała w sobie coś powierzchownego i nerwowego, jak pogawędki prowadzone w windzie. Wszyscy na coś czekali, chcieli, żeby to interludium już się skończyło, chcieli wrócić do przerwanego popołudniowego spotkania. Poznać odpowiedzi na pytania, które w nieunikniony sposób musiały się przecież pojawić.

Kiedy Feldman zaproponował, by wypić kawę w sali balowej, wszyscy z ulgą mu przyklasnęli. Wstali w pośpiechu, zostawiając niedokończone desery, żeby jak najszybciej znaleźć się na miejscu.

Kate stwierdziła, że Feldman bardzo poważnie podszedł do sprawy. Oprócz stołu otoczonego wygodnymi krzesłami dla wszystkich, ustawiono tam jeszcze pulpit, a obok ekran. Na stole stał włączony projektor i jakieś urządzenie, które wyglądało jak skrzyżowanie telefonu satelitarnego z komputerem.

Zajęli miejsca i czekali. Feldman stanął za pulpitem i zaczął przemawiać głębokim głosem, z półuśmiechem na twarzy. Jego mowa ciała budziła zaufanie.

– Dobry wieczór. Nie sądziłem, że będę musiał zebrać państwa o tak późnej porze, ale zważywszy na to, co się dziś wydarzyło, liczę na państwa wyrozumiałość.

Pomruk przyzwolenia. Zwierzęcy magnetyzm Feldmana znowu w akcji, pomyślała Kate, zaintrygowana.

– Najpierw krótkie wyjaśnienie tego, co miało miejsce dziś rano: to był nieszczęśliwy wypadek. Przysłana z Hamburga ekipa techników potwierdziła, że wybuch w maszynowni „Mauna Loa” to zwykły przypadek. Pękł zawór ciśnieniowy. Jego stan pozostawiał wiele do życzenia i spowodował krótkie spięcie, które doprowadziło do pożaru. Silnik statku ma ponad trzydzieści lat i wygląda na to, że w czasach, z których pochodzi, nie przeprowadzano odpowiedniej kontroli jakości. Powiedziano mi, że to zmęczenie materiału w połączeniu z korozją. – Przejrzał papiery, które miał przed sobą, i ponownie podniósł głowę. – Typowy problem na starych radzieckich statkach…

Kate sądziła, że się przesłyszała. Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Feldman bezczelnie kłamał. Widziała błysk eksplozji i chociaż nie była ekspertką w tej dziedzinie, miała pewność, że nie pękł żaden zawór ciśnieniowy. Rozejrzała się dyskretnie dookoła i zobaczyła, że większość naukowców oddycha z ulgą na wieść, że nie poluje na nich żaden szalony terrorysta. Tylko Carter był pogrążony w myślach, nie wierzył w tę historię, tak jak ona.

– …Rzecz jasna, przeszukanie „Valkirie” potwierdziło, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo na pokładzie tego statku – zakończył Feldman, wywołując burzę oklasków.

Czerenkow wstał i odezwał się przymilnym tonem:

– Myślę, że wyrażę zdanie wszystkich, jeśli podziękuję za wysiłki, jakie włożył pan, by czuwać nad naszym bezpieczeństwem – powiedział z wyraźnym rosyjskim akcentem. – Dzięki temu będziemy mogli jak najszybciej przystąpić do prac nad naszym projektem.

– Bez wątpienia, profesorze – odparł Feldman. – Nie traćmy więcej czasu. Światła, proszę.

Lampy w sali przygasły. Włączył się rzutnik i na ekranie wyskoczyło czarno-białe zdjęcie „Valkirie”. Kate przeszedł dreszcz. Odpowiedzi. Nareszcie.

Feldman zaczął mówić.

rozdział XX

– Dwudziestego ósmego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, o czwartej pięćdziesiąt siedem rano znaleziono ten statek, kiedy dryfował mniej więcej na wysokości pięćdziesięciu trzech stopni, dziewięćdziesięciu czterech minut i siedemnastu sekund szerokości geograficznej północnej i dwudziestu ośmiu stopni, czterdziestu siedmiu minut i piętnastu sekund długości geograficznej zachodniej. Nie znamy dokładnego miejsca, bo załoga, która natknęła się na „Valkirie", zanotowała położenie dopiero po kilku godzinach. Przypuszczam, że bardziej troszczyli się o to, żeby nie umrzeć ze strachu.

W sali rozległy się śmiechy. Feldman ciągnął dalej.

– Nie powiem nic nowego, jeśli powtórzę, że na pokładzie nie było pasażerów, poza mną. Wszyscy państwo o tym wiedzą. Jednak choć wydaje się to niezwykle dziwne, „Valkirie" nie jest odosobnionym przypadkiem. Nie jest nawet pierwszym. Takie sytuacje zdarzały się niejeden raz. Prawdę mówiąc, wiele razy.

Wyświetlił inne zdjęcie – na ekranie pojawiła się mapa świata z kilkudziesięcioma czerwonymi punktami rozproszonymi nieregularnie po oceanach.

– Odkąd istnieją pisemne relacje, mamy mnóstwo świadectw dotyczących statków, które znikają i pojawiają się później bez załogi. Herodot, geograf ze starożytnej Grecji, wspomina w swoich pismach o co najmniej trzech różnych przypadkach. Nazywa je „statkami bez duszy". Strabon, Pliniusz, Agrykola, Manethon… dziesiątki innych pisarzy i kronikarzy z okresu starożytności opisują mroczne historie dryfujących statków; wiozą cały ładunek, nie ma na nich śladów zniszczenia ani przemocy, brakuje jednak załogi. Jeśli poszukamy w źródłach chińskich, indyjskich czy japońskich, znajdziemy dokładnie to samo. Historia „statków bez duszy" powtarza się raz za razem w starożytnych tekstach z całego świata.

– Przypuszczam, że niektóre z tych przypadków, jeśli nie wszystkie, miały jakieś wytłumaczenie. – Z ciemności dobiegł głos Cartera.

– Niewątpliwie wiele z nich tak. Napady piratów, epidemie, statki, które zerwały się z cumy z powodu sztormu, błędy człowieka… Przyczyny są rozmaite. Ale znacznej części przypadków nie dało się wytłumaczyć. Jak przypadku „Valkirie".

Feldman wcisnął klawisz. Na ekranie pojawiały się jedno po drugim zdjęcia starożytnych rękopisów w różnych językach i wizerunki starych statków: galer, galeonów, liburn, szebek. Rzucały cienie na twarz Feldmana i przez moment starzec przypominał Kate mrocznego czarnoksiężnika przywołującego zjawy, których nie należało wzywać. Albo przywołującego coś, co zdolne jest zdemolować kajutę, a potem przywrócić jej dawny stan. Po plecach przebiegł jej dreszcz.

– Problem ze starożytnymi źródłami polega na tym, że zazwyczaj są fragmentaryczne

i mało precyzyjne. Kronikarze najczęściej ozdabiali opisy tych anomalii, tak je nazwijmy, mnóstwem folkloru, legend i moralizujących opowieści. Wydobycie autentycznych historii i faktów spod całej tej warstwy bajek i niesprawdzonych informacji okazało się niezwykle wyczerpującym zadaniem. Na szczęście mamy do dyspozycji zespół badawczy, który pracuje nad tym od trzech lat.

Wypił łyk wody i ciągnął dalej.

– Takie przypadki powtarzają się na przestrzeni wieków. Na przykład udokumentowano częściowo, że w tysiąc sześćset sześćdziesiątym roku pięć statków z hiszpańskiej floty skarbów, które płynęły z Ameryki do Hiszpanii wyładowane złotem, wyparowało z konwoju. Pojawiły się tydzień później znoszone przez morskie prądy, z nietkniętym ładunkiem i bez śladu załogi… nie licząc psów i kotów na pokładzie.

– To dziwne – przerwała mu Kate. – Wychowałam się w Hiszpanii i nie pamiętam, żebym kiedykolwiek słyszała tę historię, nawet w szkole. A jest na tyle ciekawa, że powinna być znana.

– Zostały znalezione przez dwa angielskie statki. Anglia i Hiszpania akurat zakończyły trwającą trzydzieści lat wojnę i Jego Królewska Mość nie chciał, żeby ktokolwiek dowiedział się, że przywłaszczył sobie pięć statków, które do niego nie należały, w dodatku wyładowanych złotem. Dlatego Anglicy wszystko zataili. Odkryliśmy tę historię, przeglądając dokumentację brytyjskiej admiralicji.

Carter mruknął coś niezrozumiałego. Kate zdołała wyłapać tylko słowo „fantazje” i mimo niepokoju, jaki czuła, nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Kolejny slajd przedstawiał dwumasztową brygantynę o dostojnym wyglądzie, z powiewającą z tyłu brytyjską flagą.

– Wreszcie dochodzimy do dziewiętnastego wieku i takie przypadki zaczynają być odpowiednio dokumentowane. Statek, który tu państwo widzą, to „Mary Celeste”.

Kate otworzyła szeroko oczy. Ta nazwa coś jej mówiła.

– Prawdopodobnie jest to najsłynniejszy statek widmo w historii. Pisał o nim nawet Arthur Conan Doyle – zaczął Feldman. – Piątego listopada tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego roku wypłynął z Nowego Jorku z załogą liczącą siedmiu marynarzy dowodzonych przez kapitana Briggsa oraz z jego żoną i dwuletnią córeczką. Wszystko wydawało się przebiegać normalnie do czasu, kiedy miesiąc później inny statek, „Dei Gratia”, minął na środku Oceanu Atlantyckiego płynącą na pełnych żaglach „Mary Celeste”. Kapitana „Dei Gratia” zdziwiło, że nikt nie wyszedł na pokład, wysłał więc do nich szalupę. Odkryto, że choć statek jest nienaruszony, a ładunek kompletny, na pokładzie nikogo nie ma. Ostatni zapisek z dziennika okrętowego pochodził sprzed tygodnia, chociaż na stołach stało świeżo podane jedzenie. Tak jak na „Valkirie”.

Wśród zebranych dał się słyszeć szmer głosów. Czerenkow bardzo poważnie kiwał głową. Feldman skorzystał z okazji, żeby zmienić obraz na ekranie. Tym razem zdjęcie.

– Dwudziesty ósmy lutego tysiąc osiemset pięćdziesiątego piątego. „James B. Chester” dryfuje na środku Atlantyku z nienaruszonym ładunkiem i w idealnym stanie. Brakowało

jedynie kompasu i dziennika pokładowego. Rzeczy osobiste załogi leżały na stosie pod jednym z masztów, ale wszystkie szalupy ratunkowe były na swoich miejscach. Nic nie wskazywało też na użycie przemocy. Nigdy nie dowiedziano się niczego o pasażerach.

Nowe zdjęcie. Tym razem parowiec.

– Bahamy, rok tysiąc dziewięćset piąty, zaledwie trzydzieści lat przed „Valkirie". Statek handlowy „Rossini" pływający pod włoską banderą. Znaleziony z wygaszonymi kotłami, całkowicie wymarły. Ładunek win, owoców i jedwabiu pozostał nienaruszony. Jedynymi żywymi istotami na pokładzie były kot, stadko kurczaków i kilka umierających z głodu kanarków. Opuszczony statek dryfował niemal przez dwa tygodnie.

Następne zdjęcie, kolejny frachtowiec, tyle że mniejszy.

– Kilka lat przed tym incydentem doszło do innej anomalii, jeszcze bardziej niezwykłej. Statek, który państwo widzą na ekranie, to „Ellen Austin". Przepływał niedaleko miejsca, gdzie znaleziono „Valkirie", kiedy natknął się na trzymasztowy żaglowiec. Jak we wszystkich wcześniejszych przypadkach, był całkowicie opustoszały. Kapitan „Ellen Austin", Weyland, wysłał na żaglowiec swoich ludzi. Nie znaleźli na pokładzie niczego ani nikogo żywego, chociaż statek był w idealnym stanie. Brakowało jednak dziennika okrętowego. Nic nie wyjawiało nazwy ani pochodzenia żaglowca. Czterdzieści osiem godzin później, kiedy oba statki płynęły równolegle w stronę Gibraltaru, spowiła je gęsta mgła. – Feldman podniósł wzrok znad notatek, a ton jego głosu stał się poważniejszy. – Załoga „Ellen Austin" straciła żaglowiec z oczu. Kiedy z powrotem go znalazła, dzień później, nie było na nim nikogo z grupy wysłanej na pokład. Bezimienny żaglowiec znów świecił pustkami, nie znaleziono żadnych śladów walki, członkowie nowej załogi zniknęli.

Wszystkie oczy wpatrywały się w Feldmana. Mężczyzna kontynuował:

– Weyland wysłał z „Ellen Austin" kolejną grupę marynarzy, choć niemal przypłacił to buntem na pokładzie. Dalej płynęli obok siebie, aż dwieście mil przed Gibraltarem znów otoczyła ich gęsta, przeraźliwie zimna mgła. Ponownie stracili żaglowiec z oczu, tym razem na zawsze. Kiedy mgła zniknęła, statku bez nazwy nie było i nigdy już nie słyszano ani o nim, ani o członkach żadnej z jego załóg.

W sali panowała cisza zakłócana jedynie szumem rzutnika i przyspieszonym oddechem Czerenkowa.

– To niemożliwe! – zawołał Carter, choć w jego głosie brzmiała tym razem nutka niepewności. – Chodzi mi o to, że to musi być kłamstwo albo legenda, albo… albo…

– Wszystko zostało udokumentowane. Odbyło się śledztwo prowadzone przez admiralicję i firmę ubezpieczeniową Lloyd's, która musiała wypłacić pokaźne odszkodowania rodzinom zaginionych marynarzy. Nie ma najmniejszych wątpliwości, panie Carter. To naprawdę się wydarzyło. Nie wiemy tylko, co tam zaszło.

Feldman odwrócił się i dał znak Czerenkowowi. Rosjanin wstał i zajął miejsce za pulpitem, które starzec chętnie mu odstąpił.

– W ciągu ostatnich stu lat doszło do ponad trzydziestu podobnych incydentów – zaczął Rosjanin swoim matowym głosem. – I nie da się ich w żaden sposób wytłumaczyć. Jestem

fizykiem, zajmuję się promieniowaniem elektromagnetycznym. Natrafiłem na te… incydenty w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku, kiedy „K-94”, jeden z naszych balistycznych okrętów podwodnych typu Golf, zniknął na siedemdziesiąt dwie godziny, po czym pojawił się bez śladu załogi. Zdołaliśmy go zlokalizować dzięki pławie awaryjnej, na głębokości niewiele ponad trzystu metrów, z reaktorem ustawionym na wykorzystywanie połowy mocy i pozamykanymi śluzami. W środku nie było nawet kropli słonej wody, ale po osiemdziesięciu trzech ludziach – marynarzach i oficerach – nie pozostał żaden ślad.

Ktoś głośno siorbnął. Wszyscy jak zaczarowani słuchali opowieści Czerenkowa.

– Operacja odzyskania „K-94” była prawdziwym logistycznym majstersztykiem, o którym z oczywistych powodów nie powiadomiono opinii publicznej. – Przez moment w głosie Rosjanina pobrzmiewała duma. – Zdołaliśmy wyprowadzić okręt podwodny z napędem atomowym sprzed nosa Stanów Zjednoczonych tak, by nikt się nie zorientował. Nawet Amerykanie.

Nacisnął przycisk i na ekranie pojawił się wykres fal elektromagnetycznych, który Kate nic nie mówił. Mimo to pstryknęła dyskretnie zdjęcie. Za to liczni fizycy siedzący przy stole uznali go najwyraźniej za niezmiernie interesujący, bo zaczęli robić notatki w swoich zeszytach.

– Dane przekazane przez okręt podwodny przed jego zniknięciem były nadzwyczaj dziwne, wskazywały przede wszystkim na silne zakłócenia elektromagnetyczne. Urządzenia zwariowały i przez chwilę wydawało się, że straciły kontrolę elektromechaniczną nad reaktorem jądrowym. Studiowałem te dane przez dwanaście następnych lat i badania doprowadziły mnie do podobnych przypadków jak niektóre z tych, które omówił pan Feldman. Nie dotyczyły jedynie statków. Przytrafiło się to także samolotom…

– Na przykład eskadrze bombowców, która zniknęła w Trójkącie Bermudzkim? – zapytał ktoś z głębi sali.

Czerenkow przytaknął cierpliwie ze zrezygnowanym wyrazem twarzy, jakby wiedział, że wcześniej czy później padnie to pytanie.

– I tak, i nie – odpowiedział. – To nie ma nic wspólnego z Trójkątem Bermudzkim ani z niczym podobnym. Niech państwo o nim zapomną. Trójkąt, który nawet nie jest trójkątem, to pseudonaukowa bzdura pozbawiona jakichkolwiek podstaw. Nie mówimy o kosmitach ani o Atlantydzie, ani o żadnym z wymysłów New Age.

W sali panowała kompletna cisza.

– To poważna sprawa – ciągnął Czerenkow. – Istnieją dwa rodzaje ruchów wody w oceanie. Powierzchniowe, na które wpływają wiatr, temperatura i inne czynniki, oraz ruchy wód głębokich mające związek z prądami oceanicznymi. Oba te ruchy zakłócają stan równowagi i generują duże wahania ciśnienia, co wywołuje potężne burze elektromagnetyczne.

– Jak huragany? – zapytał jeden z meteorologów.

– Dokładnie, tyle że dużo silniejsze i dłuższe. Burza atmosferyczna trwa kilka dni, góra

parę tygodni, jak w przypadku huraganów, zaś burza podmorska może się ciągnąć miesiącami. Przesuwa się dużo wolniej, a energia, którą przy tym uwalnia, jest dużo większa. Jej pola elektromagnetyczne są tak potężne, że mogą doprowadzić do anomalii powodujących zakłócenia na statkach, które wpłyną w rejon takiej burzy.

Wcisnął kolejny klawisz. Ze stojącego na stole urządzenia o dziwnym wyglądzie wydobył się promień światła i w magiczny sposób nad blatem zawisł trójwymiarowy obraz kuli ziemskiej. Rozległy się zdziwione szepty. Kate pomyślała o nagraniu, które księżniczka Leia wprowadza do R2-D2 na początku *Gwiezdnych wojen*. To była bardzo nowoczesna technologia. Feldman zdecydowanie nie liczył się z wydatkami.

– W tym miejscu zniknęła „Valkirie". – Na obracającej się w świetle projektora kuli ziemskiej zabłysnął czerwony punkcik. – A tu zniknął w siedemdziesiątym drugim okręt podwodny. – Po tych słowach na globusie pojawiła się kolejna czerwona kropka. – A w tych wszystkich miejscach w ciągu ostatnich stu lat doszło do podobnych anomalii jak te, o których opowiedział nam pan Feldman.

Ponownie nacisnął jakiś klawisz i powierzchnię oceanów zaczęły pokrywać dziesiątki czerwonych punktów, jakby Ziemia dostała ospy wietrznej.

– A teraz czas na najciekawsze – powiedział cicho Czerenkow, niczym magik, który zaraz wykona szczególnie trudną sztuczkę. – Proszę spojrzeć na to.

Punkciki na obrazie z rzutnika zostały połączone liniami prostymi przecinającymi kulę ziemską, krzyżującymi się i nakładającymi jedne na drugie. Kate nie była w stanie śledzić ich przebiegu. Kiedy wreszcie zdała sobie sprawę, co się dzieje, nie mogła powstrzymać okrzyku zdziwienia.

Ziemię oplatała delikatna sieć. Początkowo wydawała się chaotyczna, jak wykonany flamastrem dziecięcy rysunek, ale po uważnym przyjrzeniu Kate odkryła, że istnieje pewien wzór, zestawy powtarzających się linii, które przecinają się w określonych miejscach. Miejscach, gdzie zniknęły statki.

– Niewiarygodne – szepnęła.

Czerenkow usłyszał słowa dziennikarki i z uśmiechem odwrócił się w jej stronę.

– Nazwałem to „osobliwością Czerenkowa". Płyniemy teraz w stronę jednego z punktów, gdzie występuje taka osobliwość. Wkrótce przekonamy się, czy mam rację.

rozdział XXI

Przez moment w sali panowała kompletna cisza, po której nastąpiła eksplozja hałasu. Wszyscy mówili jednocześnie albo próbowali zadać jakieś pytanie. Ci na co dzień spokojni naukowcy zachowywali się tak, jakby ktoś wpuścił im pod ubranie mrówki.

Feldman podniósł ręce, usiłując uciszyć wrzawę. Powoli wszyscy wracali na swoje miejsca, ale nastrój w sali uległ całkowitej zmianie. Wyczuwało się skrywane podniecenie, jakby powietrze było naładowane elektrycznością. Każdy chciał coś powiedzieć i nawet sceptyczny Carter wyglądał w tej chwili na poruszonego. Wszyscy widzieli naukowe konsekwencje tego projektu, które jednak umykały dziennikarce. Zauważyła jedno: wierzyli Czerenkowowi, sądzili, że to, co powiedział, może być prawdą.

– Mamy zaledwie cztery dni na dotarcie do punktu osobliwości, a nie wiemy, co może nastąpić, kiedy się tam znajdziemy. Do tego czasu wszyscy państwo będą mogli pracować nad dokumentami, którymi dysponujemy.

Senka przeszła między zebranymi, kładąc przed każdym grube dossier w czerwonej okładce. Kate nie dostała swojego egzemplarza. Podejrzewała, że Feldman uznał, iż niewiele może wnieść do badań naukowych.

– Dowody wskazują, że przy każdym incydencie występowały anomalie klimatyczne, elektromagnetyczne i inne – zaznaczył Feldman. – Każde z państwa będzie prowadziło badania w swojej dziedzinie, koordynowane przez profesora Czerenkowa. Jemu zdadzą państwo relację, jeśli chodzi o kwestie naukowe. Co do organizacji pracy, panna Simović udostępni państwu pomoce niezbędne do doświadczeń. Na koniec wszyscy złożą sprawozdanie mnie.

– Powinni byli państwo powiedzieć nam o tym wcześniej – gorączkował się Paxton. – W laboratorium posiadam bibliografię i dokumenty, które mogą mieć…

– Tym proszę się nie martwić – odpowiedział Feldman. – Wszystko przewidzieliśmy.

Odwrócił się do Senki. Dziewczyna włączyła dziwny komputer, który na początku zwrócił uwagę Kate. Była to prostokątna, srebrna skrzynka wielkości aktówki, z podłączoną klawiaturą i monitorem.

– Ten komputer ma bezpośrednie połączenie z Sonorą, centrum danych znajdującym się w Usher Manor. Pracuje tam dwadzieścia osób, dwadzieścia cztery godziny na dobę, gromadzą wszelkie informacje, jakich mogą państwo potrzebować. Każde z państwa będzie mogło swobodnie korzystać z terminalu zainstalowanego w sali Gneisenaua, gdzie zebraliśmy się dziś rano. Senko, proszę…

Serbka wcisnęła kilka klawiszy i na ekranie rozbłysnął szereg cyfr. Zaraz potem pojawiła się dwudziestoparoletnia ładna dziewczyna o kasztanowych włosach do ramion i ciemnych oczach o inteligentnym wyrazie. Siedziała w gabinecie wypełnionym

komputerami i monitorami. Za nią widać było ludzi kursujących w tę i z powrotem z papierami, książkami i pudłami.

– Dobry wieczór, Anne – przywitał się Feldman. – Przedstawiam państwu Anne Medine, koordynatorkę działu dokumentacji w Usher Manor. Mogą ją państwo poprosić o każdy dokument, jakiego będą państwo potrzebowali. Wykona w mojej rezydencji każde doświadczenie, które zechcą państwo przeprowadzić, a które okaże się nie do zrealizowania na pokładzie tego statku. Anne i jej zespół będą naszymi oczami i uszami na lądzie.

– Dobry wieczór wszystkim – odpowiedziała Anne. Jej głos dobiegał wyraźnie i bez zakłóceń, mimo że znajdowała się w miejscu oddalonym o setki kilometrów. Nawet z takiej odległości wyglądała na lekko onieśmieloną tym, że słucha jej tyle osób. Widać było, że nie przywykła do publicznych wystąpień.

Anne Medine zaczęła wyjaśniać, w jaki sposób należy zgłaszać wnioski o wykonanie prób i przesłanie dokumentacji, która będzie przekazywana za pomocą prywatnej sieci satelitarnej. Kate niemal się zakrztusiła, słysząc o „prywatnej sieci satelitarnej". Tłumaczyło to las anten w ogrodach Usher Manor, ale oznaczało także kosztowną inwestycję. Dziewczyna podejrzewała, że projekt „Valkirie" znacznie uszczuplił finanse Feldmana. Może do tego stopnia, że jego rachunki przyciągnęły uwagę urzędu skarbowego.

Feldman. W tym momencie wstawał dyskretnie od stołu. Wyglądał na zmęczonego prezentacją, ale Kate nie zamierzała pozwolić mu odejść. Patrzyła, jak oddala się wsparty na Sence, wyczerpany. Głębokie cienie znaczyły jego sokole oczy, nieco bardziej zgaszone niż zwykle. Kate przemknęło przez myśl, że podróż na pokładzie „Valkirie" kosztuje Feldmana trochę więcej niż pozostałych pasażerów.

Nie mogła dopuścić, żeby wyszedł, nie odpowiedziawszy jej wcześniej na kilka pytań. Wstała od stołu i dogoniła ich, kiedy opuszczali salę balową drzwiami wychodzącymi na zewnętrzny pasaż statku.

– Panie Feldman! – zawołała. Zerwał się silny wiatr, niebo pokrywała warstwa chmur, nie było widać ani jednej gwiazdy. Morska wilgoć sprawiła, że Kate natychmiast zaczęła drżeć. Miała sukienkę zbyt cienką jak na wieczór na środku oceanu.

Starzec odwrócił się i popatrzył na nią ze zmęczonym wyrazem twarzy. Coś migotało w jego spojrzeniu. Może wyrzuty sumienia? Senka zrobiła krok do przodu, żeby stanąć między nimi, ale Feldman odsunął ją na bok.

– Kate Kilroy – wypowiedział jej imię i nazwisko powoli, jakby je smakował. – Kobieta, która umie zadawać właściwe pytania. Przypuszczam, że chce się pani czegoś dowiedzieć.

– Wyłącznie prawdy, panie Feldman – odparła Kate. – Niech mi pan powie, co wydarzyło się na statku pomocniczym. I w domu Duffa. Wiem, że to nie były wypadki.

Feldman westchnął i oparł się o barierkę. Skinął na nią, żeby podeszła. Senka spojrzała na nich z wahaniem, ale starzec dał jej znak, żeby zostawiła go samego z dziennikarką. Serbka niechętnie posłuchała, obrzuciwszy ich wcześniej długim, pytającym spojrzeniem. Spoglądali na Atlantyk.

Kate usiadła na wiklinowym krześle i zaczekała, aż Feldman zrobi to samo. Mężczyzna wyciągnął paczkę papierosów. Podsunął ją dziennikarce, ale odmówiła. Wzruszył ramionami i walcząc z wiatrem, próbował zapalić swojego papierosa. Kiedy mu się to wreszcie udało, zaciągnął się dwa razy i wypuścił dym. Wyglądał, jakby porządkował myśli.

– Nie jestem jedyną osobą, która szukała „Valkirie” – zaczął. – Odnalazłem ją zaledwie kilka lat temu, kiedy odkryłem magazyn Royal Navy, gdzie znajdowała się większość wyposażenia z tego statku. W czasie licytacji jakaś spółka zaoferowała ogromną sumę za całość. Na początku myślałem, że to antykwariusze czy ktoś w tym rodzaju, ale kiedy podbili cenę do kwoty dużo wyższej niż wartość rynkowa, zrozumiałem, że chodzi im o coś więcej. Prawdopodobnie o to samo co mnie.

Zaciągnął się głęboko i spojrzał na czarny ocean.

– Była to spółka z siedzibą na Kajmanach. Kazałem ją sprawdzić i trop doprowadził nas do kilku kolejnych firm. Wszystkie znajdowały się w rajach podatkowych. Ktokolwiek to był, miał dużo pieniędzy i zależało mu, by jego prawdziwa tożsamość nie została odkryta.

– Ale panu udało się ją odkryć – odgadła Kate.

Feldman przytaknął.

– Nie było łatwo. Wymagało to dużego wysiłku i wielkich pieniędzy, ale wreszcie przyniosło owoce. Odkryłem, że na końcu kłębka znajduje się szwajcarska spółka o niemieckiej nazwie: Wolf und Klee. Kojarzy się to pani z czymś?

Kate wysiliła pamięć. Słyszała wcześniej tę nazwę. Nagle przypomniała sobie rozmowę z komandorem Collinsem ze składu marynarki. Powiedział jej, że niemiecka grupa Wolf und Klee wzięła udział w licytacji „Valkirie” i że Feldman zdołał ją pokonać dopiero wtedy, kiedy zaoferował niebotyczną sumę.

– Pamiętam, że słyszałam o nich w Liverpoolu – odpowiedziała. – To byli pańscy rywale w walce o „Valkirie”. Kim są?

– Wolf und Klee – Feldman wypowiedział te słowa bardzo powoli, niemal litera po literze. – Wilk i Koniczyna. Nie miałem zielonego pojęcia, o kogo chodzi, kiedy pierwszy raz usłyszałem tę nazwę. Moi ludzie tropili ich przez kilka miesięcy. Wie pani, co to był Werwolf?

– Nie – odparła Kate zdezorientowana nagłą zmianą tematu.

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym, kiedy było już oczywiste, że Niemcy przegrają wojnę, a alianci zajmą Rzeszę, Hansowi Prützmannowi, Obergruppenführerowi SS, zlecono utworzenie podziemnej organizacji, która działałaby potajemnie na tyłach aliantów. Do jej zadań należały akty sabotażu, zabójstwa wybranych osób i akcje dywersyjne. Wyznaczono do tego celu niemal pięć tysięcy mężczyzn. Niektórzy byli zaprawionymi w bojach weteranami z SS, ale większość stanowili chłopcy z Hitlerjugend, którzy nie potrafili nawet unieść karabinu.

– Co to ma wspólnego z…? – zaczęła Kate, ale Feldman przerwał jej, podnosząc dłoń.

– Werwolf był skazany na porażkę niemal od samego początku. Brakowało im organizacji, praktycznie nie mieli środków materialnych, a Niemcy były zwyczajnie zbyt wyczerpane wojną, żeby utrzymać ruch podziemny. Zdołali zamordować kilku alianckich oficerów i wysadzić parę mostów, ale nic poza tym. – Feldman otulił się kurtką, jakby było mu zimno. – Kiedy skończyła się wojna, niemal wszyscy zostali zatrzymani albo dyskretnie opuścili organizację, zwłaszcza ci najmłodsi. Pokój jest dużo bardziej atrakcyjny niż możliwość mrocznej śmierci bez chwały w jakimś pełnym gruzów zaułku.

W tym momencie zza drzwi wyjrzała Senka; niosła dwie mocne gorące kawy. Sięgnęli po nie z westchnieniem zadowolenia. Feldman zaczekał, aż Serbka odejdzie, po czym kontynuował opowieść.

– Jednak nie cały Werwolf poszedł w rozsypkę – powiedział, siorbnąwszy kawy. – Najbardziej zagorzali członkowie, najwięksi fanatycy, nie chcieli zrezygnować. Ale nie byli głupi. W przeciwnym razie nie przeżyliby końcowej jatki. Wiedzieli, że świat uległ zmianie i że walka partyzancka nie ma sensu. Postanowili więc zmienić taktykę. Chodziło już nie o ocalenie Trzeciej Rzeszy, która przestała istnieć, ale o uratowanie wszystkiego, co się da, aby w przyszłości mogło się to stać zalążkiem Czwartej Rzeszy. Postanowili zostać strażnikami istoty nazizmu.

– I tak Werwolf przekształcił się w Wolf und Klee – wywnioskowała Kate.

Feldman przytaknął z miną wyrażającą uznanie.

– Wilk i koniczyna – szepnął. – Rodowy symbol Prützmannów zamieniony w logo nowej organizacji. Z upływem lat członkowie Wolf und Klee zdobywali kluczowe stanowiska w administracji niemieckiej. Proces denazyfikacji Niemiec był bardzo powierzchowny, wielu hitlerowskich urzędników średniego szczebla dalej prowadziło normalne życia. W tamtym momencie pilniejszą sprawą było zagrożenie ze strony Sowietów.

– Ale co znaczy zostać „strażnikami istoty nazizmu”? I co ma z tym wszystkim wspólnego „Valkirie”? – przerwała ponownie Kate.

Feldman spojrzał na nią i ruchem ręki nakazał jej cierpliwość.

– Z biegiem lat organizacja Wolf und Klee stała się niezwykle bogata i potężna. Bogata, potężna i… tajna. Jej członkowie dysponowali środkami pozostawionymi przez nazistowski reżim, a poza tym zajęli ważne pozycje w niemieckim społeczeństwie. Z tych ukrytych pieniędzy wkrótce zaczęli finansować ruchy nazistowskie w połowie krajów Europy. Ale większość przeznaczyli na gromadzenie relikwii.

– Relikwii?

– Symboli. Naziści jako pierwsi docenili wartość, jaką może mieć dla mas symbolika. Wiedzieli, że wcześniej czy później Europa znajdzie się w sytuacji gospodarczej i społecznej podobnej do tej, która wyniosła nazizm i dopuściła go do władzy. I chcieli być przygotowani. Mieć symbole, które zjednoczą niezadowolonych. Które pomogą w ponownym wyniesieniu na wyżyny idei narodowosocjalistycznych.

Kate zaschło w gardle. To było ostatnie, co spodziewała się usłyszeć.

– Drogą zakupów, kradzieży, morderstw i wymuszeń przez lata gromadzili prawdziwe

muzeum horroru. Trzymają w jakiejś opancerzonej krypcie w Szwajcarii prochy Himmlera i Goebbelsa, czaszkę Hitlera i Bóg wie co jeszcze.

– To straszne… i obrzydliwe – szepnęła Kate zdegustowana.

– W pewnym sensie są tylko bandą obłąkanych starców zbierających starocie. Względnie nieszkodliwą. – Feldman wybuchnął gorzkim śmiechem. – Wykorzystałem to nawet, żeby sprzedać im rzekomy pamiętnik Hitlera za pośrednictwem holenderskiego kupca, który nie miał pojęcia o całej intrydze. Oczywiście nie był autentykiem, ale genialną podróbką, może najlepszą, jaką kiedykolwiek wykonano. Zapłacili mi prawdziwą fortunę, której część posłużyła do zakupu „Valkirie". Poza tym wiedziałem, że polują na ten statek, i miałem nadzieję, że z pomocą takiej przynęty pozbawię ich funduszy potrzebnych do licytacji.

– Nie dali się nabrać – wywnioskowała Kate.

– Dali, ale nie zrezygnowali ze zdobycia „Valkirie" – odparł Feldman, nagle znowu bardzo poważny. – Na początku sądziłem, że po prostu nie mogą znieść myśli, że to Żyd będzie właścicielem ostatniego nazistowskiego statku na ziemi. Ale chodziło o coś więcej. Nie rozumiałem ich pobudek do czasu, aż odkryliśmy, że pracuje dla nich Michaił Tarasow, dawny członek zespołu badawczego Czerenkowa.

Kate wydała z siebie okrzyk zdziwienia. Wypiła łyk kawy, zastanawiając się nad konsekwencjami tego, co usłyszała.

– To oznacza, że mają dostęp do tych samych informacji o osobliwościach i anomaliach co my, tyle że analizują je pod innym kątem – ciągnął Feldman, pochyliwszy się do przodu, wyraźnie wzburzony. – I są gotowi zabijać, byle zdobyć „Valkirie". Bez wahania postawią wszystko na jedną kartę.

Po plecach Kate przebiegł dreszcz przerażenia. Bała się tego, co może usłyszeć.

– Ludzie z Wolf und Klee i Tarasow sądzą, że w punktach, gdzie występują osobliwości, dochodzi do dystorsji czasoprzestrzeni. To trudne do wyjaśnienia szaleństwo, ale…

– Ale… – Kate usłyszała własny zduszony głos.

– Ale uważają, że jeśli ten statek znajdzie się we właściwym punkcie o właściwej godzinie, pojawią się w tym samym miejscu… tyle że w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku.

– Po co?

– Jeśli wrócą do przeszłości, będą mogli zapobiec popełnieniu przez Hitlera błędów, które doprowadziły do jego klęski. Stalingrad, Normandia… to by się nie wydarzyło. – W głosie Feldmana brzmiał prawdziwy strach. – Nie rozumiesz, Kate? Niemcy wygrają wojnę, ludność żydowska zostanie w całości wymordowana, zmieni się bieg historii. Na zawsze.

rozdział XXII

Przez chwilę słychać było jedynie świst wiatru dmącego w bocznym pasażu „Valkirie”, szum morza i głuche bzyczenie lamp. Kate w osłupieniu patrzyła na Feldmana.

– Nie mówi pan poważnie – odezwała się wreszcie. – Podróże w czasie są niemożliwe. Sam pan tak powiedział.

– Wiem, co powiedziałem – odparł Feldman. – Podtrzymuję to. Wiele razy dyskutowałem o tym z Czerenkowem, codziennie to robię. Obaj uważamy, że teoria Tarasowa to istny absurd. Nie można podróżować w czasie, tak samo jak nie można spadać do góry. Prawa fizyki są nieubłagane.

– Zatem? – zapytała Kate.

– Nie chodzi o to, co *my* sądzimy, tylko o to, w co *wierzą* oni. – Feldman pokręcił głową; wyglądał na wyczerpanego. – I dopóki ci szaleńcy z Wolf und Klee są przekonani, że „Valkirie” jest przepustką do spotkania z ich ukochanym Führerem, mamy poważny problem.

– Na „Mauna Loa” jednak była bomba – szepnęła Kate.

Feldman przytaknął i wskazał wnętrze salonu za swoimi plecami.

– Jak myślisz, Kate, co będzie, jeśli powiemy wszystkim tym ludziom, że depcze nam po piętach banda szaleńców?

– Zapanuje chaos – odparła. – Podróż się skończy. Wszyscy zażądają, żebyśmy natychmiast zawrócili.

– Właśnie – zgodził się Feldman. – Dlatego chcę cię prosić, żebyś nikomu nic nie mówiła. Jeśli ktoś z Wolf und Klee dostał się na pokład, Moore sobie z nim poradzi. Na razie czas jest naszym sprzymierzeńcem.

Kate wahała się przez chwilę, ale w końcu przytaknęła.

– Zgoda, panie Feldman. Ale w zamian chcę, żeby mi pan o wszystkim mówił. Od teraz żadnych sekretów. Dobrze?

– Isaac – powiedział Feldman z uśmiechem.

– Jak to? – zapytała Kate niepewnie.

– Isaac. Mów mi Isaac. Wszyscy nazywają mnie panem Feldmanem, to nużące. Dobrze, od teraz żadnych sekretów. Masz moje słowo, Kate.

Zadowolona skinęła głową i wyciągnęła rękę. Starzec ją uścisnął – jego dłoń była niesamowicie zimna. Kate miała nieprzyjemne wrażenie, że dotyka kogoś, kto żyje w cieniu nadchodzącej śmierci. Wzdrygnęła się i spróbowała oddalić od siebie tę myśl.

– Terenówka, która prawie mnie przejechała – powiedziała. – Duff Carroll…

– Tak – potwierdził Isaac Feldman. – To, co zrobili biednemu staruszkowi z „Pass of Ballaster”, też było ich sprawką. Nie rozumiem tylko, dlaczego zabrali jego głowę i serce. Zupełnie nie wiem, co o tym myśleć.

Kate poczuła dreszcz na tamto wspomnienie. Ściany poplamione krwią, smród palonego ciała… Miała wrażenie, że to wszystko przytrafiło się komuś innemu milion lat wcześniej.

– Nie wydaje mi się to ani naukowe, ani racjonalne.

– Nie mamy do czynienia z racjonalnie myślącymi ludźmi, Kate. Mamy do czynienia z fanatykami. Którzy zrobią wszystko, żeby przejąć ten statek… albo żebyśmy nie dopłynęli pierwsi.

Przez chwilę oboje milczeli. Po jakimś czasie pojawił się Moore, cicho, jakby znikąd. Podszedł do nich, nachylił się i szepnął coś Feldmanowi do ucha.

Kate patrzyła na nich, niespokojna. Teraz obecność Moore’a i jego ludzi na pokładzie „Valkirie” nie wydawała się jej już tak złym pomysłem. Przypomniała sobie skrzynie z bronią wnoszone na pokład. Może Feldman miał rację – mimo wszystko.

– Kate. – Starzec odwrócił się w jej stronę. Dziennikarka odniosła wrażenie, że jego skóra nabrała popielatego odcienia. – Musimy natychmiast pójść na mostek. Chyba mamy problem.

Mostek kapitański „Valkirie” był prawdziwym dziełem inżynierii okrętowej. Jego projektanci postanowili dostępnymi w tamtych czasach środkami zapewnić kapitanowi i obsłudze możliwie najlepszą widoczność: całą przednią część stanowiło okno wychodzące na dziób statku.

Kiedy Kate weszła z Feldmanem i Moore’em na mostek, stwierdziła, że podczas remontu zachowano tu wystrój z lat trzydziestych, z wyjątkiem miejsca w głębi, gdzie upchnięto współczesny sprzęt nawigacyjny.

Pod ścianą stały w rzędzie ekran radaru podłączony do plotera, dwa pomocnicze komputery, nowoczesny sonar i kilka innych aparatów, których nie zdołała rozpoznać. Cała ta technologia z XXI wieku dziwnie kontrastowała z resztą mostka, ale sprawiła, że Kate poczuła się nieco pewniej.

Kiedy przechodzili obok kabiny radiowej, zajrzała do środka i zobaczyła łącznościowca siedzącego na krześle w niedbałej pozie przed nowoczesną konsolą wypełnioną ekranami. Na kilku z nich widać było obrazy wnętrz „Valkirie” przekazywane za pośrednictwem kamer. Inne pokazywały wszystkie monitorowane kanały łączności radiowej i telewizyjnej zapewnianej przez satelitę. Na jednym z ekranów zaczynała się właśnie ostatnia kwarta meczu NBA, a operator wyglądał na bardziej zainteresowanego wynikiem niż czymkolwiek innym.

Kate uśmiechnęła się na ten widok. Przynajmniej część „Valkirie” tkwiła w teraźniejszości. Jednak uśmiech zniknął jej z twarzy, kiedy wyjrzała przez okno mostku.

Przed dziobem transatlantyku, w odległości zaledwie dwóch mil morskich wyrosła gigantyczna ławica mgły ciągnąca się aż po horyzont. Była długa, wysoka, gęsta, miała

brudny, żółtawy kolor. Fale traciły kontury, kiedy docierały do jej granic, jak na rysunku, który dochodzi do brzegu kartki i raptownie się urywa. Kate dostatecznie długo mieszkała w Londynie, by przyzwyczaić się do mgły, ale nigdy nie widziała tak gęstej i lepkiej. Od czasu do czasu jakiś wir wstrząsał leniwie jej powierzchnią, jakby w środku przesuwało się olbrzymie prehistoryczne zwierzę. Niewielkie kłęby wyprzedzały ławicę tuż nad powierzchnią wody, niczym długie, chciwe palce.

Kate na ten widok przeszedł dreszcz. Nigdy nie lubiła mgły, a ta w szczególności jej się nie podobała. Wyglądała jakoś inaczej. Złowieszczo i nieprzyjemnie. A może po prostu uległa sugestii pod wpływem wydarzeń minionego dnia i tak naprawdę chodziło tylko o najzwyklejszą w świecie mgłę?

Popatrzyła na kapitana. Był to wysoki, mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna o siwych włosach, starannie przyciętej bródce okalającej usta i dobrotliwym wyrazie twarzy. Nosił nieformalny strój składający się ze spodni od dresu i bluzy. Sprawiał wrażenie, jakby wyciągnięto go z łóżka w jakiejś pilnej sprawie, i dlatego włożył na siebie to, co miał pod ręką. Kate zauważyła, że wokół jego ciemnych oczu tworzą się wyrażające niepokój zmarszczki. Nie wróżyły niczego dobrego.

– Panie Feldman. – Odwrócił się do Żyda i podał mu rękę.

Starzec uścisnął dłoń kapitana i odsunął się, żeby ten zobaczył dziennikarkę.

– Kate, to kapitan Steven Harper – przedstawił dziewczynie marynarza. – Ponad trzydzieści lat na morzu, przez ostatnie dwanaście dowodził statkami wycieczkowymi.

Harper lekko skinął głową. Widać było, że jest spięty. Wyglądało na to, że nie ma czasu na towarzyskie konwenanse.

– Co się dzieje? – zapytał Feldman oschle, jak to miał w zwyczaju.

– Ławica mgły – odparł Harper, podając mu lornetkę. – Pojawiła się przed nami szesnaście minut temu, nie wiadomo skąd. Jeśli nie zboczymy z kursu, myślę, że za nie więcej niż kwadrans wpakujemy się w sam jej środek.

– Wygląda na normalną mgłę – mruknął Feldman.

Kate, która zdążyła go już trochę poznać, usłyszała w jego głosie lekkie drżenie. Delikatne, prawie nieuchwytne, ale jednak drżenie.

– Prognoza meteorologiczna nic nie mówiła o ławicy mgły – odezwał się cicho kapitan Harper. – Jesteśmy w samym centrum ośrodka wysokich ciśnień, mamy połowę sierpnia, temperatury powyżej dwudziestu stopni o tej porze nocy. To nie są warunki sprzyjające mgle, tym bardziej tak rozległej.

– Czasami prognozy się nie sprawdzają – warknął Feldman niczym rozzłoszczony pies, patrząc lekceważąco na ławicę. – To tylko trochę mgły…

– Prognozy tak – odparł Harper – ale technologia w takich przypadkach zazwyczaj nie zawodzi. Proszę spojrzeć na to.

Odwrócił się do ściany, przy której stały wszystkie nowoczesne urządzenia nawigacyjne, i wystukał na klawiaturze jakieś polecenie. Po kilku sekundach na jednym z ekranów pojawił się obraz satelitarny fragmentu morza. Na środku monitora widniał

mrugający punkcik.

– To jest „Valkirie”. Widzi pan, co chcę powiedzieć?

– Niczego nie widzę – mruknął Feldman.

– W tym właśnie problem – odrzekł Harper. – Ani satelita, ani radar nie wykrywają ławicy mgły ani tego, co może kryć. Jakby nie istniała.

Na kilka niekończących się, przykrych i pełnych napięcia sekund zapadła cisza.

– To niemożliwe – powiedział w końcu Feldman, pokazując okno. – Przecież tam jest.

Kapitan Harper otworzył usta, jakby chciał powiedzieć „widzę, idioto”, ale zamknął je i zacisnął wargi. Chociaż przyjmuje się, że po Bogu kapitan jest jedynym panem statku, na „Valkirie” miejsce między tymi dwoma zajmował Feldman i lepiej było go nie denerwować.

– Ławica rozciąga się w obu kierunkach aż po granice horyzontu – stwierdził. – Światło słoneczne będziemy mieli dopiero za sześć godzin. Jedynym sposobem, żeby ją wyminąć, jest zboczenie z kursu.

– Płyniemy ustaloną trasą, kapitanie. – Feldman wskazał stół nawigacyjny i Kate dopiero teraz zauważyła, że leży na nim pożółkła, wyglądająca na bardzo starą książka. Oryginalny dziennik okrętowy „Valkirie”. Dziennik, którego zapisy urywały się zaledwie po czterech dniach.

– Z całym szacunkiem, panie Feldman – odpowiedział Harper. – Nie możemy ryzykować bezpieczeństwa statku i wszystkich pasażerów. Wystarczy przerzucić ster o jedną czwartą na bakburtę…

– Nie zboczymy z kursu ani o jeden cholerny metr! – ryknął Feldman. – Popłyniemy trasą wyznaczoną w tym dzienniku! A jeśli ma pan coś przeciwko temu, proszę od razu mi to powiedzieć, a ja znajdę kogoś, kto pana natychmiast zastąpi! Czy wyraziłem się jasno, panie Harper?

Atmosfera na mostku zrobiła się tak gęsta, że można ją było kroić nożem. Wszyscy, nawet sternik, wpatrywali się w Feldmana i kapitana.

– Jak słońce, panie Feldman – odparł Harper po kilku sekundach nieznośnej ciszy, sztywny jakby połknął kij. – Jestem na pańskie rozkazy. Ale to na pana spada odpowiedzialność za to, co może się wydarzyć. Biorę was wszystkich za świadków.

Feldman wykonał nieokreślony gest, który równie dobrze mógł znaczyć „zgoda”, co „mam to w dupie”.

– A więc płyniemy dalej – szepnął starzec.

– Dwie trzecie naprzód, kurs bez zmian – rozkazał kapitan Harper sternikowi. W jego głosie czuć było napięcie.

– Dwie trzecie naprzód, kurs bez zmian – powtórzył sternik jak automat.

Niczym olbrzymie, buchające parą morskie zwierzę „Valkirie” podpłynęła do brzegu ławicy. Powoli zanurzała się we mgłę. Gdyby ktoś wytężył słuch, usłyszałby trwające ułamek sekundy bulgotanie, przypominające stłumione westchnięcie pod powierzchnią

wody.

A potem nie było już niczego.

Tylko cisza.

rozdział XXIII

„Valkirie”

Drugi dzień podróży

Kiedy Kate obudziła się następnego dnia rano, uświadomiła sobie dwie rzeczy, obie dość niezwykłe. Pierwszą była kompletna cisza panująca wokół „Valkirie”. Słyszała odgłos wody ocierającej się o kadłub, ale nic poza tym. Nie docierały do niej ani gwizd wiatru w takielunku na dziobie, ani kwilenie mew, ani szum fal. Nic. Tylko cisza.

Drugą rzeczą, jaką odkryła, była niska temperatura – wydawało się, że spadła co najmniej o dziesięć stopni. Poprzedniego wieczoru piła z Feldmanem kawę na jednym z tarasów ubrana w prostą jedwabną sukienkę z wycięciem w łódkę, które odsłaniało ramiona. Nie było jej za gorąco, ale też i nie za zimno. Natomiast tego ranka, kiedy szła pasażem wzdłuż prawej burty do sali jadalnej pierwszej klasy, niemal trzęsła się opatulona w wełniany sweter.

Mgła spowiła statek niczym całun zwłoki zmarłego. Widoczność po bokach i z przodu nie przekraczała dziesięciu metrów. Kate widziała, jak z białej waty niczym czarne cienie wyłaniają się puste leżaki, które stopniowo nabierały kształtów.

W połowie drogi dostrzegła mężczyznę w kraciastym garniturze, który z książką w ręku siedział na jednym z leżaków i palił papierosa. Zanim podeszła wystarczająco blisko, żeby zobaczyć, kto to taki, mężczyzna wstał, wyrzucił papierosa za burtę, poprawił słomkowy kapelusz i odwróciwszy się do niej tyłem, ruszył w stronę dziobu.

Kapelusz? Kto, do cholery, wkłada słomkowy kapelusz przy takiej mgle? – przemknęło jej przez głowę jak błyskawica. Szybkim krokiem poszła w tamtą stronę, ale kiedy dotarła do leżaka, straciła mężczyznę z oczu.

Wtedy zobaczyła postać poruszającą się w jej kierunku. Przez chwilę czuła przyspieszone bicie serca, w końcu jednak rozpoznała znajomą sylwetkę Cartera, który biegł w jej stronę.

– Dzień dobry, Kate – powiedział, kiedy znalazł się przy niej. Fizyk był ubrany w dres i ociekał potem, jakby uczestniczył w maratonie. – Dzień dobry, o ile to w ogóle dzień. Z powodu tej cholernej mgły nie wiadomo nawet, która godzina.

– Mgła wygląda na bardzo gęstą – stwierdziła Kate. A mimo to jest ktoś, kto nosi słomkowy kapelusz, dodała w myślach, ale nie powiedziała tego głośno.

– Nasi trzej meteorolodzy oszaleli – poinformował Carter, ocierając sobie rękawem pot z czoła. – Nic, tylko biegają między stacją meteorologiczną na dziobie a radarem na mostku. Są tak nakręceni, że kapitan Harper na pewno zastanawia się, czy nie wyrzucić ich za burtę. Coś w tej mgle najwyraźniej sprawia, że jest bardzo interesująca.

– Kapitan twierdzi to samo, ale Feldman jest innego zdania – odparła Kate, zamyślona. – Przy okazji, kim był mężczyzna, którego minąłeś? W garniturze w kratę.

Carter popatrzył na nią uważnie, jakby nie dosłyszał.

– Nikogo nie minąłem, Kate – powiedział poważnym tonem.

– To niemożliwe, poszedł w twoją stronę zaledwie minutę… – Kate zawiesiła głos, ogarnięta wątpliwościami.

– Od dwudziestu minut uprawiam jogging po tej stronie pokładu i jesteś pierwszą osobą, którą spotykam – odpowiedział Carter. – To chyba nie najlepszy dzień na spacery. Prawie wszyscy siedzą w środku. Jak wyglądał ten elegant?

– Nie wiem – odparła Kate, zmieszana. – Nie widziałam go dobrze. Może tylko go sobie wyobraziłam.

– Niewykluczone – odpowiedział Carter z powątpiewaniem. Kate pomyślała strapiona, że fizyk patrzy na nią z miną mówiącą „z-twoją-głową-jest-coś-nie-w-porządku", przeznaczoną zwykle dla osób, które słyszą głosy i uważają się za wysłanników istot pozaziemskich. Albo widzą rzeczy, które nie istnieją.

– Idę na śniadanie – powiedziała dziennikarka, próbując zmienić temat. – Zjesz ze mną?

– Nie mogę. Muszę wziąć prysznic i za piętnaście minut spotkać się z Czerenkowem. Chciałbym rzucić okiem na obliczenia dotyczące jego osobliwości. Wczoraj wyglądały obiecująco.

– W porządku – stwierdziła Kate. – Zobaczymy się później.

– A jeśli spotkasz człowieka w garniturze w kratę, nie zapomnij mi o tym opowiedzieć! – Carter pożegnał ją wybuchem śmiechu i oddalił się biegiem.

Kate została sama na środku pasażu, czując ulgę, bo mgła przesłoniła rumieniec na jej twarzy.

Wyszłaś na kompletną idiotkę. Gratulacje!

Wściekła na siebie ruszyła w stronę jadalni. I wtedy go zobaczyła.

Niewiele brakowało, a nie zwróciłby jej uwagi z powodu mgły. Tkwił pomiędzy dźwigarem szalupy ratunkowej a barierką – wyglądało, jakby ktoś specjalnie go tam wsunął, żeby nie porwał go wiatr.

Był to słomkowy kapelusz o szerokim rondzie, przewiązany niebieską wstążką.

Kate stanęła jak wryta. Rozejrzała się uważnie na boki, szukając kogoś, kto mógłby spłatać jej takiego psikusa. Przez moment pomyślała o Carterze. Amerykanin miał cięty humor, nie oszczędzał nikogo, otwarcie kpił z samego siebie i z innych, nie wyglądał jednak na osobę skłonną do głupich żartów.

Pochyliła się z wahaniem i wzięła kapelusz do ręki. Okazał się zaskakująco zimny, jakby przez całą noc był wystawiony na działanie mgły i rosy. Trzymała go w dłoniach, upewniając się, że naprawdę istnieje, że to nie jest wytwór jej wyobraźni. Kiedy go obróciła, zobaczyła w środku etykietkę z wyhaftowanym nazwiskiem: Schweizer.

– Schweizer – powtórzyła kilkakrotnie.

Nic jej to nie mówiło. Z drugiej strony, nie znała nazwisk wszystkich naukowców znajdujących się na pokładzie „Valkirie”, a tym bardziej nazwisk członków załogi. W sumie statkiem płynęło jakieś siedemdziesiąt osób, a ona rozmawiała zaledwie z kilkunastoma. Nakrycie głowy mogło należeć do którejkolwiek z nich.

Z kapeluszem w ręku weszła do jadalni i nałożyła sobie śniadanie przy bufecie. W sali siedziało około dziesięciu osób, poza dwójką naukowców sami członkowie załogi. Nie było Feldmana, Moore’a ani Serbki. I oczywiście nikt nie miał na sobie garnituru w kratę.

Kate czuła pokusę, żeby zapytać głośno, czy ktoś zna Schweizera, ale zrezygnowała. Już i tak wystarczająco ośmieszyła się przed Carterem. Musiała w inny sposób sprawdzić, kto jest właścicielem kapelusza.

Szybko zjadła śniadanie i ruszyła do sali Gneisenaua. Część kanap i dywanów została przesunięta, a na ich miejscu wyrósł długi stół zapełniony komputerami, naprzeciwko których ustawiono krzesła. Sala przypominała kawiarenkę internetową, jakie rozmnożyły się w latach dziewięćdziesiątych.

Zajęte były jedynie dwa stanowiska, jedno przez kobietę w średnim wieku, drugie przez chemika, który nadskakiwał Kate poprzedniego wieczoru. Oboje wyglądali na pochłoniętych liczbami i tekstami wyświetlanymi na ekranach i gorączkowo notowali coś w swoich zeszytach. Nawet nie podnieśli głów, kiedy Kate usiadła na jednym z wolnych krzeseł i połączyła się z Usher Manor.

Monitor zaczął migać, w jego dolnej części wyświetlały się serie następujących po sobie cyfr, kiedy terminal nawiązywał łączność przez satelitę. Trzy minuty później nic się nie zmieniło.

Kate pomyślała zdezorientowana, że musiała coś źle nacisnąć. Wtedy na ekranie pojawiła się Anne Medine z Usher Manor. Nieśmiała dziewczyna wyglądała na nieco zmęczoną.

– Dzień dobry – przywitała się. – Podobno od kilku godzin mamy problemy z łącznością. Przepraszam za zwłokę. W czym mogę pani pomóc, pani Kilroy?

Kate była zaskoczona, że dziewczyna zna jej nazwisko, ale domyśliła się, że Feldman musiał jej zostawić pełne dossier na temat każdego z uczestników podróży. Nic dziwnego.

– Dzień dobry, Anne – powiedziała, poprawiając mikrofon i słuchawki. – Chciałam cię prosić o przysługę. Mogłabyś mi wyjaśnić, kim jest pan albo pani Schweizer? Muszę się z nim lub z nią skontaktować… w pewnej sprawie. Nie wiem, czy wchodzi w skład ekipy naukowej, ochrony czy załogi.

Anne kilkakrotnie zamrugała powiekami. Zakłócenia sprawiły, że obraz na parę sekund uległ zniekształceniu. Kiedy wrócił sygnał, trzymała w ręku listę pasażerów.

– Powiedziała pani Schweizer? – zapytała. – Mogłaby mi to pani przeliterować?

Umierając ze zniecierpliwienia, Kate przeliterowała nazwisko. Połączenie znów zostało przerwane i na moment ekran zrobił się czarny, a w słuchawkach rozbrzmiewało głuche dudnienie, jakby ktoś uderzał młotkiem w owinięte szmatami kowadło.

– …nie figuruje. – Obraz i dźwięk wróciły dokładnie w tym momencie. – Bardzo mi

przykro, pani Kilroy. Na statku nie ma nikogo o tym nazwisku.

– Jesteś pewna?

– W stu procentach. Nikt spośród osób zaangażowanych w ten projekt tak się nie nazywa. Przykro mi.

Kate podziękowała i rozłączyła się, przygnębiona. Kiedy wychodziła z sali z kapeluszem w ręku, jej uwagę zwrócił pewien szczegół. Na wstążce widniała mała plamka w rdzawym kolorze. Przypominała niewyraźny odcisk palca, jakby ktoś chwycił pospiesznie kapelusz brudnymi rękami, zanim włożył go ostatni raz.

Kate mogłaby przysiąc, że to plama krwi.

I przysiąc, że minutę wcześniej jej tam nie było.

rozdział XXIV

Tom McNamara miał coraz więcej problemów. Zaczęło się od tego, że ubiegłej nocy stracił ponad sto funtów, grając z chłopakami w pokera w kajucie. Potem, żeby powetować sobie stratę, za dużo wypił i zasnął. Dlatego rano zaspał, dwukrotnie zabłądził w korytarzach tej przeklętej łajby i dotarł na zmianę warty spóźniony, z wywieszonym językiem i niedopiętym paskiem karabinu. Na domiar złego czekał na niego sam Moore, z płonącymi z gniewu oczami.

Tom był weteranem wojny w Afganistanie, jak większość ludzi zwerbowanych dwa lata wcześniej przez Moore'a. Ten, rzecz jasna, płacił dużo lepiej niż w armii. Poza tym nie istniało ryzyko, że rozerwie cię bomba na poboczu pokrytej pyłem drogi, w pobliżu wioski pełnej brodatych, pałających nienawiścią fanatyków. Praca dla Feldmana była dziecinną zabawą. Oczywiście, o ile nie drażniło się Moore'a. A zaspanie było jednym z wielu sposobów, żeby go zdenerwować.

Toteż tego ranka Tom musiał pełnić wartę na pokładzie dziobu, spowity tą cholerną mgłą, gęstą jak purée, przemoczony do suchej nitki z powodu wilgoci, podczas gdy pozostali ochroniarze przechadzali się beztrosko wewnątrz „Valkirie", w cieple i pod dachem.

Tom włożył rękę do kieszeni i wyciągnął pogniecioną paczkę marlboro. Zapalił, ale zdążył się zaciągnąć tylko trzy razy, bo tysiące mikroskopijnych kropelek wody przemoczyły tytoń i papieros zgasł. Ochroniarz wyrzucił go z wściekłością za burtę, mamrocząc pod nosem przekleństwo. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

Odwrócił głowę, bardziej zaintrygowany niż wystraszony. Młoda, mniej więcej trzydziestoletnia kobieta w czarnej, sięgającej za kolana spódnicy i czerwonej bluzce z krótkimi rękawami szła pokładem w stronę wejścia do wnętrza statku. Miała wymyślną fryzurę, która natychmiast skojarzyła się Tomowi z aktorkami z czarno-białych filmów, jakie oglądała jego matka, kiedy był mały. Kobieta obejmowała dłońmi ramiona, jakby było jej zimno i próbowała się rozgrzać, przytulając samą siebie. Szła szybko, z nieobecnym wyrazem twarzy, jej wysokie obcasy uderzały w tekowe deski pokładu, wydając z siebie rytmiczne stuk-puk.

– Halo! – zawołał Tom. – Proszę pani!

Kobieta zatrzymała się i spojrzała w jego stronę. Żołnierz zobaczył, że ma załzawione i mocno zaczerwienione oczy, jakby zaszły jej krwią. Rozmazany tusz spłynął na policzki w postaci czarnych smug. Patrzyła na niego, jakby zadawała sobie pytanie, kto ją, do diabła, woła. Miała pusty wzrok, przepastny niczym grób. W pewnym momencie wykrzywiła w górę kąciki ust z rozmazaną szminką w tragicznej imitacji wymuszonego uśmiechu. Najwyraźniej kosztowało ją dużo trudu przypomnienie sobie, jak to się robi.

Efekt był przerażający. Ze spływającym makijażem i tym bezkształtnym, rozmazanym uśmiechem przypominała diabolicznego pajaca. Tom poczuł, że jego jądra zamieniają się w malutkie kuleczki i za wszelką cenę chcą podejść mu do gardła.

Nagle kobieta pochyliła głowę, jakby usłyszała coś, czego żołnierz nie zdołał wychwycić. Tom przypomniał sobie psa, którego miał jego sąsiad, kiedy on był mały, i którego dzieciaki z okolicy doprowadzały do szału gwizdkiem ultradźwiękowym. Nieznajoma straciła zainteresowanie jego osobą; bez wahania ponownie odwróciła się w stronę nadbudówki statku i ruszyła dalej.

– Halo! – powtórzył Tom. – Halo! Stać! Stać, kurwa, bo będę strzelał!

Nieznajoma nie zwróciła na niego uwagi. Zaczęła rozpływać się we mgle. Tom bez zastanowienia puścił się za nią pędem, odbezpieczając w biegu swój AK-74. Kobieta szła szybkim krokiem w stronę drzwiczek na dziobie, wyprzedzała go o jakieś dwadzieścia metrów. Tom odruchowo sięgnął po walkie-talkie, żeby wezwać posiłki.

Jego palce macały w powietrzu. Dopiero teraz przypomniał sobie, że z powodu pośpiechu zostawił nadajnik w szafce, gdzie pokrywał się kurzem obok brudnych podkoszulków, podczas gdy on pilnie go potrzebował.

– Alarm! – zawołał z nadzieją, że ktoś go usłyszy. – Tutaj, na dziobie!

Mgła stłumiła jego krzyki. Jakby wrzeszczał pod wodą – dźwięk był wyciszony, a kilka metrów dalej zanikał, wchłonięty przez niewidzialne grzęzawisko. Tom zaklął pod nosem. Musiał radzić sobie sam, i to z własnej winy.

Gdyby nie był tak zmęczony i skacowany, pamiętałby, że ma w kieszeni spodni gwizdek. Gdyby nie wypił tyle poprzedniego dnia, zachowałby większą jasność umysłu i wpadłby na to, że wystarczy strzelić dwa razy w powietrze, by natychmiast ściągnąć pół tuzina towarzyszy. Gdyby był trochę bardziej rozgarnięty, nie pobiegłby w stronę ciemnych drzwi, które otworzyła kobieta, i nie przeszedłby przez nie bez zastanowienia.

Ale Tom nie grzeszył inteligencją.

Drzwi prowadziły do części przeznaczonej dla obsługi pierwszej klasy. W latach trzydziestych korytarzy tych używał personel pokładowy, by nie musieć mijać się z pasażerami i przypominać im o swoim istnieniu. Tom zobaczył z boku schody prowadzące na wyższy poziom. Wahał się przez chwilę, którą drogę wybrać, ale w korytarzu mignęła mu sylwetka kobiety skręcającej za róg, ruszył więc jej śladem.

Zaczął za nią biec. Znajdowali się w wyremontowanej, choć nieużywanej części statku. Podczas tego rejsu na pokładzie nie było wystarczająco licznej załogi, żeby zająć ten sektor. Tom minął pędem puste kajuty, mały salonik i kabiny prysznicowe. W powietrzu unosił się metaliczny, ciężki zapach, jakby przegrzanego silnika.

Zatrzymał się za rogiem. Na środku zobaczył schody prowadzące na dół, do drugiej klasy. Powinny się na nich znajdować dwie zespawane stalowe płyty zamykające drogę. On sam był tu poprzedniego dnia i przykleił czerwone taśmy, jak pieczęcie, które miały ich upewnić, że nikt tędy nie chodził.

Po płytach nie został nawet ślad. Żaden znak po spawie na ścianach, żadna rysa na

podłodze. Nic.

Jakby nigdy ich tu nie było.

Tom przełknął ślinę i po raz pierwszy ogarnęły go wątpliwości. Cała ta sytuacja wydawała się niepokojąca, nawet dla osoby obdarzonej tak małą wyobraźnią jak on. Wtedy przypomniał sobie awanturę, którą zrobił mu tego ranka Moore, i pomyślał o możliwych konsekwencjach, jakie mogłyby go spotkać, gdyby ktoś obcy wślizgnął się do wnętrza statku podczas jego warty, tuż pod jego nosem.

Na samą myśl o tym przeszedł go dreszcz. Zresztą mógł to być test przygotowany przez Moore'a, żeby sprawdzić jego czujność. Coś w rodzaju pułapki. Ten skurczybyk jest zdolny do wszystkiego.

Podniesiony na duchu tymi przemyśleniami zaczął schodzić na poziom drugiej klasy. Każdy stopień, na którym stawał, jęczał pod jego butami, wydając mało przyjemny skrzyp, ale Tom nie zdawał sobie z tego sprawy. Jak również z tego, że metaliczny zapach staje się coraz intensywniejszy i że w miarę jak schodzi na dół, ściany zaczynają pulsować w monotonnym rytmie.

Czuł się otępiały, nie mógł myśleć klarownie. Miał wrażenie, że ktoś próbuje wcisnąć mu do głowy mnóstwo obrazów.

„To nie jest dobry pomysł. *Nein*".

Zatrzymał się zdezorientowany. Czyżby przed chwilą pomyślał po… niemiecku? Nie znał ani jednego słowa w języku fryców. Co się tu, do cholery, dzieje?

Poczuł mdłości i oparł się o gródź. Wibracje przepływały falami po jego dłoniach i ramionach aż do głowy, w której dudniły z zabójczą wściekłością. Na przedramię skapnęła mu kropla ciemnego płynu. Przyłożył rękę do twarzy i odkrył, że leci mu z nosa krew, jakby ktoś otworzył w jego głowie kran.

Tom.

Kobiecy głos był słodki i zmysłowy. Żołnierz odwrócił głowę jak uwięziony w jakimś filmie, którego klatki przesuwały się bardzo wolno. Nieznajoma z pokładu stała w drzwiach jasno oświetlonej, nowiusieńkiej kajuty i dawała mu uwodzicielskie znaki.

Chodź, Tom. Chodź ze mną. Zabawimy się.

Jak zahipnotyzowany, zrobił krok naprzód. Część jego mózgu krzyczała przerażona, domagając się, by uciekał. Zdawał sobie mgliście sprawę, że w odróżnieniu od reszty sektora drugiej klasy, którą przemierzył, ten korytarz jest jak nowy. Ktoś go wyremontował, a on o tym nie wiedział?

Dalej, Tom. Tu na dole jesteśmy sami.

Kobieta wciąż go zachęcała. Tom ponownie spróbował zinterpretować parodię uśmiechu, który tworzyły jej usta i który z tej odległości był jeszcze bardziej przerażający.

W końcu zwyciężył strach. Nadludzkim wysiłkiem zrobił krok do tyłu i przecząco pokręcił głową. Niechcący upuścił karabin, który z głuchym łoskotem odbił się od podłogi.

„Nie. *Nein. Nein*".

Odwrócił się i ruszył korytarzem w stronę schodów, coraz bardziej przyspieszając kroku. Ściany pulsowały teraz mocniej i Tom *wiedział*, że coś za nim idzie. Coś mrocznego, złego, wygłodniałego, co patrzyło na niego z pożądaniem.

– Nieeeeee! – krzyknął z desperacją połączoną z wściekłością, po czym puścił się biegiem.

Drzwi migały szybko z boku, kiedy biegł po grubym dywanie. Ciemność nadal go ścigała, była coraz bliżej. Przez moment Tom czuł na karku wilgotny, zimny oddech. To wystarczyło, żeby włosy na całym ciele natychmiast stanęły mu dęba.

Wtedy coś się wydarzyło. *To* wciąż było za nim, ale Tom poczuł, że zyskuje przewagę, metr po metrze, jakby to coś z jakiegoś powodu postanowiło się zatrzymać. W jego sercu rozbłysła nieśmiała nadzieja. Uda mu się. Wyjdzie stąd.

Za rogiem na kogoś wpadł. Runęli na podłogę i dobry metr toczyli się korytarzem, aż wreszcie zahamowali u stóp zegara z polerowanego brązu, który powoli odmierzał czas.

Tom wydał z siebie okrzyk przerażenia, wymachując histerycznie rękami, żeby osłonić swoje ciało. Kiedy spojrzał na osobę, z którą się zderzył, odetchnął z ulgą pełną piersią.

– Dzięki Bogu! – powiedział głosem zdławionym ze wzruszenia. – Jak się cieszę na widok znajomej twarzy!

Napotkana osoba pomogła mu wstać, mierząc go wzrokiem.

– Co się stało? – zapytała.

– To oczywiste. – Tom pokręcił głową podekscytowany. – Korytarz drżał, a ta… rzecz, która za mną szła, i ten hałas… Nie można było tego nie zauważyć, do cholery!

– A jednak. Dobiegły do mnie jedynie krzyki, a za rogiem wpadłeś na mnie ty.

– Przysięgam, że… – zaczął Tom, ale nagle przerwał, marszcząc brwi. – Chwileczkę! Nikt nie powinien przebywać w tym sektorze. Nie wolno tu schodzić. Pan Feldman wyraźnie tego zakazał.

Napotkana osoba wzruszyła ramionami i posłała mu uśmiech, który mógł oznaczać dosłownie wszystko.

Tom miał już dosyć. Chciał jak najszybciej opuścić to miejsce.

– Wychodzimy. Muszę poinformować, co się tu stało – powiedział, po czym odwrócił się plecami do swojego rozmówcy i ruszył przed siebie.

Dlatego nie zauważył, że ten ktoś wyjmuje z kieszeni mały ostry lancet.

A kiedy przeciągnął mu ostrzem po szyi, przecinając tętnicę, ostatnią rzeczą, którą poczuł Tom McNamara, był ogromny strach, że umrze w tym wąskim korytarzu z rąk drugiego człowieka.

Tu na dole. Gdzie włóczy się swobodnie to *coś*.

I na niego czeka.

rozdział XXV

Pukanie do drzwi obudziło Kate z niezwykle ekscytującego snu.

Od swojej śmierci mąż nigdy nie pojawiał się w jej wspomnieniach w tak wyraźny i erotyczny sposób. W jej śnie Robert powoli się rozbierał, zdejmując ze swojego cudownego ciała poszczególne części garderoby, aż wreszcie stanął przed nią całkiem nagi. Byli sami w kajucie, Robert patrzył na nią z figlarnym półuśmiechem i igrającym w oczach błyskiem, który tak dobrze znała. Podchodził do niej bez słowa i długo, cudownie ją całował. Jego język dokazywał w jej ustach, wykonując skomplikowany taniec, który sprawiał, że uginały się pod nią nogi. Wtedy kładł ją na łóżko i zaczynał rozbierać. Najpierw zdejmował jej obcisły top, odkrywając piersi, i zatrzymywał się na sutkach, które budził długimi, rytmicznymi liźnięciami. Jej oddech przyspieszał, kiedy doświadczonymi palcami rozpinał jej dżinsy i spuszczał je do kostek, tak że zostawała jedynie w malutkich stringach, które uwielbiał. Czuła, jak twarde ciało Roberta ociera się o nią, rośnie, w miarę jak zsuwa dłoń po jej brzuchu, coraz niżej, aż do brzegu mikroskopijnych koronkowych majteczek.

Wtedy… Wtedy ktoś zaczął walić w przeklęte drzwi i Kate obudziła się mokra, zlana potem, zdyszana.

Poszła otworzyć, usiłując zebrać włosy w koński ogon. Potykała się, jakby była pijana. Zasnęła, kiedy po raz enty czytała akta „Valkirie” i próbowała zacząć pisać na komputerze artykuł.

Wciąż zdyszana, przekręciła klamkę i stanęła twarzą w twarz z Senką, która trzymała pięść w górze, by kolejny raz zapukać.

Serbka miała poważną minę, ale na widok Kate jej twarz złagodniała i pojawił się na niej figlarny uśmiech.

Zorientowała się, szczwana lisica, pomyślała Kate, widząc, że Senka wykrzywia wydatne usta w zmysłowym grymasie. Czerwona twarz Kate, przyspieszony oddech, pot na szyi, wszystkie te oznaki były jednoznaczne dla Serbki, która obserwowała ją, rozkoszując się sytuacją.

– Cześć, Kate – zamruczała figlarnie i przez ramię dziewczyny zajrzała do pustej kajuty. – Przerywam coś ważnego? Mogę ci pomóc, jeśli chcesz…

Sugestia zawisła w powietrzu, gęsta i śliska. Kate pokręciła głową.

– Jestem tylko lekko śnięta, nic poza tym – odpowiedziała kategorycznie. – O co chodzi?

Senka wzruszyła ramionami, wyraźnie zawiedziona.

– Pan Feldman chce się z tobą widzieć – oznajmiła. – Zaraz.

Wyglądało to bardziej na rozkaz niż na zaproszenie, więc Kate natychmiast założyła buty i wyszła za Senką na korytarz. Wolałaby najpierw zmienić bieliznę, ale ponieważ Serbka czekała w drzwiach, absolutnie nie wchodziło to w grę.

Kajuta Feldmana była apartamentem usytuowanym na rufie statku, z olbrzymimi oknami, które w słoneczny dzień oferowały szczęściarzom zajmującym ten pokój cudowny widok na ocean. Jednak z powodu otaczającej ich żółtawej, gęstej mgły przez okno przenikało jedynie słabe, lepkie światło, które barwiło wszystko na niezdrowy kolor.

Feldman siedział na krześle z zatroskaną miną. Obok niego stał Moore, który zaciskał szczęki tak mocno, jakby chciał rozgryźć granit. Wojskowy wyglądał jednocześnie na zawstydzonego i wściekłego. Niedobra kombinacja u człowieka z jego charakterem.

Kate zauważyła, że Feldman się postarzał, jakby część jego energii opuściła kruche ciało w poszukiwaniu lepszego siedliska. Mężczyzna podniósł wzrok i na widok jej sylwetki odcinającej się w drzwiach jego oczy na moment ożywiła wesoła iskra.

– Cześć, Kate. – Zachęcił ją, żeby usiadła, podczas gdy Senka zamykała drzwi. Tylko ich czworo uczestniczyło w tym zebraniu. Z każdą sekundą napięcie w pokoju wzbierało niczym fala. Bez względu na to, o co chodziło, musiało to być bardzo ważne.

– Mogę ci zaufać, Kate?

– Wie pan, że tak, Isaacu – odpowiedziała zaniepokojona dziewczyna. – Mamy umowę.

– Wiem, dziecko, wiem. – Feldman pokręcił głową. – Pytanie brzmi, czy mogę dodać jeszcze jeden sekret do listy drobiazgów, które już uzgodniliśmy.

Kate zaczęło szybciej bić serce.

– Będę trzymała buzię na kłódkę – powiedziała bez wahania. – Jeśli to ma jakiś związek z „Valkirie”, chcę wiedzieć. O wszystkim.

– Mamy poważny problem. – Feldman od razu przeszedł do rzeczy. – Dwadzieścia minut temu znaleziono ciało jednego z ludzi pana Moore’a, został zamordowany.

– Zamordowany? – Kate nie wierzyła własnym uszom. – Jest pan pewien?

– Chyba że postanowił sam poderżnąć sobie gardło aż do tchawicy. Owszem, jestem raczej pewien – odparł Feldman. – Żeby zrobić coś takiego, trzeba mieć dużo siły. I niezłe jaja.

– Jak to się stało?

– Moore właśnie stamtąd wraca i mógłby podać nam wszystkie szczegóły, ale myślę, że lepiej będzie, jeśli zobaczymy to na własne oczy. Czekaliśmy na ciebie – powiedział Feldman, z wysiłkiem podnosząc się z krzesła.

Kate także wstała. Nagle coś przyszło jej do głowy.

– Dlaczego? – zapytała.

– Dlaczego co? – odpowiedział Feldman zdumiony.

– Dlaczego mi pan o tym opowiada? Dlaczego mnie?

– Z wielu powodów, Kate – odparł. – Bo sobie nawzajem ufamy, bo jesteś inteligentną

i rozsądną kobietą, bo dałem ci słowo, że będę cię na bieżąco informował o wszystkim, co wydarzy się na pokładzie. Ale przede wszystkim dlatego, że w tym pokoju znajdują się jedyne cztery osoby na statku, które wiedzą o istnieniu Wolf und Klee i zagrożeniu, jakie stanowi. I pomoc wszystkich czterech będzie niezbędna, żeby spróbować odkryć, co, do diabła, się dzieje… i nie dopuścić, by coś takiego się powtórzyło.

Wyszli z kajuty i szybkim krokiem przemierzyli wewnętrzny labirynt pierwszej klasy. Nikogo po drodze nie spotkali. Kate zdała sobie sprawę, że jest już pora obiadowa i większość załogi znajduje się zapewne w głównej sali, spożywając posiłek. Przy biegnącym w dół odcinku schodów czekało na nich dwóch uzbrojonych ludzi Moore'a.

Zeszli w milczeniu i dotarli do podestu rozgałęziającego się na kilka korytarzy, gdzie kolejny odcinek schodów prowadził w głąb „Valkirie". Dostęp do drugiej klasy blokowały dwie ciężkie stalowe płyty przyspawane do grodzi. Kate zauważyła, że jedna z nich została odsunięta. Ktoś odbił spawy czymś ciężkim i przesunął stalową płytę wystarczająco, żeby móc się prześlizgnąć przez otwór.

– Jesteśmy w strefie dla obsługi pierwszej klasy, która podczas tego rejsu nie jest zajmowana – wyjaśnił Moore spiętym głosem, wskazując stalowe płyty. – Drzwi w głębi korytarza wychodzą na pokład na dziobie, gdzie Tom… gdzie ofiara pełniła straż. Nie mam pojęcia, z jakiego powodu zapuścił się aż tutaj. Może coś usłyszał albo zobaczył osobę, która próbowała się tędy przedostać.

– Musimy zejść – powiedziała Senka, wyciągając z przewieszonej przez piersi torby dwie latarki o dużej mocy. – Proszę iść ostrożnie i uważać, gdzie stawiają państwo stopy. Te schody są stare i bardzo zaniedbane.

Przeszli na czworakach przez otwór między stalowymi płytami. Kate zauważyła, że po przesunięciu płyty na lakierowanym parkiecie została głęboka bruzda; ślad przypominał zainfekowaną bliznę.

Po drugiej stronie schody niknęły w ciemnościach. Z dołu dobiegał koncert spadających kropli i trzasków, który powtarzał się za każdym razem, kiedy „Valkirie" pokonywała kolejną falę.

– Prawdopodobnie są wycieki w układzie hydraulicznym – wyjaśnił Feldman, kiedy schodzili. Pochód otwierali Moore i jeden z jego ludzi, na końcu szła Senka z drugim ochroniarzem. – Dlatego kapie.

Dotarli do ciemnego korytarza, w którym pachniało zamkniętym pomieszczeniem i zgnilizną. Chodnik na podłodze wyglądał jak wymyślny patchwork z na wpół wystrzępionych, poprzecieranych kawałków zjedzonych przez wilgoć. Farba na ścianach odchodziła grubymi, nieregularnymi płatami, jakby statek został dotknięty przez jakiś szczególnie jadowity trąd, który pożerał go od środka. Gdzieniegdzie parkiet podniósł się w groteskowy sposób z powodu wilgoci i popękał, tworząc dziwne, abstrakcyjne wzory. Światła latarek wiły się po ścianach, kiedy wyraźnie zdenerwowani ochroniarze wypatrywali zagrożenia w ciemności, która otwierała się po ich bokach. Tu na dole nawet Moore wyglądał na niespokojnego.

– Tędy – powiedział, wskazując na prawo. – Nie leży zbyt daleko.

Szli przez chwilę zniszczonym korytarzem, starając się nie potknąć o resztki zbutwiałych drzwi, które pokonane przez własny ciężar leżały zwalone na podłodze w postaci kupek przegniłych desek, dzięki czemu można było zajrzeć do środka pustych kajut.

Wreszcie w głębi zamigotało światło jarzeniówki, odsłaniając bezkształtny cień leżącego ciała. Zegar ścienny, nienakręcany od dziesiątków lat i bliski runięcia w dół, strzegł miejsca zbrodni niczym niemy świadek. Kate podeszła bliżej. Zadrżała, kiedy zobaczyła pod ciałem ogromną plamę w ciemnym rdzawym kolorze. Krew Toma McNamary.

Pochyliła się nad zwłokami, próbując powstrzymać odruchy wymiotne. To szczęście, że nic nie jadła.

Twarz Toma była wykrzywiona w dziwnym grymasie zaskoczenia połączonego z bezgranicznym przerażeniem. Jego poderżnięte gardło przypominało złowrogi bezzębny uśmiech. W tym ponurym miejscu, w świetle latarek, wyglądał strasznie.

– Zabito go tutaj – powiedział Moore, choć było to więcej niż oczywiste. – Ktoś zaszedł go od tyłu i poderżnął mu gardło. To musiał być ktoś znajomy; w przeciwnym razie Tom nie straciłby czujności. Nie był zbyt błyskotliwy, ale dobrze wykonywał swoją pracę.

– Gdzie jest jego karabin? – zapytała Senka. – Nigdzie go nie widzę.

Latarki omiotły podłogę, ale AK-74 zniknął.

– Tylko tego nam brakowało – parsknął Feldman. – Teraz ten, kto to zrobił, ma broń. Coraz lepiej.

– Niech pan chwilę zaczeka – powiedziała Kate. – W tę stronę biegną ślady krwi.

Wskazała na podłogę, gdzie widać było kroplę, dużą i okrągłą jak pięciocentówka. A trochę dalej kolejną, na granicy cienia.

– Ma zakrwawioną twarz – powiedziała Senka urywanym głosem. – Jakby krwawił z nosa albo z ust.

Ruszyli śladem czerwonych plam, zagłębiając się coraz bardziej we wnętrze statku. Kate czuła, że ma mózg z gąbki, jak na gigantycznym kacu. Bolały ją skronie i bez przerwy mrugała powiekami. Okazało się, że nie ona jedna. Moore pocierał oczy, a jego ludzie zataczali się, jakby nieśli na plecach stukilogramowe ciężary.

Coś zabłysło w światłach latarek. Kiedy podeszli bliżej, zobaczyli czarną lufę porzuconego na podłodze AK-74, który wydawał się częścią popadającego w ruinę korytarza. Tu kończyły się ślady krwi, na wprost kajuty równie pustej i zniszczonej jak pozostałe.

– Cokolwiek się stało, miało miejsce tutaj – powiedziała Kate bezbarwnym głosem.

Reszta milczała. Wszyscy wydawali się pogrążeni we własnych myślach. Jedyną osobą, która nie wyglądała na poruszoną, był Feldman – patrzył na karabin zamyślony, z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Nikt nie powinien o tym wiedzieć – rzucił wreszcie. – Zabierzcie zwłoki, wsadźcie je w worek i schowajcie w jednej z chłodni. Moore, niech pan się wszystkim zajmie.

Szef ochrony stał nieruchomo z pochyloną głową i wpatrywał się w kajutę. Wyglądał, jakby znajdował się milion kilometrów stąd.

– Moore! – Feldman podniósł głos. – Słyszał mnie pan?

Moore bardzo powoli odwrócił głowę, jakby w tym celu musiał wprawić w ruch małe zardzewiałe trybiki. Jego spojrzenie było bardziej mroczne niż zazwyczaj, a z nosa skapnęła mu kropla krwi.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, proszę pana – powiedział wreszcie perfekcyjną niemczyzną, ku przerażeniu obecnych. – Myślę, że rozsądniej będzie jak najszybciej zawiadomić o wszystkim Berlin.

rozdział XXVI

Feldman milczał przez kilka sekund, oniemiały.

– O czym pan, kurwa, mówi, panie Moore? – warknął groźnie. – Niech pan zrobi to, co powiedziałem. Natychmiast.

– Moore? Kim jest Moore? – wymamrotał szef ochrony matowym głosem. Chwiał się, kiedy mówił, jakby miał problem z utrzymaniem równowagi.

Tego było za wiele dla Feldmana. Podszedł do Anglika i pchnął go na gródź. Nie bał się zaatakować tej góry mięsa.

– Dalej Moore, obudź się! – krzyknął. – A niech to, co, u diabła, się z nim dzieje?

Anglik podniósł dłonie do oczu jak w zwolnionym tempie, wstrząsany gwałtownym atakiem parkinsona. Potarł twarz i rozejrzał się dookoła, zmieszany. Przez moment patrzył na Feldmana, jakby dziwiła go obecność starca.

– Oczywiście, panie Feldman. – Odwrócił się do swoich ludzi i zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć, co tu, do cholery, wszyscy robią. – Zaraz zabierzemy ciało do chłodni. Dalej, chłopaki, tylko ostrożnie.

Kate przyglądała się, jak podnoszą zwłoki McNamary. Poczuła dreszcze, kiedy zobaczyła, że jeden z ochroniarzy odruchowo wyciera rękawem uniformu kroplę krwi, która ściekła mu z nosa. Drugi w kółko nucił cicho tę samą melodię, jakby był myślami wiele mil od tego miejsca. Spod woni zaschniętej krwi przebijał jakiś ciężki zapach, który zaczynał przyprawiać Kate o intensywny ból głowy.

– Wyjdźmy stąd jak najszybciej – szepnął Feldman.

Nie musiał tego powtarzać. Włożyli ciało McNamary do worka na zwłoki, który ktoś zapobiegliwy zabrał na dół, i niemal biegiem opuścili poziom drugiej klasy. Nikt nie chciał być ostatni. Moore, który zamykał pochód, co chwila nerwowo oglądał się za siebie, jakby słyszał coś, co docierało tylko do jego uszu.

Coś, co budziło w nim strach.

Kate zauważyła, że w miarę jak pokonują schody, wraca jej przytomność umysłu, jakby obręcz ściskająca jej skronie uległa poluzowaniu. Z innymi działo się to samo. Nawet Moore nie miał już tak mętnego wzroku, choć wyglądał jeszcze na nieco zamroczonego.

Rozdzielili się, kiedy dotarli do przejścia służbowego. Moore i jego dwaj ludzie ruszyli korytarzem w stronę kuchni, by w jednej z olbrzymich lodówek przemysłowych złożyć swój makabryczny pakunek, a Feldman, Senka i Kate wyszli na pokład dziobowy.

Cała trójka ciężko oddychała. Na zewnątrz wydali okrzyk zaskoczenia. Temperatura spadła jeszcze co najmniej o trzy, cztery stopnie i kontrast z ciepłym wnętrzem „Valkirie” był szokujący. Otulała ich żółtawa mgła, a kiedy oddalili się o kilka kroków od

nadbudówki statku, Kate miała wrażenie, że zawiśli w bezkształtnej, zimnej przestrzeni pozbawieni jakichkolwiek punktów orientacyjnych i odniesień do czterech stron świata.

– Co się stało tam na dole? – zapytała.

– Myślę, że agent Wolf und Klee zaskoczył naszego człowieka. Nie sądzę, by…

– Nie to mam na myśli – przerwała mu Kate lekko drżącym głosem. – Wie pan, o czym mówię, Isaacu. O Moorze plotącym bzdury po niemiecku. O tym dziwnym wrażeniu, które się tam odnosiło.

– Ja też to czułam – dodała Senka. Zazwyczaj opanowana Serbka była teraz blada. – Tak jakbym słyszała w głowie dziesiątki osób jednocześnie. To *bolało*.

– Nie wiem, o czym mówicie. – Isaac Feldman wyglądał na szczerze zdziwionego. – Ja niczego nie czułem ani nie słyszałem. Zasugerowałyście się ponurym nastrojem panującym tam na dole, to wszystko.

Senka i Kate wymieniły zdumione spojrzenia. Czy Feldman rzeczywiście nie miał wrażenia, że ogarnia go odrętwienie? Czy jego to nie dotknęło? A może Żyd mówił prawdę: po prostu zachowały się jak dwie nastolatki łatwo ulegające nastrojom?

– Przecież Moore powiedział, że trzeba zadzwonić do Berlina… – zaryzykowała jeszcze Kate, wciąż nieprzekonana.

– Pan Moore nie spał zbyt dużo w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin – przekonywał Feldman, zdecydowanie obstając przy swoim. – Ma piętnastu… czternastu ludzi do pilnowania wielkiego statku o długości stu pięćdziesięciu metrów i dwunastu piętrach, z których osiem jest zamkniętych. Albo było. Zmęczenie sprawia, że czasami mówi się dziwne rzeczy, i tyle.

Słowa Żyda brzmiały sensownie, przynajmniej znacznie bardziej sensownie niż wytłumaczenie, które rodziło się w głowie Kate. Ockham. Najprostsze wyjaśnienie jest najbardziej prawdopodobne, powtórzyła w myślach.

Wolnym krokiem wrócili do wnętrza statku. Pora posiłku dawno minęła i wszyscy troje byli głodni. W jadalni zastali już tylko kilku członków załogi siedzących przy stole w kącie, którzy jedli ze spuszczonymi głowami, rozmawiając po cichu. Kate zauważyła, że większość z nich ma dziwnie blade twarze jak na ludzi przywykłych do życia na morzu.

Feldman wymówił się zmęczeniem i wrócił do swojej kajuty. Kate pomyślała, że pani Miller osobiście zajmie się zaspokojeniem wszystkich jego potrzeb.

Kate i Serbka usiadły przy jednym ze stołów i jadły w milczeniu. Od kiedy Senka przestała próbować za wszelką cenę uwieść dziennikarkę i zaczęła zachowywać się bardziej normalnie, ich stosunki uległy poprawie. Kate nie nawiązywała łatwo przyjaźni, ale w tym momencie ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było zjedzenie obiadu w samotności. Zastanawiała się, gdzie może być Carter i cała reszta.

Próbowały prowadzić rozmowę, ale to, co się wydarzyło, zrobiło na obu zbyt wielkie wrażenie, żeby mogły paplać o głupotach. Kate poczuła ostre ukłucie nostalgii połączonej z bólem. Gdyby był przy niej Robert, wszystko wyglądałoby *zupełnie* inaczej… On zawsze wiedział, co powiedzieć i jak postąpić, żeby czuła się komfortowo. Ale teraz była sama,

w towarzystwie innej wystraszonej kobiety, na statku oddalonym o setki mil od jakiegokolwiek miejsca, które wyglądałoby mniej groźnie niż „Valkirie”.

Nagle ogarnęła ją paląca potrzeba porozmawiania z kimś spoza statku. Zastanawiała się, czy kapitan Harper pozwoli jej skorzystać z systemu łączności, żeby mogła zadzwonić do redakcji i pogadać chwilę z Rhondą. Powiedzieć, jak jej idzie reportaż, poprosić o radę, i takie tam. Ale przede wszystkim po to, by przez moment posłuchać czyjegoś przyjaznego głosu.

Coś jej mówiło, że śmierć ochroniarza będzie miała poważniejsze konsekwencje, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Od kiedy weszła na pokład „Valkirie”, wszystkie wydarzenia jakby wymykały się spod kontroli, ale uznała, że może toczą się zgodnie ze scenariuszem, którego ona nie jest w stanie rozszyfrować. Podejrzewała, że Tomowi McNamarze poderżnięto gardło w korytarzu z powodu czegoś, co tam zobaczył. Ale co to było?

Przypomniała sobie o Anne Medine. Może ona potrafiłaby dostarczyć jej więcej informacji na temat statku i tego korytarza w drugiej klasie. To byłby inny punkt widzenia.

Wstała pospiesznie od stołu, potrącając szklankę do połowy wypełnioną wodą. Szklanka spadła na podłogę i rozbiła się na mnóstwo kawałeczków, ale nikt w jadalni nie odwrócił głowy z powodu tego hałasu. Tak jakby wszyscy byli zbyt pogrążeni w swoich myślach.

Szybko pożegnała się z Senką i poszła w stronę sali Gneisenaua. Na miejscu nikogo nie zastała. Nie było śladu po członkach zespołu Czerenkowa. Zobaczyła tylko puste krzesła i ekrany z migającym logo Feldmana.

Usiadła przed jednym z monitorów, żeby rozpocząć rutynową procedurę nawiązywania łączności. Wprowadziła swój kod identyfikacyjny i czekała. Na ekranie zaczęły migać cyferki, potem wszystko zgasło. Przez pięć długich minut nic się nie wydarzyło. Nagle wyskoczył mrugający kursor.

System wspomagania łączności

CBX7800000aaa879000// SONORA// VALKIRIE

Signal incoming…

AnneMedine// SONORA: Dobry wieczór, pani Kilroy. Mamy problemy z odbiorem sygnału. Dwie godziny temu straciliśmy połączenie z satelitą. Technicy próbują je przywrócić, a tymczasem możemy korzystać tylko z czatu. Mam nadzieję, że to nie będzie stanowiło problemu. :-)

Kate ze zdziwieniem przeczytała wiadomość. Położyła dłonie na klawiaturze i wystukała:

KKilroy*VALKIRIE*: Myślę, że nie. Czy w tej sytuacji można otrzymywać dane?

AnneMedine// SONORA: Tak, przepływ danych odbywa się oddzielnym

kanałem, który wciąż działa. Czego pani potrzebuje?

KKilroy*VALKIRIE*: Informacji o sektorze drugiej klasy. Rozmieszczeniu pasażerów w czasie pierwszej podróży. Tego rodzaju rzeczy.

Kate przerwała. Nie była pewna, czy powinna poprosić o informacje na temat Wolf und Klee. Nie wiedziała, w jakim stopniu jej rozmówczyni jest wtajemniczona w całą sprawę.

AnneMedine// SONORA: W porządku. Już wysyłam. To dość duży plik, więc przy ograniczeniach tego kanału będzie się wolno ściągał. Myślę, że za godzinę powinna go pani mieć w swoim komputerze.

Zgodziła się, zadowolona. To był dobry kierunek. Już miała się pożegnać, kiedy ekran ponownie rozbłysnął.

AnneMedine// SONORA: Odnalazłam tego pani Schweizera. Trochę mnie to kosztowało, ale nazwisko coś mi mówiło i wczoraj poszukałam go na spokojnie. To jeden z pasażerów.

Kate poczuła, że jeżą się jej włoski na ramionach. Schweizer. Mężczyzna od kapelusza. Czy to on jest neonazistowskim agentem?

KKilroy*VALKIRIE*: Pasażerów? Jak to możliwe? Sądziłam, że żaden z naukowców tak się nie nazywa. Wczoraj sama pani mi to potwierdziła.

Kursor mrugał przez kilka sekund, które ciągnęły się dziewczynie w nieskończoność.

AnneMedine// SONORA: Przepraszam, źle się wyraziłam. Martin Schweizer, kawaler, 46 lat, kajuta 172. Był jednym z pasażerów w pierwszym rejsie „Valkirie”. W 1939 roku.

rozdział XXVII

Kate siedziała ze wzrokiem wbitym w ekran. Czuła się, jakby ktoś dał jej obuchem w głowę. Nie mogło tak być. W żaden sposób. To po prostu niemożliwe. Rok 1939 skończył się kilka dekad temu. Do cholery, przecież *nie* żyli w latach trzydziestych!

Drżały jej dłonie. Miała zamiar zapytać, jakim cudem pasażer, który zaginął siedemdziesiąt lat temu, przechadza się radośnie po statku, kiedy ekran zamrugał kilkakrotnie i okienko czatu zniknęło. Na środku pojawił się komunikat.

SIGNAL LOST

Please, wait…

To wszystko. Kate z wściekłością uderzyła otwartą dłonią w stół.

„Nie teraz, do cholery. Nie teraz”.

Czekała chwilę, ale na próżno. Sygnał zniknął. Uniosła głowę, szukając wzrokiem technika, który powinien siedzieć w sali i służyć pomocą użytkownikom, ale go nie było. Jak zresztą nikogo innego.

Wyciągnęła się na krześle i zaczęła intensywnie rozmyślać. Najpierw przyszło jej do głowy, że kapelusz mógł być na statku przez cały czas. To najbardziej logiczne wyjaśnienie. Ale nie tłumaczy, dlaczego nikt go nie dostrzegł w czasie prac remontowych, przecież tkwił na środku pasażu. Poza tym był w zbyt dobrym stanie, by uznać, że przetrwał siedemdziesiąt lat pod gołym niebem.

Istniała też możliwość, że ktoś zostawił go tam umyślnie, żeby się na niego natknęła. Ale to nie miało żadnego sensu. Kiedy znalazła ten przeklęty słomkowy kapelusz, wisiał przy szalupie i za kilka sekund spadłby do oceanu. Nikt nie mógł tego zaplanować z taką precyzją. Mało brakowało, a przeszłaby obok, nie zwracając na niego uwagi.

Ostatnia możliwość, niezależnie od tego, jak bardzo śmieszna się wydawała, była taka, że kapelusz i jego właściciel w jakiś sposób dotarli tu z 1939 roku, specjalnie po to, żeby wpadła na nich w pasażu na „Valkirie”.

„Ockham, Kate. Ockham”.

Wzdrygnęła się na myśl, że ostatnie wyjaśnienie jest najbardziej prawdopodobne, choć wygląda na prawdziwą niedorzeczność. Tydzień temu wyśmiałaby samą siebie za podobne pomysły. Ale po tym, co widziała i słyszała od wejścia na pokład „Valkirie”, wydawało jej się, że niczego już nie można wykluczyć.

Uświadomiła sobie, że musi jak najszybciej opowiedzieć o wszystkim Feldmanowi i Czerenkowowi. Niewykluczone, że miało to coś wspólnego z anomaliami, o których

mówiła teoria osobliwości. Chętnie porozmawiałaby z Carterem i usłyszała, co myśli o tym jako wyznawca zdrowego naukowego sceptycyzmu, ale od czasu porannego spotkania już się na niego nie natknęła.

Zdecydowanym krokiem wyszła z sali i udała się w stronę mostka. Kiedy mijała drzwi, przyszła jej do głowy jeszcze jedna hipoteza, tak wyrazista, że raptownie przystanęła. Powiedziała sobie, że to niemożliwe, i zamknęła tę myśl w małej, ciemnej szufladce umysłu. Jednocześnie odnotowała w najbardziej pierwotnej części swojego ja pogłębiające się uczucie strachu.

Pomyślała, że może Schweizer i jego kapelusz byli wcześniej na pokładzie „Valkirie". Przez cały czas. Razem z pozostałymi pasażerami. Czekali.

Pokręciła głową, zła na samą siebie. Nie wierzyła w duchy. Robert uśmiałby się, gdyby mógł usłyszeć jej myśli. Z pewnością ułożyłby kilka złośliwych dowcipów na ten temat, żeby wywołać u niej rumieniec wstydu.

Ale Roberta nie było, a strach to ekspansywna roślina, którą trudno wyplenić. Im bardziej starała się zapomnieć o tym pomyśle, tym trudniej było jej od niego uciec.

Weszła na mostek z kołaczącym sercem. Stał tam kapitan Harper, ubrany w charakterystycznym dla niego fantazyjnym stylu: w spodnie od garnituru i kwiaciastą koszulę.

Nie zdziwiła się tym widokiem. W czasie kolacji ostatniego wieczoru ktoś powiedział, że po dwunastu latach obowiązkowego noszenia nieskazitelnego munduru w czasie każdej z podróży na wycieczkowcach Harper zapałał głęboką nienawiścią do tego ubioru i rejs na „Valkirie" jest dla niego wyzwoleniem.

– Witam, pani Kilroy – pozdrowił ją dość ozięble.

Podnosił właśnie szklankę wody, którą miał popić dwie tabletki przeciwbólowe trzymane w drugiej dłoni. Włożył pastylki do ust i odstawił szklankę na stół nawigacyjny, obok otwartego oryginalnego dziennika okrętowego „Valkirie".

– Proszę niezwłocznie wezwać pana Feldmana i profesora Czerenkowa – powiedziała Kate, starając się złapać oddech. – Muszę z nimi pomówić. To bardzo ważne.

Harper potarł skronie z wyrazem znużenia na twarzy. Wyglądało na to, że cierpi na silny ból głowy.

– Nie lubię niepokoić bez potrzeby pasażerów pierwszej klasy – odparł po chwili. – Ufam, że ma pani ważne powody.

Kate patrzyła na niego, jakby dobrze nie usłyszała. *Pasażerowie pierwszej klasy*?

– To jest związane z tym, co dzieje się na statku, uważam więc, że powody, owszem, są bardzo ważne – odpowiedziała głosem bardziej szorstkim, niż zamierzała.

– W takim razie powinna pani najpierw porozmawiać ze mną. – Harper opadł na fotel, wyciągnął rękę w stronę stołu nawigacyjnego i zaczął niedbale gładzić dziennik okrętowy. – Przepisy spółki są bardzo jasne w tej materii. To ja jestem kapitanem.

Kate siłą musiała się powstrzymywać, żeby nie udusić Harpera. Nie szło jej tak, jak

tego oczekiwała.

– Bardzo pana proszę, kapitanie – powiedziała pokornym tonem, kładąc nacisk na słowo „kapitanie”. Nienawidziła tonu swojego głosu, kiedy musiała o coś błagać. – To bardzo ważne, muszę się zobaczyć z panami Feldmanem i Czerenkowem. Ma to bezpośredni związek z projektem, a nie z bezpieczeństwem statku i jego załogi, przysięgam. Nie wiem, gdzie są; jeśli wezwie ich pan przez głośniki, oszczędzi mi pan konieczności obchodzenia całego statku.

Harper zakasłał, przyciskając mocno dłonie do skroni. Musiał go nękać piekielny ból głowy. Zgodził się, wyczerpany.

– Dobrze. Hanisch, niech przywołają przez megafon pasażerów Feldmana i Czerenkowa na mostek kapitański. – Odwrócił się do Kate i pokazał jej drzwi. – Niech pani tam zaczeka, obok kabiny radiowej. Pasażerom nie wolno chodzić po mostku, kiedy statek znajduje się poza portem.

Kate otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale zaraz je zamknęła. Albo Harper był strasznym skurczybykiem, albo tracił rozum. Miała nadzieję, że chodzi o to pierwsze, w każdym razie zrozumiała, że dyskusja z tym człowiekiem niczego nie da.

Odwróciła się i weszła do kabiny radiooperatora. Siedział przy monitorach, ale tym razem nie zwracał na nie uwagi, choć właśnie kończył się mecz koszykówki. Knicksi ogrywali drużynę w niebieskich koszulkach, której Kate nie potrafiła zidentyfikować. Obraz ulegał zakłóceniom, od czasu do czasu zanikał na kilka sekund.

Może dlatego radiooperator miał na uszach słuchawki i w dużym skupieniu przepisywał do notesu to, co słyszał przez radio. Kiedy dziennikarka weszła do pomieszczenia, rzucił jej przelotne spojrzenie i ograniczył się do uniesienia brwi na powitanie.

Kate czekała piętnaście nieskończenie długich minut, obgryzając paznokcie. Wreszcie drzwi się otworzyły i niemal jednocześnie weszli przez nie Feldman z Czerenkowem. Musieli spotkać się na podeście z orłami.

Worki pod oczami Feldmana powiększyły się. Było wyraźnie widać, że starzec jest fizycznie wyczerpany. W ciągu zaledwie dwóch dni przybyło mu dziesięć lat. Za to Czerenkow wyglądał na wściekłego.

– Oby to było coś ważnego! – burknął zaraz po wejściu ze swoim charakterystycznym słowiańskim akcentem. – Mam mnóstwo pracy i mało sprzętu. Nie nadążamy ze wszystkim.

– Nie zabiorę panom dużo czasu – powiedziała Kate. Poprowadziła ich w kąt mostka, gdzie nikt nie mógł ich słyszeć, i zaczęła opowiadać o kapeluszu Schweizera.

Miała wystarczająco dużo czasu, żeby zastanowić się, jak zrelacjonuje im tę historię. Ostatecznie postanowiła przedstawić fakty w chłodny, profesjonalny sposób, w formie raportu, nie dodając swoich podejrzeń ani wniosków. Niech wyciągną własne.

Kiedy skończyła, Feldman i Czerenkow patrzyli na nią z coraz większą uwagą. Sądząc po ich minach, jej opowieść obu zainteresowała, każdego z innego powodu. Feldman wydawał się bliski zawału, a oczy Rosjanina błyszczały z podniecenia.

– Mówisz, że masz ten kapelusz? – zapytał Feldman łamiącym się głosem. – Naprawdę

go masz?

– Jest w mojej kajucie, leży na łóżku – powiedziała Kate. – Możemy zaraz tam pójść.

– Tak, z łaski swojej – dodał Rosjanin. – Mam wielką ochotę zobaczyć go na własne oczy. Pozwoli mi pani pobrać próbkę?

– Oddam panu, profesorze, cały ten cholerny kapelusz – zaśmiała się Kate z ulgą. – Niech tylko szybko go pan ode mnie zabierze.

Zeszli do części zajmowanej przez kajuty. Kiedy mijali hol, Kate usłyszała, że ktoś gra jakiś wesoły marsz na instrumentach orkiestrowych. Chętnie sprawdziłaby, kto to taki, ale nie mieli czasu do stracenia.

Dotarli pod drzwi kajuty i Kate otworzyła zamek. Nagle jej wyrażająca pewność siebie mina zamieniła się w grymas zdumienia.

Kapelusza nie było tam, gdzie go zostawiła.

Zniknął.

– To jak? – zapytał Feldman. – Gdzie jest ten słomkowy kapelusz?

– Nie wiem – wyjąkała Kate, osłupiała. – Położyłam go dokładnie tutaj…

Czerenkow parsknął, rozdrażniony.

– Jesteś pewna, Kate? – zapytał Feldman. – Może zostawiłaś go gdzie indziej.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości!

– Może kapelusz miał nogi – zauważył wyraźnie wściekły Rosjanin. – Albo zabrał go jego stutrzydziestoletni właściciel, kiedy uprawiał jogging w pasażu. Najprawdopodobniej jednak wszystko to ci się przyśniło, młoda damo.

– Nic mi się nie przyśniło! Naprawdę istniał. Trzymałam go w rękach, miał niebieską wstążkę z plamą na brzegu. – Do oczu dziewczyny napłynęły łzy, musiała się zdobyć na duży wysiłek, żeby nie wybuchnąć płaczem. – Przysięgam panu.

– Kate, kapelusza nie ma – zauważył Feldman coś, co było oczywiste.

– Ale… – Kate czuła, jak strach ściska jej gardło. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Wiem, że ostatnie czterdzieści osiem godzin było pełne emocji. – Feldman przyjacielsko ścisnął ją za ramię. Na jego twarzy malowało się współczucie. – Przypuszczam, że to dla wszystkich za dużo. Wydaje nam się, że coś widzimy, albo mylimy fakty. To normalne. Mogło się przytrafić każdemu. Przytrafia się nam wszystkim.

– Nic mi się nie przyśniło! – Jej głos był bliski załamania. – Nic mi się nie przyśniło!

– Kate, pozwól, że udzielę ci rady – powiedział Feldman. – Odpocznij. Prześpij się. Jeśli nie będziesz w stanie, doktor Scott może dać ci coś na sen. Jutro spojrzysz na wszystko inaczej. Zniknie ta przeklęta mgła, a słońce odpędzi złe wibracje. Nie martw się.

Kate pokręciła głową, wciąż bliska płaczu. Mówiła prawdę, a oni *jej nie wierzyli*. Czerenkow oddalił się długimi krokami, gderając po rosyjsku. Feldman posłał jej ostatnie spojrzenie, po czym zgarbiony ruszył za naukowcem, powłócząc nogami.

Kiedy Kate została sama w kajucie, w przystępie wściekłości przeczesała każdy kąt

w poszukiwaniu kapelusza. Gdy skończyła, pokój wyglądał, jakby mieszkał w nim zespół rockowy, jednak po słomkowym nakryciu głowy nie było śladu. Jakby nigdy nie istniało.

Czuła się nieszczęśliwa. Zdyszana, opadła na stos poduszek leżących na podłodze i spróbowała głębiej oddychać. Po jej policzku spłynęła samotna łza.

Ha, ha, ha, ha, ha, ha!

Kobiecy śmiech, okrutny i szyderczy, rozległ się *wewnątrz* pokoju, choć Kate była w nim sama. Rozbrzmiewał jednocześnie w całym pomieszczeniu, odbijał się od ścian diabolicznym echem, aż nagle zgasł i zapanowała kompletna cisza.

Kate miała wrażenie, że za serce chwyta ją lodowata dłoń. Skuliła się w kłębek w kącie kajuty i przerażona zaczęła szlochać.

Bo zrozumiała, że coś się z niej śmieje, że coś rozkoszuje się jej bólem i strachem.

W dodatku osobliwy ton ukryty w tym złośliwym śmiechu utwierdził ją w przekonaniu, że zabawa jej kosztem dopiero się zaczęła.

rozdział XXVIII

Dwie godziny wcześniej

Na początku była bardzo delikatna. Lekka, niemal niewyczuwalna woń, która przebijała spod zapachu gulaszu. Senka podniosła wzrok znad talerza, przekonana, że to perfumy rudej. Kate Kilroy wydawała się zamknięta we własnym świecie.

Serbka poczuła w dolnej części brzucha ukłucie podniecenia, ale zdołała się opanować. Od czterech miesięcy żyła w całkowitej wstrzemięźliwości (a dla niej słowo „całkowity" oznaczało, że niedozwolone jest nawet przypadkowe muśnięcie główką prysznica) i coraz trudniej przychodziło jej zachowanie jasności umysłu, zwłaszcza przy tak rozkosznie pociągającej kobiecie jak Kate Kilroy, siedząca zaledwie metr od niej. Za każdym razem, kiedy ich kolana stykały się pod stołem, Senkę zalewała taka fala pożądania, że niemal się dławiła. Nie wyglądało jednak na to, żeby Kate dała się skusić do zakosztowania saficznych przyjemności, przynajmniej na razie.

Głęboko odetchnęła i uśmiechnęła się, ukrywając swoje uczucia. Było to coś, co od dziecka bardzo dobrze jej wychodziło.

Została osierocona w wieku zaledwie siedmiu lat, w horrorze jugosłowiańskich wojen. Mieszkała z rodzicami w małej wiosce w Bośni zdominowanej przez serbską większość. Któregoś dnia bośniackie brygady zaatakowały serbskie siły paramilitarne Mladicia oblegające Sarajewo. Nikt się nie spodziewał, że zdziesiątkowani i bliscy klęski Bośniacy będą w stanie przeprowadzić tak potężny atak, Serbowie nie podjęli więc żadnych środków, żeby chronić wioskę Senki.

Dwanaście godzin, przez które jej mała wieś była w bośniackich rękach, stanowiło streszczenie wszystkich horrorów, jakie niesie ze sobą wojna domowa. Uzewnętrzniły się najgorsze strony ludzkiej duszy, bez przeszkód, poza kontrolą. Dusze tamtych mężczyzn przepełniała żądza zemsty zaprawiona wściekłością.

Mała Senka widziała, jak rozstrzelano jej ojca razem z dwunastoma innymi mężczyznami z wioski, a potem wrzucono ich ciała do studni. Nigdy nie zapomni pustego wyrazu jego twarzy, kiedy zwłoki niknęły za cembrowiną. Ojciec, który zaledwie pięć minut wcześniej opowiadał jej bajkę.

Potem zobaczyła, jak kilku żołnierzy gwałci po kolei na masce ciężarówki jej matkę i trzy inne kobiety, a reszta plutonu zachęca ich śmiechami. Później poderżnęli im gardła i wrzucili do tej samej studni. Do tego czasu zabrakło jej już łez.

Wreszcie czterech naszprycowanych kokainą i alkoholem Bośniaków wzięło tę zaledwie siedmioletnią dziewczynkę, położyło ją na masce, zdarło z niej różową piżamkę w króliczki i przez dwie godziny brutalnie gwałciło, a w tym czasie wioska płonęła aż po fundamenty.

Nigdy się nie dowiedziała, dlaczego puścili ją żywą. Może ulitowali się nad dzieckiem, choć najprawdopodobniej miało to raczej związek z serbskim kontratakiem. Znaleziono ją na środku placu, nagą, z zakrwawionymi nogami. Była jedyną ocalałą z wcześniej tętniącej życiem wioski. Taki sam los spotkał dziesiątki wiosek i miasteczek w całej Bośni, po obu stronach konfliktu. Piekło na ziemi.

Kolejne dziesięć lat spędziła w sierocińcu. Stała się milczącą dziewczynką ze złamaną duszą, która czuła przerażenie na widok każdego mężczyzny. Jej gniew na świat stopniowo przechodził w agresję, przez co w wieku zaledwie siedemnastu lat trafiła do aresztu. Wtedy dali jej do wyboru: albo serbska armia, albo cela.

I Senka postanowiła dalej walczyć. Wkrótce odkryła, że ma prawdziwy talent do zadawania cierpienia innym ludzkim istotom i że w ten sposób uwalnia po trochu ból, który skumulował się w jej wnętrzu niczym rozgrzane do czerwoności dynamo. Po przeszło roku dostała się do służb specjalnych, a stamtąd do kontrwywiadu. Wyrosła na przepiękną kobietę, o wyidealizowanym słowiańskim typie urody, o jakim marzy większość mężczyzn. Ale nadal nosiła w sobie nieposkromiony ból, który z dnia na dzień coraz bardziej ją pożerał.

Którejś nocy znalazła się w pokoju hotelowym w Wiedniu. W jej łóżku spała jakaś nieznajoma, po seansie dzikiego seksu, ona zaś trzymała butelkę whisky i patrzyła w lufę swojego pistoletu. Zadawała sobie pytanie, dlaczego nie naciśnie spustu i nie skończy raz na zawsze z całym swoim cierpieniem.

Wtedy pojawił się Feldman. Wywiad, na prośbę Interpolu, badał jego inwestycje w Belgradzie i kontakty z rosyjską mafią. Kiedy pierwszy raz stanęła z nim twarzą w twarz, magnetyczne spojrzenie starca zniewoliło ją w sposób, którego nie była w stanie zrozumieć. Jedno znalazło w drugim własne odbicie. Dwie dusze torturowane przez ból, szukające odpowiedzi, których nikt nie znał.

Senka porzuciła wywiad i zaczęła pracować dla Feldmana. Ten starzec o badawczym spojrzeniu, który zdawał się domyślać wszelkich sekretów jej duszy, zastąpił Serbce ojca, utraconego tamtego potwornego dnia. Dla Feldmana zaś ta młoda, obolała dziewczyna z tendencją do autodestrukcji, potrafiąca robić rzeczy, których nikt inny nie mógł wykonać, okazała się niezwykle wartościowym nabytkiem. Poza tym darzył ją uczuciem podobnym do tego, jakie dziadek może żywić do szczególnie utalentowanej wnuczki.

Pracowała dla niego od pięciu lat. W ciągu tego czasu jej ból złagodniał. Wydawało się, że jedno z nich wreszcie będzie mogło zmierzyć się ze źródłem swoich lęków i wątpliwości. Feldman odnalazł w „Valkirie” drogę do uleczenia swojego cierpienia. Ona w głębi duszy wiedziała, że nigdy nie zdoła uciec z maski tamtej ciężarówki.

Zamyślona zobaczyła, że Kate nagle się żegna. Wyglądała na zdenerwowaną, jakby się gdzieś spieszyła. Kiedy wstawała od stołu, potrąciła ręką szklankę, która spadła na podłogę z głuchym dźwiękiem i rozbiła się na kawałki. Senka spojrzała na dziennikarkę z zaciekawieniem, ale także z pożądaniem. Nie mogła się powstrzymać.

Gdy skończyła jeść, wstała, wyszła z jadalni i ruszyła w stronę kajuty Isaaca Feldmana. Staruszek nie czuł się dobrze od zajścia w korytarzu, kiedy znaleziono zwłoki. Nic

dziwnego. Nawet ją to poruszyło. A Moore… Co mu się, do cholery, stało? Najlepiej będzie, jak zajrzy do Feldmana, żeby sprawdzić, czy czegoś nie potrzebuje.

W korytarzu słodkawy zapach, który poczuła w jadalni, stał się dużo intensywniejszy. Węszyła dookoła niczym pies myśliwski, próbując zlokalizować jego źródło. Nagle bolesne ukłucie w skroniach sprawiło, że krzyknęła. Jakby ktoś wbił jej rozżarzone igły nad uszami i z lubością wciskał je powoli w środek głowy. Ból napływał falami, wszystko wirowało jej przed oczami. Oparła się o gródź, próbując zachować równowagę.

Lepiej pójdę do gabinetu lekarskiego, pomyślała. To już drugi raz dzisiaj.

Zawróciła, próbując sobie przypomnieć, którędy idzie się do ambulatorium. Głowa jej ciążyła, jakby myślała o dziesięciu rzeczach naraz. Z wysiłkiem zdołała skupić się na korytarzu i przypomniała sobie drogę. Skręcić w prawo, trzy pary drzwi, zejść po schodach, drugie drzwi. Gabinet lekarski.

Ruszyła w tamtą stronę…

…I nagle w twarz smagnął ją deszcz, sprawiając, że otworzyła oczy.

Zdezorientowana kilkakrotnie zamrugała powiekami. Miała kompletnie mokre włosy, po twarzy spływała jej woda. Żeby wytrzeć krople z oczu, musiała schować do kieszeni śrubokręt, który trzymała w dłoni.

„Śrubokręt?”

Oniemiała, ponownie wzięła go do ręki i uważnie obejrzała. Był to najzwyklejszy wkrętak, ze stali, z plastikowym czerwonym uchwytem. Na dole miał głębokie bruzdy, jakby został przyłożony do czegoś gorącego.

Nigdy nie widziała tego narzędzia.

Kiedy podniosła wzrok, nie mogła powstrzymać jęku przerażenia. Śrubokręt wypadł jej z rąk i potoczył się po ziemi do czubka buta.

Senka znajdowała się na górnym pokładzie, nad mostkiem kapitańskim. Niecałe dwa metry od niej wznosił się jeden z olbrzymich czerwonych kominów „Valkirie” plujący dymem. Trochę dalej pośród mgły wyrastał las anten i obracający się radar.

„Co ja tu robię?”

Niepewnie przeszła dwa kroki i wtedy zdała sobie sprawę, że w drugiej dłoni trzyma pęk miedzianych przewodów otoczonych różnego koloru plastikiem. Plastik był na brzegach poszarpany, jakby skądś je wyrwała.

„Jak się tu znalazłam? Co się dzieje?”

Wyrzuciła przewody jak wiązkę pokrzyw. Wytarła dłonie o koszulkę i z lękiem rozejrzała się dookoła. Nikogo nie dostrzegła. Do żółtej gęstej mgły doszedł deszcz, który siekł coraz silniej. Była przemoczona, jakby spędziła pod gołym niebem ponad godzinę.

Przeszła kawałek niczym lunatyczka. Nagle dostała napadu mdłości i zwymiotowała w otwór wentylacyjny wszystko, co zjadła. Trwało to dłuższą chwilę, na końcu z jej ust wypływała już tylko strużka żółci. Kiedy wstała, nie mogła opanować drżenia.

„Chyba wariuję”.

Huczało jej w głowie, nie była w stanie zrozumieć tego, co się dzieje. Czuła się zdezorientowana, zagubiona, a przede wszystkim przerażona. Jej spojrzenie spoczęło na stromej drabinie schodzącej do strefy w pobliżu mostka przeznaczonej dla załogi. Musiała po niej wejść, ale nie pamiętała, żeby kiedykolwiek dotykała tych stalowych prętów.

Zaczęła ostrożnie schodzić. Zejście było trudne. Pomijając to, że drżała, szczeble drabiny pokrywała cienka warstwa wody śliskiej jak olej. Kiedy znalazła się na poziomie mostka, przemknęła dyskretnie do środka – nie wiedziałaby, co powiedzieć, gdyby kogoś tu spotkała, przemoczona, blada jak śmierć, niezdolna zapanować nad drżeniem ciała.

Musiała dotrzeć do swojej kajuty, żeby zmienić ubranie. Później zastanowi się, co powinna zrobić. Przecięła po cichu palarnię pierwszej klasy, zostawiając mokre ślady na chodnikach i stołach z drewna tekowego z wmontowanymi popielniczkami z brązu.

Senko.

Zastygła jak sparaliżowana na dźwięk tego głosu, niczym zwierzę na środku drogi, kiedy widzi światła samochodu.

Senko, jestem tutaj. Spójrz na mnie.

Dziewczyna mocno zacisnęła powieki, niezdolna się poruszyć.

„To się nie dzieje. To się nie dzieje. To się nie…”

SENKO!

Głos zabrzmiał donośniej i Serbka odwróciła się, jakby popchnięta jakąś niewidzialną ręką.

Przy jednym ze stolików siedziała mniej więcej trzydziestoletnia kobieta. Miała na sobie czarną wieczorową sukienkę przed kolana, wykończoną na dole delikatnymi frędzelkami. Dekolt był śmiały, odsłaniał piersi, mocne i krągłe. Długi naszyjnik z pereł dwukrotnie owijał jej szyję i opadał aż do talii. Miała jasne włosy, jak Senka, i niepokojące zielone oczy, którymi z zaciekawieniem obserwowała Serbkę, zaciągając się ostrożnie papierosem.

Witaj, Senko. Usiądź przy mnie.

Senka nie była w stanie odmówić. Zrobiła kilka kroków i przysiadła się do stolika nieznajomej. Kobieta miała hipnotyzujące spojrzenie, nie pozwalało oderwać od niej wzroku.

Moja biedna Senko. Jesteś przemoczona i drżysz z zimna. Musisz ściągnąć ubranie. Nie możemy pozwolić, żebyś się przeziębiła.

– Kim jesteś? – głos Serbki zabrzmiał jak skrzek. – Co się dzieje?

Jestem twoją przyjaciółką, Senko. I nie dzieje się nic złego. Przyszłam ci pomóc.

Kobieta wyciągnęła rękę nad stołem i chwyciła Senkę za palce. Miała ciepłą, delikatną dłoń. Kiedy musnęła jej skórę, Serbka z trudem powstrzymała okrzyk. Przestało jej być zimno, a drżenie ustało.

Jesteś śliczna, Senko. Inteligentna i piękna. Ale taka samotna… Lubisz być sama, Senko?

Serbka pokręciła głową, czując ciepło schodzące od piersi do krocza. Strach i dezorientacja, które nękały ją jeszcze minutę wcześniej, rozpływały się, jakby były jedynie wytworem nadzwyczaj realistycznego koszmaru. Część jej mózgu krzyczała alarmująco, świadoma, że to nie jest normalne, ale hałas pozostałych myśli zagłuszał te wrzaski.

Kobieta wybuchnęła śmiechem. Był śpiewny i twardy, jak kamienie na dnie zimnej rzeki.

Tak myślałam. Ja też nie lubię być sama. A byłam sama tak bardzo, bardzo długo…

Pochyliła się do przodu i musnęła grzbietem dłoni policzek Serbki. Dziewczyna poczuła, że pod jej skórą wybuchł pożar. Nagle zniknął cały pośpiech, zastąpił go inny, intensywny i naglący. Między nogami miała piec.

Blondynka po raz pierwszy rozchyliła wargi. Fragment umysłu Senki zdał sobie sprawę, że nieznajoma mówi, nie otwierając ust, był to jednak coraz mniejszy i słabszy fragment, na który nie zwracała już uwagi. Wszystko zagłuszał hałas w jej głowie. Głosy mieszały się, podekscytowane.

Pocałuję cię. Chcesz, żebym cię pocałowała, Senko?

Serbka przytaknęła ruchem głowy, jakby była w transie, i pochyliła się trochę, nie puszczając dłoni nieznajomej. Kobieta przysunęła się do niej i delikatnie dotknęła wargami ust Senki.

Jej ślina miała metaliczny posmak i była słodkawa, a wargi ciepłe, za ciepłe. Figlarny język wślizgnął się do ust Senki, łapczywie badając każdy ich zakamarek.

Dziewczyna jęknęła. Dostała zawrotów głowy. Przestała panować nad pożarem między nogami, fale pożądania rozchodziły się po całym jej ciele.

Chodź, Senko. Pójdziemy w jakieś spokojne miejsce. Chcesz iść ze mną?

Senka przytaknęła. Nie panowała nad sobą. Zdała sobie sprawę, że pierwszy raz od dawna ból w jej duszy wydaje się odległy i wyciszony. Przy tej kobiecie wszystko miało względne znaczenie. Wszystko, poza jednym.

Wstały obie, wciąż trzymając się za ręce, i wyszły z palarni. Blondynka pociągnęła Senkę w stronę jej kajuty, jakby znała drogę.

Nikogo nie spotkały w korytarzu. Kiedy dotarły pod drzwi, Senka włożyła rękę do kieszeni, nieudolnie próbując wyciągnąć klucz. Patrzyła na samą siebie nieobecnymi, obojętnymi oczami. Była niezdolna do wykonania tak prostej czynności jak ta, ale to jej nie martwiło. Jakby obserwowała inną osobę.

Kobieta uśmiechnęła się uwodzicielsko i po prostu przekręciła gałkę – drzwi otworzyły się, jakby wcale nie były zamknięte. Tym razem w głowie Senki nie rozległy się dzwonki alarmowe, milczały pokonane. Łóżko połyskiwało kusząco w słabym świetle lamp.

Drzwi zamknęły się za nimi, kiedy weszły do środka. Kobieta ponownie pocałowała Senkę, dłużej i goręcej niż poprzednio. Senka poczuła, że dłoń nieznajomej dotyka jej piersi i delikatnie naciska sutek, który natychmiast stwardniał. Jęknęła z rozkoszy i mocno przytuliła tajemniczą blondynkę.

Nie przestając jej całować, rozpięła sprzączkę przemoczonych spodni, które opadły na podłogę. Jednym kopnięciem zrzuciła buty i nagle miała na sobie już tylko obcisłe majteczki i koszulkę, jeszcze wilgotną, która oblepiała jej piersi. Kobieta przesuwała dłońmi po całym ciele Senki, a każde muśnięcie sprawiało, że dziewczyna dyszała, ogarnięta elektryzującymi falami rozkoszy.

Odchyliła się, żeby ściągnąć mokrą koszulkę, która uparcie lepiła się do skóry. Trwało to dobrą chwilę. Kiedy wreszcie się jej pozbyła, potrząsnęła mokrymi włosami. Nie mogła powstrzymać jęku podniecenia.

Nieznajoma pozwoliła, by jej czarna wieczorowa sukienka ześlizgnęła się z ramion i opadła do kostek. Stała przed Senką zupełnie naga, z uwodzicielskim uśmiechem na ustach. Złotawy odcień jej skóry zachęcał, by wylizać każdy por. Kobieta miała duże ciemne sutki i delikatną kępkę włosów łonowych, tak jasnych, że wydawały się niemal białe.

Wyciągnęła ręce i bez słowa pociągnęła Senkę na łóżko. Położyły się obok siebie i nieznajoma wprawnie zdjęła bawełniane majteczki Serbki, zanim ta zdążyła się zorientować. Wygłodniałe usta zbliżyły się do jej sutków i zaczęła je lizać, umyślnie powoli. Za każdym razem, kiedy wargi kobiety ściskały piersi Senki, wszystkie jej końcówki nerwowe eksplodowały z rozkoszy. Minutę później Serbka ciężko dyszała, wstrząsana coraz silniejszymi ładunkami podniecenia. Jej oczy widziały, jak usta nieznajomej przesuwają się od jednej piersi do drugiej w coraz szybszym tempie, podczas gdy dłonie nie przestawały jej pieścić. Zaskoczona zdała sobie sprawę, że zaraz dojdzie, choć kobieta nie dotknęła jeszcze jej łona.

Nagle wybuchła, w długim orgazmie, elektrycznym i wyzwalającym. Jęknęła z rozkoszy, drapiąc plecy blondynki, która oddychała głęboko i miarowo. Próbowała się odwrócić, ale nieznajoma przeszkodziła jej i zaczęła schodzić ku brzuchowi, kreśląc językiem skomplikowane rysunki na skórze. Kiedy dotarła do pępka, zatrzymała się na kilka sekund, po czym zanurzyła we wzgórku Wenery Senki, która krzykiem domagała się pieszczot.

Kobieta długimi liźnięciami zaczęła pieścić okolice jej warg sromowych, potem skupiła się na łechtaczce. Za każdym razem, kiedy figlarnie ssała i pogryzała ten pulsujący kawałek ciała, Senka wydawała z siebie przeciągłe, głębokie jęki. Dziewczyna czuła się tak, jakby cała energia wszechświata skoncentrowała się w tej części jej krocza. Widziała włosy blondynki rozsypane na swoim brzuchu, kiedy ta zanurzała w niej twarz, rozkoszując się jej smakiem.

Jęki Senki były coraz głośniejsze i bardziej rytmiczne. Cała jej skóra strzelała iskrami, naelektryzowana. Niekontrolowane ciarki schodziły po jej nogach, poczuła, że zbliża się kolejny orgazm, tym razem gigantyczny, potężny i niszczący niczym fala.

Chcesz tego, Senko? Chcesz tego?

Senka zdołała jedynie wyjąkać urywane „tak”, zanim orgazm uderzył w nią z siłą tornada. Krzyknęła w ekstazie, a jej plecy wygięły się nad łóżkiem. Rytmiczne skurcze schodziły od linii włosów po czubki palców u stóp, wyzwalające i wybuchowe.

Po kilku niekończących się sekundach opadła wyczerpana na materac. Jej ciało było

pokryte potem i znów wstrząsały nim niekontrolowane dreszcze. Blondynka wsparta na łokciu przyglądała się jej z rozbawieniem i zmysłowością.

Podobało ci się, Senko?

Serbka skinęła głową z kocim uśmiechem, niezdolna odpowiedzieć. Ogarniała ją gęsta, niepohamowana senność. Coraz trudniej było jej utrzymać oczy otwarte. Umysł tracił jasność, gasł jak miasto, w którym doszło do awarii prądu. Zamknęła powieki, które nagle zaczęły ważyć tonę.

Zanim ostatecznie pogrążyła się we śnie, usłyszała, że kobieta wstaje z łóżka. Cały pokój był przesiąknięty intensywnym zapachem, słodkawym i metalicznym. Sence leciała krew z nosa, ale nic nie czuła – leżała wykończona na materacu, naga i zaspokojona.

Kochamy naszych przyjaciół, Senko. Właściwie się zachowałaś i zrobiłaś to, o co cię prosiliśmy. To mały prezent. Zaopiekujemy się tobą.

Na zawsze.

rozdział XXIX

„Valkirie”

Trzeci dzień podróży

Pospieszne kroki przed drzwiami obudziły Kate. Brzmiały tak, jakby korytarzem przebiegła niewielka grupka osób. Szuranie stóp zagłuszał gwar podekscytowanych głosów rozmawiających o czymś, czego grube drzwi nie pozwalały zrozumieć.

Kate zamrugała oczami, zaspana. W kajucie panował półmrok i zdezorientowana dziewczyna spojrzała na zegarek. Było po północy. Nadal leżała skulona w kącie, gdzie padła, kiedy Feldman i Czerenkow opuścili jej pokój.

Kiedy usłyszała tamten złowieszczy śmiech.

Płakała, aż wyczerpała cały zasób łez i zasnęła. Była wykończona, czuła się nieszczęśliwa, umierała ze strachu. Ale przede wszystkim miała wrażenie, że jest zupełnie sama. Z każdą mijającą minutą coraz bardziej żałowała, że dała się wplątać w tę przygodę. W „Valkirie” było coś przewrotnego, coś, co otaczało załogę i pasażerów jak smród zepsutej ryby. A na środku oceanu nie miała dokąd uciec.

Wstała z grymasem bólu na twarzy. Zdrętwiała jej noga. Zrobiła kilka kroków, żeby przywrócić krążenie. Rozmasowywała sobie udo, kiedy usłyszała dwa głosy, jeden męski, drugi kobiecy. Rozmowie towarzyszyło rytmiczne pobrzękiwanie biżuterii, które ucichło, kiedy głosy się oddaliły.

Kate ponownie spojrzała na zegarek. Było późno, ale może serwowano drugą turę kolacji. Załoga musiała przecież kiedyś jeść. Jej żołądek burczał z głodu.

Weszła do łazienki i umyła sobie twarz i zęby. Przez chwilę walczyła z włosami, aż doprowadziła je nieco do porządku. Przejrzała się w lustrze. Miała worki pod oczami i wystraszony wyraz twarzy.

Wróciła do kajuty, włożyła obcisłe dżinsy i bluzkę. Wzięła też sztruksową marynarkę. Na tym przeklętym statku było coraz zimniej. Kiedy uznała, że wygląda wystarczająco dobrze, zawiesiła canona na szyi, wyszła na korytarz i zamknęła drzwi, dwukrotnie przekręcając klucz w zamku.

Korytarz był łagodnie oświetlony, a w powietrzu unosił się jeszcze lekki zapach perfum. Kate ruszyła zdecydowanym krokiem w stronę holu z orłami z zamiarem udania się do jadalni. Po drodze rozmyślała, jak wrócić do tematu kapelusza. Miała wrażenie, że straciła częściowo zaufanie Feldmana. Martwiło ją to. Może Carter inaczej spojrzy na sprawę. Tak czy inaczej, powinna porozmawiać z Feldmanem i Czerenkowem. Muszą zrozumieć, że nie jest kompletną wariatką i że nadal można jej ufać. Pod żadnym pozorem nie chciała zostać zepchnięta na margines.

W miarę jak zbliżała się do jadalni, gwar głosów i muzyka były coraz głośniejsze. Dziewczyna nadstawiła ucha. Grali coś w stylu tego, co po południu ćwiczył zespół, tyle że teraz brzmiało to dużo lepiej. Kate nie była pewna, ale wydawało jej się, że słyszy charlestona.

Kiedy weszła do holu z orłami, otworzyła usta ze zdumienia. W olbrzymim żyrandolu były zapalone wszystkie światła, odbijały się oślepiającym blaskiem od wypolerowanego marmuru stopni. Po schodach wchodziły trzy kobiety, których Kate nigdy wcześniej nie widziała, ubrane w stroje z lat trzydziestych. Musiały rozmawiać o czymś zabawnym, bo nagle wszystkie wybuchnęły śmiechem.

Z nieprzyjemnym wrażeniem, że śni jakiś absurdalny koszmar, Kate odwróciła głowę. Dwaj mężczyźni w niemodnych smokingach palili oparci o ścianę, lustrując ją spojrzeniem.

Mocno zacisnęła powieki. To jej się śniło. To musiało jej się śnić. Kiedy otworzyła oczy, wszystko wyglądało dokładnie tak samo. Światła, hałas, zapach tytoniu, gwar głosów dobiegający z salonu. Wyższy z mężczyzn pochylił się nad drugim, żeby powiedzieć mu coś do ucha. Niższy się zaśmiał i znów bezczelnie na nią spojrzeli.

Ruszyła przed siebie na drżących nogach, które w każdej chwili mogły się pod nią ugiąć. Dyszała, łapiąc powietrze. Nie rozumiała, co się dzieje. Kiedy dotarła do podnóża schodów, zauważyła, że donica z palmą zniknęła, a ktoś umieścił na jej miejscu trzy flagi. Na dwóch widniały swastyki na czerwonym tle, na trzeciej był symbol KdF.

Cofnęła się przerażona. Uderzyła plecami o jeden z ogromnych drewnianych orłów pełniących wartę u stóp wielkich schodów. Ptak miał otwarty dziób, jakby wydawał nieprzerwany, prowokujący pisk. Z przeczuciem, że zaraz nastąpi coś nieuchronnego, jakie miewa się w snach, spojrzenie Kate prześlizgnęło się w stronę owalu trzymanego przez orła w szponach. Odkryła, że w środku ni stąd, ni zowąd pojawiła się olbrzymia drewniana swastyka.

– To się nie może dziać – szepnęła oszołomiona i usiadła na pierwszym stopniu.

Kelner z tacą pełną kieliszków, który przechodził obok, spojrzał na nią badawczo.

„Feldman musi płatać mi jakiegoś figla. To ukryta kamera czy coś w tym rodzaju”.

Ale orzeł był prawdziwy. Przesunęła palcami po brzegu swastyki. Nie przyklejono jej ani nie przybito wewnątrz owalu, ale wyrzeźbiono wszystko jako jedną całość. Żeby wymienić tę rzeźbę, trzeba by podnieść całe schody dźwigiem, a żeby wstawić dźwig – zdemontować sufit. Na środku morza było to niemożliwe.

W uszach huczała jej krew. Wbiła sobie paznokcie w dłonie – ból był wyraźny i intensywny. To nie sen. Nie spała.

„To nie jest żart. To dzieje się naprawdę”.

– Dobrze się pani czuje, *Fräulein*? – głos, który rozległ się obok, wystraszył Kate. Kelnerka ubrana w czarny uniform i czepek pochylała się nad nią zaniepokojona. – Chce pani, żebym przyniosła pani szklankę wody?

Kate wzięła kilka wdechów, żeby zapanować nad zdenerwowaniem. Kobieta, która umarła czy zniknęła siedemdziesiąt lat temu, proponowała jej szklankę wody. Ona albo jej

duch. Czuła się jak jakaś cholerna Anne Germain[2]. Musiała zdobyć się na wysiłek, żeby nie wybuchnąć histerycznym śmiechem, który uparcie podchodził jej do gardła.

– *Nein, danke* – odpowiedziała płynną niemiecczyzną, odruchowo zmieniając język. – Zakręciło mi się w głowie. Zaraz będzie mi lepiej. Naprawdę.

– Jest pani pewna?

– Tak, na sto procent – powiedziała, wykrzywiając twarz, świadoma, że jej usta odmawiają wykonania pochodzących z mózgu rozkazów i że może zaprezentować jedynie nieudolną, rozpaczliwą imitację uśmiechu.

Kobieta kiwnęła głową i odeszła, obrzucając ją na koniec spojrzeniem, którego Kate nie potrafiła zinterpretować.

Hałas na sali przeszedł w radosne okrzyki, kiedy orkiestra wykonała pierwsze akordy kolejnego utworu. Wyglądało na to, że świętowano coś w wielkim stylu. Kate wstała, opierając się o tarczę ze swastyką, i weszła na schody. Kiedy przechodziła obok flag, spojrzała na nie kątem oka, ale nie odważyła się ich dotknąć. Miała jednak pewność, że są równie rzeczywiste jak cała otaczająca ją reszta.

Sala balowa, zwykle zamknięta i ciemna, była teraz otwarta na oścież i pełna ludzi. Na środku parkietu pary tańczyły fokstrota, a grupki pasażerów przechadzały się tu i tam, obsługiwane przez armię kelnerów i pomocników. Na scenie muzycy tworzący siedmioosobową orkiestrę grali jak opętani. Szalona zabawa osiągnęła apogeum. Szampan lał się strumieniami, pasażerowie mieli czerwone, ożywione twarze, a wszystko tonęło w hałasie i chmurze papierosowego dymu. Rozlegały się hałaśliwe śmiechy, trochę nie na miejscu – w ich brzmieniu było coś nienormalnego.

Minęła ją jakaś kobieta z pustym wyrazem twarzy. Kate przeszedł dreszcz. Wszystko wydawało się rzeczywiste. A jednak było *coś*, co nie pasowało do całości, choć nie potrafiła tego bliżej określić. Jakaś fałszywa nuta, dziwny element, który wszystko zniekształcał. Niczym zaogniony, wypełniony ropą wykwit na pięknej twarzy. Coś na tym przyjęciu było nie tak.

Pomijając oczywisty fakt, że nic z tego wszystkiego nie mogło być realne, powtórzyła w duchu Kate. Pierwszy raz pomyślała, że straciła rozum, że w jej głowie pękła jakaś żyłka. Poczuła dreszcz na plecach, kiedy zadała sobie pytanie, czy przypadkiem nie leży teraz na łóżku w swojej kajucie, zamieniona w roślinę, i czy lekarz okrętowy nie potwierdza, że w jej mózgu przepaliło się jakieś połączenie.

Chwyciła w locie kieliszek z tacy, którą niósł przechodzący obok kelner. Kieliszki były wypełnione białym rieslingiem, musującym i chłodnym. Pociągnęła łyk i poczuła, jak wino spływa jej przez gardło aż do żołądka. Jeśli to była halucynacja, to nikt nie doznał nigdy wcześniej bardziej realistycznych i doskonałych omamów.

Jej uwagę przyciągnęła czyjaś znajoma twarz w tłumie. To był jeden z chemików z zespołu naukowców, ubrany w elegancki smoking. Serce zabiło jej szybciej. Ujrzenie znajomej twarzy na tym balu duchów sprawiło, że kierat nierealności, w którym się obracała, nieco zwolnił.

Kate zaczęła sobie łamać głowę, jak też nazywa się ten człowiek. Był Finem, o dźwięcznym, egzotycznie brzmiącym nazwisku. Lau… Jak to, do licha, szło dalej? Laukannen. Właśnie. On i jeszcze jeden chemik dowcipkowali z nią w dniu prezentacji. Był sympatycznym mężczyzną o intensywnie niebieskich oczach i niewinnym spojrzeniu.

Kate przeciskała się między grupkami pasażerów. Zauważyła, że kiedy przechodzi, rozmowy cichną, a mijani goście zaczynają mówić szeptem. Wpatrywały się w nią dziesiątki oczu.

Coś było nie tak.

Nagle zobaczyła swoje odbicie w jednym z luster sali balowej i zrozumiała ich reakcję. Miała na sobie obcisłe dżinsy biodrówki i na tle uczestników tego eleganckiego przyjęcia z lat trzydziestych rzucała się w oczy niczym pchła na psich jądrach. Najprawdopodobniej nikt z obecnych nigdy w życiu nie widział dżinsów. O ile byli żywi, oczywiście.

Nie zwracając uwagi na spojrzenia, podeszła do grupki, w której stał Fin. Był w towarzystwie dwóch kobiet i dwóch mężczyzn. Prowadzili po niemiecku cichą rozmowę, którą przerwali, kiedy się przy nich znalazła.

– Witam, panie Laukannen – powiedziała Kate po niemiecku. Pochyliła się do jego ucha i szepnęła, przechodząc na angielski: – Wyjdźmy do holu, szybko.

Fin cofnął się z wyrazem zakłopotania na twarzy.

– Proszę wybaczyć, *Fräulein* – odparł cicho po niemiecku, wygładzając rękaw smokingu. – Nie zrozumiałem, co pani powiedziała. Chyba nie władam pani językiem.

Oczy Kate niemal wyszły z orbit. Sapnęła z niedowierzaniem.

– Laukannen – mruknęła, potrząsając głową. Lodowata dłoń, która ściskała jej żołądek, zwarła się jeszcze mocniej.

– Co się dzieje, kochanie? – zapytała jedna z kobiet, władczym gestem opierająca dłoń na ramieniu Fina. – Kim jest ta pani?

– Nie mam najmniejszego pojęcia, skarbie – odparł Laukannen, patrząc na Kate podejrzliwym wzrokiem.

Cała grupka zrobiła na wszelki wypadek krok do tyłu, żeby odsunąć się od dziewczyny, tak jak to się zwykle czyni na przyjęciach, kiedy jakiś pijany gość nie zachowuje minimalnej, akceptowanej towarzysko odległości i podchodzi zbyt blisko, plotąc jakieś bzdury.

Kate oddaliła się niepewnym krokiem, bez pożegnania, czując na plecach nieufne spojrzenie kobiety. Jeśli sądzili, że jest wstawiona, jej rejterada tylko utwierdziła ich w tym przekonaniu.

Szła środkiem parkietu. Ludzie rozstępowali się przed nią, jakby stanowiła element niepasujący do tego miejsca. Słodkawy odór, który unosił się w powietrzu, niemal ją dusił, tym razem przenikała go wyraźna nutka zgnilizny. Sala śmierdziała, jakby wszystko, co się tam znajdowało, było zepsute. Kate poczuła mdłości. Musiała wyjść.

Kiedy opuszczała to miejsce, zobaczyła Harpera rozmawiającego z grupką pasażerów.

Miał na sobie kompletny mundur kapitana marynarki handlowej, a na twarzy duże wąsy, których rano jeszcze tam nie było. Przyglądał się jej podejrzliwie, ale nie odniosła wrażenia, że ją rozpoznał.

Kate wypuściła całe powietrze z płuc. Oczy Harpera, o intensywnie niebieskim kolorze, świdrowały ją badawczym spojrzeniem. Powiedział coś do swojego sąsiada i dał dyskretny znak grupce kelnerów stojących pod ścianą w głębi sali. Zobaczyła, że dwóch z nich rusza w jej stronę, torując sobie drogę w tłumie.

Z jękiem przerażenia odwróciła się i skierowała ku wyjściu, próbując powiększyć jak najbardziej odległość dzielącą ją od prześladowców. Po głowie chodziło jej wspomnienie niebieskich oczu Harpera i ich zły, nieludzki wyraz. Ale przerażała ją nie tylko zapowiedź kryjąca się w tym przeszywającym spojrzeniu.

Miała pewność, że jeszcze rano oczy kapitana Harpera były brązowe.

rozdział XXX

Zbiegła po schodach do wielkiego holu, przeskakując po dwa stopnie. Pod wpływem nagłego impulsu odwróciła się i nacisnęła kilka razy spust migawki swojego canona, celując obiektywem w różne strony. Jeśli w którymś momencie nastąpi koniec koszmaru i obudzi się z tego snu, chciała mieć pewność, że to wszystko było realne i że niczego sobie nie wymyśliła. Albo na odwrót: uzyskać ostateczny dowód, że kompletnie zwariowała.

Pierwsze naciśnięcie wyzwoliło błysk flesza, który oświetlił salę niczym błyskawica i przyciągnął spojrzenia, ale Kate miała co innego na głowie. Dwaj szukający jej kelnerzy właśnie pojawili się na szczycie schodów.

Dziewczyna zauważyła drzwi do wąskiego przejścia, z którego istnienia do tej pory nie zdawała sobie sprawy. Stwierdziła, że kelnerzy nie mogą ich widzieć z górnej części schodów. Bez wahania zamknęła je za sobą i zapuściła się w głąb korytarza.

Śmiechy. Dziecięce śmiechy w głębi tunelu. Kate ruszyła biegiem, kierując się tym dźwiękiem, aż weszła do sali, której nigdy wcześniej nie widziała. Pomieszczenie było wysokie, średniej wielkości, miało ściany wyłożone drewnianymi, nieco ponaddwumetrowymi panelami. Na ich płycinach widniały dziecięce rysunki przedstawiające jelenie, rolników i śniegowe bałwany.

Na środku stała mała karuzela o staroświeckim wyglądzie. Dookoła kutej w żelazie osi krążyły obracające się konie, króliki, prosiaki i koty. Siodła były ozdobione symbolami KdF. W każdym siedział chłopiec albo dziewczynka, wznoszący entuzjastyczne okrzyki. Karuzelę otaczała niewysoka krata; obsługujący przełączniki pracownik wyglądał na zaspanego. W tle słychać było dobiegającą z gramofonu muzykę graną przez wojskową orkiestrę dętą. Na ławce w głębi siedziało kilka kobiet w średnim wieku, które plotkowały, a od czasu do czasu ze znużeniem na twarzach spoglądały na dzieciaki.

Kate obejrzała się za siebie. Drzwi, którymi tu weszła, były zamknięte. Wróciła i dyskretnie je uchyliła. Zobaczyła, że szukający jej mężczyźni stoją pośrodku holu i rozglądają się dookoła. W końcu jeden z nich ruszył w stronę mostka, a drugi wszedł do jadalni.

Zgubiła ich, ale nie na długo.

„Myśl, Kate, myśl. Dokąd pójdziesz?”

Najbardziej oczywistą opcją był powrót do kajuty i odczekanie, aż całe to delirium przeminie. O ile w ogóle przeminie. Zadała sobie pytanie, czy Tarasow i ludzie z Wolf und Klee mieli rację. A jeśli jakimś sposobem cofnęła się do 1939 roku? Feldman, Czerenkow i Carter twierdzili, że to absolutnie niemożliwe. Sprzeczne z podstawowymi prawami fizyki. Ale żadnego z nich tu nie było, nie widzieli tego, co ją otacza. Ona tak.

Powrót do kajuty nie był jednak łatwą sprawą. Żeby to zrobić, musiałaby minąć jasno

oświetlony i wypełniony ludźmi hol, a poza tym szukali jej dwaj kelnerzy. A w tych obcisłych dżinsach nie przeszłaby niezauważona. Może by się jej udało, gdyby miała jakieś ubranie z tamtej epoki. Musi znaleźć pralnię albo coś w tym rodzaju.

Wtedy jej uwagę przyciągnęła dziewczynka. Siedziała w głębi sali, zupełnie sama, obojętna na wrzawę, jaką robiły pozostałe dzieciaki. Wyglądała na bardzo skupioną, patrzyła w jej stronę z miną wyrażającą upór, którą maluchy przybierają, kiedy coś jest im bardzo nie w smak. Miała zmarszczone brwi i wymachiwała nogami, kopiąc w listwę na ścianie. Wyróżniała się nie tylko zachowaniem. Ubrana była znacznie skromniej niż pozostałe dzieci. Zamiast błyszczących lakierków nosiła zwykłe sandałki; sukienka z szarego płótna, która okres świetności miała dawno za sobą, była na nią o jeden czy dwa numery za duża, jak odziedziczona po starszej siostrze.

Nagle dziewczynka uniosła rękę i wyciągnęła ją w kierunku dziennikarki. Zastygła w tej pozie, wbijając w nią wzrok. Efekt był tak piorunujący, że Kate miała ochotę krzyczeć. Mało brakowało, a odwróciłaby się i wybiegła z sali. Tyle że gdyby to zrobiła, natknęłaby się na tamtych dwóch mężczyzn. Tymczasem dziewczynka opuściła rękę i lekko przekrzywiła głowę, jakby słuchała czegoś rozbrzmiewającego w oddali. Mimo że dzwonki alarmowe w głowie Kate groziły wybuchem, coś kazało jej podejść bliżej.

Zrobiła to, starając się nie przyciągać zdziwionych spojrzeń matek siedzących na ławce. Kiedy dotarła do dziewczynki, ukucnęła, żeby znaleźć się na jej wysokości. Mała patrzyła na nią uważnie, bez mrugnięcia okiem.

– Cześć – powiedziała Kate. – Mogę usiąść obok ciebie?

Dziecko przytaknęło głową, nie przestając machać nogami.

– Dlaczego pokazałaś mnie palcem? – Głos jej się łamał. Próbowała przełknąć ślinę, ale stwierdziła, że ma zupełnie sucho w ustach.

Dziewczynka milczała dłuższą chwilę, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w podłogę. Kate zwróciła uwagę na wielkie sińce pod jej oczami i wygląd wskazujący na niedożywienie. Oprócz tego na lewym ramieniu miała olbrzymi siniak nabierający już nieprzyjemnego żółtego koloru, jakby ktoś (lub coś) uderzył ją w to miejsce z niezwykłą siłą.

Już miała powtórzyć pytanie, kiedy dziewczynka odwróciła się w jej stronę.

– Nie powinno cię tu być – powiedziała po prostu.

Miała głos zabarwiony tak głębokim smutkiem, że Kate poczuła ucisk w gardle. Taki ton u dziecka był nienaturalny. Wyrażał cierpienie, strach i ciągły niedostatek. Utracone dzieciństwo.

– Wiem – zdołała wyjąkać. – Zgubiłam się i chcę tylko wrócić do mojej kajuty. Może wiesz przypadkiem jak…?

Dziewczynka z ponurym wyrazem twarzy zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie mówię o tej sali – odparła, gładząc z roztargnieniem siniak na ramieniu. – Mam na myśli tutaj. I *teraz*. Ty nie jesteś stąd. Nie możesz być w tym miejscu. *Ona* będzie się bardzo gniewać, jeśli cię zobaczy.

– Ona? Kto? Dlaczego będzie się gniewać? – wybełkotała Kate. – Co masz na myśli, mówiąc „teraz”?

Zamiast odpowiedzieć, dziewczynka wyciągnęła rękę w stronę nadgarstka Kate. Dziennikarka nosiła bransoletkę, którą podarowała jej siostrzenica, Andrea, plastikową, z głowami zwierząt i kolorowymi paciorkami. Mała patrzyła na nią odrętwiałym wzrokiem, jakby wyobrażała sobie siebie z taką samą bransoletką na ręku.

– Podoba ci się? – zapytała Kate, podążając za jej spojrzeniem. – Weź.

Zdjęła bransoletkę i podała dziewczynce. Ta wzięła ją w dłonie jak coś cennego, nie była w stanie uwierzyć, że może istnieć tak piękna rzecz. Przesunęła palcami po paciorkach, rozkoszując się lekkim dotykiem plastiku, jakby chodziło o jakieś egzotyczne tworzywo. Nagle ścisnęła mocno piąstkę, aż zbielały jej kostki palców. Uniosła głowę, a przez jej twarz przemknął grymas przerażenia.

– Musimy iść – powiedziała zalęknionym głosem. – Ona nadchodzi.

– Ona? O kim mówisz?

– Ona nadchodzi! Ona nadchodzi! – Wstała, cała roztrzęsiona. – A potem przyjdą inni! Musimy iść!

Skoczyła na równe nogi i nie oglądając się za siebie, pobiegła w stronę drzwi w głębi sali. Kate wstała zbita z tropu; nie wiedziała, co ma robić. Wtedy poczuła słodkawy, metaliczny zapach, który skądś znała. Jej żołądek podskoczył, grożąc buntem, a włoski na ramionach zaczęły się jeżyć. Odwróciła głowę, zbyt wolno, jakby uwięziona w filmie wyświetlanym w zwolnionym tempie.

Karuzela przestała się kręcić i wszystkie dzieci patrzyły na nią w milczeniu pustymi oczami. Matki przerwały paplaninę i świdrowały ją wzrokiem. Jednej z nich spadło na podłogę jakieś czasopismo, druga, siedząca obok i robiąca coś szydełkiem, trzymała dłonie w absurdalnej pozycji w trakcie skomplikowanego przerabiania oczek, którego, jak się wydawało, nie zamierzała dokończyć.

W oczach ich wszystkich było coś. Coś niezależnego od tych kobiet. Coś mrocznego, co na nią patrzyło.

Na Kate.

Jej krew zamieniła się w potłuczony lód. Bez zastanowienia wstała i zaczęła się cofać w stronę drzwi, przez które kilka sekund wcześniej wybiegła dziewczynka w płóciennej sukience. Prawa dłoń trafiła na wyzwalacz canona, który wisiał na jej szyi. W ciszy rozległo się dźwięczne klik-klik-klik, kiedy aparat strzelał serię zdjęć.

To wystarczyło, żeby zapanował chaos. Wszystkie dzieci jednocześnie otworzyły buzie i zaczęły krzyczeć. To nie był normalny krzyk, raczej przeraźliwy, dziki wrzask, zbyt niski i chrapliwy, żeby mógł się wydobywać z dziecięcych gardeł. Coś zwierzęcego, przejmującego. Alarmujące wycie.

Jest tutaj. Jest tutaj. Jest tutaj. Jest tutaj. Jest tutaj. Jest tutaj. Jest tutaj. Jest tutaj. Jest tutaj. Jest tutaj. Jest tutaj. Jest tutaj. Jest tutaj. Jest tutaj. Jest…

Krzyk dudnił w głowie Kate z taką siłą, że bała się, iż eksploduje niczym dojrzały owoc granatu. Podniosła dłonie do uszu, ale wrzask i zawarte w nim ostrzeżenie dalej rozbrzmiewały *wewnątrz* jej czaszki.

To bolało. *Bardzo* bolało.

Odwróciła się i puściła biegiem. Usłyszała jakiś dźwięk za plecami, jakby ktoś rozdzierał olbrzymi arkusz papieru, ale nie przystanęła, żeby sprawdzić, co to było. Chodziło o jej życie, a może o jej rozum.

Drzwi wychodziły na długi korytarz służbowy, nie tak zdobiony i oświetlony jak korytarze pierwszej klasy. W głębi dostrzegła w ciemności jasne błyski włosów dziewczynki. Mała odwróciła głowę i Kate zobaczyła białą plamę jej twarzy, a na niej wyraz śmiertelnego przerażenia.

Przyspieszyła bez chwili wahania. Canon obijał się o jej ciało, uderzając w piersi z taką siłą, że przy każdym kroku miała przed oczami gwiazdy. Coś goniło ją korytarzem, z pluśnięciem skręcało za kolejne rogi.

Ta część wycieczkowca była istnym labiryntem. Sufit pokrywały metalowe rury i kable, zamiast sympatycznej drewnianej podsufitki, którą widziała w górnych korytarzach. Co kilka metrów pojawiały się rozgałęzienia prowadzące w jakieś inne miejsca i wkrótce Kate całkowicie straciła orientację. Drogę wskazywała jej jedynie biegnąca przed nią dziewczynka. Z przerażeniem zrozumiała, że jeśli straci ją z oczu, nie będzie w stanie wrócić. I znajdzie się na łasce tego, co za nią szło.

Coś z hukiem spadło na podłogę za jej plecami. To, co ją ścigało, było coraz bliżej. Żarówki w korytarzu stopniowo gasły – ta rzecz pochłaniała każdy promień światła. Niczym złowieszcza czarna dziura w złowieszczych ciemnościach. Lampy zaczynały migotać i ich blask powoli zanikał, jakby zabrakło prądu. Cały korytarz pogrążał się w mroku. Kate sapała zdyszana. Biegła niemal po omacku. Ledwo mogła dostrzec dziewczynkę. Jej szara sukienka zlewała się z ciemnością w głębi. Jedynie jasne włosy, które zdawały się unosić pół metra nad ziemią, służyły jej za przewodnika.

„Jeśli się potkniesz, masz przesrane, Kate. Uważaj, gdzie stawiasz stopy”.

Dotarła do szczytu schodów prowadzących na niższe piętra. Wtedy zorientowała się, gdzie jest. Było to jedno z zejść do drugiej klasy. Dziewczynka mozolnie pokonywała stopnie. Jej sandałki skrzypiały, kiedy mocno czepiała się poręczy. Na nadgarstku miała bransoletkę Kate.

– Zaczekaj! – krzyknęła dziennikarka, próbując złapać oddech. – Nie schodź tam! To niebezpieczne!

Dziewczynka nie posłuchała, dalej schodziła w dół. Kate przez chwilę się wahała, ale to, co ją ścigało, było coraz bliżej. Z jękiem przerażenia postawiła nogę na pierwszym stopniu. Czarna studnia schodów przypominała dno kopalni. Na dole nie było światła, cienie zdawały się poruszać, niespokojne, wyczekujące.

Kolejne uderzenie rozległo się bardzo blisko. Nie miała czasu do stracenia. Bez namysłu zaczęła schodzić w głąb.

W stronę ciemności.

rozdział XXXI

Kiedyś, jako dziecko, Kate została uwięziona w windzie. Wtedy była jeszcze Cataliną Soto i mieszkała z rodzicami w Barcelonie. Nie pamiętała, ile miała lat, ale jechała sama. Nagle wysiadł prąd i kabina nagle stanęła. Jednak nie to było najgorsze.

Najgorsze było to, że zgasły światła i Kate została w ciemnościach, sama, zamknięta w tej klatce, czując, jak lepkie przerażenie wspina się po jej nogach.

Była za mała, żeby logicznie myśleć, więc nie przyszło jej do głowy, że awaria potrwa najwyżej kilka minut. Wystraszona zaczęła krzyczeć, ale to wydarzyło się w niedzielę i budynek świecił pustkami. Dwadzieścia minut, które spędziła zamknięta w windzie, stało się jednym z najbardziej traumatycznych doświadczeń w całym jej życiu.

Jako pamiątka po tamtym epizodzie Kate Kilroy pozostała głęboka niechęć do ciemności.

Każdy kolejny krok w dół wymagał od niej tytanicznego wysiłku. Światło z korytarza rozpraszało się, w miarę jak schodziła, i kilka sekund później otaczała ją kompletna ciemność. Strach nie pozwalał jej normalnie oddychać. Łapała ustami powietrze, ale nie docierało ono do płuc.

Podniosła wzrok, spoglądając tęsknie w stronę prostokąta migoczącego światła, który wskazywał szczyt schodów. Odruchowo weszła kilka stopni w górę, ku blaskowi, ku świeżemu powietrzu.

Wtedy po raz pierwszy to zobaczyła.

Nie potrafiła powiedzieć, co to było, ale *coś* dotarło do progu i jego sylwetka odcinała się w otwartych drzwiach. Kate dostrzegła jedynie niewyraźny kształt. Wyglądał jak ludzki, ale *nie* był człowiekiem, a przynajmniej nie poruszał się jak człowiek. To coś prześlizgiwało się jednocześnie po podłodze i po ścianach, choć przecież to niemożliwe. Nie mogła uwierzyć, że jest jeszcze czarniejsze niż otaczające ją ciemności. Nigdy nie widziała niczego równie mrocznego.

Tak musi wyglądać czarna dziura. Głęboka ciemna studnia wchłaniająca wszelakie światło, które nieopatrznie znajdzie się w pobliżu.

Zacisnęła zęby i dalej schodziła w dół. Nie widziała już dziewczynki, ale słyszała przed sobą jej kroki i przyspieszony oddech. Pasek canona wpijał jej się w szyję niczym drut kolczasty. Zdjęła aparat i chciała zostawić go na podłodze, ale wtedy wpadła na pewien pomysł. Podniosła go nad głowę i nacisnęła wyzwalacz.

Zadziałał flesz i schody wypełniły się fantasmagorycznym błyskiem. Przez krótką chwilę Kate widziała postać dziewczynki, niespełna trzy metry przed sobą. Szła z pochyloną głową, skupiona na tym, by nie potknąć się przy stawianiu kolejnego kroku.

– Zaczekaj na mnie! – krzyknęła dziennikarka. Zrobiła to bardziej dlatego, żeby usłyszeć swój własny głos, niż żeby zatrzymać dziecko.

Schodziła dalej, pstrykając kolejne zdjęcia i oświetlając sobie drogę fleszem. Za każdym razem, kiedy lampa gasła, Kate na powrót pogrążała się w ciemnościach, ale świeże wspomnienie tego, co widziała przez krótką sekundę, sprawiało, że trochę przyspieszyła, zwiększając odległość dzielącą ją od cienia, który deptał jej po piętach.

Nagle stopy Kate dotknęły miękkiego dywanu i zorientowała się, że jest na korytarzu. Kilka razy błysnęła dookoła fleszem, żeby zobaczyć, dokąd dotarła. Niemal umarła ze strachu, kiedy podczas jednego z błysków odkryła mesjanistyczne oblicze Adolfa Hitlera spoglądające na nią ze ściany. Krzyknęła z przerażeniem i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to tylko obraz.

Korytarz rozwidlał się na różne strony. Dziewczynka zmierzała ku jednej z odnóg – zatrzymała się i ruchem ręki zachęciła Kate, żeby poszła za nią.

Dziennikarka bez wahania ruszyła jej śladem. Zrobiła kolejne zdjęcie i wtedy po raz pierwszy spojrzała na wyświetlacz LCD aparatu. Poczuła w ustach gorzki smak żółci i naszły ją mdłości.

„Kurde. *Kurdekurdekurde*”.

Przez moment, kiedy flesz oświetlił korytarz, Kate mogła dostrzec miękki chodnik na podłodze, ściany pokryte płytami z ciemnego drewna i drzwi kajut pomalowane na błyszczącą biel.

Na ekranie wyświetlił się ten sam korytarz, ale całkowicie zniszczony upływem czasu. Chodnik był jedynie zbutwiałym, podartym wspomnieniem, a drewniane płyty na ścianach wyblakły, przegniły i zostały wypaczone przez wilgoć. Wystawały spod nich zardzewiałe stalowe płyty. Farba oblazła z drzwi, niektóre nawet wypadły z zawiasów.

Kate poczuła przerażenie.

Za jej plecami zabrzmiał chlupiący dźwięk, jakby odtykającego się zlewu. Kiedy wypuściła z płuc powietrze, jej twarz natychmiast otoczył obłok pary. Ściany korytarza zaczynały pokrywać mikroskopijne kryształki lodu.

Chodź tu, dziwko. Posłuchaj mojego głosu.

Ból w środku głowy Kate stał się nie do zniesienia. Jakby ktoś wkładał jej do mózgu rozżarzone do czerwoności żelazo. Zatoczyła się z jękiem i ruszyła przed siebie. Dziewczynka czekała na nią za rogiem, obok wejścia do niewielkiego dźwigu towarowego. Jego zapalone światła omiatały rozproszonym blaskiem salę, w której się znajdowały.

Pomieszczenie przecinała w połowie krata z drzwiami pośrodku. Zawieszona na drucie tabliczka głosiła po niemiecku, że pasażerowie trzeciej klasy mają zakaz wstępu na teren drugiej. Jednak drzwi były otwarte, kołysały się na zawiasach. Kate zamrugała oczami. Teraz sala wyglądała na równie podupadłą i zniszczoną jak reszta niewyremontowanej drugiej klasy, którą widziała na „Valkirie” poprzedniego dnia. Z niedowierzaniem przetarła oczy.

Kiedy znów je otworzyła, sala odzyskała swój pierwotny nienaruszony wygląd, jakby

statek dopiero co wyszedł ze stoczni. Kate wydała z siebie zduszony jęk. Chwilę wcześniej pomieszczenie było zdewastowane, nie miała co do tego wątpliwości. Nagle obraz *przeskoczył*.

Kate nie potrafiła znaleźć innego słowa na opisanie tego, co się stało. Jakby oglądała starą, zniszczoną taśmę wideo i obraz na ekranie ulegał zniekształceniu. Nagle oba obrazy, stary i nowy, nałożyły się jeden na drugi, jak dwie różne stacje radiowe nadające na tej samej częstotliwości. Drżenie trwało bardzo krótko, zaledwie kilka sekund. Światło w windzie zaczęło migotać, grożąc, że całkowicie zgaśnie. Wtedy zjawisko zniknęło. Pomieszczenie zachowało nieskazitelny wygląd z lat trzydziestych.

– Musimy zejść do trzeciej klasy. Tam nie będzie mogła nas złapać – szepnęła dziewczynka.

To nie miało sensu, ale Kate mimo wszystko weszła do windy. Dziewczynka popchnęła kratę i wcisnęła guzik. Kabina zatrzęsła się i z trzaskiem zaczęła zjeżdżać do najgłębiej położonych wnętrzności „Valkirie”.

Podczas jazdy windą Kate obejrzała canona. Obok ciekłokrystalicznego wyświetlacza paliła się czerwona lampka. Dziennikarka zaklęła. Wyczerpywała się bateria. Flesz zużył prawie całą, przy odrobinie szczęścia zdoła jeszcze zrobić kilka zdjęć.

Dziewczynka spoglądała w górę, wystraszona. Coś uderzyło mocno w kratę na piętrze, z którego zjeżdżały. Kabina zatrzęsła się jak smagnięta biczem i Kate poleciała na ścianę. Uderzyła mocno prawym policzkiem w stalowy gzyms i przez chwilę przed jej oczami tańczyła mikroskopijna konstelacja gwiazd.

Wstała, narzekając pod nosem. Poczuła czyjąś obecność. Dziewczynka podała Kate dłoń. Dziennikarka chwyciła ją z wdzięcznością. Dziecko miało bardzo gładką, zaskakująco zimną skórę.

– Jak się nazywasz, mała? – szepnęła. Chociaż winda piekielnie trzeszczała, Kate bała się zaalarmować prześladowcę, jakby samo otwarcie ust wystarczyło, żeby go wezwać.

– Esther – odpowiedziała dziewczynka.

– Dokąd jedziemy, Esther?

Kabina zatrzęsła się po raz ostatni, po czym stanęła. Kate oceniła, że muszą być poniżej linii zanurzenia statku, prawie w ładowni. Wyszły z windy do dużej świetlicy trzeciej klasy. Woda i czas zostawiły tu ślady. Krzesła były roztrzaskane i pokryte pleśnią, a powietrze cuchnęło zastałą wodą i zbutwiałym drewnem. Z sufitu, tam gdzie kiedyś wisiały żarówki, sterczały miedziane druty przeżarte rdzą.

W którymś momencie podczas jazdy windą obraz musiał znowu „przeskoczyć”, bo, do diabła, jak inaczej nazwać to zjawisko. Kate westchnęła, równie zdezorientowana, co przerażona.

Miejsce było przygnębiające i przytłaczające z powodu niskich sufitów. Esther wyglądała teraz na dużo spokojniejszą, jakby nie bała się już mrocznego cienia, który krążył po wyższych piętrach. Kate zobaczyła w kącie starą oliwną lampę o przedpotopowym wyglądzie. Szkło klosza było rozbite, a miedziana podstawa przeżarta

rdzą miała niezdrowy zielony kolor, jednak kiedy potrząsnęła lampą, odkryła, że wciąż jest pełna. Przeszukała kieszenie i znalazła starą zapalniczkę Roberta, którą nosiła przy sobie jako amulet. Nie było w niej ani krzty gazu, ale kamień nadal iskrzył. Przysunęła go do knota lampy i sekundę później krzepiący ciepły płomyk kreślił wokół magiczny ochronny krąg, rozpraszając wszystkie cienie.

Szły zaniedbanym korytarzem z ciągnącymi się po bokach olbrzymimi zbiorowymi sypialniami. Kate zdziwił rozmiar tych pokoi, obliczyła, że każdy z nich musiał mieścić jakieś czterdzieści osób. Zrozumiała, że „Valkirie" mogła przewozić dużo więcej pasażerów trzeciej i drugiej klasy niż pierwszej, a mimo to większość przestrzeni na pokładzie była zarezerwowana dla tych ostatnich.

Wiedziona dziennikarskim instynktem, odruchowo dotknęła canona, żeby zrobić zdjęcie. Wtedy zdała sobie sprawę, że jest sama.

Dziewczynka zniknęła.

– Esther! – krzyknęła. – Gdzie jesteś? Esther!

Obeszła kilka pomieszczeń, wołając dziewczynkę, ale ta jakby rozpłynęła się w powietrzu. Nie został po niej ślad. Dziennikarka potrząsnęła głową, załamana. Zdała sobie sprawę, że nie ma zielonego pojęcia, jak stąd wyjść.

Z lękiem rozejrzała się dookoła. Miała poważny problem. Albo dużo problemów, zależy, jak na to spojrzeć. Znajdowała się w sytuacji tak skomplikowanej, że nie wiedziała nawet, od czego powinna zacząć.

Wtedy usłyszała jego głos.

– Kate.

To było tylko jedno słowo, ale na ten dźwięk ziemia przestała się obracać. Serce dziewczyny zamarło na mikrosekundę, a jej tłumione emocje walczyły ze sobą o to, która uzewnętrzni się jako pierwsza.

– Kate – powtórzył głos.

Dziewczynę ogarnęło niemożliwe do opanowania drżenie, a po policzkach popłynęły jej olbrzymie łzy. Ten głos. Znała go tak dobrze… Tak za nim tęskniła… Ten głos.

Odwróciła się z niedowierzaniem, ale i z nadzieją. Przygotowana na to, że zobaczy właściciela głosu, którego już tak długo nie słyszała. Gotowa upić się szczęściem.

Spoglądał na nią z uśmiechem, rozczochrany, oparty o framugę drzwi. Porywający, ufny, czarujący. Jak on. Jaki zawsze był.

Kate otarła łzy wierzchem dłoni i pierwszy raz od dawna naprawdę się uśmiechnęła, czując, że w jej sercu odradza się żar.

– Witaj, Robercie.

rozdział XXXII

Spoglądali na siebie przez nieskończenie długą chwilę. Robert się uśmiechał, w kącikach jego oczu powstawał znajomy wachlarz zmarszczek, który Kate lubiła pokrywać pocałunkami, kiedy tylko mogła. Zapłakała rzewnymi łzami, rozdarta między bólem a przeogromną radością.

Bo Robert stał przed nią. Miała go tuż przed sobą, dzieliły ich niecałe dwa metry. Ale wiedziała, że nie jest prawdziwy, nie żył od ponad miesiąca, a jego zimne, szare prochy spoczywały ubite w czarnej ceramicznej urnie w jej kajucie.

– To nieprawda. – Kate pokręciła głową, krwawiąc od środka przy każdym wypowiadanym słowie tego zdania. – Wiem, że cię tu nie ma.

Robert zmienił pozę, ale nie ruszył się o krok z miejsca, w którym stał. Choć jego twarz nadal miała ten sam łagodny, pełen ufności wyraz, nieodłączny uśmiech psotnego uczniaka został zastąpiony smutkiem.

– Jestem tutaj, Kate. Przed tobą. Jestem tak prawdziwy jak ten aparat, który masz na szyi i który tak na marginesie jest mój, przynajmniej był. Kupiliśmy go razem w Nowym Jorku tamtego dnia, kiedy lało, jakby miał się skończyć świat. Pamiętasz?

Kate zaprzeczyła ruchem głowy, z oczami tak pełnymi łez, że już ledwo go widziała. Oczywiście, że pamiętała tamten dzień. Jak po powrocie do hotelu Robert cieszył się podekscytowany nowym aparatem niczym mały chłopiec. Jak niedaleko Central Parku rozbawił ich uliczny mim. Jak kochali się przez trzy godziny, podczas gdy na zewnątrz, pod ołowianym niebem, miasto zatapiała szalejąca burza. Pamiętała skarżących się sąsiadów z pokoju obok. Pokrętne wyjaśnienia, jakich Robert udzielał portierowi, podczas gdy ona umierała w łóżku ze wstydu, jednocześnie dusząc się ze śmiechu.

Pamiętała wszystko. I wszystko bolało.

– Ty odszedłeś, Robercie. – Zaszlochała. – Potrącił cię pijany kierowca, który uciekł z miejsca wypadku.

– To prawda – odpowiedział bardzo poważnie. – Ale w jakiś sposób do ciebie dotarłem, Kate. Jestem tutaj. Nie wiem za bardzo jak ani na jak długo, ale jestem tutaj.

– Skąd mam wiedzieć, że to nie halucynacje? – zapytała Kate zdławionym głosem. Lampa drżała w jej dłoni.

Robert westchnął. Kate zauważyła, że ma na sobie ten sam kremowy garnitur, który włożył w dniu, kiedy wyszedł z domu i już do niego nie wrócił, no chyba że w postaci szarego proszku w puszce. Nawet krawat był identyczny. Ogarnęła ją czułość, gdy zdała sobie sprawę, że to ten, który zawiązała mu tamtego poranka. Kiedy przyjechała do szpitala, żeby rozpoznać zwłoki, w szoku, jak szalona wykrzykując imię Roberta, krawata nie było. Ratownicy z karetki rozwiązali go, żeby spróbować przywrócić krążenie i oddech

i oddali jej później, zgnieciony w kulkę przesiąkniętą krwią (jego krwią!), w plastikowej torebce. Ale teraz krawat tkwił na swoim miejscu, zawiązany tak, jak zawsze to robiła. Jak nauczyła się go wiązać na szyi swojego ojca, kiedy była mała. Rozpoznałaby ten węzeł pośród miliona innych.

– W porządku, zakładam, że jest tylko jeden sposób, żeby to udowodnić, prawda? – Robert wzruszył ramionami z szelmowskim półuśmiechem. Codzienny, znajomy gest, który wstrząsnął Kate niczym wiatr gałęzią.

To był on. To mógł być tylko on.

– Przyszedłeś, żeby zabrać mnie ze sobą na drugą stronę? – zapytała, przypominając sobie nagle wszystkie opowieści o świetlnym tunelu i doświadczeniach zbliżonych do śmierci. – Jak to jest? Będzie mnie bolało?

– Kate – westchnął Robert, cierpliwie kręcąc głową. – Nie jesteś martwa. A teraz… Zamierzasz przez cały ranek zadawać te swoje pytania szczwanej dziennikarki czy wreszcie mnie pocałujesz?

Kate usłyszała własny śmiech. Jej stopy, które do tej chwili wydawały się przyspawane do stalowego pokładu „Valkirie”, zaczynały żyć własnym życiem. W niespełna sekundę pokonała dzielące ich półtora metra i zatrzymała się przy Robercie, wdychając jego zapach. Była to ta sama mieszanka wody kolońskiej i gorącej skóry, którą tak dobrze pamiętała. Czuła, że kręci jej się w głowie, ale nie miała odwagi podnieść ręki, żeby sprawdzić, czy Robert jest prawdziwy. Jak dziewczynka zachwycona widokiem olbrzymiej, mieniącej się kolorami tęczy bańki mydlanej, której pragnie dotknąć, ale boi się, że pęknie, kiedy to zrobi.

– Nie zniknę, Kate – zamruczał Robert do jej ucha. Jego ciepły oddech wystarczył, żeby włoski na jej skórze zjeżyły się jak nigdy wcześniej.

Bardzo delikatnie położyła ręce na piersiach męża. Były twarde w dotyku, przyjemne i ciepłe, takie, jakimi je zapamiętała. Przesunęła dłońmi po jego torsie, aż do szyi, podczas gdy Robert obejmował ją w talii, kładł swoje duże ręce na jej pośladkach i wspinał się wzdłuż kręgosłupa w intymnym, znajomym uścisku.

Kate zamknęła oczy rozanielona, a z jej gardła wydobył się zwierzęcy jęk wyzwolenia i całkowitego oddania. Mieszanka ulgi, bólu, radości i podniecenia, jakiej doświadczała, doprowadzała ją do szaleństwa. Kiedy Robert podrapał ją brodą w policzek, odruchowo podniosła głowę i rozchyliła usta.

Pocałunek był intensywny, długi, pełen uczucia. Kate nie mogła przestać przesuwać dłońmi po twarzy swojego męża, jakby robiła to pierwszy raz, podczas gdy jej usta łapczywie go pożerały. Jej ciało przywarło do Roberta, byli dwiema częściami jednej całości, nie do rozdzielenia.

Po kilku trwających wieczność minutach odsunęła się, ciężko dysząc. W jej oczach błyszczało światełko podniecenia, które przez długi, długi czas było zgaszone.

– Robercie, dlaczego tutaj? – zapytała gorączkowo, z policzkiem przyklejonym do piersi męża. Słyszała spokojne bicie jego serca (jego serca!), pełnego życia. – Dlaczego teraz?

Co się dzieje, skarbie?

– Ciiiii… – Robert pocałował jej włosy i pogłaskał po plecach. – Nie mam odpowiedzi na twoje pytania, Kate.

– Nie masz…?

– Nie. Są rzeczy, które da się opowiedzieć, i takie, których się nie da. Istnieją pewne zasady. Reguły, których nie można złamać. Powinnaś wiedzieć tylko tyle, że pozwolono mi tu być z jednego powodu. Żeby ci pomóc.

Kate zamknęła oczy, otulona jego ciepłem. Był tu, nie potrzebowała niczego więcej.

– Nie podoba mi się to miejsce. – Wtuliła nos w piersi Roberta, żeby móc wdychać jego zapach. – Na pewno jest pełne szczurów.

– O nie, na bank nie ma tu szczurów.

– Skąd wiesz?

– Gdyby były szczury, wszystkie wystawiłyby wąsy, żeby podziwiać ten wspaniały tyłeczek – odpowiedział, zsuwając dłonie po tylnej części dżinsów Kate.

Zaśmiała się, figlarnie uderzając go w piersi. Zdziwił ją dźwięk własnego śmiechu, świeżego, wyzwolonego, pełnego życia. Do tego stopnia nie pasował do brudnego, ciemnego pokładu, że wydawał się niepokojący.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam – szepnęła, patrząc na niego z uwielbieniem. – Nie chcę, żebyś odchodził. Zostań ze mną.

Robert odsunął się od niej z westchnieniem. Spojrzał na nią swoimi ciemnymi, głębokimi, dużymi oczami.

– Nie chcę się z tobą rozstawać – powiedział. Po chwili wahania dodał: – Musisz wiedzieć o czymś ważnym. Nie pytaj mnie, skąd to wiem ani kto mi to powiedział, bo nie mogę tego wyjaśnić.

– Zasady – szepnęła Kate.

– Zasady – przytaknął Robert. – Ale posłuchaj uważnie, co ci powiem.

Serce Kate skurczyło się ze strachu.

– Jest tutaj coś złego. Mrocznego, wygłodniałego i złego. – Robert z powagą rozglądał się dookoła. – Jest stare, niebezpieczne, pełne gniewu. Ty i ja z jakichś powodów nie pasujemy do jego planów. Nie powinno nas tu być. Jeśli zdoła cię dorwać, zabierze cię w miejsce, gdzie nawet ja nie będę mógł dotrzeć. Stracę cię na zawsze.

Kate poczuła w żołądku znajomą lodową kulę.

– Robercie, to wszystko jest przerażające. Potrzebuję cię.

– Będę przy tobie, kochanie. Ale teraz musisz stąd wyjść. Oboje odgrywamy w tym jakąś rolę.

Pokręciła głową i jeszcze mocniej przytuliła się do Roberta. Myśl, że ma wrócić na górny poziom „Valkirie” i zostawić męża samego na tym ciemnym, gnijącym pokładzie była nie do zniesienia.

– Nie zamierzam się z tobą rozstawać. Nie po tak długim czasie. – Zaprzeczyła ruchem głowy. – Nie ma mowy.

W tym momencie kadłub „Valkirie” zadrżał. Chwilę później przytłumiony odgłos dalekiej eksplozji przedarł się do wnętrzności statku. Po kilku sekundach gdzieś w oddali zaczął wyć alarm.

Kate spojrzała wystraszona na sufit. Cały statek dygotał, jakby uderzyła w niego torpeda.

– Co to było, Robercie? – Odwróciła się, ale męża już nie było.

Krzyczała, wołając jego imię, aż rozbolało ją gardło, jednak Robert zniknął, tak samo jak dziewczynka. Przez moment myślała, że to wszystko było przywidzeniem, ale jej ubranie nadal pachniało *jego* wodą kolońską. Nadal czuła w ustach jego smak.

Był prawdziwy. Była z nim.

– Robercie – szepnęła ze ściśniętym gardłem.

Po jej prawej stronie zabłysło słabe światło. Odwróciła głowę i zobaczyła windę towarową dla obsługi statku, otwartą na oścież, kilka metrów od niej.

– Dziękuję, kochanie. – Kate uśmiechnęła się, wchodząc do kabiny. – Wrócę po ciebie. Obiecuję.

rozdział XXXIII

Kiedy wjeżdżała pośród trzasków i jęków metalu, próbowała się uspokoić i uporządkować myśli. Jej głowa była jak wulkan w stanie erupcji. Do euforii z powodu spotkania z Robertem dochodził niepokój, jaki budził w niej ten przeklęty statek. Poza tym nie mogła wybić sobie z głowy słów męża.

„Jest tutaj coś złego. Mrocznego, wygłodniałego i złego”.

Im wyżej była winda, tym głośniej i wyraźniej słyszała dźwięk alarmu. Poza tym wyczuwała lekki swąd dymu i palonego plastiku. Na górze działo się coś bardzo niedobrego.

Winda szarpnęła ostatni raz i stanęła. Kate odsunęła kratę i trafiła na stalową płytę. Zrozumiała, że musi być już na poziomie pierwszej klasy i że to jedno z przejść zagrodzonych przez ludzi Feldmana. Najpierw poczuła z tego powodu złość, ale szybko pomyślała z ulgą, że te stalowe blokady są czymś namacalnym i rzeczywistym, należącym do świata, w którym żyje.

Popchnęła płytę, która lekko się wygięła. Przyspawano ją, żeby uniemożliwić przejście od drugiej strony, nikt jednak nie wpadł na to, że ktoś mógłby próbować sforsować ją od środka. Kate pomyślała, że jednym mocnym kopniakiem zdoła poluzować spawy na tyle, by dało się przesunąć płytę.

Nabrała rozpędu i natarła na stalowe drzwi. Jakby kopała w granitową ścianę. Chwyciła oburącz obolałą stopę, rzucając przekleństwo. Spróbowała ponownie, tym razem starając się uderzyć jak najbliżej spojenia, na próżno. Bez lewarka za żadne skarby nie ruszy z miejsca tej metalowej przeszkody.

Zmartwiona zrozumiała, że została schwytana w pułapkę niczym szczur. Tak blisko celu, a jednak tak daleko. Po drugiej stronie stalowych drzwi było światło, ciepło, żywe istoty i świeże powietrze. Nie pozostawało jej jednak nic innego, jak ponownie zagłębić się we wnętrzności „Valkirie” i spróbować wrócić drogą, którą przyszła.

Przygnębiona pochylała się już nad guzikami windy, kiedy usłyszała serię suchych trzasków, jakby ktoś spuścił mocno napięte stalowe liny. Nagle ku jej zdziwieniu metalowa płyta zadrżała wstrząśnięta ciosem niewidzialnej pięści i zaczęła się pochylać, coraz szybciej, aż w końcu z hukiem upadła na podłogę.

„Będę przy tobie, kochanie”, powiedział Robert.

– Dziękuję, skarbie – szepnęła Kate, czując w środku ciepło. Nie było jej tak dobrze, odkąd weszła na pokład tego statku.

W twarz uderzył ją strumień żółtawego światła. Wyjrzała ostrożnie i odkryła, że znajduje się w jednym z korytarzy służbowych pierwszej klasy. Przez świetliki wpadał blady blask poranka zabarwiony fantasmagorycznym kolorem mgły otaczającej „Valkirie”.

Porywy wiatru spychały kurtynę deszczu na szyby, po których bez przerwy płynęła woda.

Swąd dymu był tu dużo mocniejszy. Kate dotarła do schodów i wkrótce z powrotem znalazła się w znajomym korytarzu z kajutami pierwszej klasy wyłożonym miękkim czerwonym chodnikiem. Nagle zza rogu wyłonił się Moore i kilku ochroniarzy. Niektórzy z nich mieli na sobie azbestowe ubrania i nieśli sprzęt przeciwpożarowy, reszta trzymała gaśnice i coś, co wyglądało jak ogromny wąż ogrodowy.

– Z drogi, pani Kilroy! – ryknął Moore, brutalnie odpychając ją na bok.

Kate przywarła do grodzi, absurdalnie szczęśliwa. Moore ją rozpoznał. Ziemia znów kręciła się we właściwą stronę.

Bez namysłu ruszyła za grupą mężczyzn. Dotarli do mostka i wyszli na zewnątrz, na deszcz.

W niespełna dwie minuty Kate przemokła do suchej nitki. Woda spadała ciężkimi zasłonami, tak gęstymi, że widoczność zmalała do kilku metrów. Dziewczyna domyśliła się obecności kilku osób po lewej stronie, u stóp drabiny prowadzącej na najwyższy poziom statku, pokład, na który pasażerowie zazwyczaj nie mieli wstępu.

Przyłączyła się do ochroniarzy, z obawą, że zaraz każą jej odejść, ale nikt nic nie powiedział. Zobaczyła Feldmana w żółtym sztormiaku. Ludzie Moore'a mozolnie wspinali się po drabinie. Starzec wydawał się tak kruchy, że Kate miała wrażenie, iż w każdej chwili może porwać go podmuch wiatru. Na jej widok kiwnął głową, jakby uznał, że wszystkie elementy układanki nareszcie do siebie pasują.

– Już się zastanawiałem, gdzie przepadłaś, Kate. – Wskazał ręką w górę z poważną miną. – Myślę, że nie chciałabyś tego stracić. To była robota profesjonalisty.

Kate zmarszczyła brwi, słysząc ton jego głosu, ale nic nie odpowiedziała. Zaczęła wchodzić po drabinie. Staruszek podążył za nią. Od czasu do czasu spoglądała w dół, przekonana, że zobaczy ciało Feldmana spadające w fale, ale starzec wydawał się posiadać sekretne zapasy sił ukryte gdzieś w wymizerowanym ciele.

Kiedy w końcu dotarli na górę, otworzyła usta ze zdumienia. W części dziobowej, dokładnie nad mostkiem kapitańskim, gdzie powinien stać las anten, widniała czarna dymiąca dziura. Była ogromna. Wystawało z niej kilka poskręcanych stalowych belek, niczym przegniłe korzenie zębów w zmasakrowanych ustach.

– Co tu się stało?

– Straciliśmy cały system łączności – warknął przeraźliwie blady Moore.

Szef ochrony był wyraźnie przybity. Odpowiadał za to, żeby w czasie podróży nie wydarzyło się nic nienormalnego, tymczasem w ciągu zaledwie trzech dni stracili statek pomocniczy, zamordowano jednego z jego ludzi, teraz zaś musiał stawić czoło prawdziwej katastrofie.

– Jak to się stało? Wypadek?

Moore, wściekły, zaprzeczył ruchem głowy.

– Ktoś wszedł na górę i odciął główny dopływ prądu. System miał urządzenie awaryjne

pozwalające uniknąć przerw w łączności w razie awarii sieci elektrycznej. – Wskazał sam środek czarnej dziury, gdzie dwaj jego ludzie poruszali się ostrożnie, rozgarniając poszarpane stalowe szczątki. – Pięćdziesiąt akumulatorów o dużej pojemności.

– Źle działały?

– Wprost przeciwnie – odparł Moore. – Akumulatory były w porządku. System został tak pomyślany, żeby włączały się jeden po drugim, ale ktoś przerobił go na układ mostkowy, doszło do wyładowania i pięćdziesiąt akumulatorów wybuchło jednocześnie. A oto rezultat.

Kate w zamyśleniu przyglądała się dziurze. Strużki deszczu spływały na zgliszcza, a na pokładzie „Valkirie" tworzyły się ciemne plamy wielkich kałuż pełnych spalonych szczątków.

– Wiadomo, kto to zrobił?

– Jeszcze nie, Kate – usłyszała za plecami głos Feldmana. – Ale niedługo dowiemy się, kto jest odpowiedzialny za to nieszczęście. Albo odpowiedzialna.

Kate wyczuła aluzję ukrytą w słowach starca. Odwróciła się do niego zagniewana.

– Czyżby insynuował pan, że ja to zrobiłam?

– Ja niczego nie insynuuję – odparł zimno Feldman. W jego oczach mignął cień nieufności. Kate uważnie przyjrzała się starcowi i przełknęła ślinę. Widok jego twarzy zrobił na niej wrażenie.

Feldman wyglądał jak cień wiekowego, ale imponującego mężczyzny, którego widziała, kiedy wchodziła na pokład „Valkirie". Włosy opadały mu w nieładzie, odsłaniając kilka prześwitów na czaszce, jakby został napromieniowany albo przeszedł jakąś dziwną chorobę, która zżerała go od środka. Twarz miał zniszczoną, pokrytą drobniutkimi żyłkami w miejscach, gdzie przedtem skóra była gładka i zdrowa. Ale najgorzej wyglądały jego oczy. Jastrzębie spojrzenie zastąpił przygaszony, niepewny wzrok starca na skraju demencji, który nie rozumie, co się dzieje dookoła, i nie ufa nikomu z otoczenia w obawie, że zostanie okradziony z oszczędności. Przemiana była tak powalająca, że Kate pobladła.

– Ktoś uszkodził mój statek – warknął. – Moją biedną „Valkirie". A kto atakuje ją, atakuje mnie.

Uwadze dziennikarki nie umknęło, jak Feldman mówi o „Valkirie". *Ona*. Automatycznie pomyślała o czarnym cieniu ścigającym ją korytarzami niespełna godzinę wcześniej (a może raczej powinna powiedzieć siedemdziesiąt lat wcześniej?).

– To nie ja, panie Feldman – odparła, wymawiając wyraźnie każdy wyraz. – Przez cały czas byłam w środku.

– Nie było jej w kajucie – mruknął Moore za ich plecami, przyglądając się w skupieniu zniszczeniom. – Ani w żadnym z ogólnie dostępnych miejsc.

– Gdzie się pani przez cały ten czas podziewała, Kate? – zapytał Feldman pozornie spokojnym głosem, którego ton brzmiał niezbyt przyjaźnie.

Zawahała się i obaj mężczyźni to zauważyli. Nie mogła powiedzieć im prawdy, bo

pomyśleliby, że oszalała. Zresztą i tak nie chciała się przyznać, że złamała wszystkie przepisy i spędziła pół nocy, włócząc się po zakazanych strefach „Valkirie”.

– To nie ja, panie Feldman – ograniczyła się do powtórzenia. – Musi mi pan uwierzyć, czy się to panu podoba, czy nie.

– Nie będzie takiej potrzeby – warknął Moore. Jeden z jego ludzi wszedł właśnie na górę i szepnął mu coś do ucha. – Za niecałe pięć minut wyzbędziemy się wszelkich wątpliwości. Przejdźmy do sali monitoringu.

Feldman kiwnął głową z wyrażającym satysfakcję obłąkanym śmiechem, który zmroził Kate krew w żyłach. Starzec tracił rozum: staczał się w mroczą strefę, pełną dziur, w których roiło się od lepkich, szalonych myśli.

Zeszli po drabince na mostek kapitański. Po wejściu do środka Kate zauważyła kilka zmian, które sprawiły, że poczuła się jeszcze gorzej.

Ściana w głębi była pusta. Zniknęły wszystkie nowoczesne urządzenia nawigacyjne. Ktoś je zabrał, nie został po nich żaden ślad. Tam, gdzie wcześniej stały sonar i ekran satelitarny, ze ściany wystawało tylko kilka kabli i parę żałośnie wyglądających metalowych wsporników. Kate mogła zrozumieć, że radar i urządzenia do łączności były już nieprzydatne, co samo w sobie stanowiło poważny problem, ale nie widziała powodu, by usuwać sonar czy stację meteorologiczną.

„Chyba że statek już ich tu nie chce, Kate”.

Na mostku był Harper. Nie miał teraz gęstych wąsów, którymi zadawał szyku na parkiecie, a jego oczy znowu stały się brązowe, ale nadal nosił mundur kapitana niemieckiej marynarki handlowej. Na widok przybyłych stuknął obcasami i powitał ich bardzo oficjalnym tonem.

– *Guten Tag, meine Herren* – szczeknął. – Mam nadzieję, że wszystkie te niedogodności szybko się skończą. Nie możemy utrzymać spokoju na wycieczkowcu, dopóki dochodzi do tych… incydentów. Ktoś będzie musiał ponieść odpowiedzialność za ten bałagan.

– Proszę się nie martwić, *Herr Kapitän* – odparł Moore. – Już nad tym pracujemy. Wkrótce znajdziemy tego komunistycznego agenta.

„Komunistycznego agenta? Co do cholery…?” Kate wolała nie pytać. Miała inne, bardziej palące problemy. Dwóch ludzi Feldmana stanęło w drzwiach z karabinami automatycznymi na piersi.

Obaj patrzyli na nią.

rozdział XXXIV

Weszli do sali radiowej, gdzie znajdowały się monitory kontrolne. Na krześle siedział ten sam co zawsze operator ze słuchawkami na uszach, ale tym razem na jego twarzy malował się wyraz koncentracji. Kate zauważyła, że na drzwiach wejściowych ktoś powiesił rysunek technika naprawiającego stare radio. Jedną rękę trzymał wewnątrz aparatu, a włosy stały mu dęba, jakby poraził go prąd. Ten rysunek sprawił, że poczuła dreszcze. Znała go. Mówił jej o nim Duff Carroll. Wisiał tu w latach trzydziestych.

Operator popatrzył na nią i znowu poruszył brwiami na znak, że ją rozpoznaje. Kate odetchnęła z ulgą. Przynajmniej ten człowiek nie postradał jeszcze rozumu.

– Cześć – powiedziała do niego dziennikarka, spodziewając się w odpowiedzi przyjaznego uśmiechu. – Jak wczoraj poszło Knicksom?

Mężczyzna spojrzał na nią z wyrazem zakłopotania na twarzy, nagle zmieszany.

– Komu?

– Knicksom. – Wskazała palcem wygaszony ekran. – Mecz koszykówki, no wie pan.

– Koszykówki? – Mężczyzna patrzył na nią z taką miną, jakby zaproponowała mu, żeby polecieli na Księżyc i zasiali jęczmień.

Kate przełknęła ślinę i poczuła, że traci grunt pod nogami. Coś się działo. Bez wątpienia żyła w swojej rzeczywistości, ale wiele rzeczy uległo ledwo zauważalnym zmianom. Odnosiła wrażenie, że postradała zmysły.

– Mamy film? – zapytał Moore rozkazującym tonem.

Wydawało się, że to on dzierży batutę. Harper stał obok, w swoim mundurze wyglądał imponująco i majestatycznie. Feldman, przygarbiony, posapując, przesuwał się w kąt z uśmieszkiem szaleńca.

– Tak, proszę pana – odparł operator. Obrócił kilka pokręteł i jeden z wygaszonych ekranów nabrał życia.

Był to czarno-biały obraz pochodzący z wewnętrznej sieci monitoringu. W jednym z rogów cyferki pędziły z zawrotną prędkością w miarę przesuwania się filmu. Kamera pokazywała część nadbudówki „Valkirie”. Kate potrzebowała dobrej chwili, żeby rozpoznać to miejsce. Była to niewielka kładka prowadząca do drabiny, po której wchodziło się do strefy anten.

– To są zdjęcia z wczorajszego wieczoru – powiedział łącznościowiec, puszczając film z maksymalną prędkością. Cyferki oszalały, a krople deszczu kreśliły na przyspieszonym nagraniu skomplikowane piruety. Nagle operator zatrzymał obraz. – Teraz – szepnął głosem wyrażającym satysfakcję fachowca zadowolonego ze swojej roboty. – Uważajcie.

Widzieli nadal tę samą kładkę. Po chwili po wewnętrznej, lewej stronie pojawiła się

jakaś ciemna postać. Senka.

Młodą Serbkę, z blond włosami i w spodniach pełnych kieszeni, trudno było pomylić z kimś innym. Poruszała się w dziwny sposób, jakby ktoś pociągał za niewidzialne sznurki, żeby zmusić ją do chodzenia.

Potykając się, zrobiła kilka chwiejnych kroków. Nagle przystanęła, przechyliła głowę na bok, wdzięcznym ruchem, niczym kot, który próbuje zlokalizować miejsce w szafie, skąd dobiega drapanie mysich pazurków. Jakby słuchała czegoś ledwie słyszalnego.

Ruszyła dalej, bardziej zdecydowanym krokiem, w stronę drabinki prowadzącej na górę. W ręku niosła jakieś narzędzia i kawałek zwiniętego kabla. Zatrzymała się na chwilę, żeby upchnąć wszystkie te rzeczy po kieszeniach. Trwało to całą wieczność, jakby polecenia wydawane przez głowę nie docierały z wystarczającą klarownością do jej dłoni. Kiedy skończyła, chwyciła szczebel drabinki, wspięła się i zniknęła z pola widzenia.

– A to jest godzinę i dziesięć minut później. – Operator wcisnął jakiś guzik i obraz przeskoczył do momentu, w którym na drabince znów pojawiły się nogi Senki.

Teraz Serbka była przemoczona do suchej nitki. Po niezdarnych ruchach sprzed godziny nie pozostało śladu. Wszyscy doskonale widzieli jej twarz. Senka wyglądała na skostniałą z zimna, trzęsła się i nie potrafiła zapanować nad dreszczami.

Przede wszystkim jednak była zaniepokojona. I wystraszona.

Rozejrzała się na wszystkie strony, po czym przykucnęła, żeby nikt jej nie zobaczył, i chyłkiem przemknąwszy po kładce, zniknęła z ekranu.

Kate ogarnęło przerażenie. Senka? Nie mogła w to uwierzyć. Uwielbienie tej kobiety dla Feldmana nie miało granic. Sposób, w jaki o nim mówiła i w jaki go traktowała, świadczył o tym, że jest dla niej kimś w rodzaju ojca. Niemożliwe, żeby to ona była agentką Wolf und Klee.

– Dobra – wymruczał zadowolony Moore. – Myślę, że mamy już naszą sabotażystkę. Wiemy, kim jest?

Harper pstryknął palcami i jeden z marynarzy podał mu ciężką księgę. Kapitan zaczął przeglądać ręcznie zapisane strony. Kate dostrzegła poprzyklejane na nich kolorowe zdjęcia wszystkich pasażerów. Wyglądało na to, że są tam od niedawna.

– Jest – powiedział Harper triumfalnym tonem. – Pasażerka pierwszej klasy Senka Simović, narodowość serbska, kajuta piętnasta, zewnętrzna.

– Serbka, tak? – wymamrotał Moore, jakby nigdy nie słyszał o kobiecie, z którą pracował ramię w ramię od wielu lat. – Porozmawiajmy jak najszybciej z tą komunistyczną suką. Na pewno ma nam coś ciekawego do powiedzenia.

W kącie Feldman ciężko dyszał, wydając z siebie astmatyczny śmiech szaleńca. Kate zauważyła ze wstrętem, że z kącika ust zwisa mu nitka śliny.

– Możliwe, że ma wspólników na pokładzie – szepnął, patrząc spod oka na Kate z grymasem wskazującym na mordercze zamiary.

– Proszę się nie martwić, Herr Feldman. – Na obliczu Moore’a pojawił się sadystyczny

uśmiech. – Zaraz się tego dowiemy. *Kommen Sie*!

Wykonał szybki ruch w stronę swoich ludzi i wszyscy gromadnie opuścili mostek, z wyjątkiem Harpera, jego marynarzy i Feldmana, który wyglądał przez okno. Zdawał się błądzić myślami coraz dalej od rzeczywistości.

Kate pobiegła za grupą, przekonana, że wszystko to jest jedną wielką, głupią pomyłką. Tamten zapis z kamery musiał być fałszywy. Może to sprawka tego statku. Skoro potrafił spowodować, że z niczego pojawiały się setki pasażerów, równie dobrze mógł stworzyć nierzeczywistą taśmę filmową. Nie była jednak w stanie przekonać tych ludzi. Może uda się to Sence.

Pobiegli korytarzem, który prowadził do kajuty Serbki. Kiedy dotarli do drzwi, ludzie Moore'a ustawili się po ich obu stronach. Umięśniony Anglik stanął na wprost wejścia i załomotał z taką siłą, że zatrzeszczały zawiasy.

– Senko Simović! – krzyknął. – Niech pani otworzy drzwi!

Przez moment panowała cisza. Potem z wnętrza dobiegł stłumiony głos i chwilę później dał się słyszeć trzask otwieranej zasuwki. W drzwiach ukazała się twarz Senki o harmonijnych rysach obramowana chmurą potarganych blond włosów. Była zaspana, jakby właśnie obudziła się z bardzo głębokiego snu. Miała na sobie tylko T-shirt i bawełniane majteczki. Strumyk zaschniętej krwi spływał jej z nosa i niknął za dekoltem.

– Tak…? – zapytała niezupełnie rozbudzona. – Co się dzieje, Moore?

Szef ochrony uśmiechnął się przebiegle. Odchylił rękę do tyłu i wymierzył jej potężny policzek. Cios zaskoczył Serbkę, jej głowa odbiła się od framugi. Wstrząśnięta, upadła na podłogę. Na twarzy miała czerwony ślad po dłoni Moore'a. Wskutek uderzenia znowu zaczęła jej cieknąć krew z nosa.

– Senko Simović, jest pani zatrzymana w imieniu narodu niemieckiego za sabotaż, spiskowanie i zniszczenie mienia należącego do Rzeszy – wymruczał Moore monotonnym głosem. – Zabierzcie ją stąd!

Senka zamrugała oczami, zbyt zdezorientowana, żeby odpowiedzieć. Wodziła przerażonym wzrokiem od jednej twarzy do drugiej, starając się z tego cokolwiek zrozumieć.

– Moore, o czym ty, do diabła, mówisz? – wybełkotała. – To ja, do cholery. Nie wiem, o czym, kurwa…

Moore z całej siły wbił czubek buta w żebra Senki. Serbka zgięła się wpół, z jej płuc uszła resztka powietrza. Łapczywie otwierała usta, próbując zaczerpnąć choćby atom tlenu. Dwaj ochroniarze chwycili ją za ramiona i podnieśli.

W tym momencie przerażony wzrok Senki napotkał spojrzenie Kate i znalazł w nim iskrę zrozumienia.

– Kate – jęknęła. – Pomóż mi…

Tym razem Moore zacisnął pięść przed uderzeniem. Szczęka Senki zgrzytnęła nieprzyjemnym dźwiękiem. Z ust spłynęła jej strużka krwi.

– Zamilcz, suko – warknął ochroniarz. – Zaprowadźcie ją do celi.

– Nie może jej pan tak traktować! – krzyknęła Kate z wściekłością. – To człowiek!

– To sabotażystka. – Moore mierzył ją z bliska groźnym wzrokiem. – O ile mi wiadomo, pani też mogłaby nią być. Może komunistyczne kurwy pracują parami.

Wskazał Kate kciukiem, patrząc na dwóch swoich ludzi.

– Zamknijcie ją w kajucie do czasu, kiedy będziemy się mogli nią zająć. Niech nikt się z nią nie kontaktuje, do odwołania.

Dwaj mężczyźni chwycili Kate i odprowadzili ją w kierunku przeciwnym do tego, w którym zaciągnięto Senkę. Bezwładne ciało nieprzytomnej Serbki zostawiało krwawy ślad w korytarzu.

Pod drzwiami swojego pokoju Kate poczuła na plecach dreszcz. Zrozumiała, że to dopiero początek jej kłopotów.

rozdział XXXV

Will Paxton, geolog specjalizujący się w formacjach podmorskich, był zdezorientowany.

Leżał na łóżku w swojej kajucie, w samych bokserkach, i powoli wydobywał się z oparów najdziwniejszego i najbardziej realistycznego snu, jaki kiedykolwiek miał. Jego ciało jeszcze drżało z wrażenia.

Śniło mu się, że jest na uroczystym balu w głównej jadalni statku, otoczony mnóstwem kobiet w sukniach w stylu lat trzydziestych. Większość mężczyzn miała na sobie smokingi, choć widział także kilku wojskowych w mundurach.

Paxton stał w jednej z grupek, z kieliszkiem szampana w dłoni, śmiejąc się zbyt hałaśliwie z czegoś niezwykle zabawnego, co ktoś mu opowiedział, a czego nie mógł sobie teraz przypomnieć. Zobaczywszy swoje odbicie w lustrze, odkrył ze zdziwieniem, że zamiast pogniecionego niebieskiego garnituru, który zwykle nosił, ma na sobie elegancki mundur o nienagannym kroju. Po galonach przy kołnierzu odgadł, że to mundur kapitana Wehrmachtu.

Na estradzie grał zespół, a wokół niego tańczyło na parkiecie kilka spoconych par, jakby ogarniętych jakimś wewnętrznym ogniem, który zmuszał je do wykonywania ruchów. W sali panowała zbyt wysoka temperatura, jak w pokoju, w którym w środku sierpnia włączono ogrzewanie, ale chyba nikomu to nie przeszkadzało. W powietrzu unosił się gęsty słodkawy zapach, spod którego lekko przebijał swąd spalonego oleju i jakby smród zepsutego mięsa.

Nagle ktoś w głębi sali podniósł kieliszek. Przysiągłby, że to Czerenkow, szalony Rosjanin koordynujący pracę zespołu naukowców. Ubrany był w smoking, którego guziki wyglądały tak, jakby za moment miały wystrzelić, i sprawiał wrażenie lekko podchmielonego.

– Za tysiącletnią Rzeszę! – ryknął czerwony na twarzy Czerenkow po niemiecku, bez śladu swojego wschodniego akcentu. – Za Wielkie Niemcy i za naszego Führera, Adolfa Hitlera!

Wszyscy obecni podnieśli kieliszki. Nawet tańczący wyszli na moment z osobliwego transu i z uśmiechem odwrócili się w stronę Czerenkowa.

– Za naszego Führera, Adolfa Hitlera! *Sieg Heil!* – krzyknęły jednocześnie wszystkie gardła.

– *Sieg Heil!* – ryknął Paxton, czując, jak zalewa go fala podniecenia. – *Sieg Heil!*

Jednym haustem wypił szampana i w locie chwycił z tacy kolejny kieliszek. Adrenalina buzowała w jego żyłach, wprawiając go w drżenie. To był najbardziej intensywny i najcudowniejszy sen, jaki kiedykolwiek miał. Strzepnął z klapy munduru nieistniejący pyłek, kątem oka przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze i poprawił bluzę. Nigdy nie czuł

się tak pełen życia i tak potężny. Słyszał w głowie dokuczliwe buczenie, które nie pozwalało mu klarownie myśleć, ale rozbudzone emocje walczyły o palmę pierwszeństwa. Paxton był szczęśliwy, zaniepokojony, rozentuzjazmowany i zdenerwowany, wszystko jednocześnie. To było cudowne.

Przespacerował się po sali, chłonąc wszystkie szczegóły. Na stolikach powiewały flagi ze swastyką, dziesiątki kelnerów wychodziły z wind łączących jadalnię z kuchnią z tacami pełnymi kanapek i kieliszków z alkoholem. Cywile, których mijał, schodzili mu z drogi i obdarzali go przymilnymi uśmiechami, przyglądając się uważnie medalom pobrzękującym na jego piersi.

Nagle poczuł, jakby wokół części jego mózgu zacisnęła się jakaś malutka dłoń i zaczęła go zgniatać. Zakręciło mu się w głowie i stanął, niezdolny zrobić kroku z powodu intensywnego bólu. Dysząc, opadł na krzesło. Wtedy ją zobaczył.

To była ta nieszczęsna dziennikarka, którą Feldman zabrał na wyprawę. Stała na środku parkietu z wystraszoną miną i rozglądała się na wszystkie strony. Nie zauważyła go, bo siedział, on za to miał czas, by napawać się widokiem jej ciała. Miała na sobie dżinsy, które nie pozostawiały miejsca wyobraźni, i obcisłą bluzkę uwydatniającą piersi. Paxton był pewien, że ubiera się tak, żeby prowokować. Zawsze się tak ubierają, żeby prowokować. Wszystkie są dziwkami.

Ból w głowie przybrał na sile. Wtedy usłyszał głos, tak wyraźny, jakby ktoś szeptał mu do ucha.

Widzisz tę małą dziwkę, Willie? Widzisz, jak kołysze biodrami, żeby znaleźć się w centrum zainteresowania?

Paxton przytaknął. Nie mógł oddychać. Rozpiął górny guzik bluzy, żeby ułatwić dostęp powietrza.

Nie powinno jej tu być, Willie. Tu nie jest jej miejsce. Ona psuje tę nieskazitelną atmosferę.

– Nie – szepnął. Miał całkiem wyschnięte wargi. – Nie powinno jej tu być.

W Wielkiej Rzeszy nie ma miejsca dla takich żydowskich dziwek, prawda Willie? Na pewno jest Żydówką. Tylko żydowska kurwa przyszłaby tu tak ubrana, żeby oderwać zdrowych niemieckich mężczyzn od ich powinności.

Will Paxton przytaknął, wydając z siebie gulgot. Jego twarz pokrywały kropelki potu. Zaczynał widzieć podwójnie. Kelner, który przechodził obok, podał mu chusteczkę, dając dyskretne znaki. Will wziął ją, zdziwiony gestykulacją kelnera, który pokazywał jego nos. Przysunął chustkę do twarzy. Przesiąkła krwią. Kiedy tamował krwotok, jakaś odległa część jego mózgu pytała, czy nie wydaje mu się to dziwne, ale jej nie słyszał. Miał uszy tylko dla niej. Dla jej głosu.

Zatem, Willie, co zamierzasz zrobić? Pozwolisz, żeby z ciebie kpiła, jak wszystkie dziwki w twoim życiu, czy dasz jej nauczkę?

Will poczuł, jak narasta w nim uczucie gniewu i nienawiści, tak intensywne i czyste, że niemal go udusiło. Jednocześnie potężna erekcja zaczęła coraz bardziej wypychać jego

spodnie.

– Dam jej nauczkę – mruknął i niepewnie stanął na nogi. – O tak, dam jej, kurwa, nauczkę, której nie zapomni. Będzie krzyczeć, naprawdę krzyczeć…

W tym momencie Kate podniosła głowę, jakby coś ją zaalarmowało. Paxton odwrócił się i zobaczył, że kapitan statku (jak, do cholery, brzmi jego nazwisko? Znał je, ale nie chciało wyjść z gęstego purée, w jakie zamieniała się jego pamięć) pokazuje dziewczynę dwóm mężczyznom. Kate odgadła, że grozi jej niebezpieczeństwo, i szybko wyszła z sali, torując sobie łokciami drogę pośród tłumu.

Idź po nią, Willie. Zajmij się nią, żeby już więcej nie przeszkadzała.

Will Paxton wydał z siebie gardłowy dźwięk i przepchnął się przez tłum na parkiecie. Krew z jego nosa spływała już po bluzie munduru, kreśląc na szarozielonym materiale kręte linie, ale było mu wszystko jedno. Liczyła się tylko ona.

Wyszedł na podest i zdezorientowany rozejrzał się uważnie na wszystkie strony. Nigdzie jej nie dostrzegł. U podnóża schodów, przy drewnianych orłach, stało dwóch mężczyzn, którzy ruszyli w ślad za dziennikarką. Wyglądali na równie zbitych z tropu jak on. Jeden poszedł w stronę mostka, drugi w przeciwnym kierunku. Paxton z wściekłością walnął pięścią w barierkę z drzewa orzechowego. Żydowska dziwka uciekła.

Stał tak przez kilka minut, zżerany przez gniew i burzę przeróżnych emocji. Nie wiedział, że w tym momencie w jego mózgu niemal pękły setki małych żyłek, rozsadzanych z powodu nadmiernego wzrostu ciśnienia.

W sali zabaw, Willie. Biegnij.

Will Paxton zmarszczył czoło, a na dnie jego duszy zatrzepotał słabo cień wątpliwości. Pierwszy raz wyczuł w głosie nutkę niepokoju.

Potrząsnął głową, próbując przytomnie myśleć. Nawet wtedy, kiedy wypił całą butelkę tequili, nie czuł się tak otępiały. Spocony, pędem zbiegł ze schodów.

Na dole drogę przeciął mu ubrany w elegancki kremowy garnitur wysoki mężczyzna, który pojawił się nie wiadomo skąd. Paxton próbował go wyminąć, ale tamten stanął na środku, blokując przejście. Geolog posłał pełne nienawiści spojrzenie. Facet, trzydziestoparoletni, o kanciastych rysach twarzy i ciemnych włosach, patrzył na niego dziwnym wzrokiem. Było w nim coś nienormalnego.

Nie pasował tu.

– Z drogi – wyrzucił z siebie Paxton.

– Gdzie się wybierasz? Nie waż się tknąć mojej żony, ty skurwielu – powiedział mężczyzna z drapieżnym uśmiechem, po czym zamachnął się zaciśniętą pięścią i wycelował ją w twarz Paxtona.

Geolog poczuł, jakby w jego podbródek walnął tłuczek do mięsa. Potknął się i runął jak długi na plecy, uderzając głową o jeden ze stopni. Przed oczami zatańczył mu milion kolorowych światełek. Stracił przytomność i pogrążył się w kompletnych ciemnościach.

Wtedy się obudził.

Leżał w swoim łóżku. W powietrzu unosił się intensywny zapach dymu i wyły wszystkie alarmy, powodując piekielny harmider.

Usiadł, zmieszany i zdezorientowany. Ociekał potem. Zobaczył swoje grube nogi wystające z bokserek i poplamiony krwią podkoszulek opinający wydatny brzuch. W niczym nie przypominało to eleganckiego munduru, który miał na sobie chwilę wcześniej.

Drżącą ręką sięgnął po piersiówkę stojącą na szafce nocnej obok laptopa i wymiętoszonego opracowania poświęconego geologii. Pociągnął długi łyk. Ciepły alkohol spłynął mu gardłem i wybuchł w żołądku, wywołując znajome, pokrzepiające uczucie. Potarł dłonią oczy i spróbował uporządkować myśli.

„To był sen, Willie. Tylko cholerny sen".

Wstał i chwiejnym krokiem poszedł do łazienki; jego pęcherz groził eksplozją. Kiedy skończył, przejrzał się w lustrze i pobladł. Ze szklanej powierzchni spoglądały na niego nabiegłe krwią oczy, ale nie to go tak wystraszyło.

Nie panując nad drżeniem dłoni, dotknął siniaka na brodzie, który nabierał brzydkiego fioletowego koloru.

– To niemożliwe… – jęknął.

Przyłożył drugą rękę do tylnej części głowy i obmacał potylicę; guz wielkości jajka pulsował własnym życiem za każdym razem, kiedy Paxton nabierał powietrza.

To się wydarzyło. Naprawdę miało miejsce. To nie sen.

Był tam.

Wtedy zrozumiał, że nadszedł moment, by zacząć działać.

Musiał wypełnić misję, do której przygotowywała go tak długo Wolf und Klee.

rozdział XXXVI

Ubrał się szybko, uważając, by nie dotknąć guza, kiedy wciągał robiony na drutach sweter. Założył buty, zabrał kilka rzeczy, które mogły mu się przydać, i wyszedł z kajuty. Alarm już się wyłączył. Korytarzem szło dwóch marynarzy – mieli zmęczone twarze. Jeden z nich był pokryty sadzą, jakby wytarzał się w popiele z kominka.

– Co się stało? – zapytał geolog, chwytając jednego za ramię. – Skąd ten alarm?

Mężczyzna spojrzał na niego jak na przybysza z innej planety.

– Nie słyszał pan wybuchu? – zapytał. – Ktoś podłożył bombę, czy coś w tym rodzaju, między wieżami komunikacyjnymi. Straciliśmy łączność satelitarną, radar i Bóg jeden wie co jeszcze. Mamy teraz w dachu niezłą dziurę.

– Bombę? – Paxton popatrzył na niego z niedowierzaniem. Nie był w stanie przyswoić sobie tego, co do niego mówili.

Bomba. To niemożliwe.

Drugi marynarz niewłaściwie zinterpretował jego zaniepokojony wyraz twarzy.

– Proszę się nie martwić. Mamy wszystko pod kontrolą. Statek jest w idealnym stanie, jedynie na górnym pokładzie doszło do kilku awarii, ale nic nam nie grozi. Poza tym znaleziono już sabotażystkę. – Mężczyzna wybuchnął niestosownym, dziwnym śmiechem. – Moore zrobi sobie bęben ze skóry z jej tyłka!

Paxton przytaknął w zamyśleniu. Marynarze przeprosili i oddalili się korytarzem.

W jego głowie znów bzyczało, nieprzyjemne pulsowanie docierało w bolesny sposób aż do guza.

Ktoś podłożył bombę. I to nie był on.

„Musi być inny wilk na pokładzie, Willie. Nie ma innego wytłumaczenia”.

Do ulgi, którą poczuł, kiedy wydało mu się, że rozumie, co jest grane, zaraz dołączyła złość, że nikt mu o niczym nie powiedział. Starszyzna wybrała jego. Zapewnili mu najlepsze szkolenie, w Syrii, Wenezueli i w jakiejś pieprzonej sowieckiej republice, której nazwy nie pamiętał. Wytrenowali go, dali mu środki. Zlecili do wykonania misję. Myślał, że mu ufają.

A teraz okazuje się, że wysłali na „Valkirie” innego pierdolonego agenta i nikt mu o niczym nie powiedział.

Gniew zabulgotał w jego piersi niczym mikstura w kotle czarnoksiężnika. Paxton ruszył korytarzem, zgrzytając zębami. Rozumiał, że dwaj agenci nie powinni pracować razem, żeby ich nie odkryto jednocześnie. Ale absurdem było nie wiedzieć o swoim istnieniu. Z łatwością mogli się nawzajem pozabijać. Nagle stanął, jakby wpadł na niewidzialną ścianę. A jeśli drugi wilk o nim wiedział? Jeśli on był tylko alternatywnym wyjściem,

gdyby wszystko inne zawiodło? Bulgotanie gniewu i żalu niemal rozsadzało mu pierś.

Will Paxton wierzył, że znalazł w Wolf und Klee uznanie i szacunek, których pragnął przez całe życie, a zawsze mu ich niesprawiedliwie odmawiano. Trzeci z czwórki rodzeństwa, myślał, że rodzice kochają go mniej niż pozostałe dzieci. Przez lata gromadził długą listę krzywd, prawdziwych albo wyimaginowanych, które kiedyś sobie odbije. Jego sąsiedzi, koledzy z wydziału, rektorzy, którzy nie chcieli powierzyć mu katedry geologii, choć zasługiwał na nią bardziej niż ktokolwiek inny. Kobiety, które z niezrozumiałych powodów nie ulegały jego urokowi. Panienki, które przychodziły na jego zajęcia w skąpych sukienkach, ale nigdy nie przystawały na jego nieprzyzwoite propozycje. Wszyscy oni będą musieli zapłacić. Wszyscy będą musieli ponieść odpowiedzialność.

W Wolf und Klee znalazł zrozumienie i szacunek, których tak pragnął. Wolf und Klee. Wilk i koniczyna. On był wilkiem, agentem w terenie, zdobywcą. Dlatego Starszyzna darzyła go takim poważaniem. Przynajmniej tak sądził do tej pory.

Gniew w nim narastał. Idąc korytarzem, starał się zapanować nad mięśniami twarzy, żeby zaprezentować zewnętrzną fasadę, którą tak starannie wybrał na ten rejs. Will Paxton, sympatyczny geolog sypiący zabawnymi anegdotkami, roztargniony, dobrotliwy i nieszkodliwy. Nieszkodliwy jak koniczyna na łące. Do czasu, kiedy przeobrazi się w wilka, pokaże zęby i kiedy poleje się krew.

Z głębi korytarza dobiegł go gwar głosów. Krzyk kobiety i odgłos uderzenia. Zatrzymał się, wyostrzając wszystkie zmysły. Nagle pojawiło się dwóch ludzi Moore’a, którzy szli w jego stronę, ciągnąc jakieś bezwładne ciało. To była Serbka, ubrana w same majtki i zalaną krwią bluzkę. Miała spuchniętą twarz, jakby potrącił ją tir.

Minęli go, skoncentrowani, pałający nienawiścią. Paxton ustąpił im drogi, spoglądając kątem oka na nieprzytomną blondynkę.

Senka Simović. Lesba. Nigdy by się nie domyślił, że to ona jest drugim agentem. Odkąd poznał ją na pokładzie, miał wrażenie, że Serbka będzie jego głównym problemem. Zawsze pilnowała wszystkiego czujna jak pies myśliwski i wydawała się niczemu i nikomu nie ufać. Niewątpliwie doskonały kamuflaż.

Ale dała się złapać, a to potworny błąd. Cel misji był jasny. Należało wszelkimi środkami uniemożliwić „Valkirie” dokończenie podróży, nie uszkadzając przy tym statku w nieodwracalny sposób. Zatrzymać go i zmusić do powrotu do portu. Tam miała się nim zająć Starszyzna. Zamierzali sprawić, by władze skonfiskowały statek Feldmana. Musieli pociągnąć za wiele sznurków, żeby zainteresował się nim urząd skarbowy. Chcieli doprowadzić go do ruiny, żeby, kiedy przyjdzie co do czego, Feldman miał związane ręce. Gdy „Valkirie” ponownie zostanie wystawiona na aukcji, nabędzie ją Starszyzna. Był to doskonały plan, który nie powiódł się jedynie z powodu niezwykłej szybkości, z jaką Żyd zdołał wyprawić transatlantyk na morze, mimo że część statku nie została jeszcze wyremontowana. Stary Feldman nie był głupi.

Ale nie mógł wiedzieć o wszystkim.

Rozkojarzony Paxton dotarł do kuchni, pogwizdując jakąś usłyszaną w telewizji melodyjkę. Zdziwiło go, że po drodze nikogo nie spotkał. „Valkirie” była bardzo duża,

a załoga nieliczna, mimo to powinien minąć na tym odcinku co najmniej kilka osób. Tak jakby cały statek pogrążył się w śpiączce, drzemał, czekając na rozwój wydarzeń. Z pustymi korytarzami. Tym lepiej dla niego.

W kuchni panował piekielny upał. Było to ogromne pomieszczenie z setkami blach, rondli, patelni i błyszczących talerzy zwisających z sufitu na długich szynach. Palniki czekały na kilkunastu kucharzy i armię ich pomocników, ale podczas tego rejsu kuchnię obsługiwał zaledwie jeden kucharz wraz z sześcioma uczniami. Stali teraz w rogu przy garnkach, skupieni na nadziewaniu kurczaków na długie rożny. Jeden z pomocników zauważył Paxtona i pozdrowił go przyjacielskim ruchem dłoni. Geolog odpowiedział równie grzecznie i z figlarnym uśmiechem położył rękę na brzuchu.

Od pierwszego dnia snuł się po kuchni, nawiązując przyjaźń z personelem i interesując się jego pracą. Dał do zrozumienia, że jest niepoprawnym łakomczuchem i chciałby od czasu do czasu wpaść i podjeść trochę tego, co akurat będą przygotowywali. Kucharze, zawsze spragnieni najnowszych wiadomości, chętnie się zgodzili, i Paxton przestał być w kuchni obcą osobą.

Usiadł w rogu z łokciami na stole przed talerzem chrupiących krewetek w panierce. Musiał zaczekać na właściwy moment. Jak wilk czyhający na swoją zdobycz.

Ów moment nadszedł chwilę później. Jeden z pomocników wpadł na drugiego i oblany masłem i sosem kurczak, którego mieli nadziać na rożen, wystrzelił w powietrze. Kucharz próbował złapać go w locie, ale było to równie trudne jak złapanie wiaderka z oliwą. Kurczak spadł na podłogę i przejechał ślizgiem kilka metrów pośród alarmujących krzyków, przekleństw i złorzeczeń.

Nikt nie zwracał uwagi na Paxtona. Geolog wyciągnął rękę w stronę zaworu połączonego z rurą biegnącą nad palnikami. Wszystkie statki, nie wyłączając „Valkirie”, miały nad kuchenkami system gaszenia pożarów – rozsądna decyzja, zważywszy na to, że płomienie i luksusowe rejsy nie idą w parze. Paxton otworzył zawór i z sześciu kurków umieszczonych nad linią palników wystrzeliły na rondle potężne strumienie dwutlenku węgla.

Ten incydent wywołał chaos. Biała chmura spowiła kucharzy, którzy zaczęli krzyczeć, biegać i wpadać jedni na drugich. Paxton skorzystał z okazji i zwinnie prześlizgnął się w stronę drzwi spiżarni. Nie zwracając niczyjej uwagi, otworzył je i szybko zamknął za swoimi plecami.

Żwawym krokiem przeszedł między skrzyniami z jedzeniem, zamrażarkami i górami puszek, aż dotarł do schodów prowadzących do piwnicy z trunkami. Wejście było zagrodzone metalową kratą wyposażoną w proste zamknięcie. Wyciągnął z kieszeni kopię klucza, którą wręczono mu, zanim wszedł na pokład. Odetchnął z ulgą, kiedy zamek ustąpił z trzaskiem. Na razie wszystko szło zgodnie z planem.

Szybko zszedł po schodach. Korytarz był wąski, wewnątrz utrzymywała się stała temperatura zapewniająca idealne warunki zmagazynowanym winom. Z jednej strony stał sięgający sufitu regał wypełniony pochylonymi butelkami, który niknął w głębi piwnicy. Po drugiej stronie dziesiątki drewnianych skrzynek z drogimi, unikatowymi winami czekały na

swoją kolej, żeby wypełnić wolne miejsca na półkach.

Podążył korytarzem, szukając konkretnego rocznika. Wreszcie na jego twarzy pojawił się uśmiech. Znalazł dwie skrzynie Pingusa 2005. Wyborne wino, dwa tysiące euro za butelkę. Ale nie tego szukał.

Ściągnął skrzynki na podłogę i otworzył je, podważając wieko swoim wielofunkcyjnym scyzorykiem. W łagodnym świetle piwniczki półtoralitrowe butelki błyszczały, ciemne i kuszące. Paxton nie zaszczycił ich ponownym spojrzeniem – wyjmował jedną po drugiej i ustawiał w rzędzie na podłodze, jak żołnierzy na warcie. Rozgrzebał słomę służącą za ściółkę dla butelek i wreszcie znalazł to, czego szukał.

Wyglądały jak niewielkie bloki gliny owinięte folią. Geolog pochylił się nad nimi z triumfalnym uśmiechem. Dwadzieścia kostek semteksu w skrzynce, a skrzynek było wystarczająco dużo, żeby zgromadzić pokaźny zapas. Na razie nie będzie potrzebował wszystkiego.

Wyciągnął spod marynarki zieloną płócienną torbę i wypełnił ją materiałami wybuchowymi i detonatorami w ilości, którą uznał za stosowną. Zdenerwowany spojrzał na zegarek. Musiał wrócić, zanim ktokolwiek się zorientuje.

Zamknął suwak, ułożył wszystko na swoim miejscu i wrócił tą samą drogą, którą przyszedł. Uchylił drzwi spiżarni i przez chwilę szpiegował przez szparę. Kucharze zdołali zamknąć gaśnice, ale kuchnia była w opłakanym stanie. Przygotowane jedzenie pokrywał delikatny biały proszek, który wciąż sypał się z rozpylaczy. Czterej mężczyźni w strojach kucharzy obsypani pyłem dyskutowali zażarcie i wyładowywali złość, oskarżając się wzajemnie o cały ten chaos. Lepiej się tu teraz nie pokazywać, pomyślał Paxton złośliwie.

Pogwizdując, wrócił na korytarz z zarzuconą na ramię torbą. To był najniebezpieczniejszy punkt jego planu. Gdyby ktoś go zatrzymał i odkrył, co ma przy sobie, już by nie żył. Na szczęście minął tylko jednego marynarza, który obficie krwawił z nosa i mruczał coś do siebie pogrążony w myślach. Paxton uznał, że pewnie jest naćpany.

Przechodząc obok drzwi biblioteki, zauważył, że ktoś opróżnił jeden z regałów, jakby owładnięty niszczycielskim szałem. Stosy książek leżały rozrzucone po podłodze, wiele egzemplarzy było otwartych, miały poszarpane okładki. Pośród tego chaosu tkwił odwrócony tyłem półnagi mężczyzna, który mamrotał coś pod nosem.

Paxton ostrożnie rozejrzał się na boki, zanim postanowił wejść. Ta sytuacja była zbyt dziwna, żeby ją zlekceważyć.

Kiedy podszedł bliżej, zorientował się, że to Czerenkow. Rosyjski fizyk klęczał; miał potargane włosy, a na szyi ślady zaschniętej krwi, która spłynęła mu z uszu. Przed nim leżały rozrzucone dziesiątki kartek pokrytych obliczeniami zapisanymi ściśniętą cyrylicą. Większość z nich była pokreślona i zmięta. Na odgłos kroków Czerenkow podniósł wzrok, ale wyglądało na to, że nie poznaje Paxtona. Miał zamglone spojrzenie, jego umysł wydawał się błądzić wiele kilometrów stąd. Odwrócił głowę i skupił się na swoim zadaniu, które polegało na robieniu kulek z kartek z zapiskami i powolnym wrzucaniu ich do kominka. Paxton zauważył, że w ogniu płonie już kilkadziesiąt książek i coś, co wyglądało jak zeszyty z notatkami.

Otworzył usta, żeby z nim porozmawiać, ale po chwili zastanowienia na palcach opuścił bibliotekę. Rosjaninowi najwyraźniej odbiło. Pomylony naukowiec. Niech zajmą się nim pokładowi lekarze.

Jednak wciąż miał przed oczami Czerenkowa wznoszącego w sali balowej toast na cześć Rzeszy. Może jest sojusznikiem. Paxton postanowił, że gdy tylko zrobi to, co zamierzał, wróci, żeby sprawdzić, jak miewa się Rosjanin.

Zszedł schodami prowadzącymi do części dla obsługi. Wreszcie mógł położyć torbę na podłodze i rozmasować obolałe ramię.

Spojrzał na boki, żeby upewnić się, że w korytarzu nikogo nie ma. Stał przy opieczętowanym wejściu, jednym z tych, które nie były monitorowane przez kamery. Nauczył się na pamięć rozmieszczenia systemu kontroli dzięki kopii planów, którą otrzymał miesiąc wcześniej. Niesamowite, do czego był skłonny technik z ekipy remontowej, byle tylko nie wysłali żonie zdjęć z jego prywatnych imprez.

Zabrał krzesło z podestu i ustawił je w konkretnym miejscu, oznaczonym dyskretną linią narysowaną ołówkiem, niemal niewidoczną, jeśli ktoś jej nie szukał. Wszedł na krzesło i mocno popchnął element podsufitki. Ciche kliknięcie wskazywało, że ustąpiła. Wsadził rękę przez otwór i macał na oślep, aż jego palce trafiły na coś twardego i pokrytego gumą. Przyciągnął i wyjął nożyce do cięcia metalu wyposażone w baterie. To małe cacko mogło ciąć stal jak zwykłe nożyczki papier i miało wbudowany silniczek, który pozwalał robić to bez najmniejszego wysiłku. Umieścił podsufitkę na właściwym miejscu, po czym podszedł do opieczętowanych drzwi. Włączył nożyce i przysunął je do zespawanego miejsca. Metal ustąpił tak łatwo, jakby nożyce cięły dojrzałego banana. Kiedy rozłączył wszystkie spawy po jednej stronie, pociągnął stalową płytę, żeby powstał otwór, przez który dałoby się przejść.

Musiał to być duży otwór. Paxton ważył dobre sto dziesięć kilo i bynajmniej nie był zwinny jak węgorz. Siłował się chwilę, zanim zdołał odchylić płytę na tyle, żeby mógł prześlizgnąć się na drugą stronę.

Otoczyła go całkowita ciemność. Wcale mu się nie podobało, że musi schodzić do tej części statku. Była zdewastowana i niebezpieczna. Poprzednim razem niemal skręcił sobie kark, kiedy stanął na przegniłym stopniu, który zawalił się pod jego ciężarem. Na domiar złego wpadł na tego przeklętego ochroniarza, który biegł jak opętany i wykrzykiwał wszystkie te bzdury o duchach czy czymś w tym rodzaju. Ten kretyn nie powinien był się tam znaleźć, nie powinien był go zobaczyć. Rzecz jasna musiał poderżnąć mu gardło. Nie mógł sobie pozwolić na nieprzewidziane komplikacje.

Od celu dzieliły go jedynie dwa korytarze drugiej klasy, ale droga dłużyła mu się w nieskończoność. Powietrze na dole było rozrzedzone, jakby gdzieś ukryto zbiornik wypełniony olejem i zepsutymi rybami. Poza tym Paxton cały czas miał ochotę ziewać. Zatykały mu się uszy i ogarniało go otępienie.

Usłyszał za plecami jakiś hałas. Odwrócił się niczym kobra, z lancetem w dłoni, szukając źródła dźwięku. Drzwi jednej z kajut poruszały się jak popychane niewyczuwalnym podmuchem powietrza. Paxton wiedział, że na dole nie ma przeciągów.

To na pewno on niechcący go spowodował.

Co zamierzasz zrobić, Willie?

Głos wybuchł w jego głowie z siłą tony trotylu. Mówił łagodnie, ale przebijał z niego jadowity i przewrotny ton.

„Nie istnieje. Ten głos nie istnieje”, powiedział do siebie.

Szedł dalej, zerkając od czasu do czasu na plan „Valkirie”, który kosztował majątek i życie dwóch osób, choć Paxton nie znał tych szczegółów. Starszyzna potrafiła doskonale rozdzielać zadania. Jeden wilk miał nie wiedzieć, co robi drugi. Dotarł w głąb korytarza, który kończył się ślepo. Drewno pokrywające ściany pożerane przez szczęśliwą i zadowoloną kolonię grzybów miało niezdrowy zielony kolor.

Paxton zaczął odrywać deski, które rozpadały mu się w palcach niczym wyschnięty ser, pozostawiając na dłoniach zielone ślady. Po chwili jego oczom ukazały się zamaskowane drzwi, dokładnie tam, gdzie miały być. Pierwotni projektanci „Valkirie” uznali, że załoga statku powinna dysponować kilkoma przejściami łączącymi sektor pasażerski z częścią dla obsługi. To było właśnie jedno z nich.

Pociągnął za drzwi, które otworzyły się ze straszliwym skrzypem. Po tylu dekadach zawiasy były wyschnięte i Paxton musiał użyć całej swojej siły, żeby je poruszyć. Po drugiej stronie czekały na niego błyszczący, ciepły strumień światła i gorące powietrze.

Przeszedł przez próg, zadowolony, że zostawia za sobą zrujnowaną drugą klasę, i rozejrzał się dookoła. Był w pomieszczeniu gospodarczym przylegającym do maszynowni, bardzo blisko serca „Valkirie”. Bardzo blisko celu.

Zrobił kilka ostrożnych kroków, zerkając na wszystkie strony. Teoretycznie nie powinno tu nikogo być. Trasa, którą pokonał, pozwoliła mu ominąć salę monitoringu i przejścia pilnowane przez co najmniej dwóch ochroniarzy. Paxton parsknął śmiechem. Był pewien, że ani Feldman, ani główny inżynier nie znają tej drogi. „Valkirie” kryła zbyt wiele tajemnic.

Podszedł do dwóch olbrzymich stalowych bloków umieszczonych po bokach jednej z największych sal na statku. Łapiąc oddech, otworzył torbę i zaczął układać u swoich stóp małe kostki semteksu. Od czasu do czasu podnosił wzrok i planował, gdzie umieści ładunki.

Nowoczesne statki wyposażone są w boczne stabilizatory. To umieszczone po bokach silniki, które pomagają przy manewrach dobijania do nabrzeża i odpływania, ale ich podstawową funkcją jest zapobieganie, by transatlantyk nie bujał się na boki jak jarmarczna atrakcja.

Do czasu wynalezienia tego systemu w latach siedemdziesiątych, wycieczkowce płynące po nieco wzburzonym morzu zaczynały się trząść jak shaker. Wszyscy podróżujący, bez względu na to, czy spali na najniższym pokładzie, czy w apartamentach, brudzili się wymiocinami, co psuło trochę poczucie luksusu, którym powinni cieszyć się pasażerowie pierwszej klasy. Cierpiał na tym interes.

Dzięki tym bestiom, które niwelowały kołysanie fal, współczesne wycieczkowce były

równie stabilne jak stały ląd, nawet na bardzo wzburzonych wodach. Gdyby rozszalał się wyjątkowo silny sztorm, nic by nie zdziałały, ale do takich sytuacji dochodziło bardzo rzadko. Niewiele osób podróżujących transatlantykami doświadczyło kołysania na pokładzie, a wszystko to właśnie za sprawą tych silników.

Kiedy Feldman remontował „Valkirie", pozwolił sobie zmodyfikować oryginalny projekt i dodać boczne stabilizatory. Dzięki nim statek trzymał się prosto niczym skała pośród wzburzonego morza. Jego twórcy oniemieliby ze zdziwienia.

Ale Paxton zamierzał to zmienić.

Ułożył ładunki w określonych miejscach, z przyczepionymi detonatorami. Ustawił zegary tak, by wybuch nastąpił dokładnie za godzinę. Kiedy wcisnął guzik, na małym wyświetlaczu zaczęły przeskakiwać mrugające czerwone cyfry. Miał wystarczająco dużo czasu, żeby wrócić do swojej kajuty. Albo do kuchni, gdzie mógłby dostać jeszcze trochę tych przepysznych krewetek. A przy okazji zrobić zdziwioną minę, kiedy stabilizatory wybuchną i statek zacznie się trząść.

Kiedy skończył, z zadowoleniem otrzepał kurz z kolan. Podniósł sportową torbę, w której znajdował się jeszcze tuzin ładunków.

Wtedy pomyślał, że może zrobić coś więcej.

rozdział XXXVII

Paxton wyjrzał na zewnątrz i zobaczył w głębi przepastnej hali dwa wibrujące na pełnych obrotach olbrzymie silniki Diesla, które napędzały „Valkirie”. Trzech mechaników, odwróconych do niego plecami, obsługiwało konstelację pokręteł, manometrów i wskaźników rozsianych po całej maszynerii.

Tam na dole panował przeraźliwy hałas. Duża część pomieszczenia pozostawała w mroku. Magnezowe reflektory były wycelowane w silniki i w miejsce, gdzie pracowali maszyniści, podczas gdy kąty spowijała ciemność. Paxton bez trudu dotarł na tyły maszyn i wślizgnął się do przejścia dla obsługi.

Ze względu na położenie – bardzo blisko rufy – miało ono kształt łuku. Kierując się mapą, którą od czasu do czasu oświetlał latarką, szedł coraz węższym korytarzem. Przystanął na chwilę, by odkręcić scyzorykiem śruby napotkanej kratownicy, po czym ruszył dalej, teraz już na czworakach. Wcześniej wstawił kratę na miejsce i zablokował ją starannie złożoną marynarką. Było zbyt ciepło, poza tym w ten sposób zabezpieczył sobie odwrót na wypadek, gdyby musiał szybko stąd uciekać.

Korytarz zrobił się jeszcze węższy i przeszedł w tunel o łukowym sklepieniu. Paxton nie miał innego wyjścia, musiał iść na czworakach, popychając przed sobą torbę wypełnioną semteksem. Podłoga w tubie mocno drżała, czuł jej wibracje w brzuchu i w całym ciele.

Nie rób tego, Willie. To nie jest dobry pomysł.

Głos znowu dziurawił mu głowę, niczym pokryta gwoździami maczuga. Will Paxton przystanął raptownie i jęknął. Jego nozdrza zamieniły się w czerwoną fontannę. Głowa bolała go coraz bardziej, część mięśni twarzy zaczęła się kurczyć w niemożliwym do opanowania tiku.

– Zamilcz! – mruknął, uderzając się w skronie. – To moja misja!

Tam, gdzie Senka poniosła porażkę, on odniesie sukces. Pierwszy raz od kiedy miał ten sen, wyraźnie widział, co ma zrobić. To on zatrzyma „Valkirie” i nie pozwoli, żeby Feldman, ten pieprzony Żyd, dopiął swego. Zdoła przerwać tę podróż, a potem, kiedy „Valkirie” znowu zacznie pływać, tym razem pełna wilków i koniczyn, będzie na jej pokładzie, w pierwszym szeregu, przyjmując od wszystkich wyrazy podziwu i uznania. Starszyzna będzie musiała uznać jego zasługi, to nie ulega wątpliwości.

Doznał nagłego olśnienia. Był po drugiej stronie. Widział sztandary, krzyczał *Sieg Heil* w pokoju pełnym ludzi, którzy przeżywali to samo co on uniesienie. Otaczali go prawdziwi towarzysze. Wrócił, żeby wypełnić swoje przeznaczenie. Pokazano mu drogę i nagrodę, która czekała go po zakończeniu misji.

Był wybranym. Tylko tak mógł to sobie wytłumaczyć.

Zobaczył samego siebie, jak płynie na pokładzie „Valkirie” do Niemiec. Potem

w Kancelarii Rzeszy podchodzi do Führera i tłumaczy wydarzenia, które mają nastąpić. Ostrzega przed popełnieniem fatalnych błędów, przewiduje ruchy nieprzyjaciela. Wygrywa wojnę. Ustanawia tysiącletnią Rzeszę.

On.

Ramię w ramię z Führerem.

Ta wizja tak go upoiła, że przestał słyszeć głosy. Nawet *ona* była oszołomiona tą eksplozją czystej, rozbuchanej ambicji.

Zatrzymaj się, Willie. Nie bądź głupcem. Nie chcę, żebyś to robił.

– To… moje… przeznaczenie – wysapał, z trudem łapiąc powietrze.

Tarł już plecami o sufit tunelu, ledwo starczało mu miejsca, żeby odpychać się kolanami i łokciami. Było bardzo ciemno, tylko chybotliwe światełko latarki odbite od zielonego płótna torby rozjaśniało jego twarz.

Odpuść, Willie.

Ból był teraz sto razy silniejszy niż wszystkie poprzednie razem wzięte. Paxton nie mógł go znieść, krzyknął ile sił w płucach, ale jego wycie zagłuszył ryk pracujących w pobliżu maszyn. Przyłożył dłoń do głowy, próbując zerwać pokrywę czaszki i dotrzeć do źródła tego bólu.

Kiedy obmacał twarz, dotarło do niego, że krwawi nie tylko z nosa, ale także z uszu. Nie mógł wiedzieć, że część jego mózgu, która nie była w stanie znieść oddziaływania tej mrocznej siły, zaczęła obumierać. Tysiące drobniutkich żyłek pękały, jedna po drugiej, jak walący się domek z kart.

Potrząsnął głową. Doszedł do klapy w podłodze tunelu i otworzył ją zdrętwiałymi palcami. Panował tu ogłuszający hałas. Skierował w dół światło latarki, które odbiło się od błyszczącego stalowego, skąpanego w oleju wału śrubowego „Valkirie”.

Wał miał grubość ludzkiego tułowia. Paxton wiedział, że semteks, który przyniósł, nie wystarczy, by go rozerwać, ale wybuch w tej niewielkiej przestrzeni będzie dostatecznie silny i sprawi, że ulegnie odkształceniu. Wygięty wał stanie, a maszyny eksplodują z powodu nagłego zatrzymania. „Valkirie” będzie unosić się unieruchomiona na morzu niczym gigantyczny uśpiony wieloryb. Koniec podróży.

Zaczął układać kostki semteksu w stos na klapie iluminatora. Nie miał jak ich przymocować do wału, musiał je zostawić w tym miejscu, ale to powinno wystarczyć.

Wetknięcie przewodów zegara do szarej masy materiału wybuchowego zajęło mu całą wieczność. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że połowa ciała nie reaguje już na jego polecenia.

STÓJ!

Głos przekształcił się w huraganowy ryk. Osłabiony mózg Willa Paxtona stawiał mu taki opór jak stary drewniany płot lawinie śnieżnej. Kilka głównych żył pękło jednocześnie i w czaszce geologa rozlał się strumień krwi, wszystko unicestwiając. Zdumiony Paxton w ułamku sekundy zrozumiał, że zaraz umrze. Świadomość tego pojawiła się nagle

i wprawiła go w gniew. Kolejny raz odmówią mu uznania jego zasług. Ostatni.

Odruchowo wyciągnął palce w stronę zegara, ale nie zdążył go włączyć. Jego mózg zalała krew i Will Paxton umarł, zanim zdołał dokończyć swój ruch.

Czerń urosła i wchłonęła go, tym razem ostatecznie.

rozdział XXXVIII

„Valkirie”

Czwarty dzień podróży

Kate potrząsnęła nadgarstkami; nigdy w życiu nie czuła większej wściekłości. Taśma izolacyjna, którą dwaj mężczyźni owinęli jej przeguby, nie pozwalała poruszać rękami. Z powodu utrudnionego krążenia zaczynała czuć mrowienie w dłoniach.

Była w swoim łóżku, tam gdzie ją brutalnie rzucili, zanim wyszli, trzaskając drzwiami. Leżała tak od dwóch godzin i wszelkie jej wysiłki, by pozbyć się więzów, spełzły na niczym. Kiedy osłabła, walcząc niczym sardynka w sieci, spróbowała się rozluźnić i trochę ochłonąć. Musiała opanować niepokój, a przede wszystkim przemyśleć, co dalej robić.

Chciała zrozumieć to, co się działo, ale nie nadążała za biegiem wydarzeń. Wyglądało na to, że jakimś cudem rzeczywistość, w której żyła ona, i rzeczywistość z 1939 roku usiłowały zająć tę samą przestrzeń. „Valkirie”.

I z jakiegoś powodu obie te rzeczywistości zlewały się w jedno, tworząc trzecią, jeszcze inną, ponurą i groźną. Rzeczywistość, w której istniało coś bardzo niebezpiecznego, co za nią chodziło.

I w której oczywiście był Robert.

Na myśl o mężu jej serce przyspieszyło tak, że poczuła je w gardle. Spojrzała na gzyms, gdzie stała czarna urna z prochami. Tam był prawdziwy Robert, jedyny, jaki istniał, kiedy wchodziła na pokład tego statku. A jednak kilka godzin wcześniej parę pięter niżej całowała właśnie jego.

Nie próbowała nawet zrozumieć, jak mogło do tego dojść. Podejrzewała, że musiało to mieć coś wspólnego z obecnością prochów na pokładzie, ale cała reszta była tak niezgłębiona i skomplikowana, że nie potrafiła jej ogarnąć. Westchnęła, potrząsając głową.

– To bardzo kobiece – powiedział czyjś głos za jej plecami. – Zamiast po prostu przyjąć prezent od niebios, ty usiłujesz zrozumieć, po jaką cholerę ci go dają. Zawsze masz w zanadrzu jakieś pytanie. Nigdy się nie zmienisz, K.K.

Na twarzy Kate zagościł pierwszy od wielu godzin uśmiech. Czuła, jak adrenalina rozchodzi się po jej żyłach z prędkością ognia zaprószonego w lesie.

– To bardzo męskie – odparła kąśliwie, ale ze łzami szczęścia w oczach. – Siedzieć na dupie, kiedy twoja żona ma związane ręce, i rozprawiać o tym, jakim jest uparciuchem, zamiast ją uwolnić.

Przewróciła się na bok, żeby spojrzeć w drugą stronę. Robert siedział na kanapie z promiennym uśmiechem i z ręką wyciągniętą wzdłuż oparcia. Węzeł krawata miał poluzowany, marynarka leżała u jego stóp. Wyglądał na odprężonego.

– Poważnie chcesz, żebym cię rozwiązał? – zapytał ze słodkim uśmiechem. – Taki widok jest bardziej podniecający. Pamiętam, co kiedyś robiliśmy z tymi chustkami kupionymi u Hermèsa, które trzymamy w szufladzie komody…

– Robercie! – przerwała mu, jeszcze ze łzami szczęścia, ale i z wyrazem udawanej złości na twarzy. – Uwolnij mnie wreszcie albo pożałujesz!

– Naprawdę? – Robert wybuchnął śmiechem, podnosząc się i podchodząc do łóżka. Usiadł na brzegu i zaczął ostrożnie odwijać taśmę. – Co mi zrobisz? Jestem martwy. Zapomniałaś?

– Może wsadzę ciebie i twój pyszałkowaty uśmiech z powrotem do tej przeklętej urny! – odparła zdławionym głosem. Kłamała. Nawet gdyby mogła z nim spędzić milion lat, nie wyrzekłaby się ani jednej sekundy jego towarzystwa, choćby miał zostawić ją tu związaną aż do końca jej dni.

Robert wyswobodził przeguby Kate i rzucił taśmę na podłogę. Zaczął masować jej nadgarstki i powoli przywracać krążenie.

Kate patrzyła zafascynowana na palce męża, które przesuwały się po przegubach jej dłoni w górę i w dół. Ich dotyk był mocny, zdecydowany, ciepły. Na palcu serdecznym prawej ręki widniało jeszcze niewielkie rozcięcie od ostrego brzegu kartki, powstałe kilka dni przed wypadkiem. To był Robert Kilroy. Jej Robert.

To wszystko ją przerosło. Potok emocji, który piętrzył się w niej od kilku tygodni, natarł na tamę wzniesioną w jej mózgu po to, by złagodzić cierpienie, i przerwał ją z łoskotem. Kate uwolniła przeguby z rąk Roberta i splotła palce na szyi męża. Jej usta poszukały łapczywie jego ust i stopiły się z nimi w długim, niespiesznym i mocnym pocałunku. Języki splątały się, utrudniając oddychanie. Byli jak dwie osoby, które od tygodni przemierzały wielką, jałową pustynię i nagle napotkały źródło wody, gdzie mogły zaspokoić pragnienie.

Pocałunek podziałał niczym pochodnia wrzucona do studni wypełnionej benzyną. Wszystkie palące potrzeby jej ciała wybuchły nagle niczym salwa sztucznych ogni. Poczuła, że jej bielizna robi się mokra, a skóra elektryzuje, spragniona i otwarta na kontakt fizyczny.

Wyglądało na to, że z Robertem dzieje się coś podobnego. Zniknął jego zadufany i rozbawiony wyraz twarzy, zastąpiony przez inny, wyrażający pożądanie, podniecenie i pośpiech. Jak mina zagubionego dziecka, które po całym dniu spędzonym w galerii handlowej wpada nagle na rodziców, kiedy jest już przekonane, że zostało porzucone. Twarz skazanego na śmierć, którego ułaskawiają.

Twarz człowieka, który dostaje drugą szansę.

Przewrócił ją na łóżko i dalej całował. Uwięził jej ręce ponad głową i unieruchomił ją ciężarem swojego ciała, ona tymczasem wiła się pod nim, czując rosnące pożądanie. Jedną ręką przytrzymał jej nadgarstki, drugą powoli przesuwał ku szyi, kreśląc duże kręgi. Opuszki jego palców uciskały i pieściły jednocześnie, co doprowadziło Kate do takiego szaleństwa, że wygięła plecy, a z jej gardła wydobył się cichy jęk.

Zaczął lizać szyję żony, a jego dłonie schodziły coraz niżej, aż do klamerki obcisłych

spodni. Po drodze dotknęły łagodnie jej piersi. Zanim się zorientowała, znalazł sposób, by zsunąć jej dżinsy aż do kostek, jednym zręcznym ruchem nogi zedrzeć je i piętą odrzucić w drugi koniec kajuty.

Kate nie wytrzymała i wyciągnęła ręce do Roberta. Zaczęła mu odpinać guziki koszuli i całować wgłębienie między piersiami. To zawsze było jego wrażliwe miejsce, wiedziała, że pogryzając je, może go doprowadzić do szaleństwa. Jej mąż wydał z siebie głębokie westchnienie, kiedy skończyła zdejmować mu koszulę z twarzą ukrytą między jego piersiami. Powoli schodziła w dół, do brzucha. Kiedy jej język swawolił w jego pępku, Robert niespodziewanie chwycił ją za ramiona i przetoczył na łóżku tak, że znalazła się na nim.

Uśmiechnęła się lubieżnie. Znała tę grę. Siedząc na nim okrakiem, ściągnęła sobie bluzkę przez głowę, zdjęła koronkowy stanik i została tylko w stringach. Robert oddychał głęboko, wodził wzrokiem od piersi Kate do jej pasa, stamtąd do twarzy, jakby na zawsze chciał zatrzymać w pamięci najdrobniejsze szczegóły jej anatomii. Jego ruchliwe dłonie zapuściły się aż do pośladków dziewczyny i mocno je ścisnęły.

Kate pochyliła się i nie przestając patrzeć mu w oczy, wyciągniętym językiem zaczęła zataczać kółka na piersiach męża. Potem powoli zsunęła się do jego talii, odpięła pasek. Teraz ona ściągnęła mu spodnie i zostawiła go w samych slipkach.

Przesunęła dłonią po olbrzymim nabrzmieniu, które wyrosło między nogami jej mężczyzny. Czuła, jak pulsuje wyczekująco po drugiej stronie napiętego materiału, jakby chciało wydostać się na zewnątrz. Zaczęła całować je przez bieliznę. Robert nie mógł powstrzymać chrapliwego dyszenia, całe ciało miał sztywne, jakby naładowane elektrycznością.

Z jękiem przeniósł dłonie na głowę Kate i zanurzył palce w jej włosy. W odpowiedzi odciągnęła gumowy pasek slipek, opuściła je i z rozkoszą polizała jego pachwinę. Ciągle nabrzmiały członek Roberta unosił się, muskając jej policzek. Boleśnie wolno podniosła go ręką i zaczęła całować z zamkniętymi oczami, upajając się znajomym zapachem i rozkoszując gładką powierzchnią. Delikatnie zacisnęła usta na żołędzi i ssała rytmicznymi, coraz szybszymi ruchami.

Robert dyszał i wyginał biodra w łuk, straciwszy nad sobą kontrolę. Kate doświadczała intensywnego poczucia władzy, którą dawała jej ta chwila. Jej usta wznosiły się i opadały zaciśnięte wokół członka. Trzymała go u podstawy prawą ręką, a lewą pieściła jądra. Czuła, jak pulsuje w jej ustach, za każdym razem coraz głębiej, coraz bardziej zmoczony śliną, coraz bardziej rozedrgany.

Trwało to kilka minut, które Kate wydały się krótką, upojną chwilą. Robert nie mógł dłużej znieść tego napięcia i nagle pociągnął ją za włosy. Dziewczyna przesunęła się po jego piersiach do wysokości twarzy i otrzymała najbardziej rozkoszny i namiętny pocałunek ze wszystkich, jakich kiedykolwiek doświadczyła. Dłonie Roberta zabawiały się jej piersiami, muskały sutki, aż te stwardniały niczym dwa malutkie zaostrzone pociski.

Znowu przeturlał ją na łóżku i teraz to on zaczął ssać jej piersi. Każde lekkie ugryzienie sutków sprawiało, że przez Kate przepływał strumień rozkoszy. Było to tak obłędne

uczucie, że nieświadomie wydała z siebie głośny jęk.

Przyszła jego kolej. Zsunął dłonie do pośladków Kate i przytrzymał palcami brzeg jej stringów. Dziewczyna automatycznie uniosła biodra, w kobiecym odruchu całkowitego oddania, pozwalając, by zdjął jej skąpą bieliznę. Jej wnętrze płonęło z pożądania, krzyczało, żeby ktoś ugasił ten pożar.

Robert rozsunął jej nogi i ulokował się między udami. Z premedytacją powoli oparł członek o wargi sromowe i zaczął się delikatnie poruszać, ale nie wszedł do środka. Muśnięcia sprawiły, że Kate jęknęła zniecierpliwiona.

W końcu w nią wszedł bardzo wolno. Kate czuła, jak ją wypełnia, zajmuje każdy zakątek jej wnętrza, ociera się o jej skórę. Wbiła paznokcie w plecy męża, a jej jęki stopniowo nabierały rytmu.

Robert zaczął na nią nacierać, miarowo poruszając biodrami. Przy każdym pchnięciu Kate krzyczała, owładnięta wybuchową mieszanką rozkoszy, radości i niedowierzania. Pot złączonych ciał zlewał się ze sobą, natychmiast zgrali swoje ruchy, jak dwójka starych znajomych. Łóżko trzeszczało pod szturmem Roberta przy akompaniamencie jęków Kate.

Wtedy poczuła w brzuchu gigantyczny rozsadzający ją przypływ. Ukryła twarz w piersi męża w momencie, kiedy zalewał ją unicestwiający orgazm. Krzyknęła, wyzwolona, podczas gdy po jej ciele spływały fale rozkoszy, powodując niekontrolowane spazmy. To był długi, potężny i głęboki orgazm, jeden z najintensywniejszych, jakich doświadczyła w całym swoim życiu. Czuła, jak zaciska się wokół członka Roberta, potęgując tysiąckrotnie to cudowne wrażenie.

On najwyraźniej także to poczuł, bo nagle jego ruchy stały się szybsze, bardziej naglące, przechodząc w staccato rozkoszy. Wbił mocno dłonie w biodra Kate, unieruchamiając ją w pozycji całkowitego poddania, a na jego twarzy pojawił się wyraz uniesienia. Zaraz potem doszedł w jej wnętrzu.

Kate poczuła, jak zalewa ją mokra fala, i niespodziewanie dopadł ją kolejny orgazm. Jakby otworzyła się w niej ogromna zapora i wszystko wypełniało się płynem. To było najprzyjemniejsze uczucie, jakiego kiedykolwiek doznała.

Oboje padli na łóżko, dysząc; ich spocona skóra nadal się stykała. Kate przekręciła się na bok i ukryła głowę w zagłębieniu szyi Roberta. On lewą dłonią głaskał ją po plecach długimi, delikatnymi ruchami.

– Kocham cię, Robercie Kilroy – szepnęła. – I jestem gotowa zrobić, co będzie trzeba, żeby nie musieć się nigdy z tobą rozstawać. Choćby miało to oznaczać, że na zawsze zostanę na pokładzie tego przeklętego statku.

Robert nagle spoważniał, wsparł się na łokciu i spojrzał na nią ze smutkiem.

– Nie mów tak. Nie mów tak nawet w żartach. To miejsce jest przeklęte, Kate. Musisz je jak najszybciej opuścić.

– Pod warunkiem że ty pójdziesz ze mną – odparła, mocno go przytulając. – Nie mogę sobie wyobrazić życia bez ciebie. Świat jest zbyt szary, kiedy cię nie ma.

Robert zacisnął wargi, jakby zmagał się z poważnym wewnętrznym konfliktem.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale szybko je zamknął, jak gdyby nagle zdał sobie sprawę, że nie może wyjawić, co chodzi mu po głowie. Objął Kate czule i zanurzył nos w jej włosach, wdychając ich zapach.

– Zawsze będę z tobą, Kate, cokolwiek zrobisz i gdziekolwiek pójdziesz. Nigdy o tym nie zapominaj.

Kate wyczuła w jego słowach głęboki smutek, ale zacisnęła powieki, jeszcze mocniej do niego przywierając. Pragnęła, żeby ta chwila nigdy się nie skończyła.

– Teraz posłuchaj mnie uważnie. – Robert usiadł na łóżku i pociągnął ją, żeby także się podniosła. – Musisz działać bardzo szybko. Zostało zaledwie kilka godzin.

– Kilka godzin… Do czego?

– Żeby zatrzymać „Valkirie”, Kate. Jeśli nie zdołasz zatrzymać tego statku, będzie za późno. Wszyscy będziemy na zawsze potępieni.

rozdział XXXIX

– Czego ode mnie oczekujesz, Robercie? – zapytała Kate, nagle wystraszona. – Nie mogę stąd wyjść. Za drzwiami stoi ochroniarz, a Moore, Feldman i cała reszta zupełnie zwariowali. Nie wiem, co robić!

W tym momencie prawie siedemdziesiąt metrów pod nimi mały cyfrowy zegarek skończył odliczanie wstecz. Na wyświetlaczu zamigotał rząd zer, po czym w ciągu milisekundy do serii ładunków semteksu przyczepionych do bocznych stabilizatorów został przesłany słaby sygnał elektryczny.

Ładunki odpalały w sekwencji zbyt szybkiej dla ludzkiego oka. Rycząca kula ognia popychana niszczycielską falą rozprzestrzeniła się w sali, rozrywając silniki stabilizacyjne na tysiące poskręcanych kawałków. Gródź podtrzymywana zardzewiałymi siedemdziesięcioletnimi nitami nie wytrzymała nacisku i wystrzeliła, otoczona chmurą małych odłamków stali.

Trzej maszyniści, którzy znajdowali się w sąsiednim pomieszczeniu, nie mieli najmniejszych szans. Deszcz szrapneli rozerwał ich ciała na tysiące kawałków, rozpraszając je po całej maszynowni. Nie żyli, zanim jeszcze padli na ziemię. W ten sposób zniknęli jedyni ludzie, którzy mogli odkryć, że krata prowadząca do rury smarowej wału jest źle założona.

„Valkirie” zatrzęsła się, jakby jakiś olbrzym postanowił wymierzyć jej kopniaka. Lampy na szafkach nocnych zadrżały, a łóżko przesunęło się o kilka centymetrów. Na całym statku rozległ się huk setek przedmiotów spadających na podłogę i pękających na drobne kawałki. Po raz kolejny zawyły alarmy.

– Co to było? – zapytała wystraszona Kate.

Robert podniósł głowę i przez długą chwilę siedział z zamkniętymi oczami, jakby słuchał jakiegoś wewnętrznego głosu, który mówił tylko do niego. Przypominał Kate tybetańskiego lamę, który właśnie pogrąża się w głębokiej medytacji. Jego twarz była zrelaksowana i spokojna, jakby znajdował się milion kilometrów stąd, w jakimś miejscu będącym ponad dobrem i złem.

Po chwili otworzył oczy. W jego spojrzeniu malowało się zdenerwowanie i szczypta strachu.

– Ktoś wysadził boczne stabilizatory – powiedział.

– Co wysadził?

– Współczesny dodatek Feldmana. Coś obcego oryginalnemu projektowi „Valkirie”. Dlatego *ona* mu na to pozwoliła.

– To zatrzyma statek? – Serce Kate galopowało wyczekująco.

Robert pokręcił głową.

– Nie, choć znacznie wszystko utrudni. Jest jeszcze sposób, żeby zatrzymać „Valkirie”, ale będziesz potrzebowała pomocy.

– Oczywiście. Mam ciebie. – Kate przytuliła go zachłannie, jakby w obawie, że Robert znów się rozpłynie.

– Ja nie mogę ci w tym pomóc. Ale Senka Simović tak.

– Senka? – Kate przypomniała sobie, że Moore kazał ją zamknąć w celi. Nie miała zielonego pojęcia, gdzie może być.

– Tak, Senka. Znasz ją wystarczająco dobrze.

– Dlaczego ty nie możesz mi pomóc? – poskarżyła się dziewczyna. – Nie chcę się od ciebie oddalać. Nigdy więcej!

– Kate, dopóki jesteśmy razem, *ona* nas nie zobaczy, ale tylko kiedy będziemy zamknięci w kajucie. Nie mogę nic więcej zrobić. Powiedziałem ci już, że istnieją pewne zasady. Kiedy wyjdziemy na korytarz, znajdzie nas. I tym razem będzie naprawdę wściekła.

– Co w takim razie zrobimy?

– Spróbuję odwrócić jej uwagę. Doprowadzić ją do szału. Przyciągnąć ją. – Robert wstał i zaczął się ubierać. Jego ruchy były jak zwykle spokojne i powolne, emanowała z nich ufność, która towarzyszyła mu przez całe życie. Nie wyglądał, jakby zaraz miał stawić czoło mrocznej sile, ale jakby proponował jej pójście na kawę. – W tym czasie ty odszukasz Senkę i zejdziecie do maszynowni.

– Po co?

– Dowiesz się we właściwym momencie. Zaufaj mi. A teraz się ubierz, kochanie. Jeśli będziesz chodziła nago po statku, nie sądzę, żebyś pozostała niezauważona.

Próbował uspokoić ją swoimi żartami. Taki właśnie był sposób bycia tego wysokiego, eleganckiego Amerykanina, który kiedyś zaczepił ją w Barcelonecie, udając zagubionego turystę, chociaż od ponad dwóch lat mieszkał w Barcelonie. Ona miała zaledwie dwadzieścia dwa lata. Wprowadziła się do niego sześć miesięcy później.

Szybko się ubrała, wybierając jak najwygodniejszy zestaw. Podejrzewała, że w najbliższych godzinach dużo się wydarzy.

– Nie powiedziałeś mi jeszcze, jak stąd wyjdziemy – mruknęła. – Przypominam ci, że ja nie mogę przenikać przez ściany.

– Ja też nie. – Podszedł do niej i ją przytulił. Kate wciągnęła nosem jego zapach. Pachniał swoją wodą kolońską, seksem i nią. – Ale mogę robić inne rzeczy.

Zbliżył się do drzwi, które były zamknięte na klucz, i po prostu chwycił za gałkę. Zamek ustąpił i drzwi obróciły się na zawiasach, nie wydając żadnego dźwięku. Gdyby cała ta sytuacja nie budziła w niej takiej grozy, Kate zaklaskałaby jak mała dziewczynka oglądająca wyjątkowo zabawną magiczną sztuczkę.

Ostrożnie wyjrzała na korytarz. Ochroniarz zniknął. Pewnie pobiegł na miejsce eksplozji albo po rozkazy. Nie mogła tego wiedzieć.

– Uważaj na siebie, skarbie – usłyszała za plecami szept Roberta.

Odwróciła się, żeby mu odpowiedzieć, ale już go nie było. Znów rozpłynął się w powietrzu.

– Nie znoszę, kiedy to robisz, Robercie Kilroy – mruknęła pod nosem, wychodząc na korytarz. – Naprawdę nie znoszę.

Nie miała pojęcia, od czego zacząć. „Valkirie” była olbrzymia, a nie licząc krótkiej wizyty na dolnych pokładach poprzedniego dnia, znała jedynie sektor pierwszej klasy i kilka korytarzy drugiej. Nie wiedziała, gdzie mogą przetrzymywać Senkę, ani co, u diabła, ma zrobić, kiedy już ją zlokalizuje.

Wtedy o czymś sobie przypomniała. Zanim odcięto łączność, Anne Medine powiedziała, że wyśle jej informacje o „Valkirie”. Może tam znajdzie jakąś wskazówkę.

Sala Gneisenaua znajdowała się dwa piętra wyżej. Musiała tam dotrzeć. Modliła się, żeby nie spotkać po drodze żadnego ochroniarza, zwłaszcza Moore’a. Zdała sobie sprawę, że w ciągu ostatnich godzin na „Valkirie” doszło do subtelnej zmiany w układzie sił. Feldman został jakby odsunięty na bok i teraz Anglik sam podejmował decyzje. Ale była pewna, że stary Żyd nadal odgrywa kluczową rolę w całej tej historii.

Przeszła korytarzem, nikogo nie spotykając. Zdziwiła się na widok kilku pustych, otwartych na oścież kajut, jakby lokatorzy zapomnieli po wyjściu zamknąć drzwi. Zajrzała do środka i odkryła rozgrzebane łóżka, walające się po podłodze ubrania, porzucone książki i komputery. Nagle usłyszała głuchy, powtarzający się i coraz bliższy odgłos dochodzący z głębi korytarza.

Nie miała gdzie uciec. Schwytana w pułapkę, wemknęła się do jednej z kajut i schowała pod łóżko, by tam zaczekać, aż przejdą.

Hałas się przybliżał. Głuche klak-klak-klak jakby źle umocowanych trybików. W jej polu widzenia pojawiły się dwie nogi i kółka wózka z pralni. Za każdym razem, kiedy skręcał, jedno z kółek wydawało ten głuchy dźwięk, narzekając na swój los.

Nogi zatrzymały się przed kajutą. Kate przełknęła ślinę, przekonana, że została odkryta. Ale nogi stały nieruchomo, jakby ich właściciel zastanawiał się, co robić. Dziewczyna uniosła dół narzuty, żeby lepiej widzieć. To była pani Miller, gospodyni Feldmana. Miała na sobie szarozielony uniform KdF, w którym niezbyt dobrze wyglądała. Włosy zebrała w wysoki staroświecki kok i patrzyła mętnym, zamglonym wzrokiem, jakby się upiła. Biały fartuch na piersiach, a także jej usta i broda, były poplamione krwią, która w pewnym momencie popłynęła jej z nosa. Gospodyni wykonywała spazmatyczne ruchy, jak robot, któremu wyczerpuje się bateria.

Kobieta mruczała coś niezrozumiale po niemiecku. Kate zobaczyła, że podchodzi do stołu i zabiera wszystkie książki, laptopa i kable. Następnie wrzuciła je do wózka na brudną bieliznę. Komputer trzasnął, jakby coś w środku uległo uszkodzeniu. Gospodyni wyszła i stanęła przed kajutą po drugiej stronie korytarza. Przez chwilę mocowała się z kluczami, po czym otworzyła drzwi i zniknęła w środku.

To była jej szansa. Kate wypełzła spod łóżka i wyszła na korytarz, korzystając z tego, że

pani Miller znajduje się w pokoju naprzeciwko. Kiedy mijała wózek na pranie, zerknęła do środka i zbladła. Leżało tam zwalonych na kupę ponad dwadzieścia laptopów, telefonów komórkowych, ładowarek, kalkulatorów i tabletów, zagrzebanych między książkami z zakresu techniki. Niektóre miały pęknięte ekrany, jakby w nie czymś mocno uderzono. Całość wyglądała jak góra śmieci przygotowanych do wyrzucenia do morza.

Skrupulatnie eliminowano wszelkie ślady XXI wieku. „Valkirie” (albo to coś, co mieszkało we wnętrzu statku) nieubłaganie narzucała swoje zdanie.

Kate dotarła do windy. Jazda nią była mniej ryzykowna niż wchodzenie po schodach, związane z koniecznością minięcia wszystkich korytarzy. Wcisnęła guzik i czekała zdenerwowana. W grobowej ciszy, jaka panowała na statku, buczenie silnika i trzask kabiny brzmiały niczym wystrzały armatnie. Alarm przestał wyć, nie słychać było żadnego hałasu. Gdyby nie pewność, że po „Valkirie” krąży więcej osób, Kate uznałaby, że jest zupełnie sama na pokładzie.

Zaczynam rozumieć, jak się czułeś, Duff, pomyślała. Sam, ale ścigany przez coś mrocznego i złego. Przytłaczające wrażenie.

Winda zatrzymała się z długim, wesołym dzwonieniem. Kate zazgrzytała zębami na myśl, że ten dźwięk musiał dotrzeć aż do sali balowej. Nie zamierzała czekać, żeby sprawdzić, czy ktoś oprócz niej go słyszał. Wbiegła do kabiny, zamknęła ozdobną kratę i wcisnęła guzik.

Podczas jazdy opadła na obitą pikowaną tapicerką ławkę w głębi windy – nie mogła się utrzymać na nogach. Wtedy zauważyła obok złożoną gazetę, którą ktoś zostawił. Zdziwiła się na jej widok. Kto, do diabła, chciałby czytać dziennik sprzed czterech dni? Wzięła go drżącymi rękami, a to, co zobaczyła, wcale jej nie zaskoczyło.

Był to egzemplarz „Völkischer Beobachter”, oficjalnej gazety partii nazistowskiej. Na pierwszej stronie krewki Goebbels zwracał się do rozentuzjazmowanego tłumu wiwatującego na jego cześć. W rogu widniała data: sierpień 1939 roku.

Odrzuciła gazetę, jakby była jadowitą żmiją, i odruchowo wytarła dłonie o obicie ławki, próbując usunąć niewidoczny brud. Wtedy winda stanęła z silnym szarpnięciem.

Kate zerwała się na nogi i rozsunęła kratę. Już miała wyjść, kiedy zastygła jak rażona piorunem, niezdolna do wykonania żadnego ruchu.

Przed drzwiami windy stał Isaac Feldman. Patrzył na nią szklanymi oczami.

rozdział XL

Wydawało się, że czas stanął w miejscu. Feldman spoglądał na Kate z zaciekawieniem, jakby zastanawiał się, jak, do diabła, zdołała tu dotrzeć. Za to ona patrzyła na niego zasmucona. Gra się skończyła. Starzec zaraz zacznie krzyczeć i zbiegnie się tłum ochroniarzy. Przed oczami stanął jej widok Moore'a bijącego Senkę i poczuła ukłucie przerażenia. Strach przed bólem fizycznym, kręty i oślizgły jak wąż, wcisnął się do jej mózgu i usadowił z perwersyjnym uśmiechem, czekając na przedstawienie.

Feldman wyglądał żałośnie. Na jego głowie zostało zaledwie kilka kosmyków włosów, reszta czaszki była zaczerwieniona i pokryta pęcherzami, jakby zaatakowała go grzybica. Zniknęła świetna postawa, garbił się i chwiał na nogach, wsparty na zabranym z któregoś z tarasów „Valkirie" kiju od parasola, który służył mu za laskę. Miał zgaszone spojrzenie i Kate z przerażeniem zauważyła, że w jednym oku rośnie mu biała plama, prawdopodobnie bielmo.

W najgorszym stanie była jego skóra – pomarszczona i sucha, jakby król hazardu w kilka godzin postarzał się o pięćdziesiąt lat. Drżał niczym liść, który zaraz spadnie z drzewa.

– Witaj, Isaacu – szepnęła. – Niech pan mnie przez chwilę posłucha, błagam. Proszę pozwolić mi coś powiedzieć, zanim…

– Wie pani, gdzie jest mój dziadek? – Jego głos brzmiał jak szelest starej gazety. – Chcę do mojego dziadka…

Kate ogarnęło przerażenie.

– Isaacu, o czym pan mówi?

– Mój dziadek! Chcę do dziadka, teraz! – Starzec wykrzywił usta w podkówkę, a z kącika ust wyciekła mu strużka gęstej, cuchnącej śliny.

Wstrząśnięta Kate zrozumiała, że stary Feldman, wielki kolos, jastrząb interesów, który sprawiał, że ludzie drżeli na jego widok, zupełnie postradał zmysły. Był zwykłym pomylonym starcem, który błąkał się samotnie po korytarzach „Valkirie". Statek jakimś sposobem zniszczył umysł ostatniego żyjącego pasażera z 1939 roku. Było tu jego ciało, ale nie dusza. Z dreszczem pomyślała, że miejsce, do którego odeszła świadoma część Isaaca Feldmana, musi być mroczne, mroczniejsze i głębsze niż czarna dziura. Jak to, co przez moment widziała u wylotu schodów.

Podeszła do Feldmana i wzięła go za rękę. Ostrożnie zaprowadziła do fotela i pomogła mu usiąść. Węch podpowiedział jej, że starzec jakiś czas temu zsikał się w majtki.

– Proszę tu usiąść, Isaacu – powiedziała łagodnym głosem, co chwila oglądając się za siebie. Jeśli nadszedłby teraz któryś z ochroniarzy, byłaby zgubiona. – Zawrzyjmy umowę. Pójdę poszukać pańskiego dziadka. Za chwilę razem po pana wrócimy, ale w tym czasie

proszę się stąd nie ruszać ani nie robić hałasu, dobrze?

Nie wiedziała, czy ją usłyszał, bo jego spojrzenie było zagubione w jakimś odległym punkcie. Opadła mu szczęka, jakby znajdował się w stanie całkowitej katatonii.

Kate spojrzała na niego z czułością i otuliła go kocem. Kiedy ostatnim razem widziała tego mężczyznę, postąpił wobec niej niegodziwie, przez co Moore zaczął traktować ją jak podejrzaną. Ale teraz to nie był ten sam człowiek. Dawny Feldman zniknął. Została tylko drżąca ruina, niezdolna rozpoznać nawet dźwięku własnego głosu.

Kiedy miała pewność, że starzec nie ruszy się z miejsca, poszła dalej swoją drogą.

Feldman został w fotelu, zaplątany w gęste sieci głębokiego snu, z którego nie mógł się obudzić. Przepalony jak żarówka poddana zbyt wysokiemu napięciu.

Sala Gneisenaua świeciła pustkami. Krzesła, które powinna zajmować grupa naukowców, były opuszczone, a wszystkie monitory zgaszone. Na stole nadal stał mały projektor, którego Czerenkow użył w dniu swojej prezentacji. Kate miała wrażenie, że było to milion lat temu, chociaż minęły zaledwie cztery dni.

Cztery dni.

Stanęła jak sparaliżowana, czując strumyk zimnego potu spływający jej po plecach. Jeśli od opuszczenia portu minęły cztery dni, „Valkirie” musiała dopływać do miejsca, gdzie zniknęła siedemdziesiąt lat wcześniej. Na swoje kolejne spotkanie z przeznaczeniem.

Kończył jej się czas. Obeszła salę, dotykając monitorów. Wszystkie były zimne, od dawna stały wyłączone. Nie został żaden ślad po żadnej z osób, które powinny tu teraz siedzieć i prowadzić badania, coraz bardziej podenerwowane, w miarę jak zbliżała się godzina prawdy. W kącie leżały zwalone na stertę, jak kawałki drewna wyrzucone przez fale, teczki z dokumentami i wykresami temperatur, które już nikogo nie obchodziły.

Pomieszczenie było zdewastowane i opuszczone. Jak szczątki statku, który zatonął i o którym zapomnieli nawet rozbitkowie.

Na jednym ze stołów znalazła plik dokumentów ułożonych równo obok laserowej drukarki. Drukarka była wyłączona, przypominała śpiącego potwora z innej planety. Ktoś tu był i wyrzucił część papierów, albo niechcący je strącił, bo podłogę pokrywała warstwa pogniecionych kartek pełnych matematycznych znaków. Z pewnym wstrętem Kate odkryła, że na wielu stronach znajdują się ślady zaschniętej krwi, którą prawdopodobnie broczył ktoś, kto po nich chodził. Plamy przypominały płatki kwiatów. Odruchowo podniosła rękę do nosa i z ulgą przekonała się, że jeszcze nie krwawi. Na razie.

Odsunęła stos raportów i badań na temat elektromagnetyzmu, których nikt nigdy nie przeczyta, i w końcu znalazła plik kartek ściśnięty gumką, podpisany: „Do wglądu Kate Kilroy”. Nie był zbyt gruby, zaledwie czterdzieści, może pięćdziesiąt stron. Poczuła ukłucie zwątpienia. Nie znajdzie w nim zbyt wielu wskazówek, ale musi spróbować. Jednak nie tutaj – nie było to dobre miejsce do czytania dokumentów.

Opuściła salę i dotarła do Wielkiej Galerii. Nazwa była zbyt pompatyczna jak na ten korytarz, ale Kate uznała, że na pasażerach z lat trzydziestych miejsce to musiało robić wrażenie. Był to obszerny hol z wysokim kasetonowym sufitem, ozdobionym tu i ówdzie

kolorowymi witrażami przedstawiającymi germańskich bogów, którzy surowo spoglądali na znajdujący się pod nimi parkiet. Po obu stronach ciągnęły się niewielkie pomieszczenia zbudowane z myślą o barach, zakładach jubilerskich, kawiarniach i ponad dwudziestu małych sklepikach przeznaczonych dla pasażerów pierwszej i drugiej klasy. Kate przeszła pustym pasażem i zatrzymała się pod witrażowym oknem. Odyn o wyrazie twarzy kogoś, kto pochłonął za dużo zbyt pikantnych dań, obserwował ją z góry, znad skłębionej brody. Dziewczyna podeszła do drzwi jednego z nieczynnych lokali. Jak wszystkie, był zamknięty i ciemny.

Pierwszy raz zapuściła się aż tutaj. Podłogę pokrywała cienka warstewka kurzu oraz resztki plastiku i kabli, porzucone przez elektryków i ekipę remontową. Wyglądało na to, że w ciągu czterech dni podróży nikt tędy nie przechodził. Choć korytarz był dużo mniejszy niż pasaże handlowe na współczesnych transatlantykach, „Valkirie” wyprzedziła swoją epokę, już w latach trzydziestych wprowadzając na pokładzie tego rodzaju sektor. W mroku wyglądał jak małe, opuszczone centrum handlowe.

Kate przekręciła gałkę – drzwi poruszyły się na zawiasach, nie wydając żadnego dźwięku. Przeszła po ciemku do kąta, gdzie przez świetlik przenikał promień słabego światła. Szybę iluminatora pokrywały resztki farby, która nie pozwalała wyjrzeć na zewnątrz. Blade światło zmierzchu, które wpadało do środka, było rozproszone i żółtawe. Mgła spowijająca statek jeszcze bardziej zgęstniała, jej uścisk stawał się coraz mocniejszy. Zapadała noc: zacinający deszcz uderzał z siłą w szyby i kadłub „Valkirie”, a wiatr wył niczym pokutująca dusza.

Kate szybko przejrzała dossier. Tak jak jej obiecano, znajdowała się w nim lista pasażerów i załogi. Na jednej ze stron widniało podkreślone nazwisko Schweizera, właściciela kapelusza, który znalazła w pasażu. Dziewczynę rozśmieszyło, że była wtedy tak wystraszona, zważywszy na to, co przeżyła później. Wściekła, przerzucała strony, ale nie zauważyła niczego, co przypominałoby plan statku, żadnej wskazówki, gdzie mogłaby się znajdować cela Senki.

– To bardzo w twoim stylu, Robercie – mruknęła zezłoszczona, z wściekłością ciskając na podłogę połowę kartek.

Wtedy zwróciła uwagę na dwie strony, które trzymała jeszcze w ręku. Była to kopia dziennika pokładowego „Valkirie”, tego, który leżał na stole nawigacyjnym kapitana Harpera (ciekawe, czy dalej używa tego nazwiska?). Anne Medine skopiowała jedynie zapiski odnoszące się do dwóch ostatnich dni. Oczy dziennikarki przeskoczyły do ostatniej notatki, sporządzonej spiczastym niemieckim charakterem pisma przez kapitana Kussa dowodzącego „Valkirie” w 1939 roku. W prawym dolnym rogu widniała mała ciemna plamka, jakby komuś spadła na kartkę kropla atramentu i próbował ją usunąć opuszką palca.

20.47 GMT: 53° 94’ 17” szerokości geograficznej północnej i 28° 47’ 09” długości geograficznej zachodniej. Wiatr słaby NNW, chwilami porywisty. Trzymetrowe fale. Ławica mgły bez zmian od poprzedniej wachty. Stały kierunek i prędkość. Stwierdzono nienormalne wibracje w pobliżu kotłowni. Rozpoznanie

przeprowadzone przez Oberfeldwebla Dittmara wskazuje, że nie ma widocznych uszkodzeń. Podczas kolejnej inspekcji odkryto pięciu pasażerów na gapę w kotłowni numer dwa. Rozwiązanie problemu zostało zlecone oficerowi odpowiedzialnemu za bezpieczeństwo, Ottonowi Dittmarowi. Zmiana wachty przebiegła bez problemów.

To wszystko. Dalej dziennik był czysty, do czasu, aż o wpół do piątej rano następnego dnia „Pass of Ballaster" natknął się na opuszczony dryfujący transatlantyk.

Kate kilkakrotnie przeczytała te same linie. Gapowicze na „Valkirie". Pierwszy raz o tym słyszała. Feldman nigdy nic jej o tym nie powiedział, taka informacja nie figurowała również w dossier zebranym przez gazetę. Wydawało się to logiczne, zważywszy, że zaledwie rok wcześniej dziennik pokładowy leżał w archiwum wojskowym, zagrzebany pod toną urzędowych dokumentów z tamtego okresu. Ale skoro Feldman o tym wiedział, dlaczego nie podzielił się z nią tą informacją?

Olśnienie uderzyło w nią z siłą pioruna. Feldman podejrzewał, że był jednym z piątki gapowiczów. Niemowlęciem podróżującym z rodziną…

Bo o to właśnie w tym wszystkim chodziło. O odkrycie, co stało się z tamtymi ludźmi. Z *jego* najbliższymi.

O poznanie swoich korzeni i swoich losów. Anomalie, badania Czerenkowa, Wolf und Klee…, nic z tego w najmniejszym stopniu nie obchodziło Feldmana.

Nagle Kate usłyszała odgłos kroków i jak szczur wślizgnęła się pod stół. Rozbrzmiewały coraz bliżej i zatrzymały się dokładnie przed drzwiami pomieszczenia, w którym przebywała. Dostrzegła ciemną, bezkształtną sylwetkę odcinającą się za szybą. Wystraszona rozejrzała się dookoła, ale nie znalazła niczego, co mogłoby posłużyć jej za broń. Była w pułapce bez wyjścia.

Zobaczyła, że ktoś obraca gałkę i uchyla skrzydło drzwi ze szkła i drewna. Powstrzymała okrzyk paniki, czując, że krew odpływa jej do stóp.

Nagle z płuc uciekło jej całe powietrze.

Na progu stał Harvey Carter, amerykański fizyk. Głowę naukowca oblewał przygaszony blask światła wpadającego przez jeden z witraży. Tam, gdzie kiedyś miał wpięty znaczek z szopem, teraz widniała błyszcząca swastyka w kolorze krwistej czerwieni.

rozdział XLI

Carter wszedł do sklepiku, potykając się w ciemnościach. Kate usłyszała, jak mruczy pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa. Choć nie widziała go w mroku, doskonale wyobrażała sobie jego pokryty krwią gors koszuli i zagubione spojrzenie. Był już jednym z nich.

Nie odrywając wzroku od Amerykanina, zaczęła macać rękami podłogę. Drapała palcami parkiet, jednak napotykała tylko kawałki plastiku i kłębki zgromadzonego pod stołem kurzu. Nagle jej dłonie zamknęły się na sztywnej kartonowej tubie używanej do przewożenia zrolowanych tkanin. Potoczyła się pod stół, kiedy dekoratorzy okleili jedną ze ścian pomieszczenia, i nikt jej nie zabrał.

Kate chwyciła ją mocno niczym dwumetrowy kij bejsbolowy i czekała cierpliwie, aż Carter wejdzie głębiej do lokalu. Kiedy przechodził obok, wyszła spod stołu z podniesioną kartonową tubą, wydając z siebie wściekły ryk.

Z całych sił spuściła ją na plecy Cartera, który krzyknął ze zdziwienia. Odwrócił się i odruchowo podniósł ręce do góry. Kate odsunęła się i ponownie uniosła tubę, ale zawadziła o niski sufit. To dało Carterowi czas, żeby odskoczyć na bok. Teraz dzielił ich stół.

– Dziewczyno, na miłość boską! – wydyszał. – Oszalałaś? To ja, Carter!

Kate zamarła na dźwięk jego głosu. Rozpoznał ją. I z nią rozmawiał. Po angielsku, nie po niemiecku. Poczuła tak dużą ulgę, że wypuściła tubę, a do oczu ponownie zaczęły napływać jej łzy.

– Carter! – Nie mogła w to uwierzyć. – To ty?

– Oczywiście że tak! – burknął Amerykanin, rozmasowując sobie plecy z cierpiętniczą miną. – Przynajmniej to, co ze mnie zostało po ciosie, jaki mi zadałaś.

Naukowiec pokuśtykał do okienka i stanął w słabym świetle. Kate zobaczyła, że ma trzydniowy zarost i że zamienił wzorzystą koszulę na białą. Miał przekrwione oczy, a worki pod powiekami sięgały kolan, ale oprócz tego wyglądał tak jak wcześniej. Pod jego nosem ani na ubraniu nie było śladu krwi. Sprawiał wrażenie, jakby przez kilka dni imprezował i teraz cierpiał z powodu strasznego kaca, ale nic poza tym.

– Poznajesz mnie? – zapytał po chwili nieufnym tonem. – Wiesz, kim jestem?

– Carter, fizyk. Pracujesz na uniwersytecie w Atlancie. Jesteś wegetarianinem, a na kolacji dwa dni temu powiedziałeś mi, że nienawidzisz bejsbolu i że wolisz futbol amerykański – wyrecytowała Kate jednym tchem. Powiedzenie tego wszystkiego na głos dodało jej otuchy. Jakby wymawiała zaklęcie, które pozwoli zerwać otaczającą ich zasłonę ciemności.

Carter przytaknął, zadowolony. Pogrzebał w kieszeni, z której wyciągnął zapalniczkę i paczkę papierosów. Zapalił jednego i głęboko się zaciągnął, po czym zaczął kasłać, jakby zaraz miał stracić płuco.

– Kate Kilroy – powiedział, odchrząkując ze zbolałym wyrazem twarzy. – Dziennikarka angielskiej gazety. Nie lubisz groszku, dwa wieczory temu miałaś na sobie piękną niebieską sukienkę i wygląda na to, że jesteś jedyną osobą na pokładzie tego statku, która nie straciła głowy.

Kate poczuła tak wielką ulgę, że bez chwili zastanowienia rzuciła się na Amerykanina i mocno go uściskała. Carter otworzył szeroko oczy, czując dotyk ciała Kate, i niezdarnie poklepał ją po plecach.

– A to? – Wskazała palcem na pierś fizyka, gdzie złowieszczo błyszczał znaczek ze swastyką.

Carter przyjrzał mu się zdumiony, jakby pierwszy raz go widział. Potarł ręką czoło i zmarszczył brwi.

– Nie bardzo sobie przypominam. Ostatnie godziny pamiętam jak przez mgłę – wymamrotał, odrzucając z czoła kręcone włosy. – Czuję się tak, jakby ktoś wtłoczył mi przez uszy w głowę tonę waty. Brak snu jest dla mnie zabójczy.

– Brak snu?

– To jedyny sposób, żeby to, co dzieje się na pokładzie tego statku, nie rozpuściło mi mózgu – mruknął Carter. Opadł na krzesło i zdrętwiałymi palcami zdjął z piersi znaczek. – W każdym razie myślę, że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin musiałem co jakiś czas na chwilę zasypiać. Nie pamiętam, żebym wkładał to ubranie i oczywiście nie mam najmniejszego pojęcia, skąd wytrzasnąłem tę cholerną swastykę.

– To znaczy, że nie śpisz…?

– Od siedemdziesięciu dwóch godzin – odparł fizyk, gładząc dłonią zarost na brodzie. – W laboratorium stwierdziliśmy wzrost oddziaływania pola elektromagnetycznego, który zakłócał fale alfa, co z kolei… – Przerwał i lekceważąco machnął ręką. – Nieważne! W tej chwili to nie ma znaczenia! Najprościej mówiąc, mózg jest niczym innym jak olbrzymim polem elektrycznym. Wszystkie synapsy nerwowe są po prostu miejscem niewielkich wyładowań. Nie ulega wątpliwości, że powstały warunki umożliwiające wpływanie na mechanikę mózgową. Powiedziałem o tym Czerenkowowi, ale ten przeklęty Rosjanin nie chciał mnie słuchać. Był za bardzo przejęty empirycznym udowodnieniem istnienia tej swojej osobliwości. No i teraz, idiota, dostał to, czego chciał.

– Ale co to wszystko ma wspólnego ze snem? – zapytała zbita z tropu Kate.

– Nie potrafię tego wytłumaczyć. – Carter faktycznie wyglądał na wyczerpanego. – Nawet w normalnych warunkach nie byłoby to proste. A tu dochodzi niewyspanie, rozdrażnienie i na dodatek uderzenie w głowę jakąś pałką ze sztywnego kartonu, więc możesz sobie wyobrazić…

Kate spuściła głowę.

– Wszedłeś chwiejnym krokiem i ze swastyką na piersi. Co miałam zrobić?

– Nie wiem – mruknął Carter. – Może na przykład zapalić cholerne światło?

– Jak mnie znalazłeś?

– Podłoga w korytarzu jest pokryta pyłem. – Pokazał ręką drzwi. Miał zmęczony wyraz twarzy. – Zostawiłaś ślady, po których mógłby pójść nawet ślepiec. Przechodziłem obok drzwi prowadzących do Wielkiej Galerii, a ponieważ były otwarte, wszedłem, żeby zobaczyć, czy kogoś tu spotkam. Szukam Feldmana. Jest jedynym człowiekiem, który może powstrzymać to szaleństwo.

– Feldman nie jest już w stanie niczego powstrzymać – odparła gorzko Kate i opowiedziała, co przeżyła w ciągu ostatnich dwóch dni.

Carter wysłuchał bardzo uważnie historii dziennikarki, bez przerwy przestępując z nogi na nogę. Kiedy doszła do sceny zatrzymania Senki, zmarszczył brwi.

– Nie mogę uwierzyć, że ta kobieta jest stukniętą neonazistką. To bez sensu.

– Ja też w to nie wierzę – odparła Kate. – Dlatego jej szukam. Coś mi mówi, że tylko ona wie, jak zatrzymać ten statek.

– Poważnie? Skąd takie przekonanie?

Kate się zawstydziła. Nie chciała mówić Carterowi o Robercie. Było jej wszystko jedno, czy pomyśli sobie, że zwariowała, ale desperacko potrzebowała pomocy tego mężczyzny, a jeśli zacznie mu opowiadać o widmowych kochankach, najprawdopodobniej pośle ją do wszystkich diabłów.

– Po prostu wiem. Zaufaj mi, proszę cię. Potrzebuję twojej pomocy.

Carter westchnął, unosząc ramiona.

– Myślę, że nie mam wyboru. Jesteś jedyną osobą na pokładzie, która nie oszalała i do tego wie, że nie bierzemy udziału w pieprzonym zjeździe partii nazistowskiej.

– Pomożesz mi odnaleźć Senkę? – Kate poczuła przypływ nadziei.

– Zrobię więcej. – Twarz fizyka rozjaśniła się słabym uśmiechem. – Mogę cię od razu do niej zaprowadzić.

rozdział XLII

Richard Moore był zdezorientowany. Zdezorientowany i zły. Siedział w barze na statku (jedynym otwartym w czasie tej podróży, z półkami pełnymi butelek) i wściekły obserwował obraz odbijający się w lustrze za kontuarem.

Przysiadł na stołku obitym skórą bawołu, przed nim stała otwarta butelka trzydziestoletniej whisky Talisker, w połowie opróżniona. Moore czuł się bardziej niż średnio pijany, właściwie był nieźle wstawiony. I rozjuszony.

Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Nie wiedział, w którym momencie to, co wyglądało na proste zadanie, zamieniło się w nieustający koszmar.

W którym momencie stracił kontrolę nad sytuacją.

Richard Moore był obytym w świecie człowiekiem. Dobiegał czterdziestki, miał żylaste ciało gracza w amerykański futbol o potężnych mięśniach, bez grama tłuszczu. W wieku zaledwie osiemnastu lat został członkiem Black Rats, słynnej brygady zmechanizowanej armii brytyjskiej. Młody Richard awansował z roku na rok, zapracowując sobie na sławę twardego faceta, drażliwego, bezwzględnie lojalnego wobec dowództwa. Czuł się szczęśliwy, podlegając wojskowej dyscyplinie armii Jej Królewskiej Mości. Tam znalazł dom rodzinny, którego nie potrafili zapewnić mu ojciec alkoholik i matka, była prostytutka.

Gdyby to od niego zależało, nigdy nie opuściłby Black Rats. Uważał ich za rodzinę. Ale pewnego gorącego dnia, latem 2005 roku, dwadzieścia kilometrów od Kandaharu, wszystko trafił szlag.

To był zwyczajny punkt kontrolny, ustawiony przy pokrytej pyłem drodze, w pobliżu kilku śmierdzących wiosek zbudowanych z suszonych na słońcu cegieł i oślego łajna. Zadanie polegało na przeprowadzaniu wyrywkowych kontroli, w czasie których zatrzymywano osoby podejrzane o sprzyjanie talibom oraz konfiskowano broń. Moore dowodził pięcioma ludźmi ustawionymi za dwoma ciężkimi karabinami maszynowymi. Ociekał bez przerwy potem, doprowadzany do obłędu przez wiatr niosący piasek od gór, a do tego cierpiał na ostry ból głowy po całym dniu spędzonym na słońcu w kevlarowym hełmie. Każdego mogło to spotkać.

Każdego, ale nie jego, powtarzał niezmordowanie, serwując sobie kolejną szklaneczkę taliskera. Jednym ruchem wychylił drogi szkocki trunek, pozwalając, by jego myśli znowu przeniosły się do tamtego strasznego dnia.

Do punktu kontrolnego zbliżał się rozklekotany motocykl, którym jechało dwóch mężczyzn i dziecko. Ktoś powinien był kazać im się zatrzymać, ale później, podczas śledztwa, ludzie Moore’a nie mogli sobie przypomnieć, czy któryś z nich to zrobił. Lata treningu sprawiły, że kiedy Anglik zobaczył motocykl zaledwie dwa metry od swojego pojazdu opancerzonego, zareagował jak sprężyna. Zanim zdążył przyjrzeć się twarzy

niespełna trzyletniego malucha, trzykrotnie krzyknął „Ognia!”.

W obu mężczyzn, w motocykl i w dziecko trafiło prawie tysiąc osiemset kul. Rozum Moore’a podpowiadał mu później, że trudno przestać naciskać cyngiel, kiedy człowiek rozładowuje nagle całodzienne napięcie. Serce mówiło mu, że choć mało kto o tym pamięta, w człowieku kryją się potwory, które ujawniają się w najmniej spodziewanych momentach. Niezależnie od przyczyny, faktem jest, że kiedy udało mu się skłonić swoich ludzi, by przestali strzelać z ciężkiej broni maszynowej, z Afgańczyków i ich motocykla pozostała tylko kupka strzępów mięsa i stali.

Miesiąc później Moore stanął przed sądem wojskowym, a po dwóch tygodniach wyszedł przez bramę koszar Black Ratsów w cywilnym ubraniu, z plecakiem wypchanym pamiątkami z całego swojego życia, nie bardzo wiedząc, dokąd pójść.

I wtedy w jego życiu pojawił się Feldman. Tak samo jak w wojsku, w organizacji finansowego magnata Moore awansował powoli, zaczynając jako wykidajło w jednym z jego kasyn, aż w końcu zdobył zaufanie starego Żyda i został mianowany szefem jego ochrony.

Dotąd szło mu jak po maśle. Przez dwa ostatnie lata Moore czuł, że znalazł nowy dom. Do czasu, kiedy weszli na pokład „Valkirie”. Wtedy znów wszystko trafił szlag.

Najpierw był „Mauna Loa”, statek pomocniczy, który padł ofiarą sabotażu. Potem zabójstwo Toma McNamary, wysadzenie w powietrze systemu łączności, a na koniec te stabilizatory. A on nie potrafił temu zapobiec. Zamiast przeciwdziałać atakom, biegał tylko z jednego miejsca w drugie, niczym okładany kijem pies, i próbował powstrzymać bieg wydarzeń, kiedy te były już faktem. Poniósł zawodową klęskę.

Nie wyszło ci, Richardzie – szepnął czyjś głos – *ale możesz to jeszcze naprawić.*

Moore potrząsnął głową i rozejrzał się dookoła. Był sam w barze, paliła się tylko jedna lampa, dokładnie ta nad jego głową. Reszta lokalu tonęła w mroku, cienie skrywały stoły i krzesła, które miały kiedyś zostać zajęte przez pasażerów statku.

– Kto tu jest? – wymamrotał i wstał.

Ktoś, kto cię kocha, Richardzie. Przyjaciółka.

Potykając się, Moore poszedł w głąb sali. Głowa bolała go tak bardzo, że nie był niczego pewien, ale mógłby przysiąc, że najciemniejsza część cieni przesunęła się w drugi kąt, oddaliła od niego, jakby miała ochotę na zabawę w chowanego. Ruszył w tamtą stronę, ale zyskał tylko tyle, że wpadł na jakiś stół i zdarł sobie skórę z goleni.

– Aaach! Kurwa! – ryknął, łapiąc się za nogę.

Przez długi czas stał zgięty. Był głęboko nieszczęśliwy. Pierwszy raz w życiu pozwolił sobie na współczucie dla samego siebie.

– Wariujesz z powodu stresu, Richardzie – powiedział do siebie głośno, kiedy się wyprostował.

Wrócił do kontuaru, nie przestając pocierać goleni. Nagle stanął jak wryty i z niedowierzaniem przetarł oczy.

Szklanka, którą przed chwilą opróżnił, znów była pełna. Po same brzegi. Poza tym w alkoholu pływały leniwie dwie kostki lodu.

Moore odwrócił się niczym kobra, sięgając ręką po walthera PPK, którego nosił w kaburze pod pachą.

– Gdzie jesteś? – wrzasnął. – Pokaż się, skurwysynu!

Słowa wykrzyczane pijackim głosem zabrzmiały jak „pokasiesurfysynu”. Pistolet niebezpiecznie tańczył w jego dłoni. Po skroniach i po plecach spływały mu wielkie krople potu. Nagle pochylił się i zaczął wymiotować na podłogę, aż w końcu nie miał już czego zwracać. Dysząc, stanął prosto, okrążył kontuar i znalazł się po jego drugiej stronie. Z wycelowanym pistoletem podszedł do maszynki wytwarzającej kostki lodu i otworzył ją jednym szarpnięciem.

Była pusta i wyłączona. Nikt z niej nie korzystał od początku podróży.

Znowu popatrzył na swoją szklaneczkę, całkowicie zbity z tropu. Ujął ją w dłoń i przyglądał się jej przez długą, trwającą wieczność chwilę. Nagle ze wściekłym krzykiem cisnął nią o ścianę w głębi. Szklanka rozbiła się na drobne kawałeczki, a tapetę upstrzyły kawałki szkła i zacieki z whisky.

Stał, ciężko dysząc, nie przestawał się pocić. Z trudem wrócił do kontuaru i znowu usiadł. Opanowało go drżenie, którego nie potrafił powstrzymać. Do gardła podchodził mu histeryczny śmiech, a ponieważ nie był w stanie go zdławić, zaczął wydawać z siebie stłumiony chichot.

Obok butelki stała nowa szklanka, wypełniona po brzegi, w której pływały dwa kawałki lodu.

Nie bądź głupi, Richardzie. Chcę ci tylko pomóc. Bądź tak miły i wypij.

Moore ujął szklaneczkę drżącymi palcami, podniósł ją do ust i pociągnął długi łyk. Alkohol miał przyjemny smak i był chłodny. Spłynął do gardła, a potem z całą siłą eksplodował ciepłym uderzeniem w żołądku.

Musisz się zrehabilitować, Richardzie. Nie możesz dopuścić, by ci pieprzeni sabotażyści byli górą.

Moore pokręcił głową i pociągnął kolejny łyk. Ten głos miał całkowitą rację.

Na razie wygrywają, ale jedną zamknąłeś w celi. To szansa, żebyś zyskał przewagę. I wykazał się przed przełożonymi.

Richard Moore przytaknął, pomrukując z zadowoleniem. Słusznie. Najwyższy czas przejąć inicjatywę. Gdyby niepokój nie odbierał mu jasności myślenia i gdyby nie był tak bardzo pijany, zdałby sobie sprawę, że głos powiedział „przed przełożonymi” a nie „przed Feldmanem”, ale nie zwrócił na to uwagi. Jego mózg zdawał się pulsować własnym rytmem; mnóstwo głosów wrzeszczało naraz, a każdy z nich starał się przekrzyczeć inne.

Jesteś oficerem odpowiedzialnym za bezpieczeństwo na tym statku. Twoi ludzie cię słuchają. Jesteś dla nich wzorem. Nie możesz zawieść.

– Nie, nie mogę.

Jeszcze raz napełnił szklaneczkę i opróżnił ją jednym haustem. Czuł się coraz lepiej, jego myśli były coraz bardziej klarowne.

Jak sądzisz, Ottonie, za kim pójdą, jeśli ty zawiedziesz? Kto nie dopuści, by komunistyczni agenci przejęli kontrolę nad statkiem?

„Ottonie”? Jakaś część jego mózgu odnotowała fakt, że ten szczegół nie pasuje do reszty, ale nie mógł zrobić nic więcej. Zanim w jego głowie włączyły się dzwonki alarmowe, ciemna fala zaczęła przeć na jego umysł z niszczycielską siłą. Pod jej naporem, w czasie kiedy opróżniał szklaneczkę, wspomnienie prawie dwudziestu lat spędzonych w Black Rats coraz bardziej blakło.

Na pewno jest Żydówką, Ottonie. Komunistką i Żydówką. Śmierdzącym szczurem. Wrogiem Rzeszy.

– Tak – ryknął Moore, waląc pięścią w stół. Oszałamiająca jasność umysłu zastąpiła ból głowy. Widział wszystko niezwykle wyraźnie. Bar nabrał wibrujących, intensywnych barw. Wydawało mu się, że nawet jego skóra lśni.

Jest jeszcze jedna agentka na statku, Ottonie. To Angielka. Niebezpieczna. Musisz ją zatrzymać. I musisz zrobić to teraz.

Moore (choć nie przyznawał się już do tego nazwiska) skoczył na równe nogi. Schował pistolet do kabury, którą nosił pod pachą, i przesunął dłońmi po twarzy, w stronę czoła. Rozmazał przy tym aż do nasady włosów intensywnie czerwoną krew cieknącą z nosa, co nadało mu demoniczny, dziki wygląd.

Ale on o tym nie wiedział, a jeśli nawet, nic go to nie obchodziło. Miał misję. Miał robotę do wykonania.

Jeszcze jedno, Dittmar. Jest tu pewien szalony starzec i młody mężczyzna w kremowym garniturze. Tych nie ruszaj. Należą do mnie. Sama się nimi zajmę.

Nienawiść przebijająca z ostatniego zdania była tak wielka, że Moore (Dittmar) aż się skulił. Trzęsła nim wściekłość, przekazywana mu do głowy przez niewidzialne macki zagłębione w jego mózgu niczym zepsute zęby.

Wychylił szklaneczkę i wstał od kontuaru. Wyciągnął rękę w stronę wojskowej czapki, której przed chwilą jeszcze tam nie było, i wcisnął ją sobie na głowę. Pasowała jak ulał.

Każdy, kto zobaczyłby go w tej chwili, zadrżałby ze strachu. Gładząc dłonią pistolet jak maniak i nucąc coś przypominającego *Horst Wessel Lied*[3], mężczyzna, który kiedyś był Richardem Moore’em, zamieniony w Oberfeldwebla Ottona Dittmara, wyszedł z baru chwiejnym krokiem, z obłąkanym wyrazem twarzy, po której nieprzerwanie ciekła krew. Cienie wokół niego były znacznie ciemniejsze niż gdziekolwiek indziej na statku. I bezustannie się poruszały, wygłodzone.

Czekały, aż nastąpi to, co nieuchronnie musiało się wydarzyć.

rozdział XLIII

Kate patrzyła na Cartera, jakby właśnie wysiadł z latającego talerza.

– Jak to możliwe, że wiesz, gdzie jest Senka? – zapytała bardzo powoli.

– Cele muszą być blisko pomieszczenia ochrony i kajut ludzi Moore'a – odpowiedział Carter, wzruszając ramionami. – Przechodziłem tamtędy jakieś czterdzieści osiem godzin temu. Zasypiałem i potrzebowałem czegoś, co by mnie obudziło.

– Czego?

Carter podniósł rękę. Trzymał w niej pogniecioną paczkę papierosów.

– Ja nie palę – powiedział. – A przynajmniej nie paliłem jeszcze dwa dni temu. Nikotyna pomaga mi nie zasnąć, chociaż zdziera gardło. – Znów wydał z siebie szorstki dźwięk, który kilka minut wcześniej przyciągnął uwagę Kate. – A na tym statku lokalem najbardziej przypominającym kiosk jest pokój ochroniarzy. Sprzedali mi pół kartonu za sto dolarów. Banda pierdolonych oszustów.

– I co tam widziałeś?

– W głębi korytarza są dwa pomieszczenia zamknięte na klucz, obok szafy na broń. Mają kraty w drzwiach. Założę się o resztki rozumu, jakie mi jeszcze zostały, że tam właśnie trzymają tę twoją Serbkę.

Kate poczuła, że grunt usuwa jej się spod nóg.

– Nigdy nie zdołamy jej stamtąd wyciągnąć – szepnęła. – Jeśli jest za pokojem ochrony, pilnuje jej co najmniej dwóch ludzi Moore'a. Nie pójdziemy tam ot, tak sobie i nie powiemy: „Hej, co słychać? Moglibyście otworzyć tę celę i przez chwilę patrzeć w inną stronę?".

– Może to nie będzie konieczne – odparł Carter z tajemniczym uśmiechem. – Są inne sposoby.

– Jakie?

W odpowiedzi fizyk dał jej znak, żeby poszła za nim. Po cichu opuścili Wielką Galerię i ruszyli w stronę głównego holu ze schodami z orłami. Zatrzymali się przy jednej z wind i wjechali dwa piętra wyżej, do miejsca, w którym Kate nigdy wcześniej nie była.

– Tutaj są laboratoria – powiedział Carter, marszcząc brwi. – Przynajmniej do wczoraj tu były.

W pomieszczeniu panował mrok, wypełniały je cienie, które zdawały się poruszać. Carter nacisnął włącznik i blask mrugających jarzeniówek oświetlił długie stoły zastawione sprzętem laboratoryjnym. Sala była wyludniona i zimna, przesiąknięta wilgocią typową dla miejsc, do których od wielu godzin nikt nie zaglądał.

– Co tu robimy?

– Potrzebujemy kilku rzeczy. Pomóż mi – poprosił Carter i podał jej nożyczki. – Widzisz tę miskę z folii aluminiowej?

– Tę, w której są resztki pulpetów pokryte pleśnią? – Kate ze wstrętem zmarszczyła nos.

Carter przytaknął.

– Laboratoryjne szczury potrafią być czasem bardzo roztargnione. A jeśli w dodatku to miejsce mąci nam zmysły, sama widzisz, co się dzieje. Potnij tę miskę na bardzo małe kawałeczki, najmniejsze, jakie zdołasz.

Dziewczyna skinęła głową i opróżniwszy naczynie, zaczęła ciąć je nożyczkami. W tym czasie Carter buszował między butelkami z odczynnikami i substancjami chemicznymi. Kate przypomniała sobie Fina, który nie poznał jej w sali balowej, i poczuła ciarki. Uświadomiła sobie, że ten człowiek najprawdopodobniej już nigdy nie założy laboratoryjnego fartucha.

– Mam – szepnął Carter i wyciągnął dwie butelki wypełnione jasnym płynem. Oprócz tego wyjął z szuflady parę wyglądających na mocne rękawic i dwie maseczki ochronne, które schował do kieszeni, wziął też pusty plastikowy baniak o pojemności pięciu litrów. – Jesteśmy gotowi – powiedział z wyrażającym pewność siebie uśmiechem. – Idziemy po twoją koleżankę.

– Co zrobimy? – zapytała Kate, ściskając w dłoniach kawałki aluminium. – Obrzucimy ich konfetti i pokropimy wodą?

– Coś w tym stylu – odparł fizyk. – Zaufaj mi, Kate Kilroy. Wiem, co robię.

Pięć minut później okrężną drogą prowadzącą przez korytarze dla obsługi dotarli na piętro, gdzie było biuro ochrony. Z odległości dwóch metrów dobiegały ciche głosy mężczyzn, którzy szeptali coś między sobą. Chwilę potem w kajucie rozległ się mrożący krew w żyłach śmiech. Był to dziwny wybuch, pełen dysonansów, brzmiał jak źle nastrojone pianino. Miało się wrażenie, że usta, z których wyszedł, i mózg ich właściciela nie działają na tej samej częstotliwości.

Zaledwie dziesięć metrów od nich znajdowała się kabina windy. Carter zaciągnął do niej Kate. Ukląkł, włożył rękawiczki, postawił baniak na podłodze i wypełnił go jednym z płynów o przenikliwym zapachu.

– To kwas solny – wyjaśnił. Wsypał ścinki aluminium i dokładnie zamknął baniak. – Jest bardzo korozyjny i ma niedobry zwyczaj powodowania reakcji wybuchowej, jeśli zmiesza się go z pewnymi metalami, jak…

– Aluminium – dokończyła Kate z uśmiechem.

Carter przytaknął z psotną miną, po czym mocno potrząsnął baniakiem. Z wnętrza dobiegło dziwne bulgotanie, a ściany naczynia zaczęły się natychmiast rozszerzać. Fizyk skoczył na równe nogi i wybiegł z windy, popychając przed sobą Kate. Wcześniej nacisnął jednak guzik, żeby kabina zamknęła się za ich plecami.

Schowali się szybko w pobliskim pomieszczeniu na brudną bieliznę i czekali przez kilka sekund, które wydały im się nieskończenie długie. Nagle szybem windy wstrząsnęła

ogłuszająca eksplozja, której towarzyszyły błysk i ogromny słup gęstego dymu o drażniącym zapachu.

To podziałało tak, jakby wsadzili kij w mrowisko. Ochroniarze wybiegli zdezorientowani, z gotową do strzału bronią. Kate mogła zobaczyć ich przez ułamek sekundy i z przerażeniem odkryła, że nie mają już na sobie niebieskich roboczych uniformów, które zwykle nosili, ale szarozielone mundury z orłem wyszytym na kieszonce bluzy. Wszyscy trzej byli bladzi, a na ich twarzach widniały resztki zaschniętej krwi. Jednemu ciekła z ucha czerwona strużka, ale najwyraźniej nie zdawał sobie z tego sprawy.

Dwóch mężczyzn podeszło do drzwi windy i próbowało je otworzyć – na próżno. Skontaktowali się z kimś przez walkie-talkie, po czym ruszyli w górę schodami dla obsługi. Trzeci ochroniarz wrócił zaniepokojony do biura. Potykał się i poruszał tak, jakby cierpiał na straszliwy artretyzm.

– Został nam ten – szepnęła Kate.

– Mamy jeszcze jednego asa w rękawie. – Carter wyjął z torby drugą butelkę i dwie maseczki. Podał jedną Kate. – Włóż to.

– Co tu masz?

– Stężony amoniak. Mają go w każdym, nawet najbardziej prymitywnym laboratorium świata. Nie jest toksyczny, ale nie da się nim oddychać. A teraz patrz – powiedział. – To ci się bardzo spodoba.

Podniósł rękę i naturalnym ruchem wrzucił butelkę do pomieszczenia. Przekoziołkowała kilka razy w powietrzu, zanim zniknęła w otwartych drzwiach i rozbiła się o podłogę z dźwiękiem tłuczonego szkła. Zaledwie piętnaście sekund później mężczyzna, który był w środku, wyszedł, łapiąc ustami powietrze, z oczami zaczerwienionymi z powodu drażniących oparów amoniaku.

Kate podeszła do niego zdecydowanym krokiem, trzymając w ręku lampę z brązu ozdobioną dwiema małymi walkiriami. Podniosła ją z wysiłkiem i opuściła na głowę ochroniarza. Rozległo się głuche uderzenie zakończone trzaskiem i mężczyzna runął na podłogę niczym wół, któremu skręcono kark.

Bez słowa weszli do pokoju w maseczkach i goglach ściśle przylegających do twarzy. Pomieszczenie było puste i bez widocznych zniszczeń, ale ściany zdawały się buczeć, jakby żyły własnym życiem. Jak gdyby cały statek z oburzeniem wstrzymał oddech w obliczu zakłócenia ustalonego planu. Kate podejrzewała, że wkrótce pojawi się mroczny cień. O ile już go z nimi nie było.

– Gdzie są te przeklęte klucze? – Ręce dziennikarki poruszały się nad stołem jak skrzydła wiatraka, przewracając puste butelki po piwie, strącając na podłogę popielniczkę, stos gazet i krótkofalówek. Gogle były zaparowane, mimo maseczki część drażniących oparów amoniaku wdzierała się jej do gardła. Czuła się tak, jakby oddychała ogniem. – Gdzie one są? Gdzie one, kurwa, są?

– Nie wiem! – Głos Cartera był zduszony z powodu maseczki. Nagle Amerykanin zgiął się wpół i zaczął gwałtownie kasłać, zatruty szkodliwymi gazami. Wpadł na kilka krzeseł,

zanim zdołał wyjść z pomieszczenia. Prawie nie widział na oczy, nie mógł być pomocny.

Kate poczuła napływającą falę gniewu zabarwionego rozczarowaniem. To niemożliwe. Tak blisko celu, a jednocześnie tak daleko. Obróciła głowę w stronę drzwi i naszła ją ochota, by wybuchnąć śmiechem jak wariatka. Z zamka, niczym kiść dojrzałych winogron, zwisały klucze. Były tam od początku, na widoku.

Otworzyła drzwi ze ściśniętym sercem. Jeśli się pomylili, nie będzie drugiej szansy. Czas płynął nieubłaganie. Nigdy nie znajdzie Serbki we wnętrznościach „Valkirie".

Najpierw zobaczyła długie, zgrabne nogi. Potem obcisłe majtki i koszulkę poplamioną krwią. Wreszcie pozlepiane blond włosy otaczające posiniaczoną twarz Senki Simović, która zdezorientowana spoglądała na drzwi.

– *Wer bist du?* – Jej głos był zgaszony, jakby znajdowała się pod wpływem narkotyków albo w stanie szoku. Z jednej z dziurek jej nosa zaczął płynąć strumyczek krwi.

O kurwa, jest kompletnie pomylona, pomyślała zrozpaczona Kate. Cień „Valkirie" okrył ją już swoją czarną peleryną.

Potykając się, wyciągnęła Senkę z pokoju. Zatrzymała się na chwilę, żeby zabrać spodnie od dresu leżące w jednej z szafek. Musiały być o trzy rozmiary za duże, ale lepiej było nie prowadzić Serbki przez cały statek w samej bieliźnie.

Toksyczne opary już się rozpraszały, mogły więc bez problemu przejść przez pokój ochrony. Na zewnątrz stał Carter, trzymał ręce na kolanach i dyszał. Wyglądał, jakby zaraz miał upaść.

– Musimy stąd natychmiast wyjść – wysapał, dotykając dłonią skroni z malującym się na twarzy cierpieniem. – W każdej chwili mogą wrócić.

– Wiem – odpowiedziała Kate energicznie. – Chodź, trzeba zejść do ładowni.

Pociągnęła Senkę, przytrzymując ją pod ramię, ale Serbka zaparła się stopami o podłogę i nie drgnęła ani o centymetr. Kate spojrzała na nią zaniepokojona.

– *Nein! Ich will nicht zu gehen. Ich weiß nicht, wer du bist.*

– Co ona, kurwa, mówi?

– Że nie chce iść z nami – szepnęła Kate bezradnie. – Że nie wie, kim jesteśmy.

– Jest stracona, Kate – powiedział Carter zniechęcony. – Zostawmy ją tutaj. W takim stanie nam nie pomoże.

– Zaczekaj chwilę.

Głowa Kate pracowała na pełnych obrotach – zastanawiała się, jak przywrócić Senkę do rzeczywistości. Przemoc na nic się nie zda. Mogli zatłuc ją na śmierć, a jej umysł nadal błądziłby milion kilometrów stąd. Spojrzała na Cartera, którego skóra nabierała brzydkiego, żółtawego koloru. Amerykanin uniknął podporządkowania się statkowi, bo nie spał ani przez moment, ale co ocaliło ją?

Robert.

Kilkakrotnie zamrugała powiekami, walcząc z napływającymi do oczu łzami, innymi niż te wywołane amoniakiem. Robert. Cierpienie po stracie, które zostało uśmierzone. Uczucie

zamienione w głuchy ból, a potem znów w coś namacalnego.

Miłość do martwego mężczyzny, która pozwoliła jej zachować jasność umysłu w świecie szaleńców. Namiętność.

Namiętność.

To było jak impuls. Nie zastanawiając się dobrze nad tym, co robi, chwyciła w dłonie twarz Serbki i spojrzała jej w oczy.

Boże święty, co ja wyprawiam?

Pochyliła głowę, zamknęła powieki, rozchyliła usta i delikatnie pocałowała Senkę Simović w pokaleczone wargi.

Serbka na początku stawiała opór, jakby zaatakowało ją stado wilków, ale była zbyt słaba, żeby walczyć. Powoli się odprężała, aż wreszcie odpowiedziała na pocałunek Kate. Nagle dziennikarka poczuła w ustach igrający język Serbki.

Dobra, tego już za wiele.

Odsunęła się i spojrzała na nią wyczekująco.

Senka wciąż miała zamknięte oczy i pochyloną głowę, a na jej twarzy malował się błogi uśmiech. Wreszcie podniosła powieki i spojrzała na Kate łagodnym, pełnym zachwytu wzrokiem. Nawet sama Senka nie była świadoma, że ostatni raz miała ten wyraz twarzy w wieku siedmiu lat, kiedy nie wiedziała jeszcze, że za kilka godzin spłonie jej wioska.

– Cześć, Kate – szepnęła ochryple. – Co robisz?

Głos Serbki wydał się Kate najsłodszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszała. Uśmiechnęła się do niej jak do wspólniczki, myśląc, że pierwszy raz w życiu pocałowała inną kobietę i że mimo wszystko wcale nie było tak źle.

– Próbuję ocalić nam życie. Musimy stąd szybko wyjść. Senko, chcę żebyś…

Przerwał jej głuchy odgłos. Obróciła się i krew zamarzła jej w żyłach. Korytarz był pełen mrocznych cieni, bardzo mrocznych, które bez przerwy się poruszały i zdawały pożerać coraz słabsze światło dogorywające w lampach.

Ściany pulsowały w głuchym, miarowym rytmie, jak fala, która powstaje pod powierzchnią wody. Drgania dudniły także w piersi Kate, z taką siłą, że ból docierał aż do mózgu.

Była tu. *Ona* tu była.

A Harvey Carter klęczał na korytarzu wstrząsany dreszczami, z krwią tryskającą mu z nosa jak fontanna, i patrzył na nie niewidzącym wzrokiem.

rozdział XLIV

Richard Moore – albo to, co kiedyś było Richardem Moore'em – wchodził po schodach w rytmie metronomu. Jego tętno było miarowe, a płuca pracowały niczym dwa miechy. Dziwna wibrująca energia skłaniała go, by działać coraz szybciej, jak podrasowany silnik. Przeciął krąg światła wyznaczający środek ogromnego holu z orłami. Srebrzyste obszycia flag na podeście wysyłały błyski, które odbijały się od gzymsów i fryzów pokrytych małymi drapieżnymi ptakami trzymającymi wieńce laurowe ze swastyką w środku.

Podszedł do ukrytych w ścianie drzwi prowadzących na mostek i pociągnął za klamkę. W tym samym momencie pierwsza duża fala sztormu uderzyła mocno w bok „Valkirie". Gdyby mieli stabilizatory, kołysanie zostałoby automatycznie wyrównane przez komputer na mostku, ale żadne z tych urządzeń już nie istniało. Pod wpływem fali statek lekko się przechylił, zaledwie o dwa, trzy stopnie, jednak to wystarczyło, by otwierając drzwi, Moore stracił równowagę i zwalił się na nie całym swoim ciężarem.

Jego waga i natarcie na drzwi sprawiły, że na podłodze powstała głęboka bruzda, doskonale widoczna, Moore jednak jej nie zauważył.

Wyjdź na mostek, Ottonie. Kapitan na ciebie czeka. To pilne.

Głos.

Głos był rozkoszny, silny i potężny, wypełniał każdy zakątek jego umysłu, wyciszając pozostałe dźwięki. Moore nie lubił pozostałych dźwięków. Bał się ich. Mówiły mu, że wszystko potwornie źle się układa. Wolał nie być zmuszony ich słuchać.

Wpadł na mostek jak burza. Kapitan Kuss (*Harper. Nazywa się Harper. HarperHarperHarper. NIE SŁUCHAJ ICH, OTTONIE*), elegancko ubrany, obserwował go oczami w kolorze kobaltowego błękitu. Miał na sobie swój najlepszy mundur, z pedantycznie zaprasowanym kantem spodni. Spojrzał na Moore'a z niesmakiem, po czym zerknął na zegarek.

– Późno się pan zjawia, podoficerze Dittmar – powiedział oschle.

– Wiem, proszę pana – odparł Moore (Dittmar). Stuknął obcasami i podniósł ramię w automatycznym geście. – Byłem zajęty.

W odpowiedzi Kuss (Harper) strzepnął z rękawa nieistniejący pyłek.

– Poinformowano mnie, że w pobliżu kotłowni numer dwa słyszano jakiś hałas. Coś w rodzaju eksplozji, choć nie ma szkód. Niech pan zejdzie sprawdzić, co się stało, i wróci, żeby mi o tym opowiedzieć. Proszę się pospieszyć. Za niecałe piętnaście minut mam tę nieszczęsną uroczystą kolację. Nie chcę stracić za dużo czasu.

– *Jawohl, Herr Kapitän*. – Moore ponownie stuknął obcasami i wyleciał z mostka jak z procy. Nie chodziło jedynie o to, co powiedział mu kapitan. *Jej* głos znów zabrzmiał

w jego głowie. Jedno słowo.

BIEGNIJ.

Tym razem był naglący.

Trzema susami dotarł do głównego dźwigu, który łączył mostek bezpośrednio z dolnymi pokładami wycieczkowca. Znajdował się w części, do której nie mieli dostępu pasażerowie, i był najszybszym sposobem na poruszanie się po statku. Przy windzie spotkał swoich trzech ludzi, którzy czekali bezczynnie, paląc papierosy. Bez słowa dał im znak i wszyscy weszli do kabiny.

Kiedy zamykał kratę, na ułamek sekundy przemknął mu przed oczami dziwny obraz. Jak przez mgłę zobaczył przed sobą dwie zespawane stalowe płyty odcinające mu drogę, z czerwoną nalepką, na której było coś napisane po angielsku.

Potrząsnął głową i wyciągnął dłoń w stronę stalowych płyt, ale przeszła przez nie jak przez dym. Wtedy obraz zniknął. Delikatne pulsowanie w skroni sprawiło, że skrzywił twarz. Najwyraźniej wracał ten przeklęty ból głowy.

Trzeszcząc i terkocząc, dźwig towarowy zjeżdżał przez trwającą nieskończoność chwilę na najniższy poziom, gdzie mieściły się kotłownie. Ryk silników „Valkirie” brzmiał jak monotonne, głośne bzyczenie, które zagłuszało wszystkie inne dźwięki i zmuszało do porozumiewania się krzykiem. Na dole panował zaduch, temperatura była niemal o dziesięć stopni wyższa niż w pozostałych częściach statku, dlatego większość obsługi maszynowni pracowała półnago. Zaraz po wejściu do tego podziemnego świata Moore zaczął się pocić.

Ruszył w stronę głównego mechanika, grubego, łysego, dobiegającego sześćdziesiątki mężczyzny o błyszczącej od potu skórze. Miał bokobrody i sumiaste prusackie wąsy. Na widok Moore’a podszedł, wycierając dłonie obszarpaną szmatą.

– Wreszcie pan jest! – ryknął. – Godzinę temu usłyszeliśmy wybuch na dolnym pokładzie numer trzy. Początkowo myśleliśmy, że wpłynęliśmy na jakąś minę, bo tamte pomieszczenia są puste… A przynajmniej powinny być. Wtedy ich znaleźliśmy, no i, tego… nie wiedzieliśmy za bardzo… no… pomyśleliśmy, że lepiej, jak zajmie się nimi ochrona. – Jego głos gasł, w miarę jak mówił, coraz bardziej zdenerwowany.

Moore spojrzał na niego i wtedy wydarzyło się to samo co w windzie. Jakby nałożyły się na siebie dwa ruchome obrazy. Kiedy patrzył na głównego mechanika, za którego plecami pracowały olbrzymie silniki „Valkirie”, kolory zaczęły się zacierać i zlewać. Obraz w głębi rozmazał się na kilka sekund, a kiedy znów nabrał ostrych konturów, uległ zmianie. Na zniszczonych manometrach widać było ślady krwi i mięsa, na podłodze leżały zmasakrowane ciała trzech maszynistów, podziurawione setkami małych odłamków. Widok był tak realistyczny, że wystraszony Moore zrobił krok do tyłu. Otworzył usta, żeby krzyknąć, ale wtedy obraz zniknął, jak pękająca bańka mydlana. Wszystko wróciło do normy. Wskaźniki i zawory były w idealnym stanie, błyszczące i wypolerowane, po masakrze nie został nawet ślad.

To złudzenie, Ottonie. Jesteś bardzo zmęczony. Im szybciej skończysz, tym szybciej będziemy mogli wrócić do baru na drinka.

– Gdzie jest ten pokład?

– Tędy – wskazał usłużnie główny mechanik. – Po drugiej stronie tamtych drzwi.

Minęli gródź i weszli do pustej, przypominającej jaskinię sali. Zaprojektowana w 1938 roku „Valkirie” miała wykorzystywać silniki na węgiel, a to miejsce zostało pomyślane jako olbrzymi skład węgla kamiennego do palenia w kotłach. Ostatecznie zainstalowano jednak wydajniejsze silniki dieslowskie i ogromna węglownia stała pusta.

Po wejściu do środka Moore zamrugał oczami. Dwa gigantyczne stabilizatory o nowoczesnym wyglądzie dymiły, wysadzone w powietrze, a na podłodze leżały rozrzucone szczątki kół zębatych i powyginane kawałki metalu. Zacisnął mocno powieki, a kiedy je otworzył, obraz zniknął. Sala była zupełnie pusta, nie licząc stojącej w rogu grupki ludzi. Ból w głowie Moore’a przybierał na sile. Czuł się chory, od tego gorąca robiło mu się niedobrze, miał ochotę zwymiotować. Zabiłby za łyk czegoś mocniejszego.

– Krwawi pan – powiedział cicho jeden z jego ludzi, podając mu chusteczkę.

Moore wziął ją bez słowa i przyłożył do nosa. Gęsty, metaliczny zapach dieslowskich silników „Valkirie” roznosił się po całej ładowni, jak ciężkie perfumy, które przenikają ubranie, skórę i włosy. Nie zdoła się go pozbyć przez kilka tygodni. Każdy, kto tu schodził, nieuchronnie nasiąkał zapachem maszynowni.

Przeciął pustą salę. Bał się, że w każdej chwili znowu wrócą przywidzenia. Może powinien porozmawiać z pokładowym lekarzem. To nie było normalne, żeby widział rzeczy, które nie istniały, rzeczy, których nie potrafił zrozumieć. Jednak ten pomysł od razu wyleciał mu z głowy, gdy przyjrzał się dokładniej gromadce stojącej przy słupie i patrzącej na niego ze strachem w oczach.

Była to rodzina, przynajmniej tak wyglądali. Składała się z pięciu osób, dwóch mężczyzn, kobiety, dziewczynki i kilkutygodniowego niemowlęcia, które cicho popłakiwało kołysane przez matkę.

Moore przez chwilę ich obserwował. Młody mężczyzna i kobieta musieli być małżeństwem. On był raczej niski, nosił okulary w metalowej oprawce, miał bardzo jasną skórę, a pod przedwcześnie posiwiałymi włosami – zielone oczy o inteligentnym spojrzeniu. Trzymał dłoń szczupłej kobiety o owalnej twarzy otoczonej kręconymi włosami i o ciemnobrązowych oczach, które zerkały na Moore’a ze strachem. Od czasu do czasu pochylała się nad dzieckiem i kołysała je, żeby przestało płakać. U jej stóp siedziała sześcio-, może siedmioletnia dziewczynka ubrana w prostą, szarą, lnianą sukienkę i za duże sandały.

Wyglądali na wystraszonych, słabych i głodnych. Panika, którą odczuwali, była tak namacalna, że wydawała się spowijać ich niczym chmura gęstego dymu. Moore zrozumiał instynktownie, że to on jest ostatecznym sprawcą tego strachu, i nagle, niczym piorun, wstrząsnął nim ładunek endorfin. To uczucie było tak przyjemne, że aż uzależniało.

Bali się go.

Jego.

Życie tej rodziny leżało w jego rękach. Był jakby małym bogiem piekieł. Przełknął

ślinę, nie mogąc złapać oddechu. Wtedy jego wzrok zatrzymał się na ostatnim członku grupy i euforia zamieniła się w gniew.

Starszy mężczyzna musiał dobiegać osiemdziesiątki. Wyglądał na osłabionego. Był ubrany w czarny, powycierany na łokciach garnitur, miał gęstą siwą brodę, a spod kapelusza wymykały mu się dwa długie rytualne pejsy opadające przed uszami. Na ramionach starca spoczywał szal w niebiesko-białe paski.

Pierdolony rabin, pomyślał Moore.

Rabin na pokładzie „Valkirie".

Starzec jako jedyny wydawał się patrzeć na niego bez strachu. Szare oczy przeszywały Moore'a niczym ogniste błyskawice, zaglądając w najdalszy zakątek jego duszy. W kąciku ust pojawił się sardoniczny uśmiech, jakby odkrył w szefie ochrony coś bardzo zabawnego.

Tego było za wiele dla Moore'a. Jak z katapulty wypuścił pięść w stronę twarzy rabina i rąbnął go w policzek. Żyd poleciał do tyłu i upadł na plecy, a z jego ust zaczęła płynąć krew. Kobieta i dziewczynka krzyknęły i próbowały pomóc starcowi, ale młody mężczyzna powstrzymał je, mierząc Moore'a nieodgadnionym spojrzeniem. Wiedział, że w tej sytuacji jest na straconej pozycji.

Starzec podniósł się z wysiłkiem. Wziął z podłogi kapelusz, otrzepał go z kurzu i z powrotem włożył na głowę. Podszedł do Moore'a. W jego oczach malowały się akceptacja i fatalizm. Było to spojrzenie człowieka, który zna swoją przyszłość i wie, że to, co się stanie, jest nieuniknione. Ale malowało się w nim też coś więcej, coś tak ulotnego, że Moore nie potrafiłby tego dobrze zdefiniować… Może przestroga?

– A ta woda? – Szef ochrony wskazał na dwie butelki stojące u stóp rodziny. Dziewczynka trzymała trzecią w rękach, jakby zamierzała się napić i zastygła w tym ruchu, kiedy pojawił się Moore.

– My im daliśmy – wybełkotał pracownik maszynowni. – Tu na dole jest tak gorąco, że byli całkiem odwodnieni. Ukrywają się chyba, odkąd wypłynęliśmy z Hamburga. Pewnie umarliby, gdybyśmy nie…

Moore przerwał mu wściekłym rykiem i kopnął butelki, które potoczyły się po podłodze węglowni, zalewając ją wodą. Ogromnym łapskiem mocno chwycił dziewczynkę za lewe ramię. Ścisnął je ze złością, aż mała wypuściła butelkę z okrzykiem bólu. Moore podniósł dziecko do góry jak lew bawiący się jelonkiem.

– Żydowskie brudasy! – Kiedy wrzeszczał, pluł malutkimi kropelkami śliny. Przerażona dziewczynka jęczała z bólu za każdym razem, kiedy nią potrząsał. – Wstrętne komunistyczne szczury! Nie macie prawa być na pokładzie statku Rzeszy, wy… ohydne… skurwy… syny!

Wymawiając ostatnie słowo, cisnął dziewczynkę pod stopy ojca, który pochylił się odruchowo, żeby ją podnieść. Moore czekał na ten gest i brutalnie kopnął mężczyznę w twarz. Rozległ się trzask łamanych kości nosa. Ojciec zaczął krwawić. Jego stłuczone okulary zostały na podłodze.

– Proszę pana! – Główny mechanik wyglądał na równie zażenowanego, co

wystraszonego. – Nie może pan tutaj tego robić! Zgoda, to Żydzi, ale nie zasługują na takie traktowanie. Koniec końców są ludźmi. Prawda?

– Zamknij pysk! – Moore obrócił się i przysunął nos na niecałe pięć centymetrów do twarzy mężczyzny. – Zajmij się swoimi cholernymi maszynami! To sprawa dla ochrony i żaden pierdolony maszynista nie ma tu nic do gadania! Ja zdecyduję, czy są ludźmi, czy nie! I niech ci do głowy nie przyjdzie, żeby dać tym śmieciom choćby kroplę wody, kiedy pójdę poinformować kapitana! Zrozumiałeś?

Główny mechanik wypiął pierś i spojrzał wyzywająco na Moore'a. Przywykł do bycia panem i władcą na swoim terenie, a na nim właśnie się znajdowali. Nie pozwoli, żeby go tak traktowano. Ale rzut oka na pistolet wiszący u pasa ochroniarza i karabiny jego żołnierzy sprawił, że z bólem w sercu zwinął żagle. W końcu wzruszył ramionami.

– Do diabła z tym – mruknął, spluwając na podłogę. – To nie mój problem. Zobaczymy, co powie kapitan.

Moore odszedł ze złośliwym uśmiechem satysfakcji, nie patrząc na rodzinę, która skupiła się wokół ojca ze złamanym nosem i poobijanej dziewczynki. Starzec zamknął oczy i kołysał się mechanicznie, mrucząc coś po hebrajsku. Powietrze wydawało się kondensować wokół niego, gęstsze niż gdzie indziej.

Piętnaście minut później, kiedy Moore wrócił na mostek kapitański „Valkirie", był już spokojniejszy. Otarł pot i poprawił bluzę munduru. Poinformował kapitana o gapowiczach z dolnego pokładu. Kuss (Harper), w galowej marynarce i białych rękawiczkach, wychodził właśnie, by udać się do salonu. Nawet tutaj docierał niewyraźny gwar pasażerów zebranych w jadalni.

Kapitan wysłuchał sprawozdania Moore'a z nieobecnym wyrazem twarzy, przeglądając się co chwila w małym kieszonkowym lusterku. Wyglądało na to, że miał jakiś problem z wąsami. Wreszcie westchnął rozdrażniony i spojrzał na ochroniarza.

– W porządku, na Boga! – warknął nieprzyjemnie. – W ładowni są Żydzi. A co mi do tego? Jestem bardzo zajęty, Dittmar. W jadalni czeka na mnie dwieście osób. Proszę się zająć tą sprawą. Koniec końców jest pan szefem ochrony.

Moore przytaknął. Od środka zalewało go upojne, mroczne uczucie. Musiał zdobyć się na nadludzki wysiłek, żeby tego nie okazać.

Ty, Ottonie, musisz się zająć tą sprawą. Daj nauczkę tym psom. Skończ z nimi.

Moore bezwiednie skinął głową.

Pokaż im, kto tu rządzi, Ottonie. Niech się dowiedzą, kim są panowie nowego ładu.

– Tak – szepnął suchymi wargami. – Tak…

Kapitan otworzył dziennik pokładowy i spiczastym pismem odnotował godzinę i incydent z ostatnich piętnastu minut służby. Słysząc szept Moore'a, podniósł wzrok, i kropelka atramentu skapnęła na kartkę niczym mały pocisk. Westchnął zezłoszczony i przejechał po niej palcem, ale tylko rozmazał kleksa i zrobił ciemną plamę na rękawiczce.

Nie wiedział, że będzie to ostatnia notatka w dzienniku. I że zanim ją wpisze, przeczyta

ją inna osoba, w innym momencie, w innej rzeczywistości, która powoli zlewała się z jego światem. Gdyby miał tego świadomość, eksplodowałaby mu głowa. Ale „Valkirie” bardzo starannie strzegła swoich sekretów.

– Idziemy, Dittmar. – Kapitan wskazał drzwi. – Na co pan czeka? Proszę wreszcie rozwiązać nasz problem.

Moore przytaknął i pożegnał się przed wyjściem. Nie zdawał sobie sprawy, że kiedy schodził po schodach, na jego twarzy pojawił się okrutny uśmiech.

Bo w jego głowie zaświtała niczym latarnia straszliwa, mrożąca krew w żyłach myśl, która wyłoniła się z jakiejś mrocznej części umysłu. I zamierzał wprowadzić ją w życie.

rozdział XLV

Kate patrzyła z przerażeniem, jak cienie poruszają się w korytarzu prowadzącym do pomieszczenia ochrony. Nie była w stanie oderwać wzroku od tej ciemnej masy, która zajęła całe przejście i pochłaniała każdy foton światła. W pogłębiającym się mroku sylwetka klęczącego Cartera odcinała się na czarnym tle, bo była jaśniejsza niż ciemność, która zmierzała w ich stronę. Umysł Kate na próżno próbował przetworzyć to zjawisko.

Cień pełzał po ścianach i suficie. Kiedy zbliżał się do lamp, zaczynały mrugać i wydzielać coraz słabsze, coraz bardziej żółte światło, które wreszcie zupełnie gasło.

– Co to jest? – szepnęła pobladła Senka.

Serbka, zazwyczaj zimna i rzeczowa, drżała jak osika. Nie trzeba było długo czekać na efekty stresu i przerażenia.

– Nie wiem – zdołała wydusić z siebie Kate. Nie mogła oderwać od tego wzroku, czymkolwiek to było.

Kate.

Głos wbił się w jej głowę jak zardzewiały gwóźdź. Dziewczyna jęknęła i upadła na kolana.

Kate. Zarozumiała dziwko. Myślałaś, że możesz ze mnie kpić?

– Musimy uciekać! – zawyła, niezdarnie próbując stanąć na nogi.

Oparła się o stolik. Stojący na nim dzbanek spadł i rozbił się na kawałki. Kate ponownie runęła na podłogę, pociągając za sobą Senkę. Obie leżały zwinięte w kłębek, ciężko dysząc. Powietrze było zbyt gęste i gorące, żeby normalnie oddychać. Znowu czuć było zapach spalonego oleju i zgniłych alg, ale tym razem znacznie wyraźniej. Brakowało tlenu. Przed oczami Kate tańczyły małe kolorowe iskierki. Zrozumiała, że jeszcze trochę i się uduszą.

Nigdzie nie pójdziecie, Kate. Jego nie ma. Oszukałam go… Już po nim i teraz cię nie widzi. Jesteś moja.

Ciemność podpełzła do niej, pożerając wszystko na swojej drodze. Kate ledwo widziała własne dłonie z odległości pół metra. Wydawało się, że do windy na końcu korytarza jest milion kilometrów, za daleko, by stanowiła jakąkolwiek alternatywę.

W ciemnościach będzieeee wam dobrzeeee, Kate. Ja się zajmę wszystkiiiiimi. Tu w ciemnościach niiiiigdy nie jest zimno. Nigdy nie jest zimno. Nigdy nie jest zimno…

Coś mocno uderzyło Kate w ramię. Krzyknęła przestraszona, ale się nie poruszyła. Jej głowa drżała tak mocno, że czuła, jak dziąsłami wstrząsają rytmiczne fale. Z trudem mogła logicznie myśleć.

Uderzenie się powtórzyło. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że to Carter. Ze

wszystkich otworów w głowie ciekła mu krew, nawet z oczu. Poklepywał ją lekko po plecach, zachęcając, by wstała. Krwawe łzy kreśliły groteskowe plamy na jego policzkach i nadawały mu wygląd szalonego pajaca psychopaty. Wyraz twarzy świadczył o cierpieniu tak wielkim i tak dalekim od naturalnego, że Kate poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

– Biegnijcie – wydyszał niemal szeptem. – Biegnijcie.

Pokazał jej drugą dłoń. Trzymał w niej flarę, która wyglądała na przedpotopową. Kate nie zdążyła zapytać, skąd ją wytrzasnął, bo Carter zerwał papier i jednym ruchem pociągnął za kółeczko.

Blask, od którego bolały oczy, rozlał się błyskawicznie po korytarzu, we wszystkich kierunkach wystrzeliło mnóstwo czerwonych iskier otoczonych gęstym, nieprzeniknionym dymem. Cienie zadrżały i przez sekundę trzęsły się, jakby zdumione tym nagłym, nieoczekiwanym strumieniem jasności, który dzielił je na małe kawałeczki i oświetlał całe pomieszczenie. Dał się słyszeć głuchy jęk, który szybko przeszedł w coś w rodzaju ryku wściekłości. Carter zawył z bólu: setki małych żyłek w całym jego ciele zaczęły pękać z trzaskiem jak szeregi żarówek na skutek przeciążenia napięcia.

– BIEGNIJCIE! – wrzasnął, ale sam, potykając się, pobiegł korytarzem w kierunku przeciwnym niż winda. W stronę cieni.

Kiedy wydawszy ostatni zaczepny okrzyk, zanurzył się w mrok, ciemność zawirowała – Kate widziała, jak obraca się wokół samej siebie. Raca zaczęła przygasać zaraz po przekroczeniu pierwszej linii gęstej czarnej mgły i cienie znowu posunęły się naprzód.

Kate pomogła Sence wstać i obie ruszyły biegiem w stronę windy świecącej słabo w głębi korytarza. Dziesięciometrowy odcinek wydawał się tak długi jak trasa maratonu. Cienie kłębiły się tuż za nimi, pochłaniając metr za metrem, coraz bliżej. Coś mokrego i zimnego ocierało się o włosy dziewczyn i szarpało kosmyki podskakujące na ich plecach. Wilgotny palec przypominający ogon martwej ryby musnął szyję Kate. Wydała z siebie okrzyk paniki i jednocześnie bólu.

Do windy brakowało jeszcze kilku metrów. Nagle usłyszały krzyk Cartera przechodzący we wrzask wyrażający niewyobrażalne cierpienie, który ucichł niespodziewanie, jakby ktoś wyciągnął wtyczkę z gniazdka. Raca wypaliła się ostatecznie i cienie w korytarzu zasyczały chciwie, czarniejsze niż bezgwiezdne niebo na zimnej, nieznanej planecie.

Dziewczyny wpadły do kabiny i kiedy Serbka zasuwała kratę, Kate gorączkowo wciskała guzik. Winda zamknęła się, zatrzęsła i zaczęła zjeżdżać w głąb „Valkirie”.

Po drugiej stronie kraty dało się słyszeć gniewne westchnienie, a potem silne uderzenie. Coś ryknęło ze złością i ciosy brzmiały teraz niczym wściekła symfonia. Jakiś metalowy element oderwał się od kraty i spadł na kabinę, dzwoniąc głośno o jej dach. Kate i Senka popatrzyły na siebie i, wystraszone, mocno się objęły. Kate miała wrażenie, że słyszy głos Roberta, rzucający wyzwanie ciemności, ale mógł to być jedynie wytwór jej wyobraźni. W każdym razie cień przestał zwracać na nie uwagę i zajął się czymś innym.

Nagle wszystkie hałasy całkowicie ucichły. Wrażenie otępienia, które spowalniało ich ruchy, ustępowało w miarę jak winda zapuszczała się na coraz niższe poziomy statku.

Łatwiej było oddychać i pierwszy raz od dłuższego czasu Kate wyprostowała plecy bez poczucia, że ktoś zadaje gwałt jej umysłowi.

– Chyba pozbyłyśmy się tego czegoś – mruknęła niezbyt przekonana. Próbowała odzyskać normalny oddech.

– Myślę, że tak – odparła Serbka, patrząc z powątpiewaniem na sufit. Była ubrana w spodnie od dresu, włosy miała zaplecione w warkocz i związane gumką. Wyglądało na to, że powoli dochodzi do siebie. – Ale nie sądzę, żebyśmy zdołały na dłużej zgubić to coś… czymkolwiek ono jest. Musimy jak najszybciej opuścić statek, w przeciwnym razie wcześniej czy później nas znajdzie.

– To nie takie proste – powiedziała Kate. – Nie zapominaj, że jesteśmy na środku Atlantyku.

– Możemy użyć jednej z szalup.

– I dryfować tysiąc kilometrów od najbliższego lądu, pośród burzy? Dość kiepski pomysł.

– Szwendanie się bez planu po tym przeklętym statku i czekanie, aż to coś nas upoluje, jest jeszcze gorszym pomysłem. – Zdenerwowanie sprawiło, że Serbka mówiła z wyraźnie słowiańskim akcentem. Roześmiała się ponuro. – Powinnyśmy wyjść na pokład, a nie zjeżdżać do ładowni. To tak jakbyśmy uciekały do piwnicy domu, w którym straszy. Chyba że masz jakiś plan.

– Musimy zejść do maszynowni. Tylko tamtędy można wydostać się z tego koszmaru.

– Skąd wiesz?

Kate popatrzyła na nią uważnie. Trudno było wytłumaczyć, że kilka godzin wcześniej przespała się z mężem i że to jego sugestia. Zwłaszcza że jej mąż nie żył od ponad miesiąca. Chociaż na pokładzie „Valkirie” granica między tym, co sensowne, i tym, co bezsensowne, dawno już zanikła, zabrzmiałoby to zbyt intymnie.

Senka spojrzała na nią i westchnęła z lekkim uśmiechem, który mówił wszystko.

– Wyciągając mnie z tej celi, oszczędziłaś mi strasznego losu. – Wzdrygnęła się, a jej ładną twarz wykrzywił grymas wyrażający odrazę. – Nawet sobie nie wyobrażasz, co zamierzali ze mną zrobić. Słyszałam, jak rozmawiali za drzwiami. Skurwiele… Tylko to jestem w stanie sobie przypomnieć.

– I co się stało?

– Nic. Po prostu mówili, w jakiej kolejności będą… Pamiętam jeszcze bardzo mocne ukłucie w skroniach, a potem… Nic więcej, do chwili, aż poczułam, że mnie całujesz. – Tym razem Senka uśmiechnęła się promiennie, choć skaleczona warga wykrzywiła jej twarz. – Czyli albo zwariowałam, albo ten statek jest przeklęty. Każda z tych możliwości mnie przeraża. Skoro więc chcesz iść do ładowni, zamiast wyruszyć na ocean, może to nie jest taki najgorszy pomysł.

Teraz uśmiechnęła się Kate i obie kobiety padły sobie w ramiona. Chciały poczuć, że mają siebie nawzajem. W tym momencie winda szarpnęła po raz ostatni i stanęła.

Drzwi się otworzyły. W twarze uderzyła je mocno fala powietrza, gorącego, jakby pochodziło z piekła. Kate musiała się oprzeć o framugę, żeby nie paść na widok tego, co ujrzały jej oczy.

rozdział XLVI

To była scena przeniesiona z obrazu Boscha. Po wyjściu z windy Kate nie potrafiła opanować drżenia, zbyt wstrząśnięta, żeby cokolwiek powiedzieć. Nie mogła patrzeć w jedno miejsce dłużej niż przez sekundę, czuła wstręt, wszystko się w niej przewracało. Miała mdłości, ale jej żołądek był pusty i zdołał wyrzucić z siebie tylko nitkę żółci.

Eksplozja stabilizatorów wywołała śmiercionośny deszcz odłamków, który spadł na maszynownię. Poszarpane ciała głównego mechanika, wysokiego, atletycznie zbudowanego mężczyzny, oraz czterech innych maszynistów były porozrzucane po całym pomieszczeniu. Największe kawałki wyglądały jak poduszki na igły, którymi bawił się jakiś sadystyczny olbrzym, wbijając ostre odłamki poskręcanego metalu w ludzkie mięso. Krew spływała po pokrywach silników, które nadał wyły, pracując w trybie automatycznym. Zapach spalonego oleju i paliwa do silników Diesla mieszał się z wonią krwi wrzącej na gorących metalowych płytach.

Kate osunęła się na podłogę, wyczerpana fizycznie i emocjonalnie. To wszystko ją przerastało. Czuła tak wielkie zmęczenie i tak bardzo się bała, że nie była nawet w stanie płakać. Jakby jej emocje całkowicie stępiały albo w ogóle zostały wyłączone. Miała jedynie ochotę zamknąć oczy i spać co najmniej przez tydzień. I żeby po przebudzeniu wszystko to okazało się zwykłym sennym koszmarem. I oczywiście, żeby obok niej w łóżku leżał Robert.

– Co z tobą? – zapytała Senka, pochylając się nad nią z troską. – Źle się czujesz?

Kate pokręciła głową wyczerpana.

– To miejsce – powiedziała, szlochając. – Za dużo krwi, za dużo potworności, za dużo śmierci, Senko. Ja już nie mogę.

Zdziwiona Serbka rozejrzała się dookoła. Zrobiła kilka kroków w stronę środka maszynowni i stanęła w odległości zaledwie centymetra od odciętej głowy jednego z mechaników. Z szyi trupa wystawało kilkanaście stalowych odłamków, które przebiły plecy na wylot i tam się zatrzymały, oderwawszy uprzednio czaszkę od reszty ciała.

– Musimy to wykorzystać, Kate! – powiedziała. W ponaglającym tonie jej głosu wyczuwało się cień strachu. – Niezależnie od tego, co miałyśmy robić tu na dole, teraz nie ma tutaj nikogo i to jest nasza szansa!

Serbka zrobiła krok naprzód i nadepnęła na kawałek płuca, który rozpadł się pod jej bosą stopą, wydając kleisty dźwięk. Na Sence nie zrobiło to żadnego wrażenia. Wpatrywała się w dziennikarkę z bezradnym wyrazem twarzy.

Wtedy Kate wszystko zrozumiała.

Ona tego nie widzi, pomyślała. Nie widzi nic z tego, co nas otacza.

– Powiedz, Senko, nie zauważyłaś tu niczego dziwnego? Nie widzisz niczego, co zwróciłoby twoją uwagę?

– Ten metaliczny zapach. – Serbka wzdrygnęła się. – Pamiętam, że czułam coś podobnego dokładnie przed… – Otworzyła szeroko oczy, w których malowało się przerażenie, i powiodła wzrokiem dookoła. – Myślisz, że tu jest? Że ten cień nas dogonił?

– Nie, nie sądzę – odparła Kate i wstała z podłogi. Czuła się niewiarygodnie staro, jakby jej dusza dźwigała balast w postaci mnóstwa ciężkich kamieni. Coś się w niej zmieniło, może już na zawsze. Mogła widzieć rzeczy, których inni nie dostrzegali. Była uwięziona między dwoma światami. Może nawet więcej niż dwoma. – To tylko zapach silników, Senko.

– Po co tu zjechałyśmy?

– Musimy zatrzymać „Valkirie”, wszystko jedno jak. – Spojrzała na zegarek. Od ostatniego wpisu do dziennika okrętowego minęła już godzina. Cokolwiek miało się wydarzyć (cokolwiek się wydarzyło, sprostowała w myślach), powinno zaraz nastąpić.

Nastąpić po raz drugi.

– Jak to zrobimy? Nie wiem, jak działają te silniki. – Senka wskazała labirynt przyrządów pomiarowych, dźwigni, przycisków i manometrów za swoimi plecami. Jej palec musnął pokrętło zachlapane krwią i skrzepniętymi fragmentami mózgu. Z mieszaniną wstrętu i zafascynowania Kate wpatrywała się w czubek palca wymierzonego na chybił trafił. Jego właścicielka nie była świadoma, że skapują z niego krew i ludzkie szczątki. – Myślę, że jeśli zamkniemy jeden z tych zaworów, zablokujemy system zasilania i kotły zostaną wygaszone. Ale jest ryzyko, że zakręcimy niewłaściwy zawór, wówczas ciśnienie wzrośnie i wszystko wyleci w powietrze. Poślemy statek na dno morza i wylądujemy tam razem z nim.

– Musi być jakiś inny sposób – mruknęła Kate. Chodziła po pomieszczeniu, starając się nie dotykać okaleczonych ciał.

Robercie, teraz jest znakomity moment, żebyś się odezwał.

Prawą nogą potrąciła jakiś przedmiot, który odskoczył, wydając przy tym dźwięczny odgłos. Kate śledziła go wzrokiem, myślała, że to jakiś odłamek, ale ten kawałek metalu miał zbyt długi i regularny kształt.

Przyjrzała mu się zaintrygowana. Była to długa, pięciocentymetrowa śruba, naoliwiona i błyszcząca. Zadała sobie pytanie, skąd się tu wzięła, kiedy nagle śruba drgnęła, jakby ktoś zbliżył do niej magnes. Podrygiwała przez chwilę, po czym zaczęła się toczyć.

Początkowo Kate myślała, że to z powodu ruchu fal wstrząsających statkiem z coraz większą siłą, ale w którymś momencie zdała sobie sprawę, że śruba turla się pod górę, podczas gdy strumień kawałków żelaza, mięsa i innych, niemożliwych do zidentyfikowania szczątków zmierzał w odwrotnym kierunku.

To był przerażający widok. Wyzwanie rzucone wszystkim prawom fizyki. Poczuła ukłucie żalu na myśl o Carterze, którego na pewno zafascynowałoby to zjawisko.

Śruba doturlała się do stalowej kraty w ścianie i tam znieruchomiała. Na starannie

złożonej marynarce wetkniętej w zawiasy leżało pięć innych śrub. Ktoś ją tam włożył, żeby zablokować kratę i móc ją potem łatwo wyjąć.

Dziękuję, Robercie.

– Dokąd prowadzi ten tunel? – zapytała Senka, pomagając Kate przesunąć kratę. Dziennikarka wzruszyła ramionami, co wywołało pełen napięcia uśmiech na twarzy Serbki. – Chyba nie będzie tam turlającej się śruby, która nam powie, co mamy robić, prawda?

W odpowiedzi Kate weszła do korytarza. Smród spalonego oleju był tu znacznie intensywniejszy niż w innych częściach statku. Korytarzyk zwężał się i w końcu przeszedł w tunel o zaokrąglonych ścianach, coraz ciaśniejszy i ciemniejszy. Dopiero wtedy dotarło do niej, że żadna z nich nie ma latarki. Nie pozostawało im nic innego, jak zagłębić się w ciemności po omacku.

Z każdym krokiem było coraz mniej przestrzeni i Kate doświadczyła ostrego ataku klaustrofobii. Zobaczyła samą siebie zamkniętą w tym wąskim kanale, z setkami ton metalu i rur nad głową, gdzie tylko stalowa blacha – którą uznała za zbyt cienką – odgradzała ją od tysięcy metrów lodowatej wody. Przed sobą miała ciemność, za plecami ciało Senki blokujące jedyne wyjście. Tunel obniżył się nagle i zmusił je do przejścia reszty drogi na czworakach.

Kate się zatrzymała. Miała zdrętwiałe nogi i ramiona, oddychała coraz ciężej i bardziej chrapliwie. W ciemności przed oczami tańczyły świecące robaczki. Zacisnęła powieki. Pot spływał jej strumieniami po plecach i po bokach, przez co ubranie kleiło się do ciała niczym druga skóra. Oddychała szybko i głęboko, czuła, że zaraz zemdleje.

Ugrzęznę tutaj. Zostaniemy tu uwięzione i cień pożre nas w tej pułapce na myszy.

Spokojnie, skarbie. Już niewiele brakuje. Zaufaj mi, K.K.

Głos Roberta wybuchł w jej głowie z wielką siłą i natychmiast przyniósł kojący efekt. Napięcie nerwowe od razu opadło. Otworzyła oczy i zobaczyła błysk latarki mrugającej w niewielkiej odległości, może niespełna dziesięć metrów dalej. Kiedy ruszyła na czworakach w stronę światełka, jej narządy węchu zaatakował jakiś nowy zapach, przebijający przez smród spalonego oleju. Cuchnęło zgnilizną i zwęgloną skórą.

Wtedy zauważyła, że obok latarki leży nieruchomy kształt. Było to ludzkie ciało. Zdobyła się na odwagę i przepełzła dwa ostatnie metry dzielące ją od nogi tego człowieka. Pociągnęła za nogawkę, ale się nie poruszył. Nie żył.

Powstrzymując mdłości i obrzydzenie, obróciła zwłoki na plecy. Obrzękła, zakrwawiona twarz Willa Paxtona spoglądała na nią z zaświatów z niemym wyrazem zdziwienia i złości, który zamarł na niej na wieczność.

– To geolog. – Senka podpełzła, żeby znaleźć się przy Kate. Obie kobiety były szczupłe, ale mimo to z trudem mieściły się obok siebie w wąskim przejściu, gdzie potężniejszy Paxton niemal utknął. – Co on tu, do diabła, robił?

Kate podniosła latarkę geologa z prawie wyczerpanymi bateriami i skierowała ją na koniec tunelu. Wtedy zobaczyły otwartą klapę kanału, w którym obracał się wał, i ułożone w kupki niczym klocki jakiegoś niebezpiecznego dziecka paczuszki semteksu

z przymocowanymi kablami detonatorów, gotowe do odpalenia.

– To Paxton był agentem Wolf und Klee – szepnęła Kate z niedowierzaniem. – Nigdy bym go nie podejrzewała.

– Może i tak – burknęła Senka, pogrążona we własnych wspomnieniach. – A może nie. Może to „Valkirie” go tu przyprowadziła. Wszystko jedno, kim był. Ważne jest to, co zrobił.

Serbka przez kilka sekund przyglądała się w zamyśleniu paczce semteksu i włazowi do kanału. Wreszcie stwierdziła z przekonaniem:

– Chciał uszkodzić wał, to pewne – powiedziała, manipulując przy detonatorach. Zabrała kilka paczek ładunku i podała je Kate. – Ale użył za dużo materiału. Gdyby to wszystko wybuchło, w kadłubie powstałaby dziura wielkości autobusu. Poszlibyśmy na dno w niecałe pięć minut, nie mielibyśmy nawet czasu, żeby spuścić szalupy.

Serbka zmarszczyła czoło i rozłożyła pozostałe kostki semteksu nad kanałem wału.

– To dziwne – powiedziała na głos sama do siebie. – Ktoś, kto umie się posługiwać tego rodzaju materiałami, jest bardzo ostrożny, jeśli chodzi o proporcje. Nie rozumiem, jak mógł popełnić tak głupi błąd.

– Może nie był w stanie jasno myśleć – podsunęła dziennikarka. – Na tym statku umysł wydaje się czasami funkcjonować inaczej.

Senka dostała gęsiej skórki, kiedy dotarło do niej, co powiedziała dziennikarka. Tak bardzo przypominało to jej własne doświadczenie, że miała wrażenie, iż przeżywa je po raz drugi.

– Tyle wystarczy. – Wskazała na ułożony przez siebie stosik; zostawiła jedynie trzy kostki materiału wybuchowego. – Eksplozja zniekształci wał i prawdopodobnie w kadłubie powstanie jakieś pęknięcie, ale nic poważnego. Ustawię licznik, żeby wybuch nastąpił za piętnaście minut. Co o tym sądzisz?

Kate dokonała pospiesznie obliczeń i przytaknęła. W kwadrans zdążą opuścić maszynownię, wsiąść do windy i dotrzeć na zewnętrzny pokład, żeby ukryć się w jednej z szalup wiszących z boku statku. Przy odrobinie szczęścia przeczekają tam niezauważone do momentu, kiedy osobliwość ustąpi i wszystko wróci do normy. A gdyby to szaleństwo trwało dalej, zawsze mogą odblokować liny i spuścić się w łódce na wodę, wierząc, że znajdzie je jakiś inny statek.

Senka wcisnęła kilka guzików i wbiła koniec kabla detonatora w masę semteksu o ziemistym kolorze. Pod wpływem nagłego olśnienia w ostatniej chwili przeszukała zieloną torbę Paxtona. Z przewrotnym uśmiechem wyciągnęła przedmiot przypominający metalowe szczypce i podłączyła go do ładunku wybuchowego. Następnie ostrożnie ułożyła na nim ciało geologa, na środku przejścia, w taki sposób, że aby dostać się do ładunku, trzeba było przesunąć je na bok.

– To detonator ciśnieniowy – wyjaśniła, kiedy cofała się na czworakach, ciągnąc płócienną torbę. – Jeśli ktoś spróbuje dotrzeć do bomby i poruszy zwłoki, ładunek wybuchnie.

Kiedy weszły do maszynowni, Kate zachłannie wciągnęła zepsute, skażone powietrze, które po niekończących się minutach spędzonych w tunelu wydało jej się najrozkoszniejszym, jakim kiedykolwiek oddychała.

Z uśmiechem odwróciła głowę w stronę Senki. Jej serce skurczyło się do wielkości główki szpilki na widok przerażonej twarzy Serbki.

Wtedy poczuła z tyłu głowy ból nie do zniesienia. Pogrążyła się w ciemności i straciła świadomość.

rozdział XLVII

Moore czuł się tak dumny i szczęśliwy, że nie mógł usiedzieć w spokoju. Upoważniono go do zrobienia porządku z żydowską rodziną. Już samo to było cudowne. Jego umysł wrzał, podczas gdy głosy bez przerwy szeptały mu do jego gotowych słuchać uszu intrygujące, zagadkowe słowa.

A jakby tego jeszcze było mało, jakimś magicznym trafem zaraz po tym, jak wyszedł ze swoimi trzema ludźmi z dźwigu towarowego, wpadł na te dwie komunistyczne dziwki. Stały odwrócone do niego plecami, zajęte rozmową. To dopiero szczęśliwe zrządzenie losu. Głosy zawyły z radości jak szalone, kiedy Moore uderzył kolbą w potylicę rudej suki. Gdyby zjechali pięć minut wcześniej albo pięć minut później, podłożyłyby swoje bomby i znów by mu się wymknęły.

Musiał przyznać, że są całkiem niezłe. Serbka jakimś cudem zdołała uciec z celi. Trzej ochroniarze, którzy powinni byli jej pilnować, zniknęli bez śladu, co trochę niepokoiło Moore'a do czasu, aż główny głos powiedział mu, żeby zapomniał o tym drobiazgu. Tak też zrobił, święcie wierząc we wszystko, co *ona* mu mówiła. Była jego przyjaciółką. Jego osobistą boginią. Jego przewodniczką.

To, że te dwie kobiety włóczyły się swobodnie po statku, zagrażało bezpieczeństwu. I nagle spadły mu z nieba, stanęły na jego drodze z torbą pełną detonatorów i dziwnej substancji o ziemistym, futurystycznym wyglądzie, która musiała być jakimś materiałem wybuchowym. Dwóch jego ludzi ciągnęło po podłodze unieszkodliwioną Angielkę, podczas gdy trzeci dusił obezwładniającym chwytem wijącą się niczym kobra Serbkę.

Wrócili do węglowni. Czekali tam główny maszynista i jego trzej pomocnicy, niezbyt przyjaźnie usposobieni; starali się nie patrzeć na gapowiczów. Wyglądali na zawstydzonych, jakby podejrzewali, co się wydarzy. Kiedy wszedł Moore ze swoją świtą, zdziwieni podnieśli wzrok.

– Więcej pasażerów na gapę? – zapytał główny mechanik. – To jakaś cholerna plaga karaluchów. Do diabła, w Hamburgu powinni być bardziej czujni!

– Te są gorsze. – Moore wskazał palcem za plecy. – To komunistyczne sabotażystki. Prawdopodobnie Żydówki. Nie musicie tu zostawać, szefie. Wróćcie do waszej pracy. Teraz my się nimi zajmiemy.

Moore postarał się, żeby w ostatnim zdaniu zabrzmiała ukryta groźba, tak czytelna, że maszynista nagle pobladł i niemal biegiem opuścił pomieszczenie. Cokolwiek zamierzali z nimi zrobić, nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Kanapka, którą zjadł godzinę wcześniej, zaczynała podchodzić mu do gardła.

Kate powoli wracała do siebie. Obrazy tańczyły jej przed oczami, jakby opróżniła całą zawartość pokładowej piwniczki. Miała mdłości i strasznie bolała ją głowa, ale inaczej

niż w obecności mrocznego cienia. Zaczęła obmacywać dłonią kark, jednak szybko ją odsunęła, kiedy trafiła na guza wielkości gołębiego jaja.

Moore przyglądał się żydowskiej rodzinie, jakby widział ich pierwszy raz. Młody ojciec zdołał zatamować krwotok, ale kości nosa wymagały ręki chirurga, żeby mógł odzyskać pierwotny wygląd. Po okularach – wygiętych i potłuczonych – pozostało tylko wspomnienie. Mężczyzna wydawał się równie wściekły, co wystraszony. Matka szlochała cicho pochylona nad dzieckiem. Lewe ramię dziewczynki w miejscu, gdzie chwycił je Moore, nabierało czarniawego koloru, który z pewnością przejdzie całą gamę barw w ciągu kolejnych godzin. Jeśli mała zdoła przeżyć.

Jedyną osobą, która trwała w tej samej pozie, był stary rabin. Nadal kiwał się niestrudzenie, mocno stojąc na nogach, jakby były dwoma cementowymi słupami wtopionymi w podłogę. Jego litania brzmiała niczym niezrozumiały pomruk, niemal niesłyszalna pośród ogłuszającego wycia silników, które docierało aż do węglowni. Miał zamknięte oczy, ale otworzył je i przerwał modlitwę, kiedy stanął przy nim Moore.

Rabin nawet nie mrugnął. Po prostu powiódł spojrzeniem po grupce przybyszów, nie okazując żadnych emocji. Wydawało się, że przebywa w jakimś bardzo odległym miejscu, ponad wszelkim odczuwaniem, doświadczaniem wrażeń czy cierpieniem. Kiedy jego wzrok spoczął na Kate, wygiął usta w lekkim, niemal niewidocznym uśmiechu. Wypowiedział dziewięć prostych słów, zaskakująco mocnym głosem jak na człowieka w jego wieku.

– Witaj, Kate. Nareszcie tu jesteś. Wszystko może się zacząć.

Nic więcej. Ponownie zamknął oczy i zaczął się rytmicznie kiwać, daleki od tego, co go otaczało, nieobecny, spokojny.

– Znasz Żyda! – Moore aż podskoczył. Jego skóra poczerwieniała i drżała z gniewu. – Wiedziałem! Wiedziałem, że jesteście żydowskimi agentkami! To przeklęty syjonistyczny spisek! Przyznaj się!

Kate pokręciła głową. Nadal leżała na podłodze, była zbyt słaba i otumaniona, żeby mówić. Patrzyła na rodzinę oczami jak talerze, jej wzrok przeskakiwał z jednej osoby na drugą, aż wreszcie zatrzymał się na ostatniej z nich. Na starcu.

– W porządku, jeśli ty nie chcesz mówić, może on to zrobi.

Moore odwrócił się i bez uprzedzenia brutalnie kopnął rabina w kolano. Staw trzasnął sucho, jak drewno łamane zimą na opał. Mężczyzna zwalił się na podłogę, pobladły na twarzy, z zaciśniętymi ustami, które nie wydały żadnego dźwięku. Patrzył na Kate z taką czułością, że dziennikarka była naprawdę poruszona.

– Tato!

Krzyk młodej kobiety trzymającej niemowlę na rękach zabrzmiał rozdzierająco. Mocno przycisnęła dziecko do piersi, nie wiedząc, czy powinna chronić swoją pociechę, czy pomóc powalonemu na podłogę ojcu. Nie miała czasu, żeby się nad tym zastanowić. Na znak Moore’a jeden z jego ludzi rzucił się na nią i wbił jej w dolną część brzucha lufę karabinu. Kobieta zgięła się wpół, łapiąc ustami powietrze jak ryba wyjęta z wody.

Odruchowo oplotła ramionami swojego synka, przez co straciła równowagę i runęła na podłogę. Upadając, obróciła się wokół własnej osi, żeby uchronić dziecko przed uderzeniem. Żebra kobiety wydały nieprzyjemny trzask, a z jej ust wyrwał się okrzyk bólu.

Jej mąż wyszedł wreszcie z odrętwienia i uderzył stojącego obok ochroniarza. Żołnierz nie zwracał na niego uwagi, z nosa i uszu płynęła mu krew, wpatrywał się w białe nogi leżącej na ziemi kobiety. Odwrócił się, żeby nie upaść, i rozłożył ręce. Młody Żyd wykorzystał ten moment, pociągnął za karabin, który ochroniarz miał przewieszony przez ramię, i wyrwał mu go szybkim ruchem.

Zabrakło mu niewiele. Zaledwie dwóch czy trzech sekund. Gdyby dysponował tym marginesem czasu, mógłby odbezpieczyć mausera i wycelować w pozostałych żołnierzy. Gdyby miał choćby minimalne doświadczenie w posługiwaniu się tego rodzaju bronią, nie zawahałby się przez niewybaczalny moment, zanim sięgnął dłonią do mechanizmu. Gdyby wszystko poszło trochę inaczej, historia przybrałaby zupełnie odmienny obrót. Ale jego los był przesądzony. Czarny cień śmiał się w mroku kątów, upojony widowiskiem oglądanym już milion razy.

Mężczyzna podniósł lufę zbyt późno. Rozległo się kilka strzałów i na jego flanelowej koszuli powstały dwie olbrzymie dziury. W powietrze wystrzeliły odłamki kości i krew. Na jego twarzy odmalował się wyraz niedowierzania, zanim upadł na kolana z karabinem w ręku. Czerwone kwiaty na piersi zamieniły się w ogromną ciemną plamę, która ciągle rosła. Jego żona wydała z siebie zduszony okrzyk, zagłuszony przez nieutulony płacz córki, drżącej jak liść osiki. Żołnierz, któremu wyrwano karabin, warczał wściekle, kopiąc ciało Żyda. Teraz wszyscy krzyczeli jednocześnie.

Kate z przerażeniem obserwowała tę scenę, zbyt wstrząśnięta, żeby cokolwiek powiedzieć. Przed chwilą z zimną krwią zabito na jej oczach człowieka. Senka patrzyła na to wszystko z dystansem, jej wzrok wyrażał maksymalną koncentrację. Gdyby Kate przyjrzała jej się uważniej, zdałaby sobie sprawę, że Serbka przypomina naładowaną baterię, która zaraz wybuchnie.

Jedyną osobą, która zachowywała spokój w tym chaosie, był Moore. Nadal trzymał w górze dymiącego walthera. Uśmiech na jego twarzy tak się rozszerzył, że wyglądał na nienaturalny i bezkształtny. Głosy w głowie intonowały jakiś barbarzyński hymn, niszcząc resztki jego osobowości. Z Moore’a została jedynie zewnętrzna powłoka. Oberfeldwebel Otto Dittmar powrócił z ciemności i był spragniony życia.

– Cisza – warknął.

Jakimś sposobem jego głos zdołał się przebić przez wrzawę i hałasy powoli cichły. Pochlipywanie kobiety i rozdzierający płacz dziewczynki i niemowlęcia rozlegały się coraz słabiej.

– Skoro chcieli wejść na pokład, pozwolimy, żeby zostali na „Valkirie” – głos Moore’a stał się ochrypły. Kate miała wrażenie, że należy do innego człowieka. – Ale w miejscu przystosowanym do ich możliwości. Nie zapominajmy, że mówimy o żydowskich szczurach.

Podniósł rękę i wskazał bok statku. W otwartej przestrzeni węglowni metalowe płyty

kadłuba „Valkirie” nie były niczym zakryte. Co kilka metrów przecinały je olbrzymie stalowe wręgi przypominające gigantyczne żebra prehistorycznego zwierza.

Popchnęli więźniów w ich stronę. Zmusili Kate i Senkę, żeby przeciągnęły ciało młodego ojca i złożyły je przy kadłubie, obok zbitej w gromadkę rodziny. Matka z przerażeniem spojrzała na swoje ręce. Były pokryte krwią męża. Wytarła je o zabrudzone smarem ubranie. Moore zauważył ten gest i wybuchnął donośnym, nieprzyjemnym śmiechem.

– Nie trudź się, suko – warknął. – Tam, gdzie pójdziesz, twój wygląd nie będzie miał znaczenia.

Podniósł pistolet, wymierzył w głowę matki i bez zmrużenia oka pociągnął za spust. Na czole kobiety pojawił się tylko mały czerwony otwór, ale tylna część jej głowy eksplodowała niczym odpustowa piniata. Strumień połamanych kości, krwi i kawałków mózgu opryskał stalową płytę „Valkirie”, tworząc ekspresjonistyczny obraz szalonego artysty. Bezwładne ciało opadło na podłogę, nadal wstrząsane konwulsjami. Przerażona Kate nie mogła oderwać wzroku od nóg kobiety, które wierzgały w niekontrolowany sposób.

Następnie Moore wycelował w dziewczynkę. Kate zmroziło krew w żyłach. Znała tę małą. Wiedziała, kim jest. Rozmawiała z nią, teraz wydawało jej się, że było to miliard lat temu. Rozpoznałaby nawet w piekle tę prostą sukienkę i te siniaki na ramieniu. A przede wszystkim ten smutny wyraz twarzy.

– Esther… – szepnęła słabym głosem.

Dziewczynka spojrzała na nią, a po jej policzku spłynęła łza. Zamknęła oczy, wiedząc, co się stanie. Jakby przeżywała to już wiele razy.

Moore wystrzelił kulę, która weszła w skroń małej. Masa mózgowa obryzgała jasne włosy, a ciało dziewczynki poleciało do przodu, jakby walnął w nie jakiś gigantyczny młot. Wierzgnęła nogami i upadła u stóp Kate. Dziennikarka obserwowała zahipnotyzowana, jak wokół głowy dziecka powoli rozlewa się kałuża bardzo czerwonej krwi, niczym płomienna aureola, która w końcu dotknęła czubków jej butów.

Pierwszy raz uświadomiła sobie, że tu zginie. Koniec podróży. Kulka z rąk szaleńca, który myśli, że są w latach trzydziestych. Albo który częściowo faktycznie żył w latach trzydziestych. Cień wygrał.

Moore ponownie wycelował pistolet, tym razem w starego Żyda, który ze smutkiem spoglądał na zwłoki swojej martwej rodziny. Wyglądało na to, że wreszcie skończył modlitwę. Zaciskał pięści. Podniósł wzrok i na chwilę zatrzymał go na dziennikarce.

– Spokojnie, Kate. – Jego głos był tak słaby jak szmer wody w rzece, która ma zaraz wyschnąć. – Wszystko będzie dobrze.

Odwrócił się do Moore’a, wyraz jego twarzy uległ całkowitej zmianie. Resztką sił, jaka mu została, wyprostował połamane kolano, i na moment stary mężczyzna przeobraził się w budzącego strach olbrzyma, wydzielającego fale energii. Cienie w kątach wirowały, zatrwożone i niespokojne, pośród koncertu niezrozumiałych szeptów, które stopniowo

przybierały na sile.

– Ty!

Głos starca zabrzmiał jak ryk. Wyciągnął w stronę Moore’a oskarżycielski palec. Lekki powiew rozwiał poły jego połatanego surduta. W miarę jak mijały sekundy, wiatr wiał coraz mocniej. Najprymitywniejsza część umysłu Kate wiedziała, że to niemożliwe, by wiało w zamkniętym pomieszczeniu na pokładzie statku, dziewczyna nie potrafiła jednak zapanować nad ogarniającą ją paniką.

– Ty! – Starzec ponownie ryknął i podniósł drugą rękę. Otworzył zaciśniętą pięść i wiatr rozwiał na wszystkie strony pył o barwie piasku, który zanim zniknął, tworzył w powietrzu zmieniające się, faliste kształty. – *Pulsa Dinura*! *Pulsa Dinura*!

Pył dotarł do Moore’a w tym samym czasie co słowa starca. Oszalałe cienie wirowały wokół nich jak huragan, wydając niezrozumiałe dźwięki. Cała sala wydawała się pulsować własnym rytmem, od którego drżały nity kadłuba.

– *PULSA DINURA*!

Krzyk zabrzmiał niemal nadludzko. Rabin otworzył drugą dłoń i wycelował wszystkie zakrzywione, zniekształcone palce w twarz Moore’a. Tego szef ochrony nie mógł już znieść. Podniósł pistolet i wystrzelił trzy kule. Pierwsza trafiła starca w ramię i sprawiła, że zakręcił się jak fryga. Druga weszła mu w bok, przeszła przez płuca i utkwiła w stalowym dźwigarze. Trzecia kula przetrąciła mu kręgosłup i mężczyzna runął na pokład niczym szmaciana lalka, martwy, jeszcze zanim dotknął podłogi.

Kiedy znieruchomiał, huragan ustał, wiatr ucichł, a ściany przestały drżeć. Do sali powrócił spokój. Kawałki materiału i kartonu, które uniosły się aż pod sufit, powoli opadały na zebranych. Wszystko wydawało się normalne.

Zaszła jednak pewna drobna zmiana.

Dotyczyła cieni w kątach. Już się nie ruszały ani nie szeptały, ale były ciemne, czarne jak najgłębsza noc, gęste jak ropa naftowa. Zdawało się, że mają niemal stałą konsystencję.

Zdawało się, że oddychają.

Pulsują.

Jakby się do czegoś szykowały.

Spocony Moore odwrócił się do swoich dwóch ludzi i wskazał stalowe płyty starannie poukładane pod ścianą w charakterze balastu.

– Zwalcie zwłoki na kupę i obłóżcie tymi blachami. – Jego głos brzmiał spokojnie, jakby przed chwilą wcale nie zamordował z zimną krwią czterech osób. – Niech główny mechanik pożyczy wam spawarkę. Skoro weszli na pokład, niech zostaną na pokładzie, ale na zawsze. Jak szczury, za ścianami. – Odwrócił się do Kate i Senki, które stały nieruchomo jak uprzywilejowani widzowie tego dramatu. – Je także zamurujcie, ale żywcem.

– Ale… proszę pana – wybełkotał jeden z ochroniarzy. – Zabraknie im powietrza. Ta przestrzeń jest bardzo…

Moore odwrócił się i bez słowa przeszył go wzrokiem. Jego źrenice wyglądały jak dwa strumienie czarnej pulsującej nienawiści zdolnej przebić stumetrową warstwę stali. Mężczyzna skulił się pod spojrzeniem przełożonego i jęknął. Kłąb ciemności zawirował pod sufitem, nad jego głową, i z oka ochroniarza spłynęła maleńka kropelka krwi. Spuścił głowę jak marionetka, której przecięto jeden ze sznurków.

– Zróbcie, co powiedziałem – głos Moore'a brzmiał jak huk dalekiego grzmotu. – Natychmiast.

Jego ludzie zaczęli się niezdarnie poruszać, popychając kobiety kolbami karabinów w stronę bocznej ściany, przy której leżały zwłoki.

W tym momencie Senka wreszcie postanowiła zacząć działać.

Zaczekała cierpliwie, aż pierwszy żołnierz znajdzie się na jej wysokości. Wtedy podniosła rękę płynnym gestem, ćwiczonym tysiąc razy, żeby doprowadzić go do perfekcji. Jej łokieć miękko wbił się w szyję mężczyzny. Ochroniarz wydał zduszone kaszlnięcie i odruchowo przyłożył dłonie do zmiażdżonej tchawicy. Senka skorzystała z okazji, chwyciła za lufę jego karabinu i pociągnęła, tak że przewrócił się na drugiego żołnierza i obaj upadli na podłogę.

Moore i trzeci ochroniarz wycelowali w nie z broni. Z tej odległości nie mogli chybić. Ale dokładnie w tym momencie w bok „Valkirie" uderzyła nieco silniejsza fala. Kołysanie pozbawionego stabilizatorów statku było odczuwalne nawet na najniższym poziomie. Po płytach kadłuba rozszedł się głuchy dźwięk przypominający szczęk roztrzaskującej się lokomotywy.

Zaskoczony tym niespodziewanym ruchem Moore próbował odzyskać równowagę, a kula wystrzelona przez jego podwładnego wbiła się w sufit.

– Teraz, Kate! – krzyknęła Serbka. – Biegnij do windy!

Drzwi prowadzące do głównej sali maszynowni znajdowały się zaledwie dziesięć metrów dalej. Jeśli się pospieszy, dotrze tam, zanim jej prześladowcy odzyskają równowagę.

Kate usłyszała, co woła do niej Serbka, i puściła się biegiem. Wtedy je zobaczyła. Małe zawiniątko płótna i bardzo białej skóry, które ledwie się poruszało i któremu brakowało sił, żeby płakać.

Niemowlę.

Przypomniała sobie pełne czułości spojrzenie, jakie wbił w nią stary Żyd, i zrozumiała, co powinna zrobić. Co było jej obowiązkiem wobec tego mężczyzny. Finałową rolą, którą musiała odegrać w tym dramacie.

Przestała biec w stronę drzwi i to ocaliło jej życie. Pierwsza kula Moore'a wbiła się w gródź, dokładnie w miejscu, gdzie znalazłaby się jej głowa, gdyby podążała dalej w tym samym kierunku. Zamiast tego obróciła się i rzuciła ku leżącemu na podłodze dziecku.

Złapała je w biegu za brzeg niebiesko-białego tałesu, którym było owinięte – jak rowerzysta sięgający po coś w czasie jazdy. Nie zatrzymując się, pędziła dalej przed siebie, kiedy druga kula trafiła w podłogę, tuż koło jej stóp. Słyszała wściekłe ryki

Moore'a zagłuszające trzask spuszczonej iglicy. Magazynek był pusty.

W tym czasie Serbka dotarła do drzwi. Na niespełna sekundę zatrzymała się na progu, zaniepokojona. Moore biegł w jej stronę ze wzrokiem wbitym w Kate, wymieniając magazynek swojego walthera. Dziennikarka straciła cenny czas, żeby zabrać dziecko, dlatego szef ochrony zyskał przewagę. Kate nie zdoła dotrzeć do wyjścia tak, żeby się z nim nie zderzyć.

Kątem oka wychwyciła po prawej stronie jakiś ruch. Żołnierz ze zmiażdżoną tchawicą wił się na podłodze, coraz bardziej niebieski na twarzy, ale dwaj pozostali ochroniarze doszli do siebie i próbowali wziąć ją na muszkę w trzęsącej się „Valkirie".

Wycelowanie z długiego mausera na kołysanym falami statku stanowiło zbyt trudne zadanie dla na wpół martwych mózgów tych mężczyzn. Kula wystrzeliła wysoko i z jakiegoś miejsca kilka metrów nad nimi posypał się grad iskier. Senka zaklęła, odwróciła się i przeszła na drugą stronę drzwi. Przynajmniej zmyliła tych facetów, dalej Kate będzie musiała radzić sobie sama.

– Marnie celujecie, skurwiele! – krzyknęła zza progu, po czym pognała do windy. Wcześniej jednak nie mogła powstrzymać się od pokazania żołnierzom wyciągniętego środkowego palca. Moore, zbyt zajęty Kate i dzieckiem, nawet jej nie zauważył.

Senka biegła zygzakiem w stronę dźwigu, czując spływający po plecach strumień lodowatego potu. Dotkliwie kłuło ją w boku. Najprawdopodobniej Moore złamał jej kopniakami jedno czy dwa żebra. Bolało ją straszliwie przy każdym oddechu, ale nie miała innego wyjścia, jak tylko zacisnąć zęby. Drzwi windy były coraz bliżej.

Jeśli zdołałaby dotrzeć na górny poziom statku, miałaby tysiąckrotnie więcej możliwości. Mogłaby nawet dobiec do którejś z szalup ratunkowych, zanim wybuchną ładunki plastiku i statek zamieni się w mrowisko rozwścieczonych żołnierzy. Otarła kroplę potu, która spływała jej po brodzie, i wypuściła powietrze.

Brakowało niewiele. Da radę.

Nagle włączyły się dzwonki alarmowe w jej mózgu, wyszkolonym na wypadek takich sytuacji. Senka nie biegła w linii prostej, żeby nie stać się łatwym celem dla swoich dwóch prześladowców, ale ci nawet nie próbowali do niej strzelać. Główny mechanik i jego ludzie stali ściśnięci w kącie, a na ich twarzach malowało się nieme przerażenie.

Zaryzykowała i spojrzała za siebie. Stanęła jak wryta. Dwaj żołnierze zatrzymali się w drzwiach łączących maszynownię z węglownią, w której kiedyś były (albo będą) stabilizatory, i wsparci na karabinach przyglądali jej się z pełnym okrucieństwa rozbawieniem na twarzach. Wokół nich kłębiła się niespokojnie czarna złowieszcza chmura. Pokrywała już całą ścianę w głębi i stopniowo pogrążała w ciemnościach resztę pomieszczenia.

Pierwszy jęzor cienia dotarł do maszynistów i zasłonił ich, z czego nawet nie zdali sobie sprawy. Rozległo się stłumione chlupnięcie, a po nim chór krzyków wyrażających straszliwe cierpienie, które nagle ucichły, jak zgaszone radio. A potem nic więcej. Ani śladu po tych ludziach. Cienie pomrukiwały, nasycone i jeszcze ciemniejsze, o ile było to w ogóle możliwe. Najedzone. Uśmiechały się zgniłymi kłami, ich oddech cuchnął śmiercią.

Robiło się coraz ciemniej. Jedynie przyciski i kabina windy pozostawały oświetlone, barwiąc wszystko na niezdrowy żółtawy kolor.

Z gardła Senki wydobył się jęk osaczonego zwierzęcia. Nie zastrzelą jej. Zaczekają, aż zajmie się nią cień. Pisany jest jej dużo gorszy los.

Żeby było jeszcze ciekawiej, za jej plecami rozległ się dźwięk dzwonka. Winda przestała hałasować. Krata zatrzeszczała, kiedy ktoś szybko ją odsuwał. Nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, że właśnie zjechała kabina. Hałas kilku par wojskowych butów i szepty różnych głosów uświadomiły jej, że nadciągnęły posiłki Moore'a. Była w pułapce.

Opadło ją wspomnienie pewnego bardzo odległego dnia. Dnia, w którym mała dziewczynka zobaczyła, jak niebo pokrywają czarne chmury dymu, kiedy płonęła jej wioska. Dziewczynka otoczona przez mężczyzn w wojskowych mundurach, o dzikim wyglądzie i zepsutych duszach. Dziewczynka, która miała zostać wciągnięta w paszczę piekła.

Senka otworzyła oczy pełne łez, które ciskały jednak wyzywające błyskawice. Już nie była tamtą dziewczynką. Była Senką Simović. Kobrą, specjalistką w zadawaniu bólu. Ocalałą. Nie zamierzała pozwolić, żeby cienie znów wygrały.

– Chodźcie po mnie, jeśli macie jaja, *kopilad*. – Podniosła rękę w wyzywającym geście. – Jedna na siedmiu. Tchórze. Idioci.

Mężczyźni odpowiedzieli na tę prowokację gniewnymi pomrukami i zamiast podziurawić ją kulami, natarli na nią niczym byki. Cień zakotłował się z okrzykiem zaskoczenia, jakby to nie leżało w jego planach. Szybko pełzł w jej stronę, ale Serbka przeskoczyła nad barierką i ruszyła w stronę tunelu prowadzącego do wału śruby okrętowej.

Krata nadal była nieprzytwierdzona, wyrwała ją więc jednym pociągnięciem i szybko weszła do korytarza. Kilku żołnierzy deptało jej po piętach. W głębi błyszczało blade światło latarki Paxtona.

Odgłos wystrzału w tak ciasnej przestrzeni rozbrzmiał niczym wybuch armatni i natychmiast ją ogłuszył. Ostry ból przeszył podstawę jej pleców, kiedy pierwsza kula trafiła ją na wysokości nerek i weszła w środek ciała. Potknęła się i musiała podeprzeć o ścianę korytarza, żeby nie upaść.

Druga kula przebiła jej płuco. Senka poczuła pchnięcie w plecy, które rzuciło ją do przodu, i nagłe, duszące ciepło, jakby płonęła. Z ust popłynęło jej trochę krwi, ale zdołała nie upaść na kolana. Jeszcze nie teraz.

Była prawie przy ciele Paxtona. Zwaliła się obok niego. Błona bębenkowa pękła jej od huku wystrzałów. Poczuła trzecią i czwartą kulę, a także coś ciepłego, co wbijało jej się w nogę. Jej spojrzenie spowijała coraz gęstsza mgła. Ostatkiem sił odwróciła głowę i spojrzała w stronę wylotu tunelu.

Żołnierze posuwali się gęsiego, pierwszy z nich z mętnym wzrokiem i dymiącym karabinem. Za jego plecami panowała ciemność tak czarna jak bezgwiezdna noc na jakiejś zimnej, nieprzyjaznej planecie. Byli bardzo blisko.

Cień wyprzedził mężczyzn, pochłonąwszy ich po drodze. Czarny, nieprzenikniony mur runął na Senkę, wydając z siebie zachłanny szept, z każdym metrem coraz głośniejszy. Przez sekundę Serbka widziała pośród zmieniających kształty cieni tajemniczą twarz blondynki, która patrzyła na nią szyderczo z głębi złowieszczej chmury. Twarz, którą wcześniej całowała aż do utraty tchu. Twarz, która uśmiechała się w obsceniczny, złośliwy sposób. Wokół jej serca zacisnęło się coś zimnego i gorzkiego.

Senko. Jesteś moja. Chodź z naaami. Teraz.

Serbka splunęła krwią. Miała coraz bardziej mętne spojrzenie. Chwyciła oburącz Paxtona za nogawkę i posłała ostatni okrutny uśmiech nadchodzącemu cieniowi.

– Już się nie boję. Znalazłam spokój. Wracaj do piekła, dziwko.

Pociągnęła trupa za nogę, uwalniając sprężynę. Sekundę przed tym, jak zamieniła się w ognistą kulę, Senka usłyszała odgłos, jaki wydał cień.

Odgłos zaskoczenia. I bólu.

Potem ognista kula pochłonęła wszystko i Senka Simović wreszcie znalazła drogę do spokoju.

rozdział XLVIII

– To koniec, Żydówko.

Moore parsknął z zadowoleniem, podchodząc do Kate na szeroko rozstawionych nogach, żeby utrzymać równowagę. Załadował walthera i wycelował w czoło rudej dziewczyny. Wystarczyło tylko nacisnąć spust.

Wtedy w bardzo krótkim czasie wydarzyło się wiele rzeczy. Najpierw z tunelu wyleciała ognista kula, z prędkością zbyt dużą dla ludzkiego oka. Błysk światła był tak potężny, że przeszył cienie, które rozproszyły się pośród przerażającego ryku. W czasie kiedy ciało Senki Simović zamieniało się w atomy, fala odrzutu zwielokrotniona w zamkniętej przestrzeni uderzyła z ogromną siłą w olbrzymi stalowy wał. Cios był tak gwałtowny, że wał, grubości człowieka, wygiął się niczym kłos na wietrze. Jego zewnętrzna strona otarła się o wewnętrzną część wypełnionej smarem rury z szorstkim zgrzytem metalu trącego o metal. Wewnątrz rury powstała brzydka szrama, a wszystko spowiła ogromna chmura skroplonego smaru. Wał jak w agonii wykonał jeszcze dwa, trzy obroty i zatrzymał się na dobre.

Dieslowskie silniki „Valkirie” nadal pracowały na trzech czwartych mocy, ale na konsoli zaczęły się zapalać ostrzegawcze światła. W tak tragicznej sytuacji, do jakiej doprowadziła utrata wału, główny mechanik powinien nakazać natychmiastowe zatrzymanie maszyn, bez konieczności konsultowania tego z kapitanem. Jednak w maszynowni nie było nikogo, nie licząc mnóstwa czarnych cieni, nikt więc nie uruchomił systemu awaryjnego wyłączania. Dlatego przez kilkanaście tragicznych w skutkach sekund silniki dalej pracowały na pełnych obrotach, próbując poruszyć olbrzymi, zablokowany walec. Cała ta siła poszła w przekładnie i po chwili to, co mogło być jedynie uszkodzeniem wymagającym poważnych napraw, zamieniło się w katastrofalną awarię. Wały rozrządu wyleciały w powietrze, przeciążone silniki zaczęły wydawać z siebie stłumione trzaski wywołane przez dziesiątki rozrywających się odkształconych przewodów. W końcu stanęły z metalicznym kaszlnięciem, zniszczone od środka.

„Valkirie” zaczęła dryfować pośród szalejącej burzy, która ciągle przybierała na sile.

Fala spowodowana eksplozją uderzyła w nadwerężone grodzie oddzielające węglownię od maszynowni. Przed oczami Kate mignęły jeden za drugim dwa różne obrazki. Zobaczyła, że za Moore’em jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiają się boczne stabilizatory zniszczone przez Paxtona, a sekundę później w tym samym miejscu ujrzała leżące na stosie zwłoki członków żydowskiej rodziny. Wybuch zaskoczył Moore’a i odrzucił go do tyłu. Jednocześnie włączyły się trzy czy cztery alarmy, a z tryskaczy przeciwpożarowych na suficie maszynowni polała się ciecz, która zgasiła pierwsze języki ognia. Chemiczny deszcz był tak gęsty, że ograniczał widoczność do trzech metrów.

Kate czekała na taką właśnie chwilę. Utykając, przemknęła bokiem hali, w kierunku przeciwnym niż wejście, przy którym nadal stał szef ochrony. Skierowała się w przeciwległy koniec, gdzie dostrzegła inne zamknięte drzwi. Nie wiedziała, dokąd prowadzą. Mogła to być pułapka, a może tylko przejście do innej podobnej hali. Nie miała jednak wyboru: przyciskając dziecko do piersi, przedarła się do nich przez strumienie wody i piany. Jedną ręką spróbowała obrócić koło blokujące właz, ale nie zdołała poruszyć go nawet o milimetr.

Usłyszała za sobą sapanie Moore'a. Był coraz bliżej, parł do przodu niczym byk, szukając Kate w potokach spadającej z góry wody.

Robercie, rusz tyłek i wyciągnij mnie stąd. Natychmiast!

Zamknęła oczy i mocno szarpnęła metalowe koło. W tym momencie mechanizm odblokował się i zaczął obracać, poruszany przez coś lub kogoś z drugiej strony. Drzwi otworzyły się ze zgrzytem. Zobaczyła za nimi długi korytarz z rurami wzdłuż ścian i przytwierdzoną z boku drabinką.

Dziękuję, kochanie, pomyślała Kate z ulgą i przeszła przez próg, nie oglądając się za siebie. Moore musiał być bardzo blisko.

Kiedy stała już po drugiej stronie, właz zamknął się nagle z ogłuszającym metalicznym hukiem. Koło mechanizmu ryglującego znów się obróciło, tym razem w przeciwnym kierunku, i bolce z suchym trzaskiem powróciły na swoje miejsca. Kate zobaczyła przez świetlik, że Moore podchodzi do drzwi i próbuje je otworzyć. Anglik poczerwieniał z wysiłku, napinając mięśnie do granic możliwości. Ciężko sapał, a na szyi wyskoczyła mu gruba jak palec żyła, drzwi jednak nawet nie drgnęły.

Rozwścieczony Moore rąbnął pięścią w świetlik, mierząc nienawistnym spojrzeniem kobietę, która po drugiej stronie patrzyła na niego z szyderczym grymasem. Niespiesznym ruchem wyciągnęła rękę w stronę drzwi. Zafascynowany Moore przyglądał się z niedowierzaniem, jak podnosi dłoń, zaciska pięść i eleganckim gestem wystawia w jego kierunku środkowy palec.

– A żebyś sczezł, obłąkany sukinsynu – powiedziała powoli po niemiecku, żeby tamten mógł odczytać to z ruchów jej warg i zrozumieć, co mówi.

Twarz Moore'a przybierała różne kolory, od białego po czerwony i fioletowy. Zaczął krzyczeć, kopać w drzwi i walić w nie pięściami, ale osiągnął tylko tyle, że twarz Kate rozjaśnił szeroki uśmiech, pierwszy raz od wielu godzin.

Wtedy mężczyzna przypomniał sobie, że w ręku nadal trzyma pistolet. Wycelował w szybkę wizjera i trzykrotnie wystrzelił. Szkło pokryło się cienkimi rysami, delikatnymi jak nić pajęczyny, ale nie pękło. Był to wytrzymały na uderzenia i raptowny napór właz bezpieczeństwa, zaprojektowany tak, by w razie przecieku odgrodzić część statku. Kate zrobiła szyderczą minę na pożegnanie i zapuściła się w korytarz, w stronę drabiny, zostawiając za sobą wściekłego, zawiedzionego Moore'a. Szukała wyjścia pozwalającego jej uciec z tego klaustrofobicznego piekła.

I jakimkolwiek sposobem opuścić „Valkirie".

Siedem pięter wyżej, w pełnym cieni holu, zasadzone w donicach rośliny drżały za każdym razem, kiedy w „Valkirie” uderzały fale. W górnej części transatlantyku brak stabilizatorów odczuwało się zdecydowanie wyraźniej. Wszystkie światła pogasły, jakby zjedzone przez wygłodzonego złodzieja. Tylko przeszywające niebo błyskawice od czasu do czasu zalewały salę błękitnym, upiornym blaskiem. Po podłodze pustego holu turlał się wazon, który spadł w czasie jednego z ostrych wejść statku w falę. Przy każdym ataku morza wazon z brązu obracał się, wydając głuchy odgłos, i uderzał o jedną z listew z drzewa orzechowego z przytłumionym, ale doskonale słyszalnym łoskotem. Kolejne natarcie fali szarpało „Valkirie” w przeciwnym kierunku, wazon turlał się w drugą stronę, i tak bez końca.

To był jedyny hałas na tym pustym i ciemnym piętrze. W strefie upiorów.

I wtedy nastąpiło coś nieoczekiwanego.

Dał się słyszeć coraz wyraźniejszy i coraz bliższy odgłos kroków. Były to równe, energiczne kroki człowieka. Pomimo że hol i przylegające korytarze tonęły w całkowitych ciemnościach, człowiek ten poruszał się pośród cieni z łatwością, bez potrzeby korzystania z latarki czy lampy. Stąpał lekko, jakby doskonale znał każdy kąt „Valkirie”. Gdyby ktoś podszedł dostatecznie blisko, przysiągłby, że słyszy, jak pogwizduje jakąś melodyjkę.

Przez zachlapane deszczem szyby do holu wdarł się błysk pioruna. Na moment wszystko wypełniło się światłem, dzięki któremu przybysz stał się widoczny. Był młody, miał około trzydziestu lat, ciemne zmierzwione włosy i elegancki włoski garnitur w kremowym kolorze. Kroczył z wdziękiem, a cienie rozstępowały się przed nim, jakby otaczała go jakaś szczególna aura.

Mężczyzna poszedł w kąt holu, gdzie stał niski stolik, a wokół niego kilka kanap. Na jednej z nich leżało coś, co przypominało porzucony byle jak tobołek. W skupieniu przyjrzał się kupce szmat, potem usiadł, uważając, by nie pognieść sobie marynarki. Odwrócił się w stronę tobołka i otworzył usta.

– Witaj, Isaacu – powiedział.

Szmaciana kupka drgnęła, spod wełnianego koca wysunęła się starcza, plamista dłoń. Za ręką wychynęła bezradna twarz staruszka, z jednym okiem zarośniętym bielmem. Głowę miał pokrytą wrzodami i całkowicie łysą, z wyjątkiem meszku u podstawy czaszki, która wyglądała, jakby miała się za chwilę rozpaść. Z ust ciekła mu ślina. Patrzył ślepymi oczami w stronę, z której dochodził głos.

– Isaacu, nazywam się Robert Kilroy – przedstawił się mężczyzna spokojnym głosem. – Jestem mężem Kate, a przynajmniej nim byłem. Nie ulega wątpliwości, że nie powinno mnie tu być, za to ty masz coś do zrobienia. Kobieta, którą kocham, jest w niebezpieczeństwie, twoja dusza również.

Mężczyzna popatrzył w szkliste oczy Feldmana. Wydawało się, że starzec przebywa w swojej własnej galaktyce, zamknięty w ciemnym zamku bez okien i drzwi.

– Jest już za późno dla pozostałych pasażerów tego przeklętego statku, ale nie dla was. – Robert powiedział to jakby do siebie, niezrozumiałym szeptem, po czym pochylił się nad Feldmanem. – Chcę, żebyś wrócił z ciemnego miejsca, w którym przebywasz. Musisz

zrobić to teraz.

W odpowiedzi starzec wydał z siebie skowyt i uniósł dłoń do twarzy, jakby raziło go słabe światło, którym zdawał się emanować młody mężczyzna.

Powolnym ruchem Robert chwycił Feldmana za klapy i pociągnął, aż ten wyprostował się do pozycji półsiedzącej. Śmierdział moczem, ale Robertowi to nie przeszkadzało. Prawą ręką rozpiął mu kołnierzyk koszuli i poluzował krawat. Potem wstał i kilka razy lekko uderzył starca w policzki, żeby zmusić go, by skupił na nim wzrok.

– Spójrz na mnie, Isaacu. Spójrz na mnie. – Znów klepnął Feldmana w policzek i chwycił pod pachy, żeby pomóc mu wstać. Starzec sapnął rozzłoszczony. – Nie mamy czasu, więc trzeba to będzie zrobić w ten sposób.

Robert przysunął usta do ropiejącej skóry na czole Feldmana. Z wyrazem odprężenia na twarzy zamknął oczy i przycisnął wargi do głowy starca, podtrzymując go w mocnym uścisku. Wyglądali jak dwaj tancerze nieświadomi tego, że muzyka nie gra już od dłuższej chwili.

Gdyby w tym momencie ktoś przedarł się przez chmurę gęstych cieni blokującą zewsząd dostęp, byłby bardzo zdziwiony. Wokół mężczyzn pojawił się słaby blask, z każdą sekundą przybierający na sile. Źródłem tego blasku było wycieńczone ciało starca, które zdawało się unosić piętnaście centymetrów nad podłogą, podtrzymywane przez jakąś niewidzialną siłę. Jego ręce przylegały do tułowia, głowę odchylił do tyłu, jakby coś ją odpychało. Światło wydobywało się wszystkimi porami, przechodziło przez ubranie i promieniowało na zewnątrz. Koc z inicjałem KdF zsunął mu się z ramion i leżał pod nim jak zwał pogniecionego płótna.

Światło jaśniało coraz mocniej. Cienie poruszyły się wystraszone, z jękiem wyrażającym ból i niepokój. Błyski emanujące ze starca rozpuszczały je jak kwas, po ciemnościach zostawały jedynie strzępy opadające na podłogę niczym brudny kurz o zapachu zgnilizny. W korytarzu mrugnęły światła, druciki żarówek ponownie słabo zaiskrzyły, jak rozżarzone węgielki w piecu smagnięte uderzeniem wiatru. Cienie cofały się wszystkimi korytarzami, pokonane przez potężny blask.

Wtedy Isaac Feldman otworzył oczy.

W tym samym momencie siedem pięter niżej ciemna, stara i zła istota uniosła głowę, wyczuwając obecność owego nieoczekiwanego blasku. Przyjrzała się swojej zabawce, muskularnemu mężczyźnie w mundurze łomocącemu wściekle w drzwi. Po ich drugiej stronie jego zwierzyna wykonywała obraźliwy gest. Przez trwającą nieskończoność chwilę ten ponadczasowy stwór nie mógł się zdecydować. Pierwszy raz w powtarzającym się miliony razy cyklu miał do czynienia ze zmianą. Pierwszy raz czuł się zaskoczony. Nie podobało mu się to uczucie.

Obrzucił swoją ofiarę ostatnim spojrzeniem. Z rykiem wściekłości zostawił ją i ruszył na wyższe piętro. W kierunku światła, które rzucało mu wyzwanie.

Isaac Feldman zamrugał kilkakrotnie z wyrazem niepokoju na twarzy. Z jego prawym

okiem działo się coś, co powaliłoby uczestników kongresu okulistycznego. Bielmo ustępowało, pochłaniane przez rogówkę. Pokrywało już tylko niewielką część oka, za kilka minut zostanie po nim tylko wspomnienie.

– Co…? Kto…? Co tu się dzieje? Kim jesteś? – głos Feldmana łamał się jeszcze, ale w urywanych słowach można było znowu wyczuć siłę bezwzględnego magnata.

W odpowiedzi Robert Kilroy uważnie popatrzył Isaacowi Feldmanowi w oczy. I choć nie wypowiedział ani jednego słowa, starzec wszystko zrozumiał. Została mu objawiona cała prawda.

Dowiedział się, że ponad wszelką wątpliwość za niespełna godzinę umrze.

rozdział XLIX

Wspinanie po drabince z wrzeszczącym niemowlakiem przytulonym do piersi okazało się znacznie trudniejsze, niż Kate sobie wyobrażała. Jednej ręki musiała użyć do przytrzymywania malucha i tylko drugą miała wolną, by chwytać żelazne pręty, po których wchodziła na górę. Od uderzenia kolbą nadal bolała ją głowa. Noga spuchła w kostce, przypuszczała, że jest skręcona. Nie przeszkadzało jej to jeszcze zbytnio, ale przy każdym stąpnięciu czuła ukłucie biegnącego do góry bólu.

Drabinka, po której wchodziła, znajdowała się w niemającej końca rurze wykorzystywanej przez obsługę statku. Co kilka metrów oświetlał ją chybotliwy blask żarówek, mrugających niczym pijane robaczki świętojańskie, kiedy je mijała. Stalowa tuba otoczona była siecią olbrzymich rur, które rozprowadzały wrzącą parę do różnych części statku. Panowały tu duchota i upał. Krople potu spływały jej po czole i zalewały oczy. Nie mogła ich otrzeć, zaciskała więc tylko z całej siły powieki, ale efekt był jeszcze gorszy.

Za każdym razem, kiedy otwierała oczy, widziała co innego. Tak jakby ktoś naciskał pilota w jej głowie i przeskakiwał w szaleńczym tempie z jednego kanału na drugi. Widziała tunel, doskonale oświetlony, z rurami pomalowanymi na jaskrawe kolory i szczeble drabiny z nierdzewnej stali rzucające srebrzyste blaski. Sekundę później tunel pogrążał się w ciemnościach, żarówki pokrywała gruba na palec warstwa pajęczyn, rury były porozrywane i przeżarte rdzą. Za każdym razem, kiedy działo się coś takiego, stalową drabinkę zastępowała drabina z przegniłego, napęczniałego drewna, które w każdej chwili groziło, że rozpadnie się w jej palcach i zamieni w garść pyłu.

Wszystko to powinno wyprowadzić Kate z równowagi, ale była bardziej opanowana i spokojna niż kiedykolwiek. Strach zniknął ukryty gdzieś głęboko, zbyt słaby, żeby się uzewnętrznić. Z jakiegoś nieodgadnionego powodu towarzyszyła jej pogoda umysłu, której po raz ostatni zaznała długo przed tym, zanim ciało Roberta wjechało do pieca spalarni.

Widziała wszystko bardzo wyraźnie, była pewna siebie. Pierwszy raz, od kiedy znalazła się na pokładzie tego statku, zrozumiała, że nie trafiła na „Valkirie” przypadkowo, że ma tu do odegrania konkretną rolę. Pierwszy raz czuła, że nie poddaje się biegowi wydarzeń. Pierwszy raz wiedziała, że dzięki pomocy Roberta i mimo że wszystko zostało zapisane, jest w stanie zapanować nad sytuacją.

Teraz ona przejęła inicjatywę. A cień był zdezorientowany.

Delikatny ruch dziecka trzymanego przy piersi sprawił, że wróciła do rzeczywistości. Malec był nadal zawinięty w biało-niebieski tałes, na jego szyi wisiał złoty łańcuszek, który niknął między fałdkami pulchnego ciałka. Kate nie musiała go oglądać – wiedziała, że łańcuszek zdobi mała gwiazda Dawida. Taka sama jak ta, którą Feldman pokazał jej kilka dni temu. Dokładniej rzecz biorąc – ta sama.

Zatrzymała się na chwilę, żeby nabrać powietrza, i spojrzała na pomarszczoną twarzyczkę dziecka. Przeciągnęła palcami po linii włosów i bródce niemowlaka.

– Któregoś dnia będziesz bardzo ważnym człowiekiem, Isaacu – szepnęła łagodnie. Dziecko przysunęło wygłodniałą buzię do palca w poszukiwaniu pokarmu. – Pod warunkiem że nie schwyta nas ten cień. Sądzę, że twój dziadek uwolnił coś bardzo niebezpiecznego.

W jej uszach nadal rozbrzmiewały głośno ostatnie słowa rabina. *Pulsa Dinura*, krzyknął, podnosząc ręce i rzucając garść pyłu. Kate wiedziała, co to znaczy.

Kilka lat wcześniej współpracowała z Robertem przy reportażu poświęconym skrajnie ortodoksyjnym wspólnotom w Izraelu. W trakcie zbierania materiałów natknęła się na informację, że w niektórych częściach Jerozolimy nadal istnieją pojedyncze grupy żyjące zgodnie z normami, które obowiązywały w Europie Środkowej w XIX wieku. Grupy bardzo hermetyczne, nieuznające współczesnego państwa izraelskiego. Żeby zachować tożsamość, przyjmują do swojego grona kabalistów praktykujących judaistyczny odpowiednik czarnej magii. Z całej broni, jaką dysponują, *Pulsa Dinura* jest zdecydowanie najgroźniejsza.

Pulsa Dinura. Wezwanie cieni.

Problem polegał na tym, że tak potężne wezwanie wymagało równie silnego czarownika, który potrafiłby nad nim zapanować. Kogoś, kto widziałby przyszłość i nie pozwolił, by cienie przejęły władzę. Na świecie było bardzo mało osób zdolnych dokonać czegoś takiego, ludzi z kilkudziesięcioletnim doświadczeniem i wiedzą. Bardzo starych i rozważnych, świadomych, że jeśli nie jest to absolutnie konieczne, nie należy budzić takiego potwora.

Ale osoba, która tym razem sięgnęła po *Pulsa Dinura*, leżała teraz martwa na podłodze w kotłowni, kilka pięter niżej, unicestwiona przez swoje własne dzieło. A jej twór błądził bez pana, uwolniony po wiekach, głodny, pełen nienawiści i bólu.

Kate dotąd nigdy nie wierzyła w takie rzeczy. To był zwykły folklor i legendy ludzi, którzy wciąż żyli w świecie fantazji i przesądów. Coś malowniczego, ale nierzeczywistego. Aż do tego dnia. Dnia, kiedy to wszystko zamieniło się w coś cholernie realnego.

Ogłuszający hałas odbił się echem od boku „Valkirie”. Gwałtowny przechył statku o ponad dziesięć stopni sprawił, że na chwilę zgasły światła, pogrążając Kate w ciemności. Przy akompaniamencie chrzęstu metalu transatlantyk stopniowo wracał do pionu, podczas gdy dziewczyna kurczowo trzymała się drabiny, żeby nie spaść. Statek odzyskał pierwotną pozycję, ale do huśtania na boki doszło teraz niepokojące kołysanie wzdłużne. Pozbawiona energii silników „Valkirie” była jedynie masą żelaza i drewna dryfującą na ogromnym oceanie i wstrząsaną bezlitośnie falami.

Kate spojrzała w dół i zaraz tego pożałowała. Pod stopami miała pionową przepaść głęboką na ponad trzydzieści metrów i otoczoną rozgrzanymi rurami. Jeden niewłaściwy krok i skończy na dnie tej studni jako kupka gotowanego mięsa i połamanych kości. Przycisnęła mocno dziecko i kontynuowała wspinaczkę, aż do kolejnego postoju, żeby

złapać oddech.

Jej spojrzenie padło na właz znajdujący się zaledwie dwa metry nad jej głową. Zamrugała oczami, zdezorientowana. Odżyła w niej nadzieja. To mogło być wyjście. Kate widziała drzwi wyraźnie tylko w chwilach, kiedy „była” w 1939 roku. Gdy dotarła na właściwą wysokość, zaczekała, aż wahadłowy ruch statku zsynchronizuje się z właściwym momentem czasu. Wtedy puściła szczebel i skoczyła.

Jej żebra gruchnęły o drzwi z głuchym łoskotem. Poczuła, że z płuc ucieka jej powietrze, ale skrzydło ustąpiło. Zwinięta w kłębek, żeby chronić dziecko, przeturlała się po pokrytym wykładziną korytarzu, uderzając o ściany.

Minęło trochę czasu, zanim ogłuszona zdołała się podnieść. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że jest na jednym z pięter pierwszej klasy. Kilkakrotnie przechodziła w pobliżu tego miejsca.

Ruszyła dalej z dzieckiem przyciśniętym do piersi, rozglądając się na boki. Większość świateł elektrycznych nadal działała, chociaż niektóre korytarze wypełniała gęsta ciemność. Te omijała, więc żeby wydostać się na zewnętrzny pokład „Valkirie”, musiała zrobić duże koło. Chciała trafić do pasażu otaczającego strefę pierwszej klasy i wejść do jednej z szalup. Wolała zaryzykować utratę życia na środku oceanu w łodzi ratunkowej, niż pozostać choćby minutę dłużej na tym przeklętym statku. Poza tym „Valkirie” już nigdzie nie popłynie. Sztorm zamienił się w olbrzymiego potwora miotającego deszczem i wiatrem w nadbudówkę wycieczkowca. Błyskawice bez przerwy rozświetlały niebo, a przy każdym uderzeniu pioruna statek sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał się przewrócić. W korytarzu, którym szła Kate, nie było okien, i dziewczyna nie widziała morza, ale zważywszy, w jaki sposób trząsł się kadłub, podejrzewała, że fale muszą być ogromne.

Poza tym transatlantyk zachowywał się tak, jakby nikt nie stał za sterem. To było nie do pojęcia. Fale uderzały w bok wycieczkowca, który powinien przecież ustawić się dziobem do wiatru. Gdyby nie olbrzymie rozmiary „Valkirie”, bałwany już dawno przewróciłyby statek.

Wyglądał na wyludniony. Podłogę korytarza pokrywały resztki konfetti i puste butelki turlające się od ściany do ściany. Jakby zaledwie kilka minut wcześniej odbywało się tu wielkie przyjęcie. Rzędy papierowych chorągiewek z symbolami KdF i swastykami ozdabiały sufit jak na wiejskim jarmarku. Ale w zasięgu wzroku nikogo nie było.

Nad głową Kate huknęła seria następujących po sobie grzmotów. Sufit sali, którą przecinała, zadrżał, zadzwoniły żyrandole. Wystraszona podniosła głowę.

To nie były grzmoty.

Brzmiały jak nieprzerwane staccato głuchych wybuchów. Zatrzymała się. To były wystrzały z jakiejś broni dużego kalibru.

Znów poczuła, że traci inicjatywę. Co tam się działo? Kto strzelał? I do kogo?

Coś poruszyło się za jej plecami. Kiedy odwróciła głowę, po karku przebiegł jej dreszcz. Strzępy mrocznego cienia kłębiły się w kątach, wyciągały macki, żeby połączyć się z innymi w coraz większe fragmenty. Słychać było zdenerwowane szepty, które z każdą

sekundą przybierały na sile. Cienie zajmowały już cały korytarz w głębi, zbliżały się, ale powoli. Wydawały się na coś czekać.

Kate usłyszała kroki. Rozejrzała się dookoła, ale nie znalazła niczego, co mogłoby posłużyć jej za broń, a ucieczka w stronę cieni nie wchodziła w grę. Nagle ktoś otworzył klapę nad jej głową i do korytarza zsunęła się z trzaskiem metalowa drabinka. Przez otwór wpadały podmuchy lodowatego wiatru zmieszane ze strumieniami deszczu, które natychmiast zmoczyły wykładzinę. W dziurze pojawiła się para butów, a za nimi nogi w drelichowych spodniach koloru khaki.

Ociekający wodą mężczyzna zszedł po drabince, uważając, żeby się nie poślizgnąć. Na głowie miał płaski hełm z szerokim daszkiem, a na rękawie bluzy widniał emblemat brytyjskiej Home Guard.

Mężczyzna – dojrzały, około czterdziestki, raczej potężny – odwrócił się i zobaczył Kate. Jego twarz wykrzywił grymas zdziwienia.

– Do kurwy nędzy, co pani tu robi? – wrzasnął. – Mamy na karku Niemców! Cała południowa część portu płonie, bez przerwy nadlatują falami kolejne samoloty! Ten statek jest instalacją wojskową!

Kate podniosła wzrok i wyjrzała przez otwór. Pośród deszczu i błyskawic zdołała dostrzec kilku mężczyzn zgromadzonych wokół działa przeciwlotniczego, które wyrzucało w stronę nieba ciężką amunicję. Przez wycie wiatru przebijało się w oddali monotonne buczenie samolotów. Od czasu do czasu rozbrzmiewały odległe eksplozje. Wtedy mężczyźni chowali się za działem z dłońmi na hełmach w poszukiwaniu nieistniejącego schronienia.

– Tu nie jest pani bezpieczna, proszę mi wierzyć. – Ton mężczyzny był ojcowski i pojednawczy. – Niech pani wróci na ląd i poszuka innej kryjówki. Jeśli spadnie na nas niemiecka bomba, wszyscy będziemy martwi, łącznie z panią i pani dzieckiem.

Kate pokręciła głową. Miała wrażenie, że jedzie wykolejającym się pociągiem. Wydarzenia znów następowały po sobie w niekontrolowany sposób.

– Muszą panowie opuścić ten statek, wszyscy – powiedziała bardzo wolno, chwyciwszy mężczyznę za bluzę. – Na pokładzie jest coś dużo gorszego niż niemiecka bomba. Idźcie sobie stąd, albo z wami skończy.

– Ralphie, przynieś wreszcie tę przeklętą amunicję! – Głos przesiąknięty strachem i niepokojem dotarł do nich przez otwór w suficie. Potężny mężczyzna imieniem Ralph spojrzał w górę, a potem na Kate z malującym się na twarzy wyrazem powątpiewania i paniki.

– Proszę stąd iść – powiedział wreszcie, odsuwając dziewczynę na bok, uprzejmie, ale stanowczo. – Natychmiast. W przeciwnym razie powiem sierżantowi, żeby panią aresztował. A teraz, jeśli mi pani pozwoli, muszę iść po skrzynię czterdziestomilimetrowej amunicji do działa.

Mężczyzna ruszył w stronę cieni. Niezdarnym ruchem wyciągnął z kieszeni latarkę, zapalił ją i zagłębił się w strzępy czarnej mgły, która wirowała w głębi korytarza,

zataczając powoli koła. Ralph nie zauważył, że kłęby nieprzeniknionej ciemności zamykają się za jego plecami, wydając z siebie niespokojne westchnienia zagłuszane wybuchami.

Kilka kroków dalej zniknął. Rozległo się stłumione chlupnięcie, a po nim bulgot i odgłos czegoś spadającego na podłogę. Statkiem ponownie wstrząsnęło i spomiędzy cieni wytoczyła się powoli latarka z przepaloną żarówką. Dotarła do stóp Kate, która patrzyła na nią zahipnotyzowana.

Cienie jakby urosły i przesunęły się o kilka metrów w jej stronę. Kate zamknęła oczy, wypuściła całe powietrze z płuc i zacisnęła usta. Zrobiła w tył zwrot i ruszyła biegiem, zostawiając za sobą ciemność, która wspięła się już po drabince i wyglądała na zewnątrz, skłębiona u stóp nieprzygotowanych na atak mężczyzn.

Oddalając się, Kate usłyszała krzyki. I odgłos ciemności, która bez przerwy rosła.

Była coraz bliżej.

rozdział L

Moore się wściekał. Żydowska dziwka uciekła, choć już ją miał. Nie dało się otworzyć tych drzwi. Ta przeklęta czarownica jakimś sposobem zdołała zablokować zamek, nie mógł nawet przestrzelić z pistoletu grubej szyby świetlika.

Z rykiem złości rąbnął w drzwi gołymi pięściami. Fale gniewu ogarniały go w nienaturalny sposób, był w stanie wydawać z siebie jedynie niezrozumiałe dźwięki, kiedy ranił skórę o stalowe nity. Stopniowo drzwi pokrywały się krwią płynącą z kostek jego palców, ale dalej bez wytchnienia w nie walił.

Ottonie.

Głos. Jej głos. Był jak relaksujący balsam, który łagodził gorączkę. Ona sprawiała, że wszystko nabierało sensu. Moore przestał uderzać w drzwi i opuścił pięści. Z dłoni kapała mu krew. Pochylił głowę, nasłuchując. Spijając każde jej słowo.

Druga dziwka to już historia, Ottonie, ale ta to co innego. Jest dużo niebezpieczniejsza. Będziesz musiał się bardziej wysilić.

Moore zmarszczył brwi. W głosie brzmiała wymówka, ale i coś jeszcze. Może pośpiech? Przypominał mu ton matki, kiedy szła do fabryki i żegnała się z nim naprędce, zerkając na zegarek.

Ona coś ma, Ottonie. Coś, co czyni ją szczególną i niebezpieczną. Musisz to znaleźć i się tego pozbyć.

Moore potrząsnął głową, zdezorientowany. Zaczęła mu płynąć krew z ucha, ale nawet tego nie zauważył. Poczuł w głowie lekkie szturchnięcie i wtedy przed jego oczami pojawiły się drzwi do kajuty Kate, błyszczące niczym neon w Las Vegas.

– Nie! – ryknął Moore, ponownie uderzając w drzwi. – Chcę ją dorwać teraz! Otwórz te drzwi! Wiem, że ty możesz!

Tym razem szturchnięcie w jego głowie było mocniejsze i wydarło mu z gardła okrzyk bólu. W tej samej chwili obumarł jakiś fragment jego mózgu i Moore stracił czucie w zewnętrznej części prawej ręki, ale nie zdał sobie z tego sprawy. Jego ciało przebiegała fala wrażeń zbliżonych do orgazmu, wstrząsająca nim jak prąd. Było to najcudowniejsze uczucie, jakiego doświadczył w całym swoim życiu.

Będziesz to miał, Ottonie. Będziesz to miał zawsze, kiedy zechcesz, wystarczy, że tego zapragniesz. Ale teraz musisz mnie posłuchać.

– Tak. – Z ust Moore'a wyciekł strumyczek śliny. – Tak, zrobię to.

Przewróć do góry nogami całą kajutę, Ottonie. To, co ją chroni, jest w środku. Jeśli się tego pozbędziesz, będzie bezbronna.

Moore odwrócił się zawzięty jak rekin i ruszył w stronę windy. Poczuł, że otaczające go

cienie stają się mniej intensywne. Powęszył w powietrzu jak niespokojny pies, próbując sprawdzić, co się dzieje. To była ona. Ruszała się. Oddalała. Moore wyczuwał jej zdenerwowanie i wahanie. Połączenie pomiędzy cieniem a rdzeniem jego mózgu stało się tak silne, że mógł wyraźnie odczytać myśli i wrażenia swojej nowej pani. Nie było to myślenie w dosłownym tego słowa znaczeniu, przynajmniej Moore tak go nie postrzegał, ale bardzo jasne i skomplikowane bodźce, które wypełniały umysł Anglika i zaciekle niszczyły jego zdolność rozumowania.

Coś ją martwi, pomyślał, czując dreszcz. Na tym statku dzieje się coś, co nie jest zgodne z planem.

Nie miał czasu, żeby się zastanawiać, dlaczego pomyślał o planie, bo niewidoczne szturchnięcie w jego mózgu pchnęło go w stronę windy. Szedł, depcząc szczątki porozrzucane w wyniku eksplozji, ponaglany ciągle przez głos w głowie, przy akompaniamencie dzwonków i syren alarmowych.

W jej kajucie. Musi tam być. Poszukaj go. Skończ z nim.

Moore wszedł do windy, której drewniane ściany popękały wskutek wybuchu, i wcisnął guzik. Kiedy kabina z turkotem wjeżdżała w górę, próbował zatamować dłonią krew płynącą z nosa. Mieszanka smaru i krwi pokrywała mu twarz niczym makabryczna maska. Jego bluza była kompletnie zniszczona. Jak automat rzucił ją na podłogę i został nagi od pasa w górę. Po raz enty sprawdził magazynek swojego walthera i cierpliwie zaczekał, aż dojedzie na miejsce.

Winda zatrzymała się na luksusowym poziomie „Valkirie”. Ciemnych dziur było coraz więcej. Miało się wrażenie, że statek zaatakowała pleśń, która stopniowo go opanowuje, aż po najdalsze zakątki każdego z pokładów. W niektórych miejscach mrok stał się gęsty jak ropa naftowa, inne były oświetlone i pełne życia. Wyglądało na to, że cienie poruszają się bez żadnego konkretnego planu. Przypominały coś żywego, co posuwa się naprzód, wykorzystując odpowiedni moment i możliwości.

Jedyną pewną rzeczą było to, że kiedy cienie docierały do jakiegoś miejsca, już nie znikały, ale zapuszczały w nim korzenie.

Czekały, że coś się wydarzy. Czatowały.

Moore szedł korytarzami chwiejnym krokiem. Fale były coraz silniejsze, pokład podnosił się i opadał jak narowisty koń. Od czasu do czasu słyszał, jak gdzieś daleko coś z hukiem spada na podłogę, za to z miejsc zajętych przez ciemności nie dochodził najmniejszy odgłos. Jakby chodziło o czarną dziurę, która pochłania nawet dźwięki. Moore wiedział jakimś sposobem, że panuje tam całkowity spokój.

Nic nie poruszało się w cieniu. Nigdy.

Kiedy mijał kuchnię, dotarły do niego przytłumione głosy personelu próbującego zapanować nad skaczącymi płytami kuchenek. Zobaczył zza węgła, jak do pomieszczenia wciskają się strzępy ciemności, prześlizgują niczym gęsty dym przez górne wywietrzniki. Światło powoli gasło, aż w końcu zupełnie zamarło. Zanim skręcił, usłyszał wyrażające zaskoczenie, pełne bólu krzyki kucharzy – ostatni dźwięk, jaki doszedł spomiędzy czterech ścian, nad którymi cienie przejmowały ostateczne panowanie. A potem już nic więcej.

Po pięciu nieskończenie długich minutach dotarł do korytarza, przy którym znajdowała się kajuta Kate. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby skorzystać z zestawu kluczy uniwersalnych, które pobrzękiwały u jego pasa. Po prostu położył dłoń na gałce i przekręcił ją, wiedząc, że pokój będzie dla niego otwarty.

Wszedł do kajuty. Zdenerwowane cienie tłoczyły się w korytarzu, nie miały jednak odwagi przekroczyć tego konkretnego progu. Anglik rozejrzał się dookoła, po czym ruszył w stronę szafy. Na rozgrzebanym łóżku leżały kawałki taśmy, a w powietrzu czuć było jeszcze zapach seksu. Otworzył szafę i opróżniał ją systematycznie, wyrzucając przez ramię ubrania Kate po ich dokładnym przejrzeniu. Kiedy skończył z garderobą, zabrał się za metodyczne przeszukiwanie szuflad, a potem zerwał drewniane panele z drzwi.

Wrócił do łóżka i dokładnie je rozbebeszył. Rozciął nożem materac i wyciągnął całą jego zawartość. To samo zrobił z kanapą i walizką, którą pociął na kawałki. Kiedy skończył, stanął na środku zdewastowanego pokoju, z trudem łapiąc oddech. Kręciło mu się w głowie. Bolały go oczy, wokół niego falowały jakieś kształty. Miał wrażenie, że coś porusza się za drzwiami do łazienki, ale kiedy je otworzył, w środku nikogo nie było.

Zwalił się na resztki materaca, pokonany, i wtedy jego wzrok padł na czarną ceramiczną urnę, której wcześniej nie zauważył. Uderzające o statek fale sprawiły, że potoczyła się w kąt zakryty jedną z zasłon, dlatego jej nie znalazł.

Puls Moore’a przyspieszył, kiedy dwoma susami przemierzał kajutę i pochylał się, żeby podnieść urnę.

Potrząsnął nią przy uchu. W środku coś było. Bojaźliwie odkręcił pokrywkę i podszedł do iluminatora, żeby w świetle piorunów zobaczyć jej zawartość. Piasek. Nie, poprawił sam siebie, zanurzając palce w pyle i pozwalając, by się przez nie przesypał. To były prochy.

Właśnie. O to chodziło. Już go masz!

W *jej* głosie brzmiały zwycięstwo, radość i… ulga? Na moment Moore’em wstrząsnęło kolejne ukłucie strachu, ale nie miał czasu na myślenie. Głos, wyraźny szept, ponownie wślizgiwał się do jego głowy.

Musisz się pozbyć tych prochów, Ottonie. To jego jedyny kontakt ze światem fizycznym. Bez nich nie ma jak uczepić się tej strony. To jego pomost. Muszą natychmiast opuścić ten statek.

Moore nie zrozumiał połowy rzeczy, które *ona* powiedziała, ale nie musiał. Doskonale pojął to, co najważniejsze. Powinien się pozbyć tej urny. I wiedział, jak to zrobi.

rozdział LI

Po wyjściu na boczny pasaż Kate straciła całą nadzieję. Morze ryczało z nieznaną, mściwą furią. Fale, wyższe niż czteropiętrowy budynek, nacierały na boki „Valkirie” z siłą wykolejonego pociągu. Za każdym razem, kiedy jeden z tych wodnych kolosów zwieńczonych brudną pianą uderzał w kadłub, cały statek drżał, jakby w jego wnętrzu wybuchał kocioł. Podłoga z drewna tekowego wibrowała i trzeszczała, kiedy bałwany wstrząsały wycieczkowcem. W niektórych miejscach deski popękały w drzazgi, brakowało już kilku szalup na lewej burcie, porwanych przez morze. Fale były tak silne, że „Valkirie” stopniowo się odkształcała, jak zbyt mocno napinany stalowy pręt.

Kate usłyszała dźwięk przypominający odgłos otwieranych jednocześnie wielu butelek szampana. Ostrożnie wychyliła głowę za burtę, mocno przyciskając dziecko do piersi, i spojrzała w dół. Niespełna dziesięć metrów pod nią wkręcone w szeregu sześciocalowe śruby wystrzeliły niczym rakiety. Morski weteran zaczynał ponosić surową karę wymierzaną przez fale. Mimo wszystkich remontów ponadsiedemdziesięcioletnie nity pękały jeden po drugim, w miarę jak uderzenia osłabiały całą konstrukcję statku. Kate widziała, jak fale zrywają boczną płytę wielkości ogromnego okna i zatapiają ją w morzu. Ten sztorm zabije „Valkirie”, tym razem ostatecznie.

Niecałe dziesięć metrów dalej wisiała jedna z ostatnich nienaruszonych szalup na tej burcie. Kate spojrzała na morze, pełna wątpliwości. Pozostanie na pokładzie „Valkirie” oznaczało niemal pewną śmierć z powodu tego czegoś, co krążyło po statku, ale dryfowanie pośród burzy w mającej trochę ponad osiem metrów długości łódce wydawało się samobójstwem.

Nie miała jednak innego wyjścia.

Podeszła do szalupy i zaczęła się zastanawiać, jak ją odwiązać, kiedy nagle otworzyły się najbliższe drzwi. Kate poczuła w ustach gorzki smak porażki.

Na pokładzie pojawił się Moore. Jedną ręką przyciskał do piersi jakiś pakunek, w drugiej trzymał walthera. Anglik wyglądał żałośnie. Z jego uszu, nosa i ust płynęła krew. Nawet jedno oko płakało przerażającymi krwawymi łzami. Prawa część jego ciała wydawała się sparaliżowana, jakby przeszedł wylew, ale w jego spojrzeniu błyszczała dzika determinacja, która kazała mu iść dalej. A pod tą determinacją Kate na moment dostrzegła ogień nienawiści i skrajnego szaleństwa karmiącego się resztką sił tego wielkiego mężczyzny.

– Ty! – ryknął, podnosząc pistolet. – Już jesteś moja!

Kate zrobiła krok do tyłu, w plecy wbiła jej się barierka. Bezustannie ochlapywały ją fale, ale to nie miało znaczenia. Nie mogła uciec.

– Wiesz, co ci powiem? – Moore spojrzał na nią z pewnym szacunkiem. – Nigdy nie

myślałem, że taka plugawa Żydówka jak ty będzie kosztować mnie tyle zachodu. Jesteś odważna i dość zręczna. Ale ja też posiadam te zalety. A dodatkowo jeszcze to.

Z uśmiechem pokazał swojego walthera, żeby Kate mogła zobaczyć jego lśniącą groźną lufę z oksydowanej stali.

– Nie lubię broni – szepnęła dziewczyna, przyciskając do piersi niemowlę. – Ani tych, którzy używają jej do zabijania niewinnych osób.

– Nie lubisz? – Moore zrobił dwa kroki do przodu, nie przestając w nią celować. – Broń ma tylko dwie strony, jedną dobrą, drugą złą. Dobra to strona kolby, po której stoję ja. Zła to strona lufy, po której stoisz ty. Reszta jest nieważna.

Kate zauważyła, że Anglik przeciąga słowa, kiedy mówi, jakby coś wygasiło mu światła w części mózgu, jednak jego ręka pewnie trzymała broń. Dopiero wtedy zwróciła uwagę na pakunek, który przyciskał do piersi. Była to urna z prochami Roberta. Jej serce zaczęło dziko walić.

Moore podążył za wzrokiem Kate w stronę swojej piersi i uśmiechnął się chytrze.

– Proszę, proszę. – Podniósł urnę do góry, na wysokość swojej głowy. Z jego ust wyrwał się słaby śmiech. – Znacie się. W takim razie pożegnaj tego spalonego sukinsyna, bo on tutaj wysiada.

Wyciągnął rękę, żeby wyrzucić urnę za burtę. Kate przełknęła ślinę i zastygła jak posąg z lodu. Wszystko działo się w zwolnionym tempie, w nieuchronnej sekwencji, na której końcu prochy Roberta miały wylądować w morzu.

Nagle spośród masy cieni kłębiącej się za plecami Moore'a wychynęła jakaś postać. Trzymała w górze drewniane krzesło z nogami wykutymi w marmurze, dzieło sztuki pochodzące z jednego z salonów, które bez wahania roztrzaskała na karku dawnego szefa ochrony.

Krzesło połamało się na kawałki, a Moore runął na pokład niczym wór mąki. Isaac Feldman, dysząc jak lokomotywa, wypuścił fragment oparcia, który nadal trzymał w ręku, i splunął na leżące ciało. Położył dłonie na kolanach, próbując złapać oddech. Widać było, że drży. Podniesienie krzesła kosztowało go nadludzki wysiłek.

– Jesteś… zwolniony… draniu – szepnął. Kiedy zdołał odzyskać kontrolę nad oddechem, zrobił kilka kroków w kierunku Kate z promiennym uśmiechem na twarzy.

Ruda dziennikarka nie mogła uwierzyć własnym oczom. Feldman nie wyglądał już, jakby stał jedną nogą w grobie – wyraźnie mu się poprawiło. Nie był jeszcze zdrowym, krzepkim staruszkiem, który wsiadł na statek w Hamburgu, ale nie przypominał też niedołężnego, śliniącego się starca, którego spotkała zaledwie kilka godzin wcześniej i którego zostawiła w ciemnościach otulonego kocem. Nie, Isaac Feldman, który przed nią stał, wydawał się tryskać życiem przez wszystkie pory skóry, a nawet świecić własnym blaskiem, jakby wsadzono mu nowe baterie.

– Isaacu… – wyszeptała, czując falę ulgi, która zalewała ją niczym potok. – Chyba nigdy nie ucieszył mnie tak bardzo widok znajomej twarzy.

– Posłuchaj, Kate. – Feldman zrobił kilka kroków w jej stronę i podniósł z podłogi

urnę. – Mamy bardzo mało czasu. Wysyła mnie Robert. Musisz stąd jak najszybciej wyjść. Zamknie się cykl.

– Cykl? Jaki cykl?

– Trudno to wyjaśnić – głos Feldmana był zabarwiony smutkiem. – Ale musisz mi uwierzyć. Gdyby Moore wyrzucił te prochy za burtę, nie mielibyśmy czym się przed *nią* bronić. Jest wystraszona. I wściekła. Pierwszy raz wszystko dzieje się inaczej.

– Kim *ona* jest? Co uległo zmianie? – Kate szybko wyrzucała z siebie pytania. – Dlaczego ta urna jest taka ważna? Nic nie rozumiem, Isaacu.

– Myślę, że to ma jakiś związek z *Pulsa Dinura* i prochami zmarłego, ale nie jestem pewien. To zbyt skomplikowane. Obecność Roberta zmieniła cykl zdarzeń, które powtarzają się na pokładzie tego statku nieprzerwanie od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Pierwszy raz mogą zostać zatrzymane. Ale musisz…

Podstawę pleców Isaaca Feldmana przeszyła kula. Wyszła przez mostek, robiąc dziurę, z której natychmiast zaczęła płynąć krew. Żyd z niedowierzaniem patrzył na czerwoną plamę rozlewającą się po jego piersi. Upadł na kolana, na wpół uduszony własnymi płynami. Charcząc, runął na podłogę i przez chwilę rzucał się jak wyjęta z wody ryba, po czym znieruchomiał.

Moore wstał z podłogi. Jego włosy były całe we krwi, która wciąż ciekła z rany na karku. Wyglądał, jakby kręciło mu się w głowie, ale dymiąca lufa jego pistoletu nie zadrżała ani o milimetr, kiedy macał pokład wolną ręką w poszukiwaniu urny z prochami Roberta Kilroya. Nie odrywał wzroku od Kate, zbyt przerażonej, żeby mogła wykonać jakikolwiek ruch. Strzał Anglika był niesamowicie celny.

– To koniec – szepnął. Jego głos brzmiał jak płyta gramofonowa, która powoli się zatrzymuje. – Do diabła z tymi prochami i do diabła z tobą, żydowska dziwko.

Zaczął się mocować z pokrywką urny, próbując ją otworzyć. Musiał na chwilę przestać mierzyć w Kate z pistoletu. Dziewczyna wykorzystała krótki moment, kiedy Moore oderwał od niej wzrok, żeby zrobić krok w lewo i oprzeć się o barierkę przy jednym z dźwigarów przytrzymujących szalupę ratunkową, która kołysała się na wietrze dwa metry nad ich głowami. Pomysł, który przyszedł jej do głowy, wydawał się szalony, ale był to jedyny w miarę porządny plan, jaki miała.

Moore podniósł wzrok. Na jego twarzy malował się wyraz dzikiego triumfu. Pokrywka urny potoczyła się po pokładzie i wpadła do morza. Kate śledziła ją wzrokiem, kiedy znikała między falami. Anglik podniósł urnę i powoli przechylił ją nad burtą, nie przestając celować do Kate.

Prochy rozsypały się, tworząc zasłonę pyłu, wirowały między kapryśnymi prądami powietrza i mieszały się z pianą fal. Kiedy Moore na moment oderwał spojrzenie od Kate, żeby całkowicie przechylić urnę, dziewczyna zrozumiała, że to jej jedyna szansa.

Ze względu na normy bezpieczeństwa dźwigary posiadały jedno z niewielu ustępstw na rzecz nowoczesności zaakceptowanych na pokładzie „Valkirie”. Szalupy ratunkowe były przygotowane do spuszczenia na wodę za pomocą elektrycznych bloków, a do odczepienia

lin, kiedy łódka dotykała powierzchni morza, służył przycisk uwalniający ich końce. Przyciski znajdowały się w skrzynkach z pleksiglasu, które należało rozbić jedynie w nagłych wypadkach. Kate uderzyła łokciem najbliższą skrzynkę, modląc się, żeby tworzywo było wystarczająco kruche i pękło za pierwszym razem.

Przebiła cienką warstwę pleksiglasu, rozcinając sobie skórę, i trafiła w przycisk. Na dźwięk trzaśnięcia Moore skierował na nią wzrok. Dlatego nie mógł widzieć, jak uwalnia się tył łodzi wiszącej nad jego głową i spada na niego niczym gigantyczna kosa.

Kadłub szalupy, przymocowany jeszcze do drugiego dźwigara, uderzył w Moore'a jak kij bejsbolowy w piłkę. Cios był tak mocny, że wszystkie żebra ochroniarza po prawej stronie popękały na kawałki, a jego ręka roztrzaskała się, zanim zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Uderzenie wyrzuciło go ponad barierkę tak gwałtownie, że nie miał nawet czasu chwycić za nią zdrową dłonią.

Moore wyleciał za burtę z ostatnim okrzykiem wściekłości. Próbował jeszcze złapać równowagę, ale uderzenie przerzuciło go już na drugą stronę. Zdążył jedynie obdarzyć Kate pełnym wściekłości i desperacji spojrzeniem, zanim pogrążył się w ciemnych, zimnych falach Atlantyku. Po chwili zupełnie zniknął, jakby nigdy nie istniał.

Kate uklękła na tekowym drewnie pokładu. Dziecko się obudziło i bez przerwy popłakiwało, skostniałe z zimna. Popychany wiatrem deszcz doszczętnie ją przemoczył, a łokieć nadal krwawił. Rzuciła okiem na ranę i zbladła. Cięcie było znacznie głębsze, niż przypuszczała. Będzie musiała założyć krępulec, w przeciwnym razie straci za dużo krwi.

Podeszła do zwłok Feldmana i zaczęła rozpinać mu pasek z krokodylowej skóry. Spojrzała na ciało staruszka wzrokiem wyrażającym nieskończoną wdzięczność i smutek. Gdyby nie pojawił się cudownym zrządzeniem opatrzności, byłaby martwa. Wyciągnęła rękę, żeby zamknąć mu powieki.

Wtedy Isaac Feldman zamrugał oczami.

Kate pomyślała, że jej się przywidziało, ale po pierwszym mrugnięciu nastąpiło kolejne, a po nim spazmatyczny atak kaszlu i plucie krwią. Życie starca wisiało na włosku, ale żył.

– Isaacu! – krzyknęła, rozpinając mu koszulę. – Isaacu, spójrz na mnie! To ja, Kate, Isaacu!

Pierś mężczyzny wyglądała straszliwie. Dziura, którą wyszła dziewięciomilimetrowa kula, była wielkości zaciśniętej pięści dziecka. Moore musiał użyć jakiejś specjalnej amunicji. Z rany nie płynęło już tyle krwi co na początku, ale nie dało się z nią nic zrobić, poza tym Kate nie wiedziałaby, od czego zacząć. Nawet zespół lekarski z pełnym wyposażeniem medycznym nie mógłby niczego zdziałać. Isaac Feldman umierał. To było nieuniknione.

– Kate… – głos starego Żyda był ledwo słyszalnym szeptem. Jego dłoń pokryta krwią zacisnęła się na zdrowym ramieniu dziennikarki, która nie mogła zapanować nad drżeniem. Jej łzy mieszały się z krwią Feldmana, ale żadne z nich nie zdawało sobie z tego sprawy. Życie staruszka uciekało strumieniami.

– Kate – powtórzył. Przerwał mu atak głębokiego kaszlu. – Prochy… Roberta… To jedyne, co powstrzymuje cienie. Duch sprawiedliwego człowieka. *Pulsa… Dinura…* Gdybyś nie… zabrała… tych prochów… wszyscy bylibyśmy już… Gdzie… są… prochy, Kate?

Spojrzała na pokład. Urna leżała nieopodal, całkiem pusta. Moore rozsiał prochy Roberta po północnym Atlantyku do ostatniego grama. Zostało tylko ceramiczne naczynie wypełnione pustką. Ten skurwiel wygrał, mimo wszystkich jej wysiłków.

– Są tutaj – skłamała, tonąc we łzach. – Nie martw się, Isaacu. Są w moim posiadaniu, więc nie będą mogli nic nam zrobić.

Widziała, jak front cieni nadciąga z obu krańców pasażu. Ciemność była ostrożna. Poruszała się powoli, jak stado wilków otaczających samotnego wędrowca, którego ognisko przygasa i który wkrótce zostanie bez światła. Latarka Kate zamigotała, a jej blask osłabł. Już się zbliżały.

– Pozwól mi… je zobaczyć. – Feldman prawie nie mógł oddychać.

Kate myślała, że chodzi mu o prochy, ale wtedy zauważyła, na co patrzy starzec. Ze zmęczonym uśmiechem podniosła niemowlę, które przestało płakać. Rozsunęła fałdy tałesu i odsłoniła zaróżowioną, pulchną twarzyczkę ciekawie rozglądającą się dookoła.

– Isaacu Feldmanie, przedstawiam ci Isaaca Feldmana – powiedziała, czując dreszcz na plecach. To, co robiła, teoretycznie nie mogło się wydarzyć, ale przecież działo się na jej oczach. Przeklęty paradoks, niemożliwy do rozwiązania.

– Coś takiego… – Spojrzenie Feldmana rozjaśniło się i na sekundę starzec znów był kolosem, którego kiedyś znała Kate. – Jestem bardzo… ładnym… niemowlakiem… prawda?

– I czeka cię bardzo długie życie – szepnęła dziewczyna, opatulając malca. Prawie nic nie widziała z powodu półmroku i łez napływających jej do oczu.

– Powinnaś zostawić go tam, gdzie… – Atak kaszlu, potężniejszy niż dotychczasowe, prawie wykończył starca. – Gdzie będą go mogli znaleźć, kiedy nadpłynie… kiedy nadpłynie „Pass of Ballaster”. To jedyny sposób, żeby zamknąć cykl. Jeśli cień go dorwie, to będzie początek wiecznego piekła dla… dla wszystkich. Nawet dla ciebie. Nie pozwól, żeby *ona* go dostała. Uratuj go… uratuj mnie… Ura… tuj… nas…

Głowa Feldmana opadła na bok i ciało starca ostatecznie zwiotczało. Kate zamknęła mu powieki, nie przestając płakać, potem zacisnęła sobie wokół ramienia jego pasek. Obok niej leżały zwłoki, a u jej stóp pusta urna. Z przytulonym do piersi drżącym niemowlęciem patrzyła, jak ciemna ściana rzuca się na nią niczym stado wampirów spragnionych krwi.

Usłyszała *jej* zwycięskie wycie. Ostatnie iskierki światła gasły, wszystko dookoła otaczały cienie.

rozdział LII

Mroczne cienie. Najgęstsza, totalna czerń.

Początkowo nic się nie działo. Potem maleńka iskierka światła, niemal niedostrzegalny błysk, zaczęła nieśmiało przebijać najbardziej absolutną i nieprzeniknioną ciemność, jaką istota ludzka jest w stanie sobie wyobrazić. Była to ciemność stara, niegodziwa i mądra; o wiele, wiele gęstsza i głębsza niż cokolwiek, co ma związek z człowiekiem. Ten nieśmiały przebłysk, ten blask, narastał wokół sylwetki klęczącej na podłodze kobiety, która chroniła maleńki pakunek, przyciskając go do piersi. Drgające światełko powoli rosło, aż w końcu zaczęło świecić jak garść robaczków świętojańskich po burzy.

Kate wypuściła powietrze z płuc i zdała sobie sprawę, że do tego momentu wstrzymywała oddech. Lękliwie podniosła wzrok. Wokół panowała bezgwiezdna noc. Nie było najmniejszego nawet promyka światła, z wyjątkiem jasności, która zdawała się emanować z otaczającego ją powietrza i dzięki której mogła widzieć w promieniu dwudziestu metrów wokół siebie. Za tą granicą kłębiło się coś niewidzialnego, gęstego, wściekłego, niezdolnego do przekroczenia linii poświaty chroniącej ją jak niedostrzegalna bańka.

Rzuciła okiem za nadburcie. Burza, która wstrząsała statkiem zaledwie minutę wcześniej, rozeszła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Powierzchnia Atlantyku była gładka niczym lustro. Przypominał olbrzymie morze ciemności kończące się poza zasięgiem jej wzroku.

Spojrzała dookoła. „Valkirie” wyglądała tak jak zwykle. Prawie tak jak zwykle, poprawiła się natychmiast w myślach.

To był ten sam statek, ale wszystko wokół niej trochę się zmieniło. Metalowe płyty zniszczone przez burzę wróciły na swoje miejsca, a łódka, która posłała Moore’a do wody, znowu była mocno przywiązana, jakby nikt jej nie ruszał. Pokład z drewna tekowego wyglądał identycznie jak przedtem, ale lakier miał inny odcień, o ton albo dwa jaśniejszy od tego, po którym chodziła zaledwie minutę wcześniej.

Podniosła się, zdezorientowana i zalękniona, i dopiero wtedy zauważyła, że zwłoki Feldmana zniknęły. Nie było ich.

To niemożliwe! Kiedy dopadły ją cienie, musiała nieświadomie odejść kilka metrów. Zrobiła parę kroków w jedną, potem w drugą stronę, ale nie znalazła śladu po Feldmanie, ani jednej plamki krwi. Pasaż był nieskazitelnie czysty, jakby statek dopiero co wyszedł ze stoczni.

Spróbowała się rozluźnić. Atmosfera była gęsta, gorąca i ciężka. Nie czuła najmniejszego powiewu, powietrze poruszało się tylko wtedy, kiedy sama chodziła. W nieruchomym, zastygłym otoczeniu wszystkie dźwięki brzmiały jak stłumione. Kate była

pewna, że to sprawka cieni.

Przystanęła nagle, kiedy zrozumiała, skąd zna ten obraz. Jakbyśmy znaleźli się na fotografii, pomyślała. Uwięzieni w jakimś momencie czasu.

To wrażenie wywarło na niej tak piorunujący efekt jak cios pięścią. Sapnęła ciężko, zdumiona. Była uwięziona. Pytanie brzmiało nie tylko „gdzie?”, ale i „kiedy?”.

Zrobiła krok do tyłu i uderzyła plecami o coś wystającego ze ściany. Odwróciła się szybko jak kobra i zobaczyła, że to jedno z kół ratunkowych statku. Odetchnęła z ulgą, ale uśmiech natychmiast zamarł jej na twarzy, jakby wypiła litr żółci.

Dokładnie pod nazwą statku i emblematem KdF zobaczyła dumnego orła o rozpostartych skrzydłach, trzymającego w szponach czerwoną jak krew swastykę.

Kate nie miała czym oddychać. Dusiła się. Prawą nogą potrąciła urnę, w której kiedyś były prochy Roberta, a która teraz potoczyła się z głuchym dźwiękiem. Naczynie z drobinkami popiołu w środku wydzielało słaby blask, coraz mniej widoczny na tle cieni. Kate uniosła rękę i ją obejrzała. Jej skóra zdawała się świecić własnym światłem, jakby wszystkie komórki ciała zamieniły się w małą elektrownię wytrwale dostarczającą prąd oblężonemu miastu.

Ona.

Świeciła ona, nie Robert. To nie miało sensu.

Coś drgnęło między cieniami, które rozstąpiły się, robiąc temu czemuś przejście. Była to ciemna plama, odcinająca się na czarnym tle. Plama, która szła w jej kierunku, bezwzględna i wściekła.

Nie oprzesz mi się! Jego już nie ma. Nie masz odpowiedniej mocy, żeby sprzeciwić się mojej woli.

Czarny jęzor wystrzelił w stronę Kate, ale zanim jej dosięgnął, trafił na świetlną aureolę otaczającą dziewczynę i rozpadł się zamieniony w mieszaninę popiołu i dymu, pośród pełnego bólu wycia.

Nie możesz!

Jej głos zabrzmiał z siłą huraganu, zagłuszając niespokojne pojękiwania armii idących za nią cieni.

Nie możesz, przeklęta dziwko! To niemożliwe! Jego już nie ma!

– Jest, zdziro – skłamała Kate, napinając mięśnie. – Tyle że teraz nie wiesz gdzie.

Niewiele myśląc, puściła się biegiem pośród czerni.

Kiedy przekroczyła zasłonę z cieni, poczuła wyraźny chłód, tak przejmujący, że zaczęły palić ją płuca, a wszystkie włoski na jej skórze natychmiast się najeżyły. Nie przystanęła jednak. Wiedziała, że jej czas się kończy.

Ona zakotłowała się za jej plecami tak gwałtownie, że ze ściany spadło koło ratunkowe, jakby pociągnięte przez czyjąś niewidzialną rękę, a szalupa wisząca nad pasażem urwała się już drugi raz w ciągu ostatnich dziesięciu minut (a właściwie pierwszy). Roztrzaskała się o pokład i deszcz kawałków drewna siekł przez chwilę czarną wodę otaczającą

„Valkirie”.

Kate biegła wzdłuż pasażu; wiedziała, że jedynym dla niej ratunkiem jest otaczająca ją poświata. Dla niej i dla niemowlęcia, które spało zawinięte w tałes.

– Musimy znaleźć szalupę, maluszku – szepnęła czule. – Musimy jak najszybciej wyjść z tego pływającego grobu.

Kate.

Dziewczyna przystanęła. To niemożliwe.

– Nie. – Zacisnęła wargi i szła dalej.

Posłuchaj mnie, Kate. To ja.

– To jakaś sztuczka. – Pokręciła głową, a w jej oczach pojawiły się łzy. – Robercie, ciebie już tutaj nie ma. Widziałam, jak wrzucali twoje prochy do wody.

Kate, to ja, przysięgam.

Głos Roberta rozbrzmiewał w jej głowie głośno, wyraźnie i natarczywie.

Teraz nie możesz mnie zobaczyć, ale musisz mnie wysłuchać. To bardzo ważne.

– Odczep się, dziwko! Nie oszukasz mnie! – Kate odwróciła się wściekła, wymachując pięścią przed ciemnym murem, który ją otaczał. Jakby chciała pięściami powstrzymać huragan. Stukot jej kroków cichł, gdy tylko dochodził do granicy cienia, a jej głos sięgał niewiele dalej.

Lubisz czereśnie, zwłaszcza kiedy są zimne. Nie lubisz, kiedy podczas masażu uciskam dolną część twoich pleców. Schowaliśmy kilka zdjęć w tomie „Alicji w Krainie Czarów”, na ósmej półce regału w salonie. Zawsze mówiłaś, że gdyby znalazła je twoja matka, dostałaby zawału serca. Kiedyś rzuciłaś we mnie miseczką z lodami, bo powiedziałem, że twoje rude włosy wyglądają jak pożar. Ostatnim razem, kiedy widzieliśmy się w domu, powiedziałaś mi, że mnie kochasz, i pocałowałaś w szyję. I wiem, że tęsknisz za mną w każdej minucie dnia. Tak jak ja za tobą.

Zapanowała ogłuszająca cisza. Kate przestała powstrzymywać łzy, jej wargi drżały. Szloch wychodził jej z gardła, ale zamierał w ustach, nie mogąc wydostać się na zewnątrz.

To ja, Kate. Nadal tu jestem. Nie odszedłem. Dlatego ona *nie może ci nic zrobić.*

– Ale… jak to jest możliwe, Robercie? Widziałam, że wyrzucają twoje prochy za burtę. Ty…

Wiesz jak, Kate. Wiesz doskonale.

Na dźwięk tych słów dziewczyna zamknęła oczy i jeszcze bardziej się rozpłakała, ale tym razem ze szczęścia, pierwszy raz od dawna.

– Robercie… – szepnęła.

Mamy już bardzo mało czasu. Nadchodzi ostateczny moment i cykl niedługo się dopełni. Musisz zostawić niemowlę na parkiecie. Teraz.

– Zostawić je? – głos Kate zabrzmiał niemal tak, jakby była urażona. Nieświadomie jeszcze mocniej przycisnęła dziecko do piersi. – Nie mogę tego zrobić!

Posłuchaj mnie, Kate. To jedyny sposób. Pierwszy raz coś się zmieniło. Isaac Feldman w końcu umarł na pokładzie „Valkirie”. To był ostatni pasażer z pierwszego rejsu, którego brakowało do zamknięcia cyklu. Teraz cienie będą musiały odejść. Ich misja została zakończona. Jedynym, co je tu trzyma, jest to dziecko. Ona je chce, żeby móc tutaj zostać. Jeśli je dorwie, cykl będzie się powtarzał. Jeśli dziecko odejdzie z tobą, cienie pójdą za wami wszędzie, gdzie się udasz. Rozpętasz na świecie koszmar.

– W takim razie… jakie jest wyjście? – głos Kate drżał z wściekłości i z wrażenia. Porzucenie bezbronnego dziecka na pokładzie tego pływającego nawiedzonego domu wydawało jej się czymś potwornym.

Musi stąd wyjść o własnych siłach. Żyć własnym życiem. Być tym, kim musi być w swoim realnym świecie.

– Ale to jest niemowlę! Jak ma stąd wyjść o własnych siłach?

Tak jak zostało zapisane. Jak nakazuje mu jego przeznaczenie. Spójrz.

Kate usłyszała hałas za plecami i odwróciła się. Snop drgającego światła rozciął cienie jak gorący nóż krojący masło. Ciemne chmury rozproszyły się na moment i Kate zobaczyła trzech mężczyzn ubranych zgodnie z modą lat trzydziestych, którzy mozolnie wdrapywali się na pokład. Najmłodszy z nich był pryszczatym młodzieńcem z wystraszoną twarzą. Kate odgadła, że wiele lat później chłopak zamieni się w staruszka, którego dom będzie pełen pamiątek i fotografii na ścianach.

Najwyższy z nich omiótł pasaż snopem światła latarki. Wymienili jakieś uwagi, ale choć dzieliło ich niespełna dwadzieścia metrów, Kate nie usłyszała ani jednego słowa. Jakby stali pod wielkim szklanym kloszem, który oddzielał ich od reszty świata.

Oficer uniósł dłoń do twarzy i krzyknął coś, ale nie do niej. Dziewczyna nie mogła dłużej wytrzymać i też krzyknęła.

– Jesteśmy tutaj! Jesteśmy tutaj!

Efekt jej krzyku był zadziwiający. Trzej mężczyźni odskoczyli przerażeni i wpadli na siebie. Sposób, w jaki przewrócili się na pokład, był tak komiczny, że w mniej dramatycznej sytuacji Kate umarłaby ze śmiechu.

Nie mogą cię usłyszeć, przynajmniej nie tak, jak byś chciała. Dla nich jesteś duchem. I pozostaniesz nim na zawsze, jeśli nie wyjdziesz stąd w ciągu dziesięciu minut. Niewiele brakuje do zakończenia cyklu; jeśli będziesz na pokładzie, kiedy to nastąpi, zostaniesz na zawsze uwięziona między dwoma światami. Będziesz widmem na całą wieczność. On także.

– Znajdą go? – Kate spojrzała na niemowlę, które spało beztrosko, wyczerpane wrażeniami.

Na pewno, o ile będzie na swoim miejscu w odpowiednim momencie. A teraz biegnij!

Nie trzeba było powtarzać jej tego dwa razy. Szybkim krokiem pokonała odległość dzielącą ją od drzwi, które prowadziły do wielkiego holu z orłami. Pociągnęła za skrzydło, które wydało głośny stukot, i zostawiła je otwarte na oścież. Miała nadzieję, że marynarze pójdą za nią.

Przeszła po grubym dywanie koloru krwi i dotarła do imponującej wielkości schodów. Ogromny żyrandol był zgaszony, ciemny jak cała sala. Miało się wrażenie, że najdrobniejsze atomy światła i życia zostały gdzieś wessane.

Minęła dumne orły, które trzymały w szponach swastyki i wydawały z siebie niemy okrzyk, wyzwanie dla wieczności. Nie obawiając się cieni, które ustępowały jej miejsca, przecięła jadalnię i weszła na parkiet do tańca. Na tacach parowało jeszcze ciepłe jedzenie. Nie minęło nawet dwadzieścia minut, od kiedy cienie opanowały przestrzeń wypełnioną ludźmi, po których nie został żaden ślad.

Przechodząc obok pomieszczenia dla obsługi, Kate otworzyła szafę i wyciągnęła koc z wyszytym logo KdF. Nie zostawi kilkutygodniowego niemowlęcia bez przykrycia na zimnej marmurowej podłodze. Owinęła malucha i w tym momencie coś *poczuła*. W nieruchomym ciemnym powietrzu salonu coś poruszało się za jej plecami. Coś niewyraźnego i nikczemnego.

Daj mi go. Dajmigodajmigodajmigodajmigo. Jest mój, zdziro. Jest mój, jak całe to miejsce. Nie wchodź mi w drogę.

Kate ostrożnie położyła uśpione dziecko na podłodze i odwróciła się, zaciskając prawą pięść. Nie do końca wiedziała, co robi, ale nigdy w życiu nie czuła takiego wewnętrznego spokoju.

– Zostałyśmy tylko ty i ja, prawda? – szepnęła w stronę cieni. – W porządku. Jeśli go chcesz, będziesz musiała po niego przyjść. I to po moim trupie.

Zarezerwuję dla ciebie specjalne miejsce w piekle.

Głos ociekał wściekłością, ale czuło się w nim także strach. Przywykł, że od wieków nic się nie zmieniało, dlatego ta nowa, wyjątkowa chwila zasiała w nim niepokój.

Po tysiąckroć pożałujesz, że nie umarłaś.

– Wiesz co? Mam powyżej uszu całego tego pieprzenia o śmierci i ciemnościach. – Kate wykonała pogardliwy gest ciągle zaciśniętą pięścią. – Więc jeśli chcesz coś zrobić, zrób to wreszcie, do cholery, albo wracaj do piekła.

Powietrze jakby zamarło na chwilę w osłupieniu. Nagle rozległ się nieludzki wrzask i olbrzymia ciemna fala niczym tsunami zła runęła na Kate, pochłaniając wszystko, co było na jej drodze.

Dziewczyna odczekała chwilę, po czym rozwarła pięść i cisnęła wisiorek Feldmana z gwiazdą Dawida w stronę zbliżającej się czarnej ściany. Kiedy uderzył w mur czerni, miało się wrażenie, że czas stanął w miejscu. Sześcioramienna gwiazda otoczona symbolami kabalistycznymi najpierw wydawała się rozpuszczać, a sekundę później wybuchła oślepiającym blaskiem, który oświetlił wszystkie kąty sali balowej, jakby jakiś fotograf olbrzym uruchomił największy na całej planecie flesz.

Promienie światła przeszyły ciemności i całkowicie je rozwiały. Kate słyszała bulgocący jęk, który stopniowo cichł. Przez ułamek sekundy jej na wpół przymknięte oczy widziały na tle błyszczącego światła olbrzymi cień. Przypominał czyjąś postać, ale nie był cieniem człowieka. Skręcał się z bólu atakowany błyskami eksplozji. Światło nabrało

większej mocy i pośród dzikich okrzyków cieni stawało się coraz bardziej oślepiające, aż w końcu zmusiło Kate do zaciśnięcia powiek. Wtedy całkowicie wyparowały ostatnie atomy mroku.

Po siedemdziesięciu latach *Pulsa Dinura* wreszcie się wypełniła: *ona* przestała istnieć.

rozdział LIII

Kiedy blask osłabł i Kate była w stanie otworzyć oczy, zaczęło się dziać wiele rzeczy naraz. Przez okna wielkiej sali balowej wpadało upiorne światło piorunów, które błyskały na zewnątrz jeden za drugim. Burza wróciła ze zdwojoną siłą i cały kadłub „Valkirie" trzeszczał i pękał wstrząsany wysokimi na prawie dziesięć metrów falami.

Podłoga ruszała się pod stopami Kate, pochylona jak zbocze, po którym jeździły w tę i z powrotem meble, niczym kostki w kubku do gry. Warte majątek krzesło z drewna i skóry rozbiło się w drzazgi, wpadłszy na kolumnę. Chwilę później z dużego holu z orłami dotarł huk rozbijanego szkła. Najwyraźniej wielki żyrandol nie wytrzymał kołysania fal i runął na podłogę. „Valkirie" rozpadała się na kawałki pośród burzy.

Kate rozejrzała się dookoła. Nie było śladu po niemowlęciu. Tak jakby nigdy nie istniało.

Uśmiechnęła się. W tej chwili, w innym momencie, w innym czasie przerażony brytyjski podoficer podnosi dziecko z parkietu do tańca. Jedyna różnica polegała na tym, że nie miało na szyi żadnego wisiorka. Od tej pory przyszłość będzie inna. Niemowlę przeżyje, ale nie będzie tą samą osobą. Cykl został zmieniony. Koło się zamknęło.

Góra szarej wody i piany uderzyła mocno w okna sali i rozbiła je na tysiąc kawałków. Kate zdążyła wybiec, zanim kilkaset litrów wody wymieszanej z odłamkami szkła zalało podłogę z marmuru i lakierowanego drewna. Światła zamigotały, po czym wskutek spięcia zgasły po raz ostatni.

Kate minęła podest z orłami, lawirując między resztkami żyrandola. Zwisające z sufitu przerwane kable iskrzyły niebezpiecznie za każdym razem, kiedy ruch statku sprawiał, że się stykały.

Żeby wyjść na zewnątrz, na ostatnich kilku metrach Kate musiała pomagać sobie łokciami i kolanami. Uczepienie się framugi drzwi i wyjście na boczny pasaż z ręką uszkodzoną wskutek głębokiego cięcia kosztowało ją niewyobrażalny wysiłek. Kiedy już się tam znalazła, przełknęła ślinę i otworzyła szeroko oczy.

„Valkirie" płynęła pośród burzy, choć nikt nie stał za sterem, a silniki przestały pracować ponad godzinę wcześniej. Fale sprawiły, że zboczyła z kursu, i ze wszystkich stron dziko nacierały na statek. Na środku tego rozszalałego morza było jedynie kwestią czasu, że któreś uderzenie w końcu wywróci transatlantyk i pośle go na dno oceanu. Wiatr coraz bardziej przypominał huragan. Za kilka godzin, a może za kilka minut „Valkirie" zatonie. I pociągnie za sobą Kate, jeśli się nie pospieszy.

Zasłony wody popychane przez porywisty wiatr smagały jej twarz, prawie nic nie widziała. Szła małymi kroczkami, uczepiona barierki; każdy kolejny metr był prawdziwym wyzwaniem. Słone fale coraz częściej uderzały ją w kolana. Zauważyła, że poziom pokładu

znacznie obniżył się względem powierzchni wody. To mogło oznaczać tylko jedno. Gdzieś powstał przeciek i statek tonął.

Miało to i dobrą stronę. Tysiące ton wody, które wdzierały się do ładowni „Valkirie", sprawiały, że statek był cięższy, dzięki czemu fale nie mogły już nim tak dziko potrząsać. Lepiej, żeby się za bardzo nie ruszał, jeśli nie chciała, żeby szalupa ratunkowa wyrżnęła o burtę, kiedy będzie się w niej spuszczać na morze.

Kolejne chluśnięcie wody całkowicie ją przemoczyło, zanim dotarła do najbliższej łódki. To przy niej milion lat wcześniej znalazła słomkowy kapelusz, pierwszy zwiastun koszmaru, który zaczął się później. Na samo wspomnienie wstrząsnął nią dreszcz.

Podniosła osłony bloków i uruchomiła spuszczanie łodzi. Elektryczne silniki zatrzeszczały i szalupa rozpoczęła podróż w stronę fal. Kate już miała wejść do środka, kiedy zawadziła o coś stopą. Była to urna Roberta, którą morze przyniosło aż tutaj. Nie zastanawiając się, podniosła ją i wsiadła do łódki.

Wzięła kilka głębokich wdechów, żeby zdobyć się na odwagę i wcisnąć przycisk uwalniający jednocześnie oba sworznie.

Łódka z trzaskiem odczepiła się od lin, które łączyły ją z „Valkirie", i zniknęła między falami. Kate chwyciła się mocno jednej z ławek, żeby nie wypaść. Mała szalupa była niczym orzeszek pośród fal, które zdawały się wyrastać zewsząd, jak wielkie góry.

Zdradziecki bałwan uderzył w bok łódki, całkowicie ją zalewając. Kate walczyła, żeby utrzymać głowę nad powierzchnią. Połknęła słoną wodę i niemal się udusiła, ale zdołała ją wypluć. Nagle usłyszała za plecami przerażający trzask i podniosła wzrok. Przez mgłę i szalejącą burzę zobaczyła, jak podnosi się majestatyczna rufa „Valkirie" z ociekającą wodą śrubą z brązu. Statek zaczął tonąć. Wydawał z siebie koncert dźwięków, wszystkie metalowe części trzeszczały i jęczały w przedśmiertnym rzężeniu. Na chwilę zastygł w pionowej pozycji, wstrząsany przez fale, i dokładnie w tym momencie jednocześnie zgasły wszystkie światła. Kate skuliła się w oczekiwaniu na uderzenie, które mogło ją zgnieść… ale „Valkirie" zsunęła się łagodnie między bałwany, jakby pociągnięta od dołu przez czyjąś niewidzialną dłoń.

Powierzchnia morza przez chwilę bulgotała, pośród brudnej od oleju napędowego piany zwieńczającej fale mignęły dwa pływaki i nagle wszystko się skończyło.

„Valkirie" przestała istnieć.

Osiem godzin później

Zimny poranek stopniowo zastępował ciemność. Morze przez kilka godzin wstrząsało łódką, pokrywając ciało Kate siniakami i nie pozwalając jej zasnąć. Była wyczerpana, przerażona i umierała z pragnienia. Mgła zniknęła, słońce oświetlało olbrzymią powierzchnię pustego oceanu, poruszaną jeszcze lekko ostatnimi uderzeniami burzy, która oddalała się w stronę horyzontu.

Kiedy łodzią przestało kołysać, Kate wreszcie puściła ławkę, której trzymała się przez parę godzin, i zrobiła kilka niepewnych kroków. Ściągnęła gumowy ochraniacz osłaniający nowoczesną boję awaryjną. Zmęczonymi oczami przeczytała zapisaną na niej instrukcję obsługi i wcisnęła aktywujący ją przycisk. Pława uruchomiła się z drżącym piknięciem, a z boku zaczęła migać czerwona lampka. Wyczerpana Kate opadła na pławę i na moment zamknęła powieki.

Chociaż „Valkirie” zboczyła znacznie z kursu podczas burzy, Kate wiedziała mniej więcej, *gdzie* się znajduje – w pobliżu szlaków handlowych przecinających tę część Atlantyku. Nie umiała za to powiedzieć *kiedy*. Zadała sobie pytanie, co, do diabła, pocznie, jeśli koniec końców została uwięziona w 1939 roku.

Podniosła wzrok, szacując swoje szanse. W sumie życie w 1939 roku nie musi być takie złe. Oczywiście, będą pewne komplikacje, ale…

Dym. Na horyzoncie widać było dym.

Kate skoczyła na równe nogi i wyjęła ze skrzynki ze sprzętem ratowniczym lornetkę. Dostrzegła w oddali czarny punkt zmierzający w stronę wstającego słońca. Opuściła lornetkę i odszukała pistolet sygnalizacyjny. Włożyła do środka racę, wycelowała w górę i pociągnęła za spust.

Raca z gwizdem wystrzeliła w powietrze i wybuchła kilkadziesiąt metrów nad jej głową w formie ładnego czerwonego parasola. Kate wystrzeliła dwie kolejne, po czym otworzyła dwie puszki dymne leżące na dnie skrzyni. Szalupę natychmiast spowił słup czerwonego dymu, który powinien być widoczny z odległości kilku kilometrów. Wtedy ponownie sięgnęła po lornetkę i spojrzała na statek. Odetchnęła z ulgą. Punkt na horyzoncie zbliżał się w jej kierunku.

Dostrzegli ją.

Oczekiwanie dłużyło jej się w nieskończoność. To był samotny frachtowiec, olbrzymi i imponujący. Czuła się przy nim mikroskopijna. Dopiero kiedy podpłynął na tyle blisko, żeby załoga mogła postawić go w dryf i zabrać Kate na pokład, zamiast ciemnej sylwetki zobaczyła kolory kadłuba, czerwony i biały, oraz setki piętrzących się nowoczesnych

kontenerów Maerska i dziesięciu innych firm transportowych XXI wieku.

Patrzyła na kontenerowiec, jakby nie była w stanie uwierzyć własnym oczom. Łzy płynęły jej po twarzy niewyczerpanym strumieniem, ale był to płacz szczęścia.

Spojrzała na dno szalupy. W rogu, częściowo zalana wodą, leżała urna Roberta. Podniosła ją z czułością i przysunęła do ust, żeby ostatni raz delikatnie ją pocałować. Potem położyła ją na falach i puściła. Z zachwytem patrzyła, jak urna powoli niknie w wodzie, szukając ostatecznego miejsca spoczynku na dnie oceanu.

Żegnaj, Robercie.

Robert, który pomógł jej ujść z życiem z tej niesamowitej przygody.

Robert, który ochronił ją swoim światłem.

Robert, którego duch w jakiś niezrozumiały sposób zagnieździł się w tych prochach.

A co najważniejsze – Robert, który zdołał pozostać przy niej nawet po tym, jak Moore wyrzucił prochy podczas burzy. Który przechytrzył cienie.

Kate uśmiechnęła się na myśl o swoim sekrecie. Zobaczyła, że ze statku spuszcza się łódka i podpływa w jej stronę. Kiedy czekała, aż ją zabierze, delikatnie położyła zdrową dłoń na brzuchu.

Bo tam, w jej wnętrzu, rósł owoc ostatniej nocy pełnej namiętności. Bo wiedziała, że żyje w niej dziecko martwego mężczyzny, mężczyzny, który wrócił z ciemności, żeby ją ocalić.

Dziecko miłości. Dziecko światła.

Ostatni pasażer „Valkirie”.

[1] K.K. – po hiszpańsku słowo *caca* (wymawiane *kaka*) znaczy „kupa” (przyp. tłum.).

[2] Medium występujące w emitowanym w Hiszpanii programie telewizyjnym *Más allá de la vida* (Poza życiem), które rzekomo otrzymywało wiadomości od zmarłych z otoczenia zaproszonych gości (przyp. tłum.).

[3] Hymn partii nazistowskiej (przyp. tłum.).

Spis treści

MGŁA (prolog)
rozdział I
rozdział II
rozdział III
rozdział IV
KATE
rozdział V
rozdział VI
rozdział VII
rozdział VIII
rozdział IX
rozdział X
rozdział XI
rozdział XII
„VALKIRIE”
rozdział XIII
rozdział XIV
rozdział XV
rozdział XVI
rozdział XVII
rozdział XVIII
rozdział XIX
rozdział XX
rozdział XXI
rozdział XXII
rozdział XXIII
rozdział XXIV
rozdział XXV
rozdział XXVI
rozdział XXVII

rozdział XXVIII
rozdział XXIX
rozdział XXX
rozdział XXXI
rozdział XXXII
rozdział XXXIII
rozdział XXXIV
rozdział XXXV
rozdział XXXVI
rozdział XXXVII
rozdział XXXVIII
rozdział XXXIX
rozdział XL
rozdział XLI
rozdział XLII
rozdział XLIII
rozdział XLIV
rozdział XLV
rozdział XLVI
rozdział XLVII
rozdział XLVIII
rozdział XLIX
rozdział L
rozdział LI
rozdział LII
rozdział LIII
Osiem godzin później
Przypisy

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
ul. Marszałkowska 8
00-590 Warszawa

tel. 22 6211775
e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360
Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl
Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz